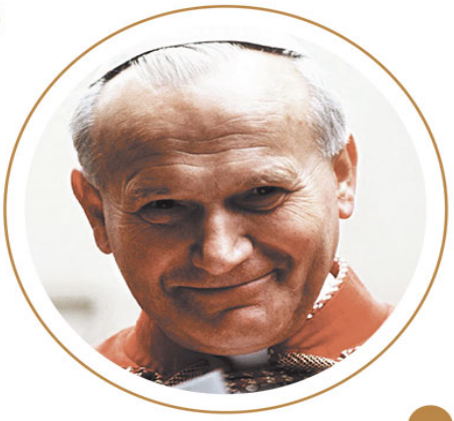

Kawalerowie Orderu Uśmiechu

Tadeusz Belerski

Meissner & Partners
WYDAWNICTWO

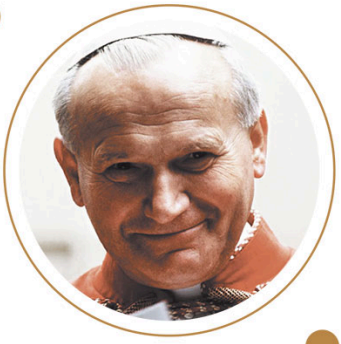
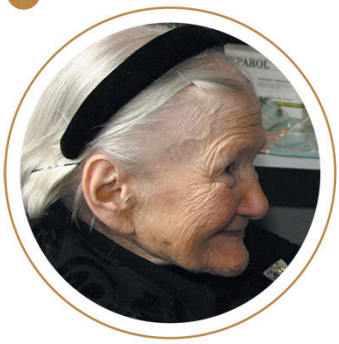

Kawalerowie Orderu Uśmiechu

Tadeusz Belerski

Meissner & Partners
WYDAWNICTWO

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Słowo od autora

Przed wielu laty ówczesny Kanclerz Międzynarodowej Kapituły Orderu Uśmiechu Cezary Leżeński namawiał mnie do napisania książki o Kawalerach Orderu Uśmiechu. Nie spełniłem jego prośby, nie miałem czasu, byłem pochłonięty codzienną pracą dziennikarską. Dzisiaj żałuję tego, ponieważ wielu spośród moich potencjalnych bohaterów, z którymi mogłem porozmawiać, odeszło. Na szczęście obecny kanclerz, Rzecznik Praw Dziecka Marek Michalak, powrócił w jednej z naszych rozmów do pomysłu swego poprzednika. Przekonał mnie, że warto przybliżyć tych oddanych najmłodszym ludzi, aby między innymi w ten sposób uczcić **45. rocznicę powstania Orderu Uśmiechu**. Podjąłem więc wyzwanie…

Członkowie Międzynarodowej Kapituły Orderu Uśmiechu, Kawalerowie Orderu Uśmiechu i dzieci przed Pałacem Prezydenckim w Warszawie w czasie obchodów 45. rocznicy powstania Orderu Uśmiechu

Długo myślałem, jak zaprezentować dziecięcych bohaterów. Ostatecznie postanowiłem oddać im głos, by sami opowiedzieli, co robili dla najmłodszych. Chciałem, by w ten sposób odpowiedzieli na pytanie, dlaczego dzieci zwróciły się do Międzynarodowej Kapituły o przyznanie im Orderu Uśmiechu. Sam wybrałem moich rozmówców. Jest ich ponad pięćdziesięciu. O tych, którzy już odeszli, opowiadają bliscy i przyjaciele.

Wśród przedstawionych w tym wydawnictwie Kawalerów są osoby bardzo znane, obok tych dla większości anonimowych. Są to ludzie różnych profesji. Jednakże ich udział w niesieniu pomocy najmłodszym jest – w moim przekonaniu – taki sam. Prezentuję te postacie w książce alfabetycznie, w ten sposób traktuję je równo i – jak mi się wydaje – sprawiedliwie.

Rozmowy z wybrańcami dzieci były dla mnie wielkim przeżyciem. Zwróciłem uwagę na różnorodność motywów, jakimi się kierowali, niosąc bezinteresowną pomoc. Wielu z nich podkreślało, że chęć pomagania innym wynieśli z domów rodzinnych, gdzie od najmłodszych lat widzieli, jak robili to ich najbliżsi. Spotykałem się i rozmawiałem z Kawalerami w różnych miejscach i okolicznościach. W ich domach, kawiarniach, szpitalach, hospicjach, ośrodkach pomocy, wśród podopiecznych. Opowiadali z pasją i wzruszeniem o swoich działaniach. Niejednokrotnie dziwili się, że to co powinno być normalnością, podniesione zostało do tak wysokiej rangi, a przez to uznane za coś nadzwyczajnego.

> Czuło się jednak, że Order Uśmiechu to dla nich największe wyróżnienie, bo płynące z głębi serc najmłodszych.

Wśród Kawalerów Orderu Uśmiechu są bardzo ciekawi ludzie, można powiedzieć, że wyjątkowi. Możecie się Państwo o tym sami przekonać, czytając tę publikację.

Tadeusz Belerski

Ma moc serdeczności

Minęło 45 lat od wymyślenia, zaprojektowania i uruchomienia idei Orderu Uśmiechu, jedynego na świecie odznaczenia, które przyznawane jest dorosłym, wyłącznie na wniosek dzieci. Order Uśmiechu ma moc, moc serdeczności, wrażliwości, to wyjątkowe odznaczenie. Wypływa z serca, jest szczerym wyznaniem przyjaźni ze strony najmłodszych.

Dzisiaj jest to Order międzynarodowy. Otrzymało go – jak dotąd – **blisko 1000 osób**, wśród nich postacie rozpoznawalne, z pierwszych stron gazet i telewizji, ale także takie, o których szersze grono nigdy nie słyszało. Kawalerowie Orderu Uśmiechu są jednak równi przed dziećmi. Nieistotne, czy są to koronowane głowy, hierarchowie kościelni, piastujący wysokie urzędy państwowe, wielcy artyści, pisarze, piosenkarze, aktorzy, lekarze, ludzie świata nauki, działacze społeczni, czy – jak to się mówi – zwykłe, najzwyklejsze osoby, na przykład babcia, która opowiadała dzieciom najpiękniejsze bajki świata, czy kowal, który zapraszał dzieci do kuźni i dzielił się z nimi swoim doświadczeniem. Wszyscy są połączeni jedną ideą, ideą pomocy dzieciom.

Order Uśmiechu dostaje się za tworzenie takiego świata, który jest przyjazny, bezpieczny dla dzieci, polepsza ich dzieciństwo. Order Uśmiechu otrzymuje się nie za uśmiech, ale za konkretne działania, które wyzwalają uśmiech na twarzach najmłodszych.

Jestem przekonany, że gdyby żył dzisiaj **Janusz Korczak**, byłby pierwszym z najpierwszych wśród Kawalerów Orderu Uśmiechu. Uważam, że Order Uśmiechu jest swoistym wypełnieniem testamentu Korczaka, który bardzo zabiegał, żeby dzieci traktowano podmiotowo, z szacunkiem, aby miały możliwość wypowiadania się w sprawach ich dotyczących. Korczak nie dostał Orderu Uśmiechu, gdyż zginął zamordowany z blisko dwustoma dziećmi w niemieckim, nazistowskim obozie zagłady w Treblince w 1942 roku.

Marek Michalak, Kanclerz Międzynarodowej Kapituły Orderu Uśmiechu dekoruje tym odznaczeniem wychowanków Janusza Korczaka: Itzchaka Belfra, Szlomo Nadla i Izaaka Skałkę; Izrael 2013

Członkowie Międzynarodowej Kapituły Orderu Uśmiechu, Kawalerowie Orderu Uśmiechu i zaproszeni goście na spotkaniu z małżonką Prezydenta Rzeczypospolitej Anną Komorowską podczas obchodów 45. rocznicy powstania Orderu Uśmiechu

Symbolicznym przekazaniem Orderu Januszowi Korczakowi, była dekoracja trzech ostatnich jego wychowanków, którą miałem zaszczyt i przyjemność poprowadzić w Izraelu w 2013 roku. To dla mnie wielka radość jako Kanclerza Międzynarodowej Kapituły Orderu Uśmiechu, Kawalera Orderu i pedagoga.

Bardzo się cieszę, że izraelskie dzieci uznały tych trzech niezwykłych Panów za zasługujących na to wyróżnienie. Niezwykłych, bo znali Korczaka, przeżyli najtrudniejsze czasy świata i są wierni ideom Starego Doktora, które szerzą konsekwentnie do dzisiaj.

Ta książka, w której zawarto kilkadziesiąt z blisko tysiąca życiorysów Kawalerów Orderu Uśmiechu – jestem przekonany – jest zapowiedzią kolejnej. Dzięki temu wydaniu, tej inicjatywie, za którą Autorowi bardzo dziękuję, kolejna porcja informacji, do tej pory nigdzie nie drukowanych, historii z życia Kawalerów być może nawet nigdy nie opowiadanych, trafi do szerszego grona czytelników. Liczę, że te fragmenty życiorysów ludzi czyniących dobro i przeciwstawiających się złu będą inspiracją. Kawalerowie Orderu Uśmiechu to grupa ludzi wrażliwych, czułych na problemy najmłodszych, na ich krzywdę. Mam nadzieję, że pokazanie, jak dużo można zrobić, jeśli się chce, jeśli się walczy, będzie przykładem, wskazaniem, drogowskazem dla innych i zachętą do pomagania dzieciom.

Marek Michalak
Kanclerz Międzynarodowej Kapituły Orderu Uśmiechu

Jest już w średnim wieku

Historia Orderu Uśmiechu liczy czterdzieści pięć lat. W tym okresie odznaczenie to zawisło na piersiach około tysiąca osób z wielu krajów świata. Uhonorowany nim może być każdy dorosły, który pomaga dzieciom, wspiera je. Ale to najmłodsi muszą to docenić i wystąpić z wnioskiem do Międzynarodowej Kapituły Orderu Uśmiechu.

Wśród Kawalerów Orderu Uśmiechu dominują osoby dla ogółu anonimowe, ale są też znane w świecie osobistości, przede wszystkim Papież Jan Paweł II, Dalajlama XIV, były prezydent RPA Nelson Mandela, wybitni artyści i twórcy, jak reżyser Steven Spielberg, aktor, pisarz i reżyser Peter Ustinov, pisarka Astrid Lindgren, koronowane głowy, jak Królowa Szwecji Sylwia, naukowcy, przede wszystkim reprezentujący różne działy medycyny. Wszystkich ich łączy jedno – miłość do najmłodszych i oddanie im.

Jaki był początek Orderu Uśmiechu? W 1967 roku w październikowym numerze „Kuriera Polskiego" (przed wielu laty codziennej gazety popołudniowej – przypis autora) ukazał się wywiad ze znaną pisarką Wandą Chotomską z okazji pięciolecia istnienia popularnej wówczas audycji telewizyjnej dla dzieci, Jacek i Agatka. Pani Wanda była jej autorką.

W rozmowie opowiadała o spotkaniu w szpitalu rehabilitacyjnym w Konstancinie pod Warszawą z chorym chłopcem, który zaproponował, by opiekujący się nim lekarz został wyróżniony orderem (szerzej o tym spotkaniu mówi w tej książce sama pisarka).

Dziennikarze „Kuriera Polskiego" podchwycili tę ideę. Wspólnie z telewizją ogłoszono konkurs na projekt Orderu Uśmiechu. Zainteresowanie nim przeszło wszelkie oczekiwania. Dzieci nadesłały czterdzieści cztery tysiące propozycji. Pierwszą nagrodę przyznano w grudniu 1967 roku dziewięcioletniej Ewie Chrobak z Głuchołaz (jak do tego doszło opowiada w tej książce). To na wzorze jej autorstwa powstał Order Uśmiechu, wybrany przez jury, któremu przewodniczył wybitny karykaturzysta – Szymon Kobyliński (o artyście opowiada wnuczka Weronika).

Posiedzenie Międzynarodowej Kapituły Orderu Uśmiechu

Wkrótce potem powołano Kapitułę Orderu Uśmiechu, której przewodziła znana pisarka Ewa Szelburg-Zarembina. Szybko zaczęły napływać propozycje od dzieci z całej Polski z prośbą o przyznanie odznaczenia ich kandydatom. Forma tych wniosków była i jest bardzo urozmaicona. Na adres Kapituły przychodzą pocztą kolorowe rysunki, wierszyki, całe albumy, wszystko po to, by przekonać jej członków do swoich bohaterów.

> Z czasem opracowano całą ceremonię nadawania Orderu Uśmiechu. Składa się na nią: złożenie przyrzeczenia, pasowanie różą i wypicie soku z cytryny bez skrzywienia się, można powiedzieć – z uśmiechem. Ta ostatnia część ceremoniału wzbudza zwykle największe zainteresowanie dziecięcej widowni.

prof. Wiktor Dega, pierwszy Kawaler Orderu Uśmiechu

Jej Wysokość Mozah Bint Nasser, małżonka emira Kataru podczas ceremonii przyznania jej Orderu Uśmiechu

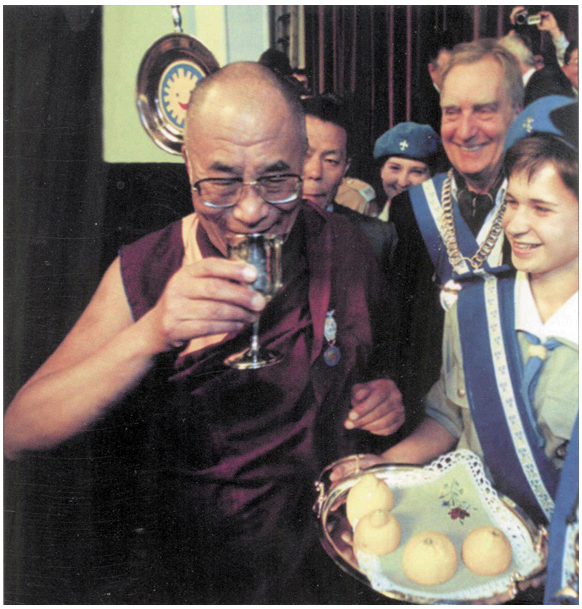

Dalajlama XIV, Kawaler Orderu Uśmiechu, obowiązkowo z uśmiechem, pije sok z cytryny

Pierwszą osobą, która otrzymała Order Uśmiechu, był profesor Wiktor Dega, wybitny lekarz i uczony. Stworzył poznańską szkołę ortopedii i rehabilitacji. To wyróżnienie uważał za jedno z najważniejszych, jakie posiadał. W 1968 roku mówił, iż „edukację społeczeństwa trzeba zaczynać od dzieci. W przedszkolach i szkołach angielskich – podkreślał – siedzą obok siebie w ławkach dzieci zdrowe i kalekie, przyzwyczajają się do siebie, pomagają sobie nawzajem. My też dążymy do tego, ale ciągle nie możemy uwierzyć, że to ludzie zdrowi zobowiązani są uczynić ludzkim świat ludzi niepełnosprawnych".

W 1976 roku Ewa Szelburg-Zarembina została honorową przewodniczącą Kapituły, a na jej czele stanął Cezary Leżeński, ówczesny naczelny redaktor „Kuriera Polskiego", dotychczasowy wiceprzewodniczący. Rok później zaproponował umiędzynarodowienie pomysłu polskich dzieci, bowiem już od kilku lat Order ten posiadali obywatele Czechosłowacji, Jugosławii, USA i ZSRR. Dzięki jego zabiegom uzyskał dla tego pomysłu poparcie kierownictwa UNICEF i sekretarza generalnego ONZ.

W maju 1980 roku odbyło się pierwsze posiedzenie Międzynarodowej Kapituły Orderu Uśmiechu. Do jej składu zostali zaproszeni z zagranicy: Niki Goulandris (malarka z Grecji), Siergiej Michałkow (poeta i bajkopisarz z ZSRR), Helen Pantaleoni (z Komitetu UNICEF z USA), Shankhar Pillai (rysownik, wydawca książek dla dzieci z Indii), Efua Theodory Suntherland

(obrończyni praw człowieka z Ghany), Peter Ustinov (znany aktor z Wielkiej Brytanii).

Idea Orderu Uśmiechu znajdowała coraz większe uznanie. W 1979 roku jego imieniem nazwano ulicę w Ursusie, dzielnicy Warszawy. Powstawały filmy o Kawalerach Orderu i samym Orderze. Kręcił je Krzysztof Gradowski, sam Kawaler Orderu Uśmiechu, reżyser wielu obrazów dla dzieci, m.in. Akademii Pana Kleksa, Pana Twardowskiego.

Jesienią 1981 roku Cezary Leżeński został usunięty ze stanowiska redaktora naczelnego „Kuriera Polskiego" i jednocześnie z funkcji przewodniczącego Kapituły. Zastąpił go w gazecie dotychczasowy jego zastępca Radosław Ostrowicz i piastował funkcję naczelnego do końca 1990 roku. Wtedy „Kurier Polski" został kupiony przez właściciela Polsatu, a nowy naczelny Jacek Snopkiewicz zawiesił funkcjonowanie Kapituły i Orderu Uśmiechu.

Z inicjatywy członków Kapituły w 1992 roku reaktywowano jej działalność jako niezależnego stowarzyszenia. Na pierwszym posiedzeniu na kanclerza wybrano Cezarego Leżeńskiego, a podkanclerzami zostali poeta Ludwik Jerzy Kern i sekretarz generalny UNICEF w Polsce Lucjan Ferdynand Wolniewicz. Wkrótce potem Kapituła odzyskała swój międzynarodowy charakter. W jej składzie znaleźli się przedstawiciele: Francji, Niemiec, Rosji, Szwecji, Ukrainy, USA, Węgier, Wielkiej Brytanii i Włoch.

Pierwszy Order Uśmiechu po reaktywowaniu Kapituły otrzymał w 1993 roku wybitny amerykański reżyser Steven Spielberg. Odebrał go w Krakowie, gdzie właśnie kręcił Listę Schindlera. Jak pisze o tym wydarzeniu Cezary Leżeński w swojej książce Za jeden uśmiech, trudno było Stevenowi przypiąć odznaczenie, bo miał na sobie skórzaną kurtkę. Gdy wypił sok z cytryny wydusił z siebie całkiem wiarygodny uśmiech i oświadczył, że jest to najsłodszy sok cytrynowy, jaki kiedykolwiek pił.

W połowie czerwca 1996 roku Kapituła zorganizowała Światowy Zlot Kawalerów Uśmiechu w Rabce, znanym w naszym kraju dziecięcym uzdrowisku. Zaproszono czterystu czterdziestu posiadaczy tego odznaczenia, z wielu krajów świata. Wtedy też otwarto tutaj Muzeum Orderu Uśmiechu, które mieści się do dziś w Parku Rozrywki „Rabkoland". Gromadzone są w nim rozmaite pamiątki związane z tym odznaczeniem.

O wzrastającej wciąż popularności Orderu Uśmiechu świadczy fakt, iż w marcu 2003 roku uczniowie Szkoły Podstawowej w Skorogoszczy na Opolszczyźnie w plebiscycie na patrona szkoły, wybrali na niego Kawalerów

Orderu Uśmiechu. Od tego momentu coraz więcej placówek oświatowych zwraca się do Międzynarodowej Kapituły o zgodę na takiego właśnie patrona. W ciągu kilku lat otrzymały go pięćdziesiąt trzy szkoły, przedszkola i inne placówki oświatowe. Szybko w Gimnazjum nr 2 w Wałbrzychu zrodził się pomysł zlotów szkół i placówek im. Kawalerów Orderu Uśmiechu. Jego idea to wymiana doświadczeń, budowanie przyjaźni, nawiązywanie kontaktów z ludźmi posiadającymi to odznaczenie. Do pierwszego takiego spotkania doszło w tej szkole w 2005 roku.

W 2006 roku zmarł Kanclerz Międzynarodowej Kapituły Orderu Uśmiechu Cezary Leżeński. Jego następcą został Marek Michalak, najmłodszy Kawaler Orderu Uśmiechu (otrzymał go w wieku dwudziestu trzech lat), od 2008 roku Rzecznik Praw Dziecka. Wicekanclerzami są Danuta Rosner, Halina Sroczyńska i Tahar Boukef – wszyscy posiadają Ordery Uśmiechu.Wnioski o nadanie tytułu Kawalera Orderu Uśmiechu napływają do Kapituły nieustannie od dzieci z całego świata.

Papież Jan Paweł II otrzymuje Order Uśmiechu z rąk Radosława Ostrowicza, Kanclerza Międzynarodowej Kapituły Orderu Uśmiechu i jednocześnie redaktora naczelnego „Kuriera Polskiego”

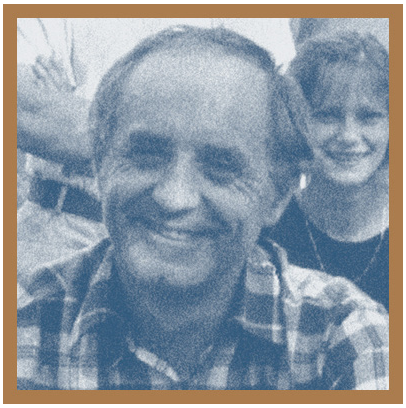

Stanisław Adamczak

„Jeżeli przebywam z młodzieżą dwa tygodnie i chodzimy w góry, razem spędzamy wolny czas i oni chcą przebywać ze mną, to znaczy, że jestem akceptowany”.

Nieustający harcerz

– Od szkoły podstawowej byłem związany ze Związkiem Harcerstwa Polskiego, początkowo jako zuch, potem już jako harcerz. Cały czas byłem organizatorem różnego typu form działalności.

Już w szkole podstawowej byłem zastępowym. Wokół mnie skupiła się grupa młodych ludzi, których wspomagałem w różnych sytuacjach. Później kolejno byłem drużynowym, prowadziłem swoją drużynę, jeździłem na obozy harcerskie. Początkowo byłem instruktorem na tych obozach, później komendantem obozów. Jak zrobiłem maturę i poszedłem na studia, też cały czas byłem związany z harcerstwem i jestem związany do dzisiaj.

Moim najbardziej znaczącym sukcesem życiowym – tak uważam – jest to, że…

> ” w 1974 roku, będąc komendantem stanicy Kieleckiej Chorągwi ZHP w Wołosatach

w Bieszczadach, przyczyniłem się do powstania zespołu „Wołosatki”, zespołu harcerskiego, który działa do dziś.

Profesor Stanisław Adamczak z „Wołosatkami”

Jest to zespół wokalno-instrumentalny, przez który przewinęło się prawie sto sześćdziesiąt młodych chłopców i dziewcząt, czternaście generacji.

Jak to się wydarzyło? Kiedy powstała stanica harcerska w Wołosatach, postanowiłem, że powinna być reprezentowana przez zespół artystyczny. A dlatego, że był z nami instruktor uzdolniony muzycznie, Andrzej Zdyra, namówiłem go, by zebrał grupkę utalentowanych wokalnie harcerek i harcerzy. Od nazwy miejscowości zespół przyjął swoją nazwę. I tak już działa od trzydziestu dziewięciu lat.

Początkowo istniał tylko w bieszczadzkiej stanicy, ale jego repertuar był coraz bogatszy, bo kierownikiem muzycznym został niezastąpiony Ryszard Pomorski, muzyk i kompozytor w jednej osobie. W 1979 roku pojawił się pomysł, by nagrać płytę gramofonową i rok później tak się stało. W 1984 roku mieliśmy już kolejną płytę.

Od 2008 roku prof. Stanisław Adamczak jest rektorem Politechniki Świętokrzyskiej w Kielcach

Obecnie zespół działa przy Stowarzyszeniu Sympatycy Piosenki Zespół „Wołosatki", a ja jestem prezesem tego stowarzyszenia. Jego członkowie to nie tylko harcerki i harcerze, ale jednocześnie uczniowie szkół muzycznych. Repertuar – to piosenka harcerska i turystyczna. Mamy dużo koncertów, co jakiś czas nagrywamy płyty, zebrał się ogromny dorobek. Nadal kierownikiem muzycznym jest Ryszard Pomorski, który ciągle decyduje o charakterze i obliczu zespołu. Sam skomponował sto pięćdziesiąt piosenek na potrzeby zespołu. Mamy też tekściarzy. „Wołosatki" prezentują w dziewięćdziesięciu pięciu procentach oryginalny, własny repertuar. Zespół stał się jak gdyby animatorem, propagatorem piosenek harcerskich i turystycznych, które są później śpiewane w całej Polsce. W sumie mamy czterysta piosenek. Są wśród nich tak znane jak np. *Bieszczadzka ciuchcia*, *Bieszczady jak co roku*, *Ech, jesieni, jesieni*.

Obecnie jestem rektorem Politechniki Świętokrzyskiej w Kielcach, a więc nadal mam związki z młodzieżą. Moje hobby to praca z nią. Łatwiej mi kierować uczelnią, mam bowiem umiejętność nawiązywania kontaktów, zarówno z przedszkolakami, jak i studentami. Nie mam żadnych barier i ograniczeń, by rozmawiać z dziećmi i młodzieżą. To wyrobiły we mnie „Wołosatki", z którymi od lat co roku jeżdżę na obozy. W zespole są kilkunastoletnie dziewczynki i chłopcy, którzy mogliby być moimi wnuczkami i wnukami. Chcą przebywać ze mną, umiemy znaleźć wspólny język

i zainteresowania. Jest to bardzo trudne, bo czasami różnice pokoleniowe są tak głębokie, że nie ma po prostu kontaktu.

Jako rektor popularyzuję Politechnikę Świętokrzyską, kierunki techniczne, bo po ich ukończeniu jest duża szansa zdobycia pracy, uzyskania sukcesu zawodowego i materialnego. Misją szkoły jest, by kształcić przyszłych inżynierów, fachowców, ale z drugiej strony ludzi, którzy będą zaangażowani w sprawy państwowe i swego otoczenia, ludzi, którzy będą funkcjonować na odpowiednim poziomie. Wielu moich wychowanków utworzyło doskonałe firmy, są prezesami, dyrektorami znaczących firm, podmiotów gospodarczych. Inni moi absolwenci są parlamentarzystami, pracują w instytucjach rządowych, w organizacjach samorządowych. To tworzy pewien klimat i pewien ścisły związek politechniki z regionem, z całą sferą kształcenia nie tylko w naszej części kraju, ale w całej Polsce.

lato 2011

Od autora:

Umówiliśmy się w Politechnice Świętokrzyskiej w Kielcach. Profesor Stanisław Adamczak jest jej rektorem. W gmachu uczelni na tablicach ogłoszeń, pełnych informacji z życia tej szkoły wyższej, widziałem kalendarze z logo harcerskiego zespołu „Wołosatki". Identyczny zobaczyłem też na poczesnym miejscu w gabinecie rektora. Nie zwróciłem początkowo na to większej uwagi. Ale już w pierwszych słowach naszej rozmowy dowiedziałem się o wszystkim.

Stanisław Adamczak

– profesor nauk technicznych.

Urodził się w 1948 roku w Sandomierzu. Ukończył Wydział Mechatroniki Politechniki Warszawskiej. Stopień naukowy doktora nauk technicznych otrzymał w 1977 roku w Politechnice Świętokrzyskiej, habilitował się w 1984 roku. Tytuł profesora nauk technicznych otrzymał w 1999 roku.

Jest posiadaczem patentów, ma w swoim dorobku opracowania naukowo-techniczne i programy komputerowe, które zostały wdrożone w kilkunastu zakładach przemysłowych w kraju i zagranicą. Autor pięćdziesięciu opracowań naukowych.

W 2008 roku został rektorem Politechniki Świętokrzyskiej w Kielcach.

Stanisław Adamczak jest członkiem i instruktorem ZHP. W 1974 założył harcerski zespół wokalno-instrumentalny „Wołosatki”, którego opiekunem pozostaje do dzisiaj.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Wikipedia, Stanisław Adamczak
- Oficjalna strona internetowa harcerskiego zespołu wokalno-instrumentalnego Wołosatki
- iitv.kilece.eu, 35 lat z piosenką – jubileusz „Wołosatek”
- youtube.com, Wołosatki – Pocztówka z Beskidu

Jadwiga Bińczycka

„Za każdym razem musimy dziecko poznać, zobaczyć, co mu jest potrzebne i dopiero działać”

„Wdowa” po Korczaku

– Często nazywają mnie „wdową po Korczaku”. Stało się tak dlatego, że Korczak występował we wszystkim moich wystąpieniach na konferencjach naukowych organizowanych przez Uniwersytet Śląski, gdzie pracowałam dziewiętnaście lat. Tam, jako młody pracownik naukowy zaczęłam się zajmować tematyką korczakowską. Pamiętam z tamtych czasów, że studenci zakładali się na różnych konferencjach o dzieciach, czy Bińczycka powie o Korczaku, czy nie. Wygrywali ci, co się założyli, że powiem. Bardzo często cytowałam Korczaka, bo jego myśli bardzo mi się podobały. Wkrótce więc, co się kojarzyło ze mną, to się kojarzyło z Korczakiem.

Wybrałam sobie postać Korczaka, chyba dlatego, że po wojnie żyła legenda jego śmierci. Moja mama była nauczycielką, no i oczywiście w świecie nauczycielskim wiele się o nim mówiło, o jego działaniach na rzecz dzieci. Można by rzec, iż moja rodzina miała pewne związki z Korczakiem. Jak powiedziała mi moja kuzynka, Korczak przyszedł do którejś z moich babek i mówił, że pisze książkę na konkurs i potrzebny mu jest jakiś pseudonim. Na to mu podobno odpowiedziano, że u nas jest herb Korczak, to sobie może go wziąć. Ale to jest niezgodne z inną legendą, że Korczak, gdy wybierał ten

pseudonim, zobaczył książkę Kraszewskiego o Janaszu Korczaku i pięknej Miecznikównie. Może być i to prawdą. Wiem, że moja rodzina pamięta go z tamtych lat. Ten świat przedwojenny był mały, powiązany rodzinno-pedagogicznie.

Mój pierwszy artykuł był właśnie o Korczaku, o jego dziełach wybranych. A później w Uniwersytecie Śląskim zorganizowałam konferencję o Korczaku wraz z moimi studentami. Oczywiście, pisali oni u mnie prace o Korczaku. Kiedy otworzyłam seminarium, to musiało być korczakologiczne. Wyszła wtedy moja książka o nim. Później też podejmowałam tematy związane z jego działalnością. Stąd wszystkim kojarzę się z Korczakiem i wprawdzie kalendarzowo nie mógł być moim mężem, ale nazywają mnie „wdową po Korczaku" – mówi profesor Jadwiga Bińczycka.

Czy idee Starego Doktora są nadal aktualne?

Przez lata podkreślałam, że to, co mówił i robił Korczak jest bardzo współczesne, że trafiał we współczesność. Pokazuję to w mojej książce *Spotkanie z Korczakiem*. Gdziekolwiek jechałam, to się dopominałam o wiedzę o Korczaku. Pojechałam do Australii, to śmiali się, ale zorganizowali konferencję poświęconą doktorowi. Naprawdę się przekonywałam, że w jego myślach jest tyle współczesności i odniesień do tego, co się robi dzisiaj złego najmłodszym.

> Przed laty jeden z pedagogów zwrócił się do Korczaka, by spisał to wszystko, co robi, jak kochać dziecko, jak wychowywać. Korczak popatrzył na niego i następnie zapytał: „Pan uważa, że jest to potrzebne?" Podręczniki nie zastąpią poznawania dziecka, odpowiedniego kochania go.

Korczak nie chciał pisać podręcznika, wychodząc z założenia, że każde dziecko jest inne, każdy nauczyciel jest inny i każda sytuacja jest inna. On dawał tylko obrazy sytuacji. I teraz trzeba samemu myśleć, jako pedagog wyznaczać sobie

cele. I to jest najmądrzejsze. A podręczniki z pedagogiki są bardzo nudne, jeśli się zamieniają w dyrektywy.

Kreuje Pani idee Korczaka przez całe swoje życie zawodowe. Czy są one wykorzystywane w praktyce?

Trudno jednoznacznie powiedzieć. W Polsce jest kilkaset placówek im. Janusza Korczaka, w których idee są żywe, ale są jednak na obrzeżach kraju, nie spotykamy ich na przykład w Warszawie. Ale ja ciągle wierzę, że jeśli dzieci poznawać będą Korczaka, to jego idee ostaną się, przeniosą się na kolejne pokolenia. Oczywiście nie wszystko można z jego idei przenosić, Korczak by się na to nie zgodził. Żyjemy bowiem w innych czasach. Za każdym razem musimy dziecko poznać, zobaczyć, co mu jest potrzebne i dopiero działać.

W jaki sposób stara się Pani oddziaływać na krzewienie idei?

Najlepiej krzewić je przez zabawę, warsztaty, by najmłodsi zdawali sobie sprawę jakie mają prawa. Nie zapomnę sceny z takich warsztatów, jak dziecko stwierdziło, że chce mieć prawo do płaczu. Jest to czysty Korczak, który mówił, że dziecko powinno mieć prawo do niepowodzeń, łez. Szefami naszych placówek są ludzie oddani idei i wierzący w to, co robią.

Czy idee korczakowskie są żywe? Czy znane są współczesnym pedagogom?

Ja osobiście starałam się to robić. Pracowałam na dziesięciu uczelniach. Wiem, że tak się dzieje na przykład w Uniwersytecie Warszawskim. Te idee krzewione są i w innych krajach. Poznałam Japonkę, która zajmuje się tematyką korczakowską. Japończycy zresztą postacią Korczaka bardzo się interesują, czasem wiedzą o nim więcej niż Polacy.

Mówi się coraz głośniej o prawach dziecka. Czy pokazując właśnie dorobek Korczaka, jego myśli nie działa się na rzecz praw najmłodszych?

To się robi w tych placówkach korczakowskich. Uderzyć dorosłego – to jest napaść, uderzyć zwierzę – to jest okrucieństwo, a uderzyć dziecko – to jest dla jego dobra… O tych sprawach się dużo dyskutuje na obozach korczakowskich – na przykład w Korczakowie. Trzeba dzieciom sączyć informacje o ich prawach. Twierdzenie, że ojciec mnie prał, a ja na człowieka wyrosłem, nie może być modelem wychowania.

koniec lutego 2010

Jadwiga Bińczycka

– nauczyciel akademicki, pedagog – teoretyk wychowania, profesor.

Autorka kilkuset publikacji z zakresu pedagogiki szkoły wyższej, problematyki wychowawczej, opiekuńczej, pedeutologicznej, korczakologicznej.

Organizator i uczestnik naukowych konferencji krajowych i zagranicznych. Popularyzator osoby i koncepcji pedagogicznych Janusza Korczaka. Wieloletnia przewodnicząca Polskiego Stowarzyszenia im. Janusza Korczaka – związana ze światowym ruchem korczakowskim. Była i jest wielką orędowniczką ochrony praw dziecka. Cenne przemyślenia i bogaty materiał badawczy zawarty jest w wielu jej publikacjach na ten temat, wśród nich: *Konwencja o prawach dziecka – deklaracje i rzeczywistość*, *Prawo dziecka do zdrowia*, *Bici biją*, *Między swobodą a przemocą w wychowaniu*.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Oficjalna strona Polskiego Stowarzyszenia im. Janusza Korczaka
- us.edu.pl, Order Uśmiechu dla prof. Jadwigi Bińczyckiej

- impulsoficyna.com.pl, Nasi autorzy prof. Jadwiga Bińczycka
- 2012korczak.pl, Rok Janusza Korczaka

Ewa Błaszczyk

Wybitna aktorka, znana nie tylko z ról teatralnych i filmowych oraz brawurowo wykonywanych koncertów, ale też z niestrudzonej pracy dla ciężko chorych dzieci, której owocem jest klinika „Budzik" w Międzylesiu.

Dzieciom w śpiączce też trzeba pomagać

– Od wypadku Oli minęło już wiele lat, więc „Budzik" nie jest dla niej. Ale struktury Fundacji „Akogo?" pozwalają mi w tej chwili siedzieć tutaj i spokojnie rozmawiać. Ola jest na dole i wiem, że się nic nie dzieje, że się nie ma prawa nic stać. I po prostu szpital jest w domu. Ona jest już w szpitalu od dawna, nie będzie już nigdy w „Budziku", bo od jej urazu minęło już dużo czasu i Ola jest w tzw. długiej stacji. A w „Budziku" jest ta wczesna rehabilitacja, która trwa ponad rok od momentu urazu. I tu toczy się największa walka, a potem przechodzi się w kategorie cudu. Ola jest w tej drugiej fazie.

Już wcześniej pomagałam dzieciom, w stanie wojennym organizowałam taką pomoc. Byłam w tym czasie w Wiedniu, a tutaj, w Polsce, był okres octu na półkach. Spotykałam tam bardzo bogatych ludzi. Inicjowaliśmy działania, by do naszego kraju coś przywieźć, dla konkretnego dziecka czy dla konkretnego

domu dziecka. To było takie normalne. Większość ludzi chętnie pomaga, gdy ma po temu możliwości.

Teraz przede wszystkim koncentruję się na pracy na rzecz Fundacji „Akogo?". Wyszukuję w nowinkach świata medycyny wszystko, co może nieść pomoc choremu leżącemu w śpiączce. Na pewno zmieniła się wiedza na ten temat w naszym kraju i od pewnego czasu jest już inaczej. W środowisku medycznym w Polsce i na świecie również się zmieniło i zmienia się nadal. Mnie chodzi o jakieś systemowe rozwiązania. Potrzeba tylu specjalistów wokół pacjenta i tylu rehabilitantów, oni muszą ze sobą współpracować, bo w przeciwnym razie ich działania nie mają sensu, a szczególnie, jeśli jeden jest w Rzeszowie, a drugi w Szczecinie.

Zapamiętałam słowa jednego profesora, że przenoszenie Oli do domu to jest najgłupszy pomysł. Mogę ją głaskać i kochać, ale nie jestem w stanie jej pomóc, gdy pojawi się choćby jedna komplikacja, na przykład zapalenie płuc… Uświadomił mi, że trzeba stworzyć takie miejsce, w którym chory w śpiączce będzie pod stałą opieką medyczną.

Moja fundacja nie robi nic nowego. Takie placówki są w Stanach Zjednoczonych i w Europie, w cywilizowanym świecie. Oczywiście w tym samym cywilizowanym świecie jest też kierunek eutanazyjny, o tym wszyscy wiemy, ale to już inna kwestia. Ja nie jestem po tej stronie. Zdecydowanie nie lubię i nie chcę takiego świata.

> ” Nie chciałabym żyć w świecie, gdzie człowiek uzurpuje sobie takie prawo, że sam je ustala i sądzi, że jest Panem Bogiem.

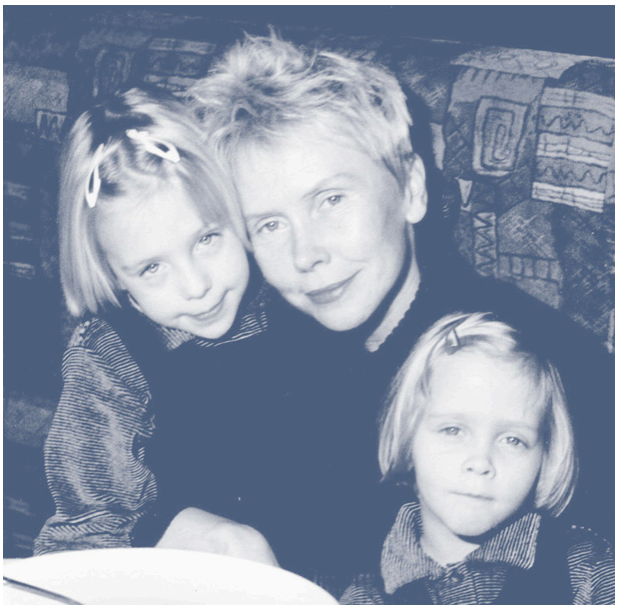

Ewa Błaszczyk z córkami: Olą i Manią

A to z takiego powodu, że chociażby patrząc na historię, widzimy, jakim człowiek może być potworem. I jeśli my będziemy takie prawo ustanawiać, nie będzie żadnych reguł. To koszmar.

Budujemy klinikę, ale budowanie to jedno. Uważam, że już odnieśliśmy sukces, zebraliśmy pieniądze. Ale, żeby mieć poczucie, że się naprawdę coś zrobiło, to musi powstać program, który będzie wzorem na cały kraj. Program medyczno-rehabilitacyjny i organizacyjno-prawny. Siedzieliśmy z panią minister zdrowia Ewą Kopacz (minister zdrowia w latach 2007–2011 – przypis autora) i z zespołem ludzi. I tu, w fundacji, ciągle to „mielimy" i z lekarzami, i z naszymi konsultantami, specjalistami z różnych dziedzin. Bo człowiek, który jest chory, potrzebuje całego wachlarza specjalistów. Chcemy, by był taki medyczny team w klinice, żeby był w stanie prowadzić leczenie, w uzgodnieniu z opiekunem, indywidualnie.

Ważne, że leczenie i neurorehabilitacja są prowadzone równolegle, że uzgadniany jest indywidualny program dla każdego pacjenta. Robimy to przy Centrum Zdrowia Dziecka, a więc dla dzieci do osiemnastego roku życia. Ten program trzeba będzie „włożyć" w koszyk świadczeń gwarantowanych Narodowego Funduszu Zdrowia. I to jest moment, o który nam chodzi. Bo wtedy jest to rozwiązanie systemowe. Podzieliliśmy je na pewien zestaw świadczeń, które są finansowane przez NFZ i na leczenie uzupełniające, na które trzeba pozyskać środki zewnętrzne. Niekoniecznie trzeba budować

klinikę, można przekształcić część szpitala. Wiadomo, że musi tam być OIOM, jakaś chirurgia na zapleczu, stacje diagnostyczne. Musi to być w dużym szpitalu. A jeśli jest taki program, to Kraków czy Szczecin może sobie po niego sięgnąć i, spełniając te warunki, taki oddział stworzyć. To wszystko jest zagwarantowane.

Z córką Manią

Tworząc takich „Budzików" siedem do jedenastu, tak jak się przyglądaliśmy danym europejskim, można je objąć zorganizowaną opieką. I wtedy rodzic, opiekun ma szansę być przy dziecku. W programie jest przewidziane, że tam

jest jego łóżko, bierze udział w tym procesie, jest wciągnięty w rehabilitację, wie, jak się zachowywać, przestaje już się bać, bo się czegoś nauczył. O to naprawdę chodzi. Założyłam fundację, by stworzyć rozwiązanie systemowe na kraj, bo tego brakowało w ogniwie polskiej medycyny. Rehabilitacja neurologiczna jako taka jest, ale ona jest dla tych, którzy są w lepszym stanie.

Jestem artystką. I chwała Bogu. To jest fantastyczny wentyl. Myślę, że oszalałabym zanurzona tylko w obowiązki, które wymagają ode mnie pełnego zaangażowania, gdzie nie ma miejsca na martwienie się, na stres. Właśnie sztuka jest takim bodźcem, że muszę nagle stać się kobietą, zrobić paznokcie, usta i w ogóle być kimś innym. I muszę się skupić, żeby nie zepsuć tego, co robię i w tym czasie nie myślę o tamtym. To świetnie robi, jest po prostu ucieczką. Ja wiem, że to jest iluzja, że zaraz wrócę i że tam z tyłu głowy mam coś innego, ale jednak ta chwilowa zmiana pola daje mi kopa do dalszego życia – czerpię siłę z tych kontaktów z ludźmi, z występów. Ze spotkań z widownią czerpię dużo energii. I potem wracam do domu i znowu mam siłę do działania, do życia.

w siedzibie Fundacji „Akogo?", założonej przez Ewę Błaszczyk, jesień 2011

Od autora:

Po tragicznym zdarzeniu z Olą okazało się, że w Polsce brakuje nie tylko odpowiedniej opieki, ale i placówek dla dzieci w śpiączce. Fundacja „Akogo?", która szerzy wiedzę na temat śpiączki, postawiła sobie za cel wybudowanie kliniki-wzorca „Budzik" przy Oddziale Rehabilitacji Neurologicznej w Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie. Klinika została oficjalnie otwarta w grudniu 2012 toku. Przede wszystkim chodzi o stworzenie od podstaw programu medyczno-rehabilitacyjnego i standardów przy takiej chorobie, jaką jest śpiączka. To miejsce powstało z myślą o dzieciach, które uległy wypadkom, zapadły w śpiączkę i będą leczone lub rehabilitowane do piętnastu miesięcy od dnia, w którym doszło do urazu. Wtedy jest największa szansa na ich wybudzenie.

Na planie filmowym z Jerzym Stuhrem

Ewa Błaszczyk

– aktorka teatralna i filmowa, pieśniarka.

Urodziła się w 1955 roku w Warszawie. Ukończyła studia na Wydziale Aktorskim PWST. Związana była z Teatrem Współczesnym, a także z teatrami: Narodowym i Studio. W telewizji zadebiutowała epizodem w serialu *Polskie drogi*.

Stworzyła wybitną kreację Klary Małosz w filmie Wiesława Saniewskiego *Nadzór*. Za tę rolę otrzymała laur na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych (FPFF) w Gdyni, a także nagrodę FIPRESCI na fesiwalu w Manheim.

W latach 1999–2007 pojawiała się na planie takich seriali, jak: *Adam i Ewa*, *Miasteczko*; *Ja, Malinowski*; *Na dobre i na złe*, *Kameleon*, *Boża podszewka*, *Dom*.

Ewa Błaszczyk jest również artystką śpiewającą, wykonuje głównie literackie i nastrojowe piosenki Doroty Czupkiewicz, Czesława Janczarskiego, Jacka Kleyffa, Jonasza Kofty, Agnieszki Osieckiej, utwory z repertuaru Nataszy Iwanowej, Édith Piaf, Marleny Dietrich i Włodzimierza Wysockiego. Przez długie lata występowała w kabarecie Jana Pietrzaka „Pod Egidą".

Jest założycielką Fundacji „Akogo?", której celem jest pomoc dzieciom po najcięższych urazach mózgu. Stworzyła klinikę „Budzik".

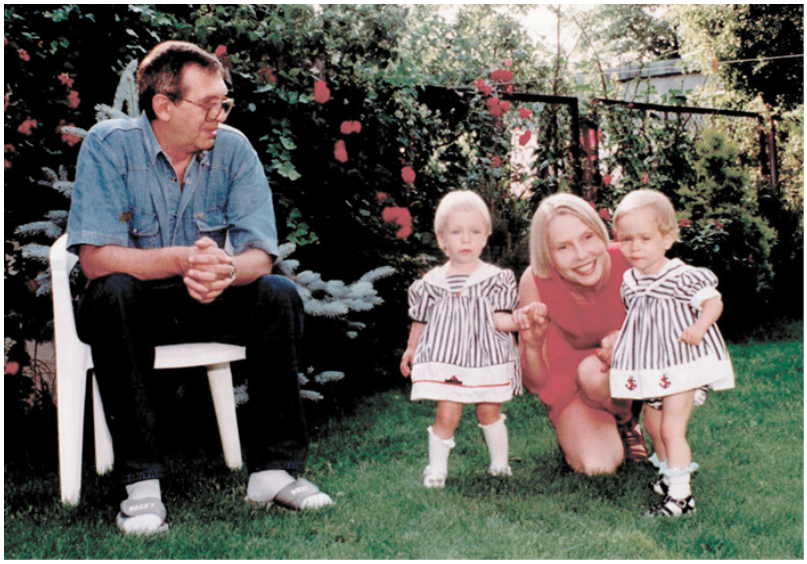

Z córeczkami i mężem, nieżyjącym już Jackiem Janczarskim

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Wikipedia, Ewa Błaszczyk
- youtube.com, spot Fundacji Ewy Błaszczyk „Akogo?"
- Oficjalna strona internetowa Fundacji Ewy Błaszczyk „Akogo?"
- onet.pl, Klinika „Budzik" Ewy Błaszczyk obudziła kolejną małą pacjentkę

Urszula Maria Bogobowicz

„Tylko kompleksowa rehabilitacja dzieci dotkniętych porażeniem mózgowym daje szansę na przystosowanie ich do życia. Jeśli są zastosowane wszystkie metody leczenia przy porażeniu mózgowym, to są efekty”.

Wkroczyliśmy w następny wiek

– Skończyłam wydział biżuterii w szkole plastycznej. Przez piętnaście lat projektowałam biżuterię. Tak się złożyło, że mój syn chodził do klasy z córką pana Stanisława Kowalskiego. Wtedy się poznaliśmy. Spotykaliśmy się na zebraniach szkolnych. W tym czasie budował piękny dom na Marymoncie w Warszawie. Jego żona, z którą się przyjaźniłam, zginęła w wypadku samochodowym. Wówczas trzynastoletnia córka pana Stanisława oświadczyła, iż nie chce się wprowadzić do nowego domu i podpowiedziała tacie, by stworzył jakąś fundację pomagającą dzieciom, które uległy wypadkom drogowym, a nowy dom przeznaczył na jej siedzibę.

Taka była geneza powstania naszej fundacji.

Pewnego razu pan Stanisław Kowalski spotkał mnie i zaproponował pracę u siebie. Na początku o pomoc fundację poprosiło kilka rodzin.

Kiedy dzieje się coś dobrego wiadomości szybko się rozchodzą wśród osób potrzebujących wsparcia.

Coraz częściej do naszej fundacji trafiały dzieci z porażeniem mózgowym.

Liczba podopiecznych lawinowo rosła. Dowiedzieliśmy się, że w Mielnie jest ośrodek, który za pomocą specjalnych kombinezonów pomaga usprawnić takie dzieci. Ale kuracja była bardzo droga, był to ośrodek komercyjny, leczenie nie było refundowane przez Narodowy Fundusz Zdrowia.

Zwracaliśmy się do różnych firm, sponsorów, którzy wpłacali pieniądze na leczenie naszych podopiecznych. Tymczasem zgłaszało się do nas coraz więcej rodziców z dziećmi z chorobami genetycznymi, retinopatią wcześniaczą, zanikiem mięsni, autyzmem. Trudno było komukolwiek odmówić pomocy.

Stworzyliśmy statut i powołaliśmy Fundację Dzieciom „Zdążyć z Pomocą", nad którą objął honorowy patronat światowej sławy kardiochirurg profesor Zbigniew Religa. Od samego początku staraliśmy się i staramy się wspierać przede wszystkim najuboższe rodziny. Zwykle, jak jest w rodzinie niepełnosprawne dziecko, ojciec nie może udźwignąć tego brzemienia, zostawia matkę, a ona nie jest w stanie podjąć pracy. Często są to rodziny wielodzietne, też dysfunkcyjne.

Urszula Bogobowicz z podopiecznymi Fundacji Dzieciom „Zdążyć z Pomocą”

> Stworzyliśmy konto, a każde dziecko pod naszą opieką ma subkonto i fundacja pomaga gromadzić pieniądze na jego leczenie. Wszystkie pieniądze zebrane na subkontach są święte, nietykalne. Rodzice naszych podopiecznych mają wiedzę, kto i ile wpłacił na konto ich dzieci.

Mamy dziś jedenaście tysięcy siedemset subkont dzieci z całej Polski[1]. Na nich są pieniądze przeznaczone na leczenie i rehabilitację. Są to pieniądze fundacji przeznaczone na określone dziecko.

Sześć lat temu stwierdziliśmy, że tylko kompleksowa rehabilitacja dzieci dotkniętych porażeniem mózgowym daje szansę na przystosowanie ich do godnego życia. Jeśli są zastosowane wszystkie metody leczenia przy porażeniu mózgowym, to są efekty. U dzieci, które leżały jak kłody, które nie umiały chodzić, nawet na czworakach, często, na przekór pesymistycznej diagnozie lekarskiej, po kompleksowej rehabilitacji były widoczne duże postępy.
W siedzibie fundacji stworzyliśmy dwa maleńkie gabinety do rehabilitacji, które funkcjonowały przez pięć lat. Na początku trudno było przekonać

rodziców do słuszności takiego postępowania. Ale z czasem kiedy rodzice zaczęli dostrzegać efekty pracy z terapeutą było tak wielkie zapotrzebowanie na rehabilitację, że postanowiliśmy stworzyć nowe gabinety, w nowym miejscu.

Od początku 2010 roku uruchomiliśmy Ośrodek Bezpłatnej Rehabilitacji „Amicus" o powierzchni 450 mkw przy ul. Juliusza Słowackiego w Warszawie. Mamy do dyspozycji jedenaście gabinetów.

Są one wyposażone w najnowocześniejsze urządzenia, po prostu czuje się tutaj XXII wiek.

Mamy teraz gabinety do terapii kręgosłupa, terapii ruchowej, sensorycznej, prowadzące do przezwyciężania trudności w planowaniu i wykonywaniu ruchów, w odbieraniu i reakcji na bodźce. Zajęcia odbywają się w kolorowej sali wyposażonej między innymi w huśtawki, liny do wspinania.

Jest również gabinet EEG Biofeedback wyposażony w nowoczesne programy terapeutyczne, które połączone z terapią logopedyczną poprawiają u naszych dzieci koncentrację oraz mowę.

Dzieciaki ćwiczą też z zastosowaniem kombinezonów leczniczych typu Adeli, które stabilizują postawę, pionizują i stymulują poszczególne mięśnie, co w efekcie pomaga w chodzeniu, siedzeniu, czworakowaniu.

Ciągle staramy się podnosić w swoim działaniu poprzeczkę.

Od samego początku stawiamy na wysoką jakość, oferując najwyższy poziom metod rehabilitacyjnych dla dzieci z całej Polski.

Zarówno za rehabilitację, jak i zakwaterowanie dziecka z opiekunem w Warszawie nie pobieramy żadnych opłat.

Udaje nam się zdążyć z pomocą.

Jeśli można dokonać czegoś pięknego, to działa jak jakiś wirus.

To nakręca człowieka do dalszego działania.

Ośrodek Rehabilitacji „Amicus" w Warszawie, utworzony przez Fundację Dzieciom „Zdążyć z Pomocą", jesień 2010

Urszula Maria Bogobowicz

– z zawodu projektant biżuterii. W 1970 roku ukończyła Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych w Częstochowie. Do 1982 roku pracowała w Fabryce Wyrobów z Metali Szlachetnych „Warmet" w Warszawie na stanowisku wzorcarz wyrobów jubilerskich. Posiada dyplom mistrzowski w rzemiośle złotnictwo. Projektantka biżuterii artystycznej.

Od roku 1994 w Fundacji Dzieciom „Zdążyć z Pomocą” w Warszawie. W 2004 roku objęła stanowiska dyrektora Centrum Charytatywnego oraz wiceprezesa w Fundacji Dzieciom „Zdążyć z Pomocą”.

W latach 2006–2009 ukończyła Otwarte Studium Życia Wewnętrznego na Papieskim Wydziale Teologicznym w Warszawie.

Od 1 grudnia 2009 roku pełni funkcję prezesa Ośrodka Rehabilitacji „Amicus” przy Fundacji Dzieciom „Zdążyć z Pomocą” z siedzibą w Warszawie.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Oficjalna strona internetowa Fundacji Dzieciom „Zdążyć z Pomocą”
- Wikipedia, Fundacja Dzieciom „Zdążyć z pomocą”
- Oficjalna strona internetowa ośrodka Amicus
- Facebook.com, Urszula Bogobowicz

[1] W połowie 2013 roku Fundacja Dzieciom „Zdążyć z Pomocą” miała już dwadzieścia dwa i pół tysiąca subkont swoich podopiecznych.

Maria Mariola Burcan

Miała być mikrobiologiem i ratować świat przed pandemiami. Zajęła się wychowaniem muzycznym najmłodszych. Pokochała to, tak jak swoje miejsce na ziemi – Rabkę, gdzie jest Muzeum Orderu Uśmiechu.

Muzyka i najmłodsi

– Wychowywałam się obok ochronki prowadzonej przez zakonnice dla dzieci upośledzonych. Siostry miały ambicje prowadzić teatr dla dzieci z osiedla. To były moje pierwsze kontakty ze sceną, teatrem, muzyką. To było w Tarnowie, moim miejscu urodzenia, najpiękniejszym mieście. Później rozkochałam się w Rabce.

Muzyka była zawsze w moim zasięgu edukacji od podstaw, śpiewanie solowe, zespołowe i kameralne. Już w szkole podstawowej tworzyliśmy zespoły na wzór „Filipinek". Miałam być mikrobiologiem i ratować świat przed pandemiami. Ale nie dostałam się na Uniwersytet Jagielloński. W związku z tym koleżanka wciągnęła mnie do studium nauczycielskiego w Tarnowie, gdzie wychowanie muzyczne było na wysokim poziomie. Tam poznałam mojego męża. Potem razem studiowaliśmy w Uniwersytecie Śląskim, jednocześnie pracując w Rabce, gdzie zostaliśmy wysłani w ramach skierowań do pracy. Przyjęto nas tutaj z otwartymi rękoma.

Rabka zawsze kojarzyła mi się z dzieckiem, a wtedy już wiedziałam, że muszę być nauczycielem, pedagogiem. A że muzyki, a nie biologii, to nie miało znaczenia. Rabka jako uzdrowisko, przez swoje położenie jest szczególnym miejscem na świecie. Zaczęliśmy pracować w szkole, ale i współpracować z teatrem. Wkrótce okazało się, że nauczyciele muzyki są potrzebni i w innych placówkach szkolnych. Wtedy jeszcze było wychowanie muzyczne. Równolegle pracowaliśmy społecznie z teatrem, ośrodkiem kultury, kościołem.

Ówczesne władze województwa nowosądeckiego postanowiły powołać placówkę wychowania pozaszkolnego w Rabce. Zostałam szefem ogniska szkolnego o profilu artystycznym. Skupiłam się na edukacji muzycznej, a także na edukacji regionalnej i teatrze.

> „Dzieci z małej Rabki są takie same jak wszędzie – utalentowane, mniej utalentowane. Mówię, że są skowronki i słowiki. Starałam się umieć to „wysłyszeć" i wypuszczać je w świat.

Ognisko pozwoliło na pracę z dziećmi z całego regionu. Dojeżdżały z dalekich stron. Dawaliśmy szansę wszystkim, było po pięćdziesiąt-sześćdziesiąt dzieciaków, które miały czas przez rok na ogólne umuzykalnienie. Ze zdolniejszych tworzyliśmy formy wokalne, a dzieciaki, jeśli rodzice wyrażali zgodę, jeszcze miały dodatkowe zajęcia. Uczestniczyły w tym także dzieci sanatoryjne. Zaczęliśmy tutaj z mężem prowadzić muzykoterapię. Do dzisiaj współpracujemy z sanatoriami. Tam są najlepsi nasi słuchacze.

Zainaugurowaliśmy też koncerty w domach pomocy społecznej w 1984 roku. Najzdolniejsi z mieszkańców tych placówek stworzyli zespół „Triola". Powstał też tercet złożony z trzech solistek. Uczyliśmy grać na dostępnych instrumentach. Brałam gitarzystów, małżonek – instrumenty klawiszowe, na przykład akordeon. Także był flet prosty. A z czasem zorganizowaliśmy takie zespoły, jak małe „Triolki" ze szkoły podstawowej, a młodzież z liceów miała swoje „Triole". Zaczęło się pasmo sukcesów. Inne dzieci stworzyły chór, który nadal funkcjonuje. Jeździliśmy po kraju i za granicę.

Dziś jestem na emeryturze, ale dalej staramy się z mężem wychowywać muzycznie najmłodszych. Opiekuję się też Muzeum Orderu Uśmiechu, które powstało w Rabce.

Rozmawiamy podczas Festiwalu Piosenki Dziecięcej „Skowroneczek" w Nowym Sączu, lato 2010

Maria Mariola Burcan

– nauczyciel muzyki i instruktor teatralny.
Urodziła się 27 lipca 1952 roku w Tarnowie. Jest absolwentką I Liceum Ogólnokształcącego w Tarnowie, jednego z najstarszych w Polsce (ponad czterysta pięćdziesiąt lat istnienia). Ukończyła studia pedagogiczno – muzyczne w Studium Nauczycielskim w Tarnowie i w Uniwersytecie Śląskim, na Wydziale Pedagogiczno-Artystycznym. Po studiach zamieszkała wraz z mężem Piotrem, także nauczycielem muzyki, w Rabce-Zdroju.
Współzałożyciel i wieloletni dyrektor, w latach 1983–2003, Ogniska Pracy Pozaszkolnej w Rabce-Zdroju, placówki zajmującej się edukacją artystyczną dzieci i młodzieży oraz upowszechnianiem kultury. Z tą placówką związana była do jej likwidacji w 2007 roku. Nadal uczy utalentowane muzycznie dzieci i młodzież, według własnych, autorskich programów edukacyjnych, obecnie w Powiatowym Młodzieżowym Domu Kultury w Nowym Targu – Pracownia Muzyczna „Triolki" w Rabce-Zdroju.
Organizator imprez, koncertów, widowisk muzycznych. Twórca piosenek dla dzieci.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- rabka.pl, Jak to u nas jest ze sztuką

- watra.pl, „Triola” i sukces w Wenecji
- podhale24.pl, Rabczańska „Triola” zajęła I miejsce na włoskim Eurofestiwalu
- dziennikpolski24.pl, Wyróżnienia dla nauczycieli

Wanda Chotomska

„Wciąż piszę książki dla dzieci i dorosłych, są wśród nich nowe wiersze i stare. Te ostatnie to, jak mówię: »Kurczę blade po liftingu, autorka przed liftingiem«”.

Dziecięca poetka z przypadku

– Z Zofią Raciborską, znaną aktorką dubbingu, panią Zosią z dobranocki *Jacek i Agatka*, zostałyśmy zaproszone przez wybitnego chirurga i ortopedę, profesora Mariana Allena Weissa do STOCER-a, Stołecznego Centrum Rehabilitacji w Konstancinie pod Warszawą na spotkanie z dziećmi. To było w czasie, kiedy w telewizji popularny był program dla dzieci Jacek i Agatka. Byłam jego autorką, a głosu kukiełkom udzielała właśnie Raciborska.

Rozmawialiśmy z najmłodszymi w dużej auli, jak sobie przypominam. Pani Raciborska była oczywiście z lalkami, mówiła teksty *Jacka i Agatki*, dzieci zadawały nam pytania. Później chodziłyśmy po salach szpitalnych, gdzie leżeli najmłodsi, którzy nie mogli przyjść na spotkanie, bo nie mogli wstawać z łóżek. Wśród nich był chłopiec, po wypadku samochodowym, który rysował jakieś wojskowe ordery, militaria. By nawiązać z nim rozmowę, zapytałam, co oznaczają jego rysunki. I tak zaczęliśmy pogawędkę o tych orderach. W pewnym momencie chłopiec powiedział, że pan doktor też powinien taki order dostać za to, co dla niego robi, by mógł chodzić. Zgodziłam się z nim.

Niedługo potem dziennikarze „Kuriera Polskiego” przeprowadzali ze mną wywiad. W jego trakcie powiedziałam coś o spotkaniu w Konstancinie i o tym chłopcu. Po wydrukowaniu rozmowy ze mną, do redakcji dziennika przyszły listy, w których pisano, by ludzie, którzy robią coś dobrego dla dzieci, byli przez nie odznaczani.

I tak to się zaczęło. Ogłoszono konkurs na Order, projekty miały nadsyłać dzieci. Nadchodziły one do Telewizji Polskiej i do „Kuriera Polskiego”. Zasypano nimi redakcję. Szymon Kobyliński, który przewodził jury, wybrał projekt dziewięcioletniej dziewczynki Ewy Chrobak. Jej Order był, w moim przekonaniu, taki jakiś lżejszy, ale jak zaczęli obrabiać go dorośli, to słońce stało się bardziej mechaniczne. W rysunku małej projektantki była widoczna lekkość.

Order z numerem 1 otrzymał profesor Wiktor Marian Dega. Uroczy, czarujący człowiek. Mnóstwo dobrego o nim słyszałam od dzieci w Poznaniu. Jego mali pacjenci opowiadali, jak wyczyniał różne czarodziejskie sztuczki z pomarańczami, żonglował nimi. A w tamtych czasach pomarańcze były rarytasem. Pamiętam jego, anegdotyczną już wypowiedź: „Wielka jest siła tego odznaczenia, skoro mnie, człowieka żonatego, uczyniła kawalerem”.

> Gdy miałam cztery latka, już czytałam i pisałam. Czytałam wiersze Jana Brzechwy, Juliana Tuwima. Podobały mi się. Zaczęłam więc kombinować, jak one powstają.

Najpierw myślałam, że trzeba mieć dużo rymów. Ale jeszcze wtedy nie znałam nazwy „rym”. I tak sobie zbierałam i zapisywałam różne rymy. W drugiej klasie, po przeczytaniu *Powrotu Taty* Adama Mickiewicza, wpadłam na pomysł, by napisać o moim tatusiu, który bardzo lubił łowić ryby w Wiśle i ciągle znikał nad rzeką z wędką. Zainspirowana przez naszego Wieszcza, napisałam wiersz o tym, że tata nie wraca wieczory i ranki – o jakże odkrywczo, skoro w utworze Mickiewicza tata nie wraca ranki i wieczory – łowi na wędkę żaby i kijanki, żonę swoją z domu wywleka, żona na niego nad Wisłą czeka, a wierne dziadki, ofiary tatki, są pozbawione opieki matki.

Gdy miałam dziewięć lat, pisałam szesnastoletniej dziewczynie odpowiedzi na listy jej chłopaka. Pokazywałam je równocześnie swoim koleżankom, a one płakały, bo te listy były takie rzewne. Później nie pisałam żadnych miłosnych listów, bo co miałam do powiedzenia, to zużyłam do tych listów. Wtedy też zaczęłam zarabiać, bo ta moja starsza koleżanka nie miała wprawdzie pieniędzy, ale umiała szyć. Byłam wtedy bardzo „obszytą" dziewczynką. Ona szyła mi różne spódniczki, bluzeczki, fartuszki. To mnie przekonało, że z pisania można żyć.

W tym miejscu muszę wspomnieć, że miałam w szkole – było to jeszcze przed wojną – doskonałą nauczycielkę polskiego. Była to bratowa Antoniego Słonimskiego.

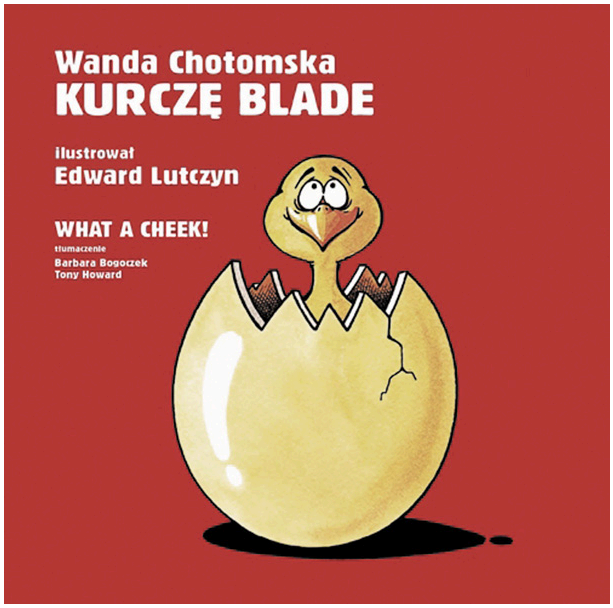

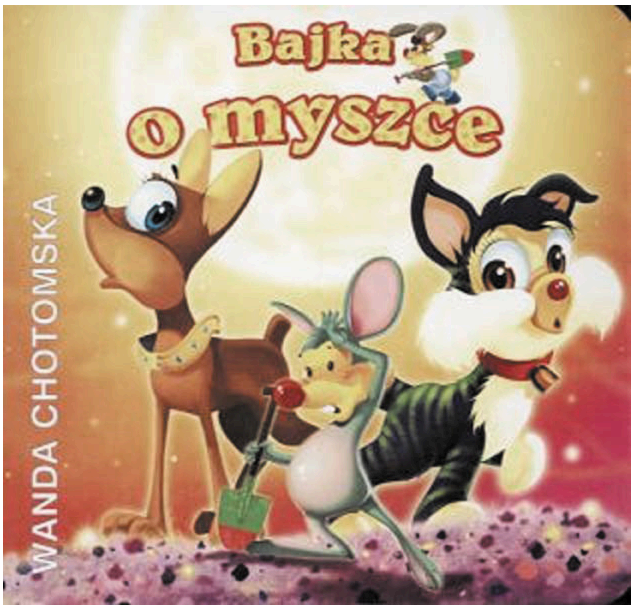

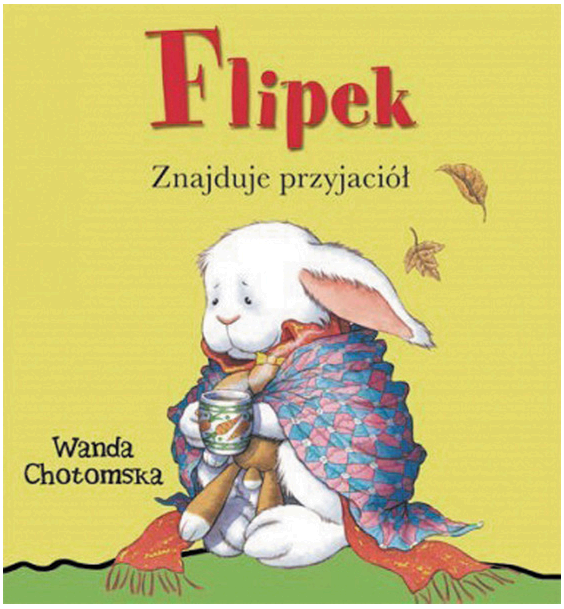

Pani Irena Słonimska, która sama pięknie recytowała, zadawała nam bardzo dużo wypracowań, a najwyższą oceną nie była piątka, ale głośne czytanie tego, co się samemu napisało. Tak, bo jak masz coś do powiedzenia, to napisz i przeczytaj. Bardzo często czytałam te swoje wypracowania. Pani Słonimska i jej mąż zginęli w Powstaniu Warszawskim. Uratował się ich syn Piotr, potem jeden z najwspanialszych genetyków francuskich. Podczas wojny chodziłam na komplety, były one też w domu moich rodziców.

Po wojnie zaczęłam studiować dziennikarstwo. Jedna z moich koleżanek, nieżyjąca już aktorka Janka Nowicka, kiedy zdawała do szkoły teatralnej, namawiała mnie, bym i ja tam poszła. Byłam nawet u Aleksandra Zelwerowicza, wybitnego aktora, reżysera i pedagoga, ale mnie Ofelia nie interesowała, a kabaret – tak, jednak wtedy go nie było.

Wybrałam więc sobie dziennikarstwo i od razu wiedziałam, że nie o wszystkim można pisać. Na maturze pisałam na cudny temat: „Czy uważam za słuszne, że Warszawa, mimo zniszczenia, nadal jest stolicą Polski?". Uważałam za słuszne i napisałam, dlaczego. Pisząc, wracałam często do lat dwudziestych XX wieku, a moja nauczycielka patrzyła i szeptem mówiła: „Zamaż to, zamaż..."

Dla dzieci zaczęłam tworzyć przypadkowo, ale też napisałam dla dorosłych „całą górę" piosenek. Niektóre pisaliśmy razem z Mironem Białoszewskim. Można było przynieść do Polskiego Radia tekst piosenki i po prostu go sprzedać. Dostawało się kwitek do kasy, a tam pieniądze.

Któryś z moich starszych kolegów z uczelni zaproponował mi pracę w nowej redakcji „Świata Młodych". Robiłam różne rzeczy: korektę, adiustacje, pełniłam dyżury w drukarni. Wtedy drukowano tam w odcinkach prozę Igora Newerlego, a moim zadaniem było streszczanie tego, co było w poprzednich odcinkach. Następowała taka absolutna liofilizacja. Musiałam „wyżąć" tekst z tak zwanej wody i tak napisać, żeby ten, kto po raz pierwszy wziął gazetę do ręki, mniej więcej wiedział, co działo się wcześniej i o co w utworze chodzi. To było świetne ćwiczenie: minimum miejsca, maksimum wiadomości.

Tłumaczyliśmy z Mironem z języka chińskiego pieśni chińskich pionierów. Nie znaliśmy chińskiego, ale wiedzieliśmy, o czym mają śpiewać chińscy pionierzy. Oczywiście o tym, że dzieci wszystkich krajów będą się przyjaźnić. Jeden z przyjaciół Mirona, kompozytor Staszek Pruszyński, siedział przy fortepianie, a myśmy pisali teksty. Potem zaproponowano nam, byśmy napisali coś do „Świerszczyka". W „Świecie Młodych" też zamieszczaliśmy jakieś wierszowańce. Były to jednak produkcyjniaki, na przykład *Od buraka do lizaka*, czyli cała historia cukru – jak się go robi albo rymowana historia papieru.

Potem, jak wylali mnie z redakcji za pochodzenie – bo gdzieś się doszukali, że mój ojciec, Stefan Chotomski, był przed wojną właścicielem firmy spedycyjnej – Miron bardzo mi pomagał, brał listy przychodzące do redakcji na siebie, a ja na nie odpisywałam. W ten sposób dostawałam honorarium. Przywoził mi te listy do Anina, gdzie wtedy mieszkałam.

Po 1956 roku po raz drugi przyjęto mnie do „Świata Młodych". Pracowałam w tej redakcji do lat siedemdziesiątych. I wylali mnie po raz drugi, tym razem z powodu konieczności zwolnienia etatu dla kogoś innego, a oficjalnie za to, że nie wykonuję normy.

Już wtedy miałam dobranockę *Jacek i Agatka*. Tematy do moich wierszy czerpałam z obserwacji najmłodszych i z kontaktów z nimi.

Pisałam wiele piosenek z kompozytorem Włodzimierzem Korczem. Ile razy do niego dzwoniłam, to zawsze telefon odbierał jego synek. Malec – powinien chodzić do przedszkola – miał na imię Kamil. Gdy kolejny raz odebrał telefon, zapytałam go, czy chodzi do przedszkola. A on na to: „Zapomnieli". Zastanawiałam się, czy tego dnia zapomnieli, czy w ogóle zapomnieli zapisać go do przedszkola. Bo w moim przekonaniu dziecko wychowywało się pod fortepianem. Zapytałam go, czy jakbym napisała opowiadanie, to pożyczyłby mi swojego imienia. Zgodził się. Na kolejne pytanie, czy pożyczyłby tatę kompozytora, odpowiedział: „Pożyczę". I napisałam najpierw audycję radiową, a potem opowiadanie *Trzymaj się, Kamil*. To jest historia chłopca, którego

ojciec prowadzi do przedszkola, daje mu batonik, mówiąc: „Trzymaj się, Kamil” i wychodzi. Chłopiec zostaje sam.

Inna historyjka o chłopcu, zatytułowana *Bocianek*, powstała pod wpływem jednego z moich spotkań z dziećmi w szpitalu. Zobaczyłam wtedy chłopca, który zleciał z dachu i miał rękę na wyciągu. Wyglądał jak bocianek z wyciągniętym skrzydłem.

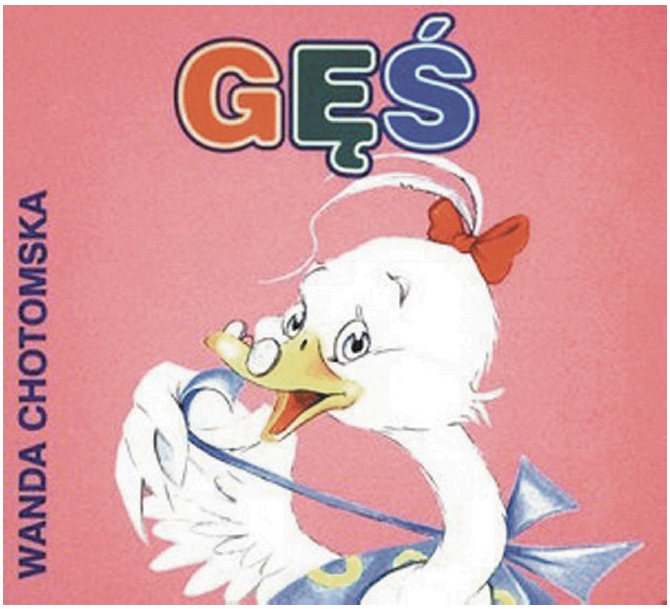

Wciąż piszę książki dla dzieci i dorosłych, są wśród nich nowe wiersze i stare. Te ostatnie to, jak mówię: „Kurczę blade po liftingu, autorka przed liftingiem”.

Bardzo często spotykam się z najmłodszymi. Ktoś obliczył, iż w 2010 roku miałam dwieście spotkań. Po kilka dziennie. Jestem patronką trzydziestu pięciu szkół i placówek edukacyjnych, są następne chętne. Pierwsze było przedszkole w Policach, przy ulicy Robotniczej. Bronię się przed byciem patronką, bo uważam, że patronki zawsze były męczennicami – chcę być matką chrzestną. Ale miło być patronką szkół. Zdaję sobie sprawę, że matka chrzestna ma obowiązki – musiałabym więc te placówki edukacyjne odwiedzać, a są rozrzucone po całej Polsce.

Ja i Alina Centkiewicz, autorka – wraz z mężem Czesławem Centkiewiczem – licznych książek dla dzieci i młodzieży o tematyce przygodowo-podróżniczej, nosiłyśmy Order Uśmiechu nieprzepisowo. Nie chciałyśmy, by nam biust obciągało, więc wymyśliłyśmy, że nosimy go na szyi jak wisiorek, chyba że był to żakiet, to wtedy miniatury. Ponadto wolałyśmy być Damami, a nie

Kawalerami Orderu Uśmiechu. Cały czas mówi się Kawaler, ja natomiast chcę być Damą.

Warszawa, w gabinecie prezesa Związku Literatów Polskich, z okna widać Zamek Królewski i Krakowskie Przedmieście, przedwiośnie 2011

Wanda Chotomska

– pisarka, autorka wierszy i opowiadań dla dzieci i młodzieży.

Urodziła się w 1929 roku w Warszawie. Studiowała na Wydziale Społeczno-Politycznym i Wydziale Dziennikarskim Akademii Nauk Politycznych w Warszawie. Debiutowała w roku 1949 na łamach „Świata Młodych". W 1958 roku opublikowała pierwszy tomik poezji *Tere fere*. Wspólnie z Mironem Białoszewskim ogłaszała wiersze w „Świerszczyku", podpisywane pseudonimem Wanda Miron.

Stworzyła popularny cykl programów telewizyjnych dla dzieci *Jacek i Agatka* (1962–1973). Minęło już trzydzieści lat jej artystycznej współpracy z Teatrem Szkolnym „Łejery" z Poznania, dla którego pisze piosenki. Jest autorką ponad dwustu książek dla dzieci i młodzieży, wielu audycji radiowych i telewizyjnych, scenariuszy do filmów krótkometrażowych i sztuk teatralnych.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Wikipedia, Wanda Chotomska
- youtube.com, Biblioteka Publiczna w Kaliszu Pom. – Spotkanie autorskie z Wandą Chotomską
- youtube.com, Wanda Chotomska, Mistrz Mowy Polskiej 2012
- youtube.com, Wiersze dla dzieci – Wanda Chotomska – Hipopotam lubi błoto czyta Piotr Fronczewski

Ewa Chrobak

Projekt Orderu Uśmiechu stworzyła dziewięciolatka z Głuchołaz – Ewa Chrobak. Talerzyk i szklankę przyłożyła do kartki papieru. Odrysowała kółko, które stało się słońcem. Domalowała do niego nierówne promienie.

Zwycięski projekt, z ponad czterdziestu czterech tysięcy innych, wybrało jury pod przewodnictwem rysownika Szymona Kobylińskiego, który dopracował go do znanej powszechnie formy. Po wielu latach rozmawiam z autorką, Ewą Chrobak.

Odrysowała słońce

Powiedz trochę o sobie, skąd pochodzisz, kim byli Twoi rodzice?

Moja rodzina to taka robotniczo-chłopska. Dziadkowie mieli we wsi Lasowice Małe pod Kluczborkiem gospodarstwo rolne, gdzie spędzałam każde wakacje. Tata, jak tylko miał czas, jeździł pomagać, ja oczywiście z nim. Rodzice pochodzą ze Wschodu, właściwie dziadkowie, którzy po wojnie przyjechali na Ziemie Odzyskane. Mama i tata początkowo mieszkali w okolicach

Kluczborka, potem przenieśli się do Głuchołaz i są tam do tej pory. Tata był kolejarzem, dyżurnym ruchu z czerwoną czapką, co się zawsze moim koleżankom i kolegom bardzo podobało. Mama pracowała w księgowości.

Jak to się stało, że wygrałaś konkurs na projekt Orderu Uśmiechu?

W tamtych czasach chyba wszystkie dzieci oglądały takie dobranocki, jak *Jacek i Agatka* czy *Różne przygody Gąski Balbinki*. Oczywiście byłam ich wiernym widzem. I właśnie pewnego wieczora, w 1967 roku, Jacek i Agatka ogłosili konkurs na projekt Orderu Uśmiechu.

Zawsze coś sobie rysowałam, więc kiedy postanowiłam zaprojektować Order, nikt na mnie nie zwracał uwagi, a ja też o tym nie mówiłam.

> ” Różne pomysły przychodziły mi do głowy, ale uznałam, że najlepsze będzie uśmiechnięte słoneczko.

Zapakowałam do koperty projekt, napisałam adres. Po cichutku podałam ją zaprzyjaźnionemu listonoszowi, nawet nie myślałam, że potrzebny jest znaczek. Ale okazało się, że listonosz był z krwi i kości, sam nakleił znaczek i wysłał list. Honor mu nakazywał dostarczyć przesyłkę. Był uwielbiany przez wszystkie okoliczne dzieci. Gdy tylko się pojawiał, otaczała go chmara najmłodszych. Zwracając się do nas, mówił: „Gwiazdeczko”, więc nazywaliśmy go Panem Gwiazdeczką. Wyróżnieniem było, gdy pozwalał wrzucić list do skrzynki.

List został wysłany i tak naprawdę zapomniałam o nim. Po jakimś czasie Jacek i Agatka ogłaszają wyniki konkursu. Mówią, że wygrała Ewa Chrobak z Głuchołazów. A u nas mówiło się „z Głuchołaz”. Słyszałam to, ale pomyślałam, że to dziecko z innej miejscowości. Nikogo nie wołałam. Po pewnym czasie dzwonek do drzwi. To sąsiedzi przyszli złożyć gratulacje. Mama zdziwiona, pyta, co się stało. Wtedy wyjaśnili, że w telewizji podali, że ja wygrałam konkurs.

Ewa Chrobak z podopiecznymi Centrum Przyjaźni Dziecięcej w Żarowie

W szkole było również trochę zamieszania, wszyscy przychodzili oglądać, która to dziewczynka wygrała konkurs. Musiałam w kronice szkolnej narysować ten Order Uśmiechu. Ogromne zdumienie wzbudziło moje opowiadanie, jak go zaprojektowałam, po prostu rysując słoneczko, korzystałam ze spodka i szklanki.

Zapraszano Cię jeszcze jako dziecko na uroczystości wręczania Orderu Uśmiechu?

Jako dziecko raz tylko uczestniczyłam w takiej uroczystości. Zostałam zaproszona na dekorację Orderem Uśmiechu dyrektora kopalni Wierzchowice w Rudzie Śląskiej. Pamiętam, że miał podobne do mojego nazwisko – Chrobok. W części artystycznej wywołano mnie na scenę, a tam wielkie, ogromne słoneczko wisiało. Prowadzący pyta mnie, czy Order Uśmiechu podobny jest do tego, które ja narysowałam, a ja szczerze: „Nie". Na sali cisza, prowadzący nie stracił opanowania i pyta: „Bo większe?". A ja: „Tak". Szymon Kobyliński zachował mój projekt, tylko go podrasował, by do celów medalierskich się nadawał. Wielki uśmiech, oczka niebieskie, ale zostały nierówne płomyki, jeden dłuższy, drugi krótszy, jeden grubszy, drugi chudszy.

Czy dostałaś jakąś nagrodę za wygrany projekt Orderu?

Otrzymałam aparat fotograficzny Smiena 8. Wtedy to był bardzo dobry aparat, ale ja do tej pory nie umiem robić nim zdjęć. Dostał go ode mnie syn i jest w jego rękach do dziś.

Od 1997 roku jesteś Kawalerem Orderu Uśmiechu. Jak na to zapracowałaś?

Jeszcze w szkole prowadziłam drużynę zuchową i harcerską. Potem zostałam przewodnikiem turystycznym. Pracowałam w ośrodku, który specjalizował się w organizowaniu wypoczynku dla dzieci i młodzieży w programie zielonych szkół czy obozów sportowych, zimowisk. W ich ramach były też wycieczki. Specjalizowałam się w oprowadzaniu grup po najbliższej okolicy, po Kotlinie Kłodzkiej i terenach przygranicznych po stronie czeskiej. Z wnioskiem o Order Uśmiechu wystąpiły dzieci z Wrześni.

Starałam się zaszczepić dzieciom chęć poznawania i wędrowania. Nigdy nie opowiadałam wiadomości książkowych, starałam się przybliżać im jakieś ciekawostki, legendy, by je zainteresować, by obudzić w nich miłość do przyrody. Były zagadki, konkursy i nagrody. Chodziło o to, by jak najwięcej zapamiętały.

Przez pewien czas pracowałam jeszcze z dziećmi w świetlicy terapeutycznej w Żarowie. Teraz los rzucił mnie do Hiszpanii, gdzie mój mąż ma stałą pracę.

Jesteś członkiem Międzynarodowej Kapituły Orderu Uśmiechu. Jak do niej trafiłaś?

Przez pewien czas jakoś o Orderze Uśmiechu było cicho, a potem kanclerz Cezary Leżeński zorganizował pierwszy zlot Kawalerów Orderu Uśmiechu. To było w Rabce. Ja też zostałam zaproszona. Wtedy zobaczyłam, jak wielu jest tych Kawalerów. Zauroczyli mnie, gdy opowiadali o swojej pracy z takim entuzjazmem, zaangażowaniem. Polubiliśmy się z kanclerzem, a po paru latach zostałam przez niego zaproszona do Kapituły.

maj 2010

Ewa Chrobak z Ireną Kwiatkowską, zmarłą w 2011 roku, także Kawalerem Orderu Uśmiechu

Ewa Chrobak

– działaczka społeczna, sekretarz Międzynarodowej Kapituły Orderu Uśmiechu.
Z wykształcenia jest ogrodnikiem.

Urodziła się 17 września 1958 roku w Głuchołazach. W 1967 roku jako dziewięcioletnie dziecko wygrała główną nagrodę w ogólnopolskim konkursie plastycznym na projekt Orderu Uśmiechu, ogłoszonym przez redakcję „Kuriera Polskiego" i Telewizję Polską. W nagrodę otrzymała aparat fotograficzny marki Smiena 8.

Posiada stopień instruktora harcerskiego. Jest członkiem Stowarzyszenia Przyjaciół Dzieci Chorych „Serce" ze Świdnicy, była wolontariuszem Fundacji „Serce" – Europejskie Centrum Przyjaźni Dziecięcej z siedzibą w Świdnicy. W 2006 roku objęła stanowisko kierownika i wychowawcy dzieci w filii Centrum Przyjaźni Dziecięcej w Żarowie (specjalistyczna placówka wsparcia dziennego dla dzieci i młodzieży).

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Wikipedia, Order Uśmiechu
- Wikipedia, Ewa Chrobak

- strzegom.naszemiasto.pl, Ewa Chrobak: To ja przed laty namalowałam ten order

- Facebook.com, Fundacja Serce – Europejskie Centrum Przyjaźni Dziecięcej

Alicja Paulina Chybicka

Wybitny i kochany onkolog. Skromnie twierdzi, że na żadną nagrodę nie zasługuje. Po prostu stara się, jak mówi, zapewnić dzieciom najlepszą opiekę.

Niedoszły inżynier elektronik

– Nigdy nie myślałam, że będę onkologiem dziecięcym. Życie samo napisało taki scenariusz. Kończąc szkołę średnią, miałam dosyć dobre oceny ze wszystkich przedmiotów, naprawdę bardzo dobre. Polonista chciał, bym została polonistką, matematyk uważał, że powinnam iść na matematykę, fizyk – na fizykę. Koniec końców, w ostatniej klasie wcale nie byłam zdecydowana, co chciałabym robić. I tak naprawdę myślałam, że najchętniej zostałabym inżynierem elektronikiem. Bogu niech będą dzięki, że nigdy nim nie zostałam. Mojej mamie zawsze się marzyło, bym poszła na medycynę. Sama skończyła wyższą szkołę ekonomiczną. W efekcie podjęłam decyzję, że jeśli za pierwszym razem dostanę się na studia medyczne, to na nich zostaję, jeżeli nie – wystartuję na politechnikę.

Będąc już na studiach w Akademii Medycznej we Wrocławiu, uważałam, że interesująca jest tylko chirurgia, dzięki niej można zoperować i naprawić. Gdy jednak asystowałam w operacji, bodajże woreczka żółciowego – wyjątkowo skomplikowanej, która trwała chyba trzy i pół godziny, w dodatku

w maseczkach chirurgicznych na twarzy – mało co nie zemdlałam. Doszłam do wniosku, że chirurgia to nie dla mnie. Na trzecim roku studiów, ponieważ miałam dobre wyniki, rektor zasugerował, że dalej mam iść indywidualnym tokiem studiów. Warunkiem był opiekun – samodzielny pracownik naukowy.

Byłam krótko po ćwiczeniach z propedeutyki pediatrii, które prowadziła pani Janina Jaworska-Bogusławska, także Kawaler Orderu Uśmiechu – młoda, energiczna docent (od 1982 roku profesor zwyczajny). Pamiętam do dziś, jak siedziała na parapecie okiennym i machała nogami, opowiadając o pediatrii. Zgłosiłam się do niej. Była wtedy asystentem w Klinice Pediatrii Ogólnej. Od razu zdecydowała, że będę towarzyszyła jej w pracy. Zaczynała wówczas tworzyć Oddział Hematologiczny tak na początku nazywany. Ten oddział powstał w 1973 roku, a ja skończyłam studia dwa lata później. Ponieważ dostałam tzw. czerwony dyplom, czyli z wyróżnieniem, znalazłam się w takiej grupie, która mogła marudzić i wydziwiać, gdzie chce pracować. Profesor Jaworska zaproponowała, bym została u niej. Tak się zaczęła moja przygoda z onkologią.

Wtedy były to ciężkie czasy dla onkologii, wyleczalność dochodziła do piętnastu procent. Większość adiunktów tej kliniki, czyli starszych kolegów, którzy uczyli mnie zawodu, uważało pracę na oddziale hematologii za karę. Potem profesor Jaworska rozszerzyła nazwę na oddział onkologiczno-hematologiczny. Gdy pierwszy raz wyjechała za granicę, doszła do wniosku, że źle „prowadzimy" tego rodzaju nowotwory, że trzeba przenieść do nas zachodnie programy. Obserwowałam, jak walczyła, by z tego oddziału stworzyć klinikę, by po prostu wydzielić go jako samodzielną jednostkę. To trwało do 1981 roku.

Nazwa Klinika Hematologii i Chorób Rozrostowych Dzieci miała nikomu nic nie mówić. Bardzo późno została zmieniona na onkologię. W tamtym czasie pacjentom nie mówiło się, na co chorują. Oczywiście rodzice chorych dzieci wiedzieli. Po powstaniu kliniki, profesor Jaworska mogła swoją ideę rozwijać pełną parą. Przywiozła wszystkie zachodnie protokoły i pomału je

wdrażała. W 1979 roku pod jej kierownictwem obroniłam pracę doktorską i już nigdy nie rozważałam odejścia z tamtej pracy. Przewinęło się przez naszą klinikę mnóstwo lekarzy, bardzo dobrych, którzy nie wytrzymali psychicznie presji, patrząc na dzieci, na te tragedie. Ale wiele się zmieniło od tamtego czasu.

> Od roku 1973 do dzisiaj wyleczalność z 15 procent doszła do 80 procent. To ogromna poprawa. Przedtem niemal każde dziecko miało wyrok śmierci, a teraz prawie każde ma szanse na wyleczenie.

Order Uśmiechu to piękna nagroda, najpiękniejsze odznaczenie, jakie mam, ale ja na żadną nagrodę nie zasługuję. Po prostu od trzydziestu sześciu lat pracuję, pracuję, nie robię niczego niezwykłego. Staram się zapewnić dzieciom maksymalnie najlepszą opiekę. Od jedenastu lat kieruję kliniką.

Dobrze wiem, że gdy dziecko zachoruje na nowotwór, to jest grom z jasnego nieba dla całej rodziny. Jego bliscy tak naprawdę chorują razem z nim. W tym momencie ważne jest zapewnienie choremu dziecku wszystkiego, co jest potrzebne do leczenia zgodnie z europejskimi standardami, ale z drugiej strony trzeba zrobić wszystko, by te dzieci nie czuły się jakby wyjęte z tego świata. Bo dziecko jest wyrwane ze żłobka, z przedszkola, ze szkoły, ze swojego środowiska. Umieszczone na oddziale szpitalnym na trzy, pięć, a czasami dziesięć lat. Leczenie nowotworu trwa przeciętnie dwa lata, jednak najczęściej – w zależności od stadium zaawansowania – okres ten znacznie się wydłuża. To są długie okresy przebywania małych pacjentów w szpitalu. W tym czasie trzeba zadbać w pewnym sensie o duszę każdego dziecka, czyli o to, żeby wyrwanie z normalnego środowiska i z normalnego trybu jak najmniej bolało (choć z rodziny to nawet nie, bo przyjmuje się je zawsze z matką czy ojcem; rodzina może odwiedzać).

W naszej klinice gościło wiele gwiazd ze świata kultury, sportu. Chociażby w tym tygodniu odwiedzili nas „Trubadurzy". Radocha niesamowita. Byli u nas: Maryla Rodowicz, Otylia Jędrzejczak, Mariusz Pudzianowski. Dzieci

skakały na spadochronach z wysokości czterech tysięcy metrów, dwunastu naszych chorych skoczyło oczywiście z asekuracją zawodowych spadochroniarzy. Byliśmy u Jana Pawła II na audiencji specjalnej, byliśmy u Benedykta XVI w Łagiewnikach, gdzie wszystkie moje dzieci pogłaskał po główkach.

Nasi pacjenci startują w onkoigrzyskach i onkoolimpiadach. Jeżdżą na ogólnopolskie onkoolimpiady, przywożą medale, a dzisiaj zostały zaproszone na międzynarodową onkoolimpiadę do Moskwy. Jeszcze o tym nie wiedzą, jak wrócę do Wrocławia, to im powiem. Oczywiście to wszystko, co robię, jest możliwe dzięki zespołowi dwustu osób, którymi kieruję: trzydziestu lekarzy, trzydziestu pracowników laboratorium, siedemdziesiąt osiem pielęgniarek, zespół sprzątający liczący trzydzieści osób, pracownicy techniczni, dyrekcja. Chciałabym, by chore dzieci miały jak najlepsze warunki. Musimy więc zbudować nową klinikę. Ziemię już mamy.

Warszawa, początek marca 2011

Alicja Paulina Chybicka

– wybitna lekarka, profesor zwyczajny doktor habilitowany nauk medycznych. Senator od listopada 2011 roku.

Urodziła się w 1951 roku w Wałbrzychu. Zawodowo związana z Akademią Medyczną we Wrocławiu. W 2000 roku została kierownikiem Katedry i Kliniki Transplantacji Szpiku, Onkologii i Hematologii Dziecięcej na tej uczelni. W 2007 roku została prezesem Polskiego Towarzystwa Pediatrycznego, jest też członkiem zarządu Polskiego Towarzystwa Onkologii i Hematologii Dziecięcej i członkiem Polskiej Akademii Nauk.

Napisała lub współtworzyła ponad pięćset publikacji z zakresu pediatrii, hematologii i onkologii dziecięcej, transplantacji komórek macierzystych, terapii genowej. Wypromowała kilkunastu doktorantów, była opiekunką trzech zakończonych habilitacji. Nagrodzona tytułem Kobieta Roku.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Oficjalna strona internetowa prof. Alicji Chybickiej

- Wikipedia, Alicja Chybicka
- youtube.com, ALICJA CHYBICKA – ASP2010
- youtube.com, Alicja Chybicka – wystąpienie z dnia 3 lipca 2013 r.

Irena Conti Di Mauro

Tragiczną przeszłość próbowała przykryć aktywnym życiem, tworzeniem poezji. Najlepszym darem zapomnienia była pełna poświęcenia praca na rzecz dzieci.

Kochała Polskę i Włochy

Wspomina Irena Rybczyńska, przyjaciółka:

– Irenę Conti Di Mauro poznałam na początku lat pięćdziesiątych XX wieku. Mąż Ireny, Ignacy Waniewicz, pracował w redakcji „Po Prostu", ja w redakcji „Nowej Wsi". Nasze lokale redakcyjne były obok siebie. Ignaś zaprosił mnie kiedyś do domu i wtedy poznałam Irenę. Studiowała medycynę, ale ostatecznie uznała, że nie będzie lekarzem, bo to jest ponad jej siły. Nie znosiła widoku krwi, ran, cierpienia. Irena przeżyła wojnę w getcie, straciła rodziców w Holokauście, braciszka też i całą rodzinę. Była żołnierzem ŻOB, łączniczką, bardzo dzielnym bojowcem. Marek Edelman opowiadał mi, że trudno było znaleźć kogoś tak odważnego, dzielnego. Szła na najtrudniejsze odcinki, podejmowała się najcięższych zadań. Zawsze wychodziła z nich zwycięsko. Była piękna, więc jeździła w przedziałach dla Niemców, była przez oficerów dobrze traktowana, zaraz się do niej przystawiali. Potrafiła dzięki temu wyprowadzić z obozu żydowskie dziewczyny. Jej wyczyny uważane są za niesłychane. Ale z tego czasu wyniosła ciężkie okaleczenia pamięci i trudno jej było z tym żyć.

Zaraz po wojnie związała się z grupą przyjaciół, którzy stworzyli organizację „mścicieli" i krążyli po Europie, by wyszukiwać oprawców hitlerowskich, którzy mordowali Żydów. Po jakimś czasie organizacja ta uległa rozwiązaniu.

Irena pojechała wtedy do Palestyny. Ale kiedy tam się znalazła, tęskniła za Polską. Pracowała w restauracji jako pomywaczka i zbierała pieniądze na powrót do Polski. To był rok 1947. Została stewardesą, poznała Ignacego Waniewicza, pobrali się, urodziła im się córeczka.

Widząc jej „szarpaninę", wzięłam ją do naszej redakcji. Została sekretarzem, świetnie pracowała. Bardzo lubiana, pełna wdzięku, talentów najrozmaitszych. Ciągle jednak nie mogła się uporać ze swoją przeszłością, ze swoim cierpieniem. Byłam wtedy naczelnym redaktorem i chcąc jej pomóc, postarałam się o wysłanie jej w dłuższą podróż zagraniczną. Pojechała do Włoch na trzy miesiące. Kraj ten tak jej wpadł do serca i umysłu, że w błyskawicznym tempie opanowała język włoski. Pokochała Włochy, całą kulturę włoską. Zaczęła pisać po włosku i wydawać po włosku wiersze. Została uznaną poetką włoską.

Przyszedł rok 1968. Zostałam wtedy zwolniona z redakcji za swoje przekonania – nie podporządkowałam się ówczesnym wytycznym politycznym, a Irena i jeszcze jeden dziennikarz zostali zwolnieni z innego paragrafu, za pochodzenie. Tego już nie mogła znieść. Małżeństwo z Ignacym Waniewiczem już wcześniej się rozpadło. Postanowiła wyjechać, ale nie chciała na tzw.

judenpass. Wyszła za mąż za poznanego dziennikarza włoskiego Antonio Di Mauro i wyjechała do Włoch. A ponieważ Irena przybrała jako panieńskie nazwisko, jeszcze przed ślubem z Waniewiczem, Conti – jako nazwisko rodowe – to teraz dodała do tego Di Mauro.

Wróciła jednak do Polski, zostając Conti Di Mauro i stworzyła sobie całkiem nowe życie, znalazła inne środowisko, inny krąg przyjaciół. Pisała wiersze w tempie niesłychanym, wydawała wiele tomów.

> Zaczęła wyżywać się w działalności charytatywnej. Związała się ze środowiskami pomagającymi dzieciom specjalnej troski, z korczakowcami, z ludźmi skupionymi wokół Międzynarodowej Kapituły Orderu Uśmiechu. I tam wspaniali, szlachetni i dobrzy ludzie polubili ją, pokochali.

Nikt nie pytał jej o to, co było, a my, przyjaciele z dawnych czasów, uszanowaliśmy jej wybór, jej przemianę. Ale w jej wierszach odnajdowaliśmy cierpienie i udrękę.

Zbudowała sobie dom pod Warszawą. Z wielkim trudem, bo nie była zamożna. Jeździła często do Włoch, gdzie nie miała domu, ale za to miała przyjaciół, którzy ją gościli. Ciągnęła ją gorąca Sycylia, południe, ale nasz kraj ciągnął ją najbardziej. Rozpaczliwie wracała do Polski, chociaż Polska nie była dla niej dobra.

koniec marca 2010

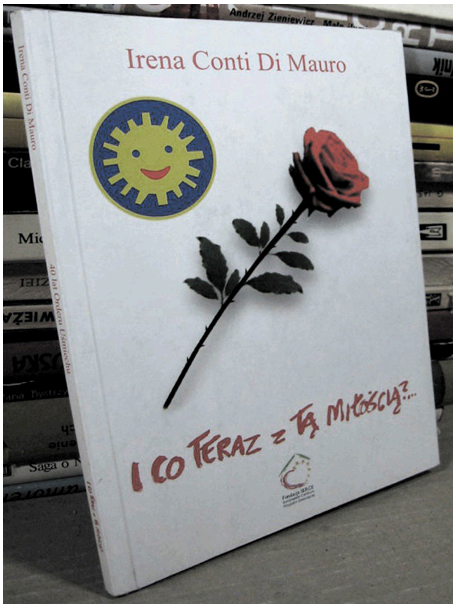

Tomiki poezji Ireny Conti Di Mauro

Od autora:

Irenę Conti Di Mauro poznałem w 2001 roku w Świdnicy, na wspólnej Wigilii z dziećmi będącymi podopiecznymi Stowarzyszenia Przyjaciół Dzieci Chorych „Serce". Wiedziałem, że jest poetką, a honoraria za sprzedane tomiki swojej poezji przeznacza na odbudowę domu dla najmłodszych, z którymi właśnie się spotkaliśmy. Podczas rozmowy z Cezarym Leżeńskim, ówczesnym Kanclerzem Międzynarodowej Kapituły Orderu Uśmiechu, usłyszałem, że Pani Irena była

podczas okupacji niemieckiej w ruchu oporu, ale nie chce z nikim o tym rozmawiać.

Kiedy przeczytałem wywiad z Markiem Edelmanem, w którym wspomniał, że nie jest najstarszym żyjącym w Polsce powstańcem getta warszawskiego, ale jest jeszcze jedna osoba, kobieta, która nie chce o tym mówić, zacząłem się zastanawiać, czy to nie ona. Nie miałem odwagi zapytać ją o przeszłość. Wiedziałem, że nie chciała do niej wracać. Nawet datę swoich urodzin zmieniła.

Teraz już wiem, że przed laty nazywała się Irena Gelblum, a w czasie okupacji niemieckiej była łączniczką Żydowskiej Organizacji Bojowej. Utrzymywała kontakt między ŻOB, a ocalałymi skupiskami Żydów w gettach, obozach i partyzantce. Była bardzo odważną, a przy tym piękną dziewczyną.

Podczas pogrzebu Ireny Conti Di Mauro wspominano słowa Edelmana o tym, że wkładała czarny płaszcz, kapelusz z wielkim rondem i siadała w przedziale dla Niemców. Zacytowano między innymi taką jego opowieść: „Gdy wysłaliśmy ją do Będzina, żeby się dowiedziała, co stało się z dwoma naszymi dziewczynami, to ona weszła do obozu, znalazła je tam, a potem wyprowadziła i dowiozła do Warszawy".

Irena Conti Di Mauro

– polsko-włoska dziennikarka, pisarka, poetka.

Urodziła się w Warszawie, dokładna data nie jest znana. Ukrywała datę urodzin, co wiązało się z jej żydowskim pochodzeniem i przejściami w czasie wojny. Zmarła 28 października 2009 roku.

Była członkiem Międzynarodowej Kapituły Orderu Uśmiechu, gdzie reprezentowała państwo włoskie.

Autorka książek poetyckich, reportaży literackich i opowiadań, tłumaczka poezji, między innymi ks. Jana Twardowskiego. Cytowali ją na przykład papież Jan Paweł II i ks. Jan Twardowski. Jej polskie wiersze ukazały się nakładem Wydawnictwa „Czytelnik" w tomach: *Ziemia nieobiecana* i *Cztery pory pieśni nieustającej* oraz w Wydawnictwie PIW: *I tylko miłość...*, *Miłość-Czułość-Dobroć* i *Miłość-Pokora-Pojednanie*, składające się na *Trylogię Sycylijską*.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Wikipedia, Irena Conti Di Mauro
- strefa.pl, Irena Conti Di Mauro, Wiersze
- polskieradio.pl, Od faktów do fikcji: „Wpisane w los człowieka” Irena Conti di Mauro
- marhan.pl, Irena Conti Marzenia nie chodzą parami

Antoni Długosz

Z jego pomocą dzieci spontanicznie, poprzez muzykę, śpiew i taniec rozmawiają z Panem Bogiem, nie tylko podczas mszy, nie tylko w kościele. Każde spotkanie księdza biskupa z najmłodszymi, bezpośrednie czy poprzez program telewizyjny albo płytę, przeradza się w festiwal duchowej radości.

Biskup od dzieci

Dlaczego ksiądz biskup zdecydował się na pracę z dziećmi?

Ponieważ jestem księdzem, w szczególny sposób starałem się przygotować do posługi słowa, posługi katechetycznej. Później także specjalizowałem się w zakresie katechetyki.

Wiem, że bardzo ważną sprawą jest kwestia opieki nad dzieckiem. Dlatego też poświęciłem się służbie najmłodszym, starając się objąć nią nie tylko dzieci zdrowe, ale także specjalnej troski. Ze zdrowymi dziećmi wcześniej miałem kontakt przez katechezę i przez msze święte, kiedy byłem wikariuszem, a później, pracując wiele lat w wydziale katechetycznym diecezji częstochowskiej. Spotykałem się nimi jako wizytator. Nie traciłem kontaktu

z dziećmi i młodzieżą, prowadząc misję i rekolekcje w parafiach. Starałem się je „uatrakcyjnić", np. dużo z nimi śpiewałem.

I tak jest do obecnej chwili. Dlatego, że piosenka, jako jedna z form modlitwy, jest dla dzieci bardziej przystępna niż modlitwa słowa.

W diecezji częstochowskiej zorganizowałem sześć ośrodków, w których specjalnie przygotowani księża prowadzą dzieci do spowiedzi, komunii świętej i bierzmowania. Ja też się staram te posługi wykonywać, zwłaszcza jeśli chodzi o bierzmowanie.

Czeka na swój sok z cytryny. Z Markiem Michalakiem i dziećmi

Szczególnie związałem się z dziećmi specjalnej troski. Prawdopodobnie to one prosiły Międzynarodową Kapitułę Orderu Uśmiechu o przyznanie mi tego zaszczytnego odznaczenia – Orderu Uśmiechu. Staram się służyć dzieciom i młodzieży. Piszę dla nich dużo książek, homilii, nagrywam także piosenki, by dzieci mogły z moją pomocą wielbić Pana Boga.

Popularność księdzu biskupowi dała telewizja. Jak ksiądz do niej trafił?

Napisałem książkę, która była komentarzem do Pisma Świętego *Dobry Bóg mówi do nas*, pomagającą w odczytaniu tak Starego, jak i Nowego Testamentu. Ta książka miała trzynaście wydań. Kiedy potrzebny był ksiądz do katolickiego programu dla dzieci i rodziców „Ziarno" w Telewizji Polskiej, to już byłem znany dzięki tej książce. Redaktorka, pracująca w wydawnictwie księży gaulistów – właśnie oni wydali tę pozycję – zaproponowała Lidii Lasocie

z programu „Ziarno", moją kandydaturę. I pojechałem na spotkanie, tzw. casting (śmiech).

Porozmawiała ze mną pani Lidzia i tak wszedłem do „Ziarna". Oprócz tego programu, wiele razy nagrywałem programy w Telewizji Trwam i Radiu Maryja. Służyłem też wywiadami w naszym Radiu Fiat i w Radiu Jasna Góra. „Ziarno" ciągnąłem prawie osiem lat.

Starałem się być księdzem. Nie chcę być piosenkarzem ani aktorem, chociaż kiedyś myślałem o aktorstwie. Chcę być przede wszystkim duszpasterzem, który podejmuje prośbę Jana Pawła II, abyśmy szukali nowych form ewangelizacji, czyli dotarcia do ludzi takimi sposobami, dzięki którym łatwiej byłoby przenosić swoimi słowami tę samą prawdę, jaką Pan Jezus przekazuje. I to próbuję robić. Dlatego nagrywam te piosenki. Oto nowa płyta, jeszcze „ciepła" – *Opowiem ci o Jezusie*. Napisałem książkę, a teraz jest ona w formie piosenek, przedstawiających najważniejsze wydarzenia z życia Pana Jezusa. Planujemy także przenieść to na scenę, zrealizować musical.

Praca w programie „Ziarno" w TVP czy w Telewizji Trwam, to również spotkania z najmłodszymi?

Jeździliśmy w teren, po Polsce. Dzieci spotykały się z aktorami występującymi w „Ziarnie", a także ze mną. Jeżdżę także sam z programami dla dzieci, wspólnie z nimi robimy „show". Nie tylko ja śpiewam, ale i one śpiewają, i tańczą ze mną. To są specjalne, półgodzinne programy, bo dzieciom tyle wystarczy. Spotykamy się w szkołach, parafiach, śpiewamy moje piosenki, które są na płytach. Jeździłem szczególnie z okazji Dnia Dziecka, Dnia Matki, Dnia Ojca, uroczystości związanych z rocznicą istnienia szkoły.

Ksiądz biskup wybrał drogę do serca najmłodszych poprzez śpiew i taniec?

Tak, rzeczywiście. Napisałem książkę *Modlitwa dziecka*, gdzie tradycyjny pacierz jest na dziewiątym miejscu. Składa się ona z trzech części. Pierwsza jest adresowana do dzieci, druga do rodziców, trzecia do katechetów. Chcę przypomnieć rodzicom i katechetom, że najtrudniejszą formą kontaktu z Panem Bogiem jest tradycyjny pacierz. I jeżeli zaczynają mówić dziecku o modlitwie, tylko i wyłącznie akcentując tradycyjny pacierz, zabijają prawdę, że modlitwa jest rozmową. Dziecko nie rozumie tych słów. A wiadomo jest, że jeżeli ja do kogoś mówię, to mówię to, co znam, rozumiem. Dlatego na pierwszym miejscu stawiam modlitwę spontaniczną, gdy dziecko swoimi

słowami, to co mówi do rodziców, przekazuje Panu Bogu. Drugą modlitwą jest właśnie piosenka, modlitwa-taniec, modlitwa ciszy, modlitwa spontaniczna, modlitwa biblijna, a dopiero na końcu pacierz. Kiedy dzieci przez katechezę zrozumieją poszczególne wezwania, Modlitwę Pańską czy Zdrowaś Maryjo, wtedy dopiero można dzieci tego uczyć.

Z tą nową formą nauki ksiądz biskup wyszedł poza Częstochowę?

Tak. To, co robię obejmuje całą Polskę, a także parafie zagraniczne, głównie polonijne, które zapraszają mnie z rekolekcjami. Tę samą formę stosuję na rekolekcjach poza granicami naszego kraju, głównie oczywiście służę Polonii.

Ważna jest płyta, którą nagrałem o prawach mszy świętej dla dzieci. Nie wszyscy uwzględniają mszę świętą dla dziecka. Uważam, że w każdej parafii taka msza święta powinna być, o czym nam przypomina dyrektorium mszy świętej z udziałem dzieci z 1973 roku. To było za papieża Pawła VI, który pozwolił szczególnie na adaptację liturgii słowa do możliwości percepcyjnych dziecka. Ja te właśnie wskazówki uwzględniam. A ponieważ zezwala Ojciec Święty na specjalną oprawę wokalną z udziałem instrumentów perkusyjnych i czynnego zaangażowania dziecka, to właśnie tę formę proponuję.

Skąd te pomysły?

Przypominam sobie pewne sytuacje z mojego życia. Ja bardzo się męczyłem i nudziłem na mszach świętych, odprawianych wtedy jeszcze w języku łacińskim, na bardzo długich nabożeństwach. To nie była wina duszpasterzy. Nie byli przygotowani, by dokonywać pewnych adaptacji. Staram się teraz tak służyć dzieciom, żeby nie miały przykrych doświadczeń, jakie ja miałem. Chcę, by słowa „kościół", „msza święta" kojarzyły się najmłodszym z czymś radosnym, z czymś, co rozumieją, w czym są czynnie zaangażowane, a nie z czymś nudnym i niezrozumiałym. To są moje intencje. Nie wiem, na ile trafiam. Ale na ogół dzieci bardzo pozytywnie odbierają moje rekolekcje, bo dużo śpiewamy i tańczymy.

Czy ksiądz biskup stara się rozmawiać z najmłodszymi?

Bardzo chętnie to robię. Lubię ich powiedzenia, zaskakują mnie swoimi skojarzeniami. Dzieci mówią na przykład, że mam głupi kalendarz, tzn. tak zajęty, że nie mam dla siebie wolnego czasu. Jest to fajne określenie. Gdy pytają, dlaczego nazywam się Długosz, to mówię: „Bo mam długi nos,

a gdybym miał krótki nazywałbym się Krutkosz". Nazywają mnie „Biskupem od dzieci". Gorzej, jak dorośli pytają mnie skąd to określenie. Wtedy odpowiadam, ponieważ mam infantylny umysł, że chcę dzieciom służyć.?"

Dzieci pytają, często pytania są proste, ale odpowiedzi trudne….

> Staram się poważnie odpowiadać dzieciom. I wtedy one mnie też traktują poważnie, widzą, że sobie z nich nie kpię. Nigdy się dzieciom nie narzucam.

Opiekuję się kilkoma przedszkolami w Częstochowie i Krakowie. Odprawiam mszę świętą dla dzieci przedszkolnych, żeby przekazać rodzicom, jak taka msza powinna wyglądać.

Jest specjalna oprawa wokalna, mam kazanie zawsze z pomocami wizualnymi, dlatego że dzieci potrzebują pewnych treści, które by przekazywał obraz. U dzieci zmysł wzroku jest silniejszy od zmysłu słuchu. Dlatego też pewne treści, które im werbalnie przekazuję, najpierw pokazuję, by dokonały kontemplacji obrazu i łatwiej wszystko przyjmowały. Staram się tym samym przybliżać nie tylko dzieciom liturgiczną stronę mszy świętej, ale także i rodzicom, którzy uczestniczą w tej mszy świętej. Daję pewną propozycję, jak można przybliżyć, dokonać adaptacji liturgii słowa. Nigdy nie mówię, że jest to ideał, tylko jedna z propozycji. To samo dotyczy katechezy. Dużo piszę dla dzieci książek. A jak dziecko nie umie czytać, to czytają rodzice i też się uczą. Stosuję często tę „trójczłonowość", by tę samą treść przekazywać dziecku, rodzicom i katechetom.

maj 2012

Od autora:

Spotkaliśmy się w Częstochowie, w siedzibie Kurii Metropolitalnej Archidiecezji Częstochowskiej, w gabinecie księdza biskupa Antoniego Długosza. Popijaliśmy zieloną herbatę, osobiście zaparzoną przez gospodarza.

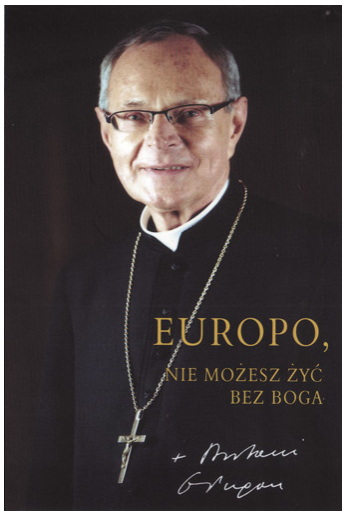

Ksiądz Antoni Długosz

– biskup pomocniczy archidiecezji częstochowskiej.
Urodził się 18 kwietnia 1941 roku w Częstochowie. Jest absolwentem II Liceum Ogólnokształcącego im. R. Traugutta w Częstochowie oraz seminarium duchownego. Święcenia kapłańskie uzyskał w 1965 roku. Absolwent ATK w Warszawie. Doktor habilitowany katechetyki. W 1993 roku został biskupem pomocniczym archidiecezji częstochowskiej, wyświęcony przez Jana Pawła II w 1994 roku w bazylice św. Piotra w Watykanie. Wikariusz Generalny od 1994 roku.
Nazywany „Biskupem od dzieci". Od 1985 roku duszpasterz dzieci specjalnej troski. Krajowy Duszpasterz Młodzieży Nieprzystosowanej Społecznie. Autor polskiej Biblii dla dzieci *Dobry Bóg mówi do nas. Pismo Święte* dla dzieci, a także płyty z piosenkami dla dzieci *Chrześcijanin tańczy*.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Wikipedia, Antoni Długosz
- youtube.com, Biskup Antoni Długosz – Gdy na morzu wielka burza
- youtube.com, Fragment koncertu w wykonaniu ks. bpa Antoniego Długosza

- youtube.com, Tango San Damiano – biskup Antoni Długosz

Anna Dymna

„Wszystko, co robię w życiu dorosłym, jest odbiciem dzieciństwa. Miałam dzieciństwo najwspanialsze, choć często dwudziestego już brakowało pieniędzy. Ale dzięki temu wypracowywało się inne wartości”.

Wszechmatka

– Moja mama wychowywała nas w poczuciu, że najważniejsze jest to, by dostrzegać wokół siebie innych. Jak byłam malutka, mama mówiła: „Możesz sobie krzyczeć, możesz sobie śpiewać, ale najpierw zobacz czy Jureczek nie śpi, czy Jasiu nie śpi, czy komuś nie przeszkadzasz." I to jest podstawa wszystkiego. Przez całe życie, zanim coś zrobię, to się rozglądam czy komuś nie przeszkadzam.

Moja mama była łagodna, uśmiechnięta i żyła dla innych ludzi. Jak się ma taki wzorzec, gdy się ma kilka, kilkanaście lat, to potem człowiek wie, którą drogą iść. Zawsze chciałam być choć trochę taka jak moja mama. Ona była takim moim aniołem. Zawsze cierpliwa, wyrozumiała, otwarta, uśmiechnięta. Czasem zastanawiam się, dlaczego kogoś bardzo lubię i zdaję sobie sprawę, iż dlatego, że on po prostu się uśmiecha.

Mój zawód polega na tym, by starać się zrozumieć drugiego człowieka. Najpiękniejszą jego stroną wcale nie są okładki, rauty, nagrody i przyjęcia, czego zresztą nie znoszę, ale ciągła praca nad jakąś rolą. Zagrałam tych ról około trzystu, czyli ze trzysta razy musiałam się zastanawiać nad kobietą, którą gram: dlaczego jest szczęśliwa, dlaczego płacze, dlaczego morduje, dlaczego jest zła, dlaczego jest dobra, dlaczego tak czy inaczej postępuje. To jest zawód, który uwrażliwia na drugiego człowieka. Nigdy nikogo nie potępiam, staram się go najpierw zrozumieć, zawsze biorę jego stronę. Bo jak gram jakąś postać, to muszę wziąć jej stronę, żeby ją zrozumieć. Myślę, że to jest droga, która zupełnie normalnie i harmonijnie wprowadziła mnie w prawdziwe działanie. Ale mój zawód przynosi inne wyzwania.

Odkąd zaczęłam grać, otrzymywałam listy od widzów. Szczególnie role filmowe przyniosły mi dużą popularność. Już na studiach zagrałam w *Janosiku*, potem w *Nie ma mocnych*, *Znachorze*, *Barbarze Radziwiłłównie* i w wielu innych filmach. Pisali do mnie ludzie samotni, nie wiedzący, komu ufać, więc komu ufali? – aktorkom, które były z innego świata, z ekranu. Dzięki tym tysiącom listów, które dostawałam przez lata, bardzo dużo wiedziałam o sytuacji ludzi w Polsce. A po upadku komuny wylało się całe nieszczęście z tych listów – jak ludzie żyją, jak są bezradni, jak są samotni. Sprawy poruszane w niektórych listach były tak porażające, że nie dało się obok nich przejść obojętnie. Zaczęłam indywidualnie, odruchowo pomagać… ale niezbyt mądra była to pomoc.

Pewnego dnia dostałam zaproszenie na jakiś przegląd teatralno-muzyczny z udziałem ludzi niepełnosprawnych intelektualnie w Radwanowicach pod

Krakowem. Zadzwonił do mnie przyjaciel z pytaniem: „Aniu, nie przyszłabyś? Ksiądz Tadeusz Isakowicz-Zaleski prosi, byś zgodziła się być w jury". Wtedy się przeraziłam, bo w ogóle nie znałam osób niepełnosprawnych, ale na przegląd pojechałam. Podczas tego spotkania poczułam się jakby na innej planecie. To, co zobaczyłam na scenie, było wzruszające, ale też zupełnie obaliło moje pojęcie o pięknie, o prawdzie, o wszystkim. Był to przegląd twórczości osób niepełnosprawnych intelektualnie. Spędziłam tam parę godzin, wyjechałam z gorączką i bólem głowy. Te istoty mnie otoczyły, byli to przede wszystkim dorośli ludzie, były też i dzieci, zniekształceni przez choroby, nie umiejący się wysłowić. Ale oni wszyscy mnie ściskali, całowali, trzymali za rękę, mówili „mamo", śpiewali. Poczułam się po raz pierwszy tak naprawdę potrzebna.

I zaczęłam pracować z niepełnosprawnymi intelektualnie, przede wszystkim z dorosłymi, ale również z dziećmi. Umiem dobrze mówić, czuć też trochę umiem, ale oni nauczyli mnie jeszcze większej wrażliwości.

> Powoli stawałam się ich rzecznikiem. Pokochałam ich i oni mnie, lgną do mnie, przytulają się. Ja jestem ich mamą, nawet jak mój podopieczny ma siedemdziesiąt lat, też zwraca się do mnie „mama". Mam takich synków i córeczki, jestem ich „dymną matką".

Order Uśmiechu to jest oczywiście doping, rodzaj takiego zaufania, którego nie można zawieść. Bo jeżeli dzieci cię kochają, wierzą w ciebie, to nie ma większej nagrody za to, co się robi. Jestem wolontariuszem wszystkiego, co robię dla osób niepełnosprawnych. Natomiast nagrodę mam taką i zapłatę, jaką ma niewielu. Ten order jest cudowny, jak najpiękniejszy uśmiech. A przecież: „Uśmiech rodzi uśmiech, tak jak miłość rodzi miłość". Nic lepszego nie mogło mnie spotkać. Moje życie stało się po prostu uśmiechnięte.

lato 2011

Od autora:

O tym wszystkim Anna Dymna opowiedziała mi w pięknym ogrodzie, przy swoim domu położonym na wzgórzu pod Krakowem. Siedzieliśmy pod bujną winoroślą. Do domu Anny Dymnej wiodą schodki. Chadzał po nich sam Czesław Miłosz.

Anna Dymna

– aktorka teatralna i filmowa. Urodziła się w 1951 roku w Legnicy.

W 1973 roku ukończyła Państwową Wyższą Szkołę Teatralną w Krakowie. Już w czasie studiów grała zarówno w teatrze, jak i w filmie. Debiut teatralny w 1969 roku (rola Isi w *Weselu* Stanisława Wyspiańskiego); filmowy w 1971 roku (rola Katarzyny w *Pięć i pół bladego Józka* Henryka Kluby). Po studiach została zaangażowana do Starego Teatru im. Juliusza Słowackiego w Krakowie, w którego zespole pozostaje do dziś. Ma w dorobku trzysta ról teatralnych i filmowych. Współpracowała z najwybitniejszymi polskimi reżyserami, między innymi: Izabellą Cywińską, Jerzym Hoffmanem, Kazimierzem Kutzem, Barbarą Sass, Konradem Swinarskim, Andrzejem Wajdą.

W 2003 roku założyła Fundację „Mimo Wszystko", której głównym celem jest wspieranie osób niepełnosprawnych. Różnorodne działania podejmowane przez Fundację służą przede wszystkim wyrównywaniu szans – usuwaniu barier mentalnych istniejących między światami ludzi niepełno- i pełnosprawnych.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Wikipedia, Anna Dymna
- Oficjalna strona internetowa Fundacji Anny Dymnej „Mimo wszystko”
- Oficjalna strona internetowa Festiwalu Zaczarowanej Piosenki im. Marka Grechuty
- tvp.pl, Festiwal Zaczarowanej Piosenki im. Marka Grechuty, Koncert Finałowy 2012 cz.1

Roman Ficek

„Jeśli mówimy o integracji, to trzeba powiedzieć uczciwie: »Jest jeden świat, jeden człowiek, jeden uśmiech dziecka«”.

Olimpiady dla wszystkich

– Urodziłem się na Górnym Śląsku, w rodzinie polskiej, bardzo katolickiej. Stąd moje i mojego rodzeństwa wychowanie – „od środka” kształtowane przez matkę i ojca.

Byłem najstarszy z pięciorga rodzeństwa. Nasza rodzina była typowo śląska. Ojciec pracował jako górnik, chociaż z wykształcenia był stolarzem, w kopalni „Ziemowit”. Natomiast mama to gospodyni domowa. Od początku mojego życia troszkę inaczej patrzyłem na świat przez moją niepełnosprawność – prawostronne lekkie porażenie mózgowe, okołoporodowe. Urodziłem się w marcu 1945 roku, nie było ani położnej, ani lekarza. Rosjanie już przyszli, Niemców już nie było. Nie było żadnej pomocy.

Mieszkam w Krakowie, mieście, które było kiedyś mekką dla mojej rodziny. Miałem pięć lat, kiedy po raz pierwszy byłem z rodzicami na Rynku Krakowskim, gdzie karmiłem gołębie. Pamiętam kocie łby, gdy przechodziłem koło kościoła Mariackiego i Wawelu. Wtedy moim marzeniem było, by tutaj wrócić. I w końcu udało się.

Skończyłem Uniwersytet Jagielloński, zostałem polonistą. Zacząłem pracować w małej miejscowości, w Krzęcinie pod Krakowem, koło Skawiny. Byłem

nauczycielem, zorganizowałem teatr, z dziećmi chodziłem na wycieczki, wyjeżdżałem na biwaki. Założyłem drużynę harcerską. Później nagle, ni stąd, ni zowąd awans, zostałem najmłodszym dyrektorem szkoły w powiecie. Po czterech latach pracy pedagogicznej władze powiatu zaproponowały mi kierownictwo szkoły w Korabnikach, też na wsi, też koło Skawiny. Dzisiaj prowadzi ją moja uczennica. Później kierowałem Liceum Ogólnokształcącym nr 1 w Skawinie, skąd trafiłem do Wydziału Oświaty w starym Krakowie – powiecie, a następnie wróciłem do Skawiny.

Roman Ficek najbardziej ceni uśmiech dziecka

Równolegle działałem w harcerstwie. Pracowałem w Krakowskiej Komendzie Chorągwi ZHP, byłem zastępcą komendanta do spraw organizacyjnych. Ale już wcześniej byłem szefem Wydziału Informacyjnego ZHP w Krakowie – powiecie. Kiedy trafiłem do „Nieprzetartego szlaku" – ZHP na rzecz osób niepełnosprawnych – po raz pierwszy spotkałem się z dziećmi niepełnosprawnymi i tak naprawdę tam się zaczęło moje nimi zainteresowanie. W tym czasie przeszedł na emeryturę dyrektor ośrodka dla dzieci niesłyszących w Krakowie i ja go zastąpiłem. To był początek mojej przygody z pedagogiką specjalną. Byłem ponad trzy lata w tej placówce.

I wtedy po raz pierwszy w historii ośrodka i historii szkolnictwa specjalnego dzieci niesłyszące pojechały na obóz harcerski. To był rok 1983. Niesłyszący byli znakomitymi harcerzami. Pojechałem do Szwecji, gdzie obserwowałem

prace z dziećmi niesłyszącymi. To było dla mnie coś nieprawdopodobnego, kiedy zobaczyłem taksówkę podjeżdżającą z dzieckiem niepełnosprawnym do szkoły. „Jezu – myślałem sobie – żeby tak u nas...”

Każdy człowiek dąży do odrobiny sukcesu, a sukces wyzwala energię, która prowadzi do kolejnego sukcesu. Młodzi ludzie chcieli się wyróżniać, to samo było z niepełnosprawnymi. Zostałem wizytatorem do spraw kształcenia specjalnego w Kuratorium Oświaty. Wkrótce dzieci niepełnosprawne po raz pierwszy występowały na scenie prawdziwego teatru, tutaj, w Krakowie.

Założyłem szkołę dla dzieci psychicznie chorych, i to liceum ogólnokształcące. Pomogła mi Klinika Psychiatrii. Chodziło o to, że dzieci, u których lekarze stwierdzili „zawirowania” psychiczne, należało odciągnąć od szkoły masowej, bo nie miały szans na jej ukończenie. Ta szkoła funkcjonuje do dzisiaj. Stworzyłem też szkołę dla słabosłyszących. Likwidowano zakłady Solvaya, gdzie było przyzakładowe przedszkole ze żłobkiem i tam właśnie powstała ta placówka, w pięknym budynku. Przez wakacje pracowali przy jej remoncie rodzice. Powstała taka rodzinna szkoła. Trafiały do niej dzieci z całego województwa. Do tej pory jest to placówka, w której w nauczaniu i wychowaniu partnerem jest rodzic. Przy dzieciach niesłyszących jest to bardzo ważne, by zachować system języka migowego. Nawet jeśli siedemdziesiąt procent uczniów tej szkoły to dzieci słabosłyszące, które odczytują mowę z ust, a często po operacjach u profesora Henryka Skarżyńskiego odzyskują słuch, spora grupa wychowanków żyje w świecie ciszy.

W swej działalności pedagogicznej i społecznej uważałem, że ważna jest rewalidacja przez sztukę i sport. Zacząłem organizować olimpiady specjalne. Pierwsza – dla dzieci specjalnej troski – odbyła się w ośrodku w Krakowie, przy ulicy Ptaszyckiego. Założyliśmy razem z nauczycielami wychowania fizycznego Małopolski Oddział Stowarzyszenia „Olimpiady Specjalne – Polska”.

> ” Wtedy po raz pierwszy zacząłem myśleć, że paraolimpiada, owszem, może być, ale jako eliminacja dla niepełnosprawnych po to, by jechali na normalną olimpiadę. To jest moja idea.

Już Natalia Partyka udowodniła (od autora: polska tenisistka stołowa – zawodniczka bez ręki), że można startować tu i tu, wygrywać tu i tu. Chcę, by najpierw była paraolimpiada, a najlepsi z niej startowali w tych konkurencjach, które będą na olimpiadzie. Oni nie będą wygrywać, ale będą mieli „piętno" olimpiady normalnej. Przecież nie rozróżniamy rudych od łysych malarzy. Nie wolno rozróżniać malarstwa osoby niepełnosprawnej od malarstwa osoby pełnosprawnej. Jeśli mówimy o integracji, to trzeba powiedzieć uczciwie: „Jest jeden świat, jeden człowiek, jeden uśmiech dziecka".

Bardzo zależy mi na tym, by ta idea się spełniła – to moje marzenie. Chciałbym, co jeszcze raz powtórzę, by paraolimpiada wyprzedzała olimpiadę, a najlepsi zawodnicy paraolimpiady startowali w olimpiadzie. Dlaczego wózkowicz nie może biec na trzy tysiące metrów? Przecież na olimpiadzie specjalnej, którą organizujemy w Krakowie, wózkowiczowie jadą na wózkach obok biegnących. Co za problem? Nie ma nóg, to jedzie, jego nogi to koła.

Byłem doradcą metodycznym z zakresu kształcenia specjalnego Urzędu Miasta Krakowa. Dzieliłem się swoją wiedzą i doświadczeniem. A przed dwoma laty stworzyłem cudowną szkołę – Zespół Szkół Specjalnych, którą kieruję i dzięki której nie myślę o emeryturze.

Kraków, upalne lato 2011

Roman Ficek

– nauczyciel. Urodził się w 1945 roku w Bieruniu Starym. Ukończył filologię polską w Uniwersytecie Jagiellońskim. Uczył w szkołach w Krzęcinie i Skawinie. Dyrektor Specjalnego

Ośrodka Szkolno-Wychowawczego dla Dzieci Niesłyszących w Krakowie. Pracował w Kuratorium Oświaty w Krakowie. Był zastępcą Komendanta Chorągwi ZHP. Obecnie jest dyrektorem Zespołu Szkół Specjalnych w Krakowie.

Inicjator Ogólnopolskich Sejmików Szkolnictwa Specjalnego, współzałożyciel Małopolskiego Oddziału Stowarzyszenia „Olimpiady Specjalne – Polska", organizator corocznej małopolskiej edycji Sejmu Dzieci i Młodzieży. Jest współtwórcą systemu rewalidacji przez sport i aktywność artystyczną.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- oficjalna strona intenetowa Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego nr 1 im. Jana Matejki w Krakowie
- gazeta.pl, Roman Ficek
- oficjalna strona internetowa Towarzystwa Przyjaciół Dzieci w Krakowie
- oficjalna strona intenetowa Stowarzyszenie Rodziców i Przyjaciół Dzieci z zespołem Downa „Tęcza" w Krakowie

Małgorzata Gambrych

Listy dzieci do Świętego Mikołaja są zapisem ich marzeń. Nie zawsze pragną najmodniejszych zabawek, często proszą o rzeczy użyteczne i nie dla siebie, ale dla rodzeństwa. O swoich wzruszeniach przy lekturze listów do Mikołaja opowiada Małgorzata Gambrych.

Pomocnik Świętego Mikołaja

– Kiedy moja córka dowiedziała się, ze otrzymałam Order Uśmiechu powiedziała: „Mamo, cieszę się bardzo, ale myślałam, że ten Order dostają tylko jakieś sławy. To dla mnie szok, ale ci się należy."

A wszystko zaczęło się kilkanaście lat temu, gdy trafił do mnie zupełnie przypadkowo list dziecka. Przyniosła go sąsiadka. W jaki sposób znalazł się u niej, nie wiem. Powiedziała, że ma parę listów od dzieci do Świętego Mikołaja i chciałaby, żebym jej pomogła je rozprowadzić. Wzięłam pierwszy z brzegu, przeczytałam. I powiem szczerze, popłakałam się – dziecko w liście do Świętego Mikołaja prosiło o buty dla swojej siostry, bo idzie zima i ona nie może wychodzić z domu. Nie zdawałam sobie sprawy, że są dzieci, które piszą o takich rzeczach, takie potrzeby powinni zaspokajać rodzice.

Pokazałam list swojej córce Ani, wówczas dwunastolatce. Była rówieśnicą dziewczynki, która właśnie pisała. Dla niej było oczywiste, że idziemy na

zakupy. Pamiętam, ta pierwsza paczka była niesamowita, bo były w niej nie tylko buty dla trzyletniej siostry autorki listu, ale także ubrania dla obu dziewczynek i mnóstwo słodyczy. W tej pierwszej spontanicznej akcji ucieszyło mnie i to, że moje dziecko bardzo aktywnie w niej uczestniczyło. I po roku, kiedy zbliżały się następne święta, córka zapytała: „Mamo, czy w tym roku też będziemy Świętym Mikołajem?"

Zwróciłam się więc do sąsiadki, od której dostałam ten pierwszy list. A ona na to, że już nie angażuje się dalej, ale jak chcę, da mi odpowiedni kontakt. Opowiedziałam jednocześnie w pracy o tych listach do Świętego Mikołaja, a koledzy i koleżanki zadeklarowali się, że chętnie wezmą listy. I tak się zaczęło. Nie pamiętam już, ile na początku było tych listów. Ale rok po roku ich liczba zaczęła rosnąć. Z czasem ludzie mieli już nazwiska „swoich" dzieci i dopominali się, żeby dla nich robić prezenty. Śmiałam się, ponieważ każdy rozglądał się za najmniejszym dzieckiem, najlepiej dziewczynką, i jeszcze, żeby chciała lalkę albo wózek, bo to się ładnie kupuje.

Od wielu lat organizuję te paczki. Rekordowy był rok, kiedy było ich dwieście. Listy były przeróżne. Pamiętam na przykład chłopca, który prosił o jakieś urządzenie do akwarium. Okazało się, że to akwarium nie było wcale w jego domu, ale w świetlicy, do której uczęszczał. Pierwsze listy były takie, że można było nad nimi płakać. Dzieci prosiły o rzeczy, które powinny dostać w domu, właśnie buty, bo idzie zima, czapki.

> Jak się pojawiły prośby o inne upominki, cieszyłam się, że dzieci uwierzyły, że Święty Mikołaj może przynieść coś więcej, nie tylko zaspokoić ich podstawowe potrzeby.

Jednak ostatnio znów zwiększyła się grupa dzieci proszących o podstawowe rzeczy. To mnie niepokoi.

Czytając listy, wiele z nich można się było nauczyć. Kiedyś na przykład chłopiec napisał: „Bardzo bym chciał dostać Peja". A ja nie wiedziałam, o co chodzi. Zrobiliśmy w mojej pracy burzę mózgów. I pamiętam, jak młody

informatyk stwierdził: „Jak to nie wiecie…, to jest polski raper, a mały chce jego płytę”.

Pamiętam pierwszy duży transport paczek. Było to już nie lada przedsięwzięcie, trzeba było przewieźć około sto pięćdziesiąt paczek do Świdnicy, aż pod Wrocław. Nie stać mnie było na wynajęcie dużego auta, które przejedzie te prawie tysiąc kilometrów z Warszawy i z powrotem. Musiałam szukać wsparcia i znalazłam. Okazało się, że mój przyjaciel – jeszcze z czasów studiów – ma nie tylko firmę transportową, ale także dobre serce. Kiedy jego ludzie wyruszyli z paczkami, spadł śnieg i była straszna ślizgawica. Siedziałam w domu, bałam się zadzwonić do kierowcy, żeby mu nie przeszkadzać. Co chwila pisałam esemesy, żeby dał znać, gdzie jest, bardzo się denerwowałam. Naprawdę było niebezpiecznie. Ale transport dotarł szczęśliwie, udało się.

Co roku są jakieś niespodzianki. Kiedyś dziecko poprosiło o biurko. Złożyło się kilka osób, ale kupili takie, że się nie zmieściło do mieszkania, trzeba było je zamienić. Były takie lata, kiedy większość dzieci prosiła o sanki. Zostały kupione, ale proszę sobie wyobrazić sto par sanek. Mały busik nie dał rady ich przewieźć. Trzeba było wynająć większy samochód.

Znam już imiona i nazwiska autorów listów do Świętego Mikołaja, znam te dzieci. Przez lata organizowałam paczki dla nich, ale też robiłam coś i dla siebie, bo jest mi to potrzebne.

jesień 2011

Małgorzata Gambrych

– ekonomistka, specjalistka od zarządzania i rachunkowości.
Ukończyła Szkołę Główną Planowania i Statystyki (obecnie Szkoła Główna Handlowa) w Warszawie. Tworzyła od podstaw Bank Rolno-Przemysłowy, przekształcony w Rabobank Polska SA. Była tam zastępcą głównego księgowego. Następnie objęła stanowisko zastępcy dyrektora finansowego Powszechnego Zakładu Ubezpieczeń na Życie SA. Odpowiadała między innymi za politykę rachunkową spółki, księgi rachunkowe. Prowadziła też doradztwo podatkowe i bilansowe dla firm prywatnych. Obecnie jest dyrektorem Biura Rzecznika Praw Dziecka.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Wikipedia, Dziecięca Nagroda SERCA
- orderusmiechu.pl, Gambrych Małgorzata
- port-naszdom.pl, Listy do rodziny – inauguracja kampanii społecznej
- swidnicaa.naszemiasto.pl, Wigilia z Rzecznikiem Praw Dziecka

Dorota Gellner

Rodzice powinni zwracać dzieciom uwagę na otaczający świat, na najdrobniejsze w nim szczegóły, które wzbogacają wyobraźnię – uważa Dorota Gellner.

Reaguję na piękno

Dlaczego pisze Pani dla dzieci?

Trudno znaleźć na takie pytanie odpowiedź. Sama nieraz się nad tym zastanawiałam. Przede wszystkim wychowałam się w domu, w którym była poetka. Moja mama Danuta Gellnerowa pisała dla dzieci. Wydawała książki, przez wiele lat była związana z czasopismami dla najmłodszych. Tworzyła dużo wierszy, które mi czytała, ale też poznawałam książki innych autorów. W domu było zawsze wiele czasopism – „Świerszczyki", „Misie", bo w nich mama drukowała swoje utwory. I tak naprawdę nie wiem czy to przeszło na mnie w genach, czy przez wirus poezji. Nie wiem, jak to wytłumaczyć, nigdy nie myślałam, że będę pisać. To spadło na mnie nagle. Przyszło i się zaczęło.

Czy to znaczy, że Pani nagle dostała weny twórczej i napisała wiersz?

Tak naprawdę to nie pamiętam. Jako dziecko lubiłam sobie rymować, ale to na ogół dzieci lubią. Dla zabawy wymyślałam sobie własne książeczki. Nie spodziewałam się, że z tym może wiązać się moja przyszłość. A kiedy stało się

to na poważnie – nie pamiętam. Pierwsze wiersze, które napisałam, mama postanowiła pokazać w redakcji. Jak teraz patrzę wstecz, to od tego czasu zmienił się niesamowicie styl mojego pisania. Ale życie zmienia wiele rzeczy, człowiek dojrzewa, w swojej twórczości też. To były zupełnie proste utworki, ale coś w nich było, skoro ktoś się nimi zainteresował. Pierwszy wiersz, który uznano, że się nadaje, został wydrukowany w 1981 roku w „Świerszczyku". Była to dla mnie zachęta. Tak więc zaczęłam od „Świerszczyka", a później był jeszcze „Płomyczek" i „Miś".

Zaczęła Pani konkurować z mamą?

Nie, nie było konkurowania. Ale parokrotnie zwrócono mi uwagę, bym bardziej szukała swojego stylu. Tak więc jakieś pewnie wpływy były.
W pewnym momencie jednak zmieniłam całkowicie styl, stał się on typowo mój. Tworzę różne formy, oprócz wierszy piszę opowiadania. Ale proza pojawiła się później, jest ona dla mnie trudniejszą formą. W tej chwili tworzę tak i tak.

Co Pani podoba się najbardziej z własnej twórczości?

Często najnowszy utwór podoba się najbardziej, wydaje się, iż jest on najlepszy. Są jednak rzeczy, do których jestem bardziej przywiązana. I tak jest na przykład, jeśli chodzi o piosenki, bo i one zrządzeniem losu też się pojawiły. Okazało się, że moje wierszyki są rytmiczne i wyjątkowo muzyczne. I chętnie kompozytorzy piszą do nich muzykę. Tak więc do mojej twórczości doszły też piosenki.

Co Panią inspiruje do pisania dla dzieci? Czy to wynika z obserwacji otaczającego świata, czy z wewnętrznej potrzeby, wspomnienia dzieciństwa?

Na pewno inspirują mnie rzeczy piękne, na przykład piękna muzyka. Bardzo lubię muzykę klasyczną, a szczególnie instrumentalną. Gdy słucham takich utworów, to we mnie same układają się różne historie, teksty. Widzę jakieś piękne obrazy. Inspiruje mnie malarstwo, oglądanie obrazów, przyroda. Doszłam do wniosku, że inspiruje mnie wszelkie piękno. A skąd biorę pomysły?

Uważam, że wszystko może stać się tematem. Pomysły się kryją pod podłogą i pod stołem. Wystarczy tylko inaczej na wszystko spojrzeć. Troszkę przez czarodziejskie okulary.

Jak się czyta moje wiersze, to widać, iż inspiracją są zarówno zjawiska przyrody – o deszczu, drzewach, kwiatach, jak i tematy bajkowe – jakieś

królewny, zamki, a czasami, jak w *Zającu*, pełne absurdu rozmowy z różnymi, spotkanymi osobnikami. Wielką inspiracją jest też dla mnie literatura, szczególnie ta, którą czytałam w dzieciństwie. Dość długo tkwiłam z nosem w książkach dla dzieci. Do dziś na półkach mam te wszystkie ukochane książki. A więc literatura, ale naprawdę dobra.

Ma Pani olbrzymią wyobraźnię?

Tak, myślę, że jest to kwestia niezwykłej wyobraźni. Ale na to wpływ mieli moi rodzice. Tata zajmował się fotografią amatorską, robił mnóstwo zdjęć, w tym i małych robaczków. Tak więc dla mnie inspiracją był każdy robaczek. Nigdy się ich nie bałam. Myślę, że ogromna rola rodziców leży w tym, by dzieciom zwracać uwagę na rzeczy, które nas otaczają. Gdy widzi się rodzica, który gna z dzieckiem, ciągnąc je za sobą, tak że frunie w powietrzu i w ogóle się do niego nie odzywa, to trudno, by ono zwróciło uwagę, że mija topolę albo akację. Samo z siebie nie będzie tego wiedziało. Rodzice mieli dla mnie dużo czasu. Spędzaliśmy go razem na spacerach, na oglądaniu drzew, ptaków. To wszystko teraz znajduje odbicie w mojej twórczości.

Niektóre Pani wiersze, piosenki są już dzisiaj klasyką?

Z piosenek absolutną klasyką jest *Zuzia, lalka nieduża*, *Ogórek wąsaty*, a także *A ja rosnę*, jak również napisane z Basią Kolago *Kwiatki bratki*, *Popatrzcie na jamniczka*, ten ostatni jest absolutnym hitem przedszkolaków. Wydałam niedawno swoją autorską płytkę *Skaczące nutki*. Tam jest trochę piosenek nowych, a część to te hity przedszkolne. Nie obawiałam się tego, że są to piosenki, które już mają trochę lat, bo wydaje mi się, że musi być coś, co łączy pokolenia. Teraz, kiedy rodzice kupują dzieciom tę płytę, cieszą się, że znajdują piosenki, które śpiewali. Dobre, podobają się, przetrwają wiele lat, nie musimy szukać co chwilę czegoś nowego. Upodobania wśród dzieci się nie zmieniają. Nie jestem za tym, aby były tylko nowe, chociaż piszę je także. Trzymajmy się tradycji, która nas łączy. Dobra muzyka czy dobra poezja przetrwa wieki. Dzisiejszy przedszkolak powinien znać zarówno wiersze Marii Konopnickiej, Stanisława Jachowicza, jak i te nowe.

Jak Pani widzi obecny rynek książki dziecięcej?

Wiele się na nim dzieje. Jest sporo nowych nazwisk, bardzo dużo pojawia się nowych książek. Myślę, że sprzedają się też nieźle. Z moimi książkami nie ma

kłopotów. Są ładnie wydawane, ładnie też ilustrowane. Mam jeszcze wiele pomysłów do zrealizowania.

lato 2011

Dorota Gellner

– poetka, prozaik, autorka książek dla dzieci m.in. *Ziewnik*, *Śpiewający sweterek*, *Czarodziejski świat*, *Dzieci w ogrodzie*. Debiutowała na łamach „Świerszczyka", współpracowała z licznymi czasopismami dziecięcymi: „Misiem", „Pentliczkiem", „Ciuchcią", „Płomyczkiem" i innymi. Autorka słuchowisk radiowych, bajek muzycznych (*Deszczem wyszywane*, *Zimowy cyrk*), telewizyjnej *Tęczowej Bajeczki*, sztuki lalkowej *Diabliki, figliki*. Napisała ponad sto tekstów piosenek dla dzieci, najbardziej znane to *Zuzia, lalka nieduża*, *A ja rosnę*, *Popatrzcie na jamniczka*, *Ogórek wąsaty*, *A to jeż*. Muzykę do jej tekstów komponowali m.in.: Barbara Kolago, Krystyna Kwiatkowska, Adam Skorupka, Jarosław Kukulski, Stanisław Marciniak. Na listę Skarbów Muzeum Książki Dziecięcej wpisano jej książki *Czekoladki dla sąsiadki*, *Gryzmoł* i *Zając*.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Wikipedia, Dorota Gellner

- youtube.com, Dorota Gellner Kąpiel
- wierszykidladzieci.pl, Dorota Gellner
- bjkizbajki.pl, Dorota Gellner

Grzegorz Jach

Zasłużony policjant, niekonwencjonalny pedagog, do tego wykształcony reżyser teatralny. Grzegorz Jach łączy te różne przestrzenie, aby uczyć dzieci życia opartego o dobre wzorce.

Policjant, pedagog, wielbiciel teatru

Policjant z pasją

– Ukształtowało mnie dzieciństwo, miałem cudowne, dzięki moim rodzicom – Anieli i Alfredowi. Oczywiście były też wpływy zewnętrzne, ale przede wszystkim dom rodzinny. Rodzice oboje są nauczycielami – mama jest matematykiem, była dyrektorem szkoły, tato jest historykiem, ale zajmował się trudną młodzieżą.

Taki był ten mój dom rodzinny, czyli od dziecka w szkołach, można powiedzieć, że byłem wychowywany przy szkole. W efekcie poszedłem wcześniej do pierwszej klasy, zacząłem się uczyć w wieku sześciu lat.

W którymś momencie mojego życia odkryłem harcerstwo. W pierwszej klasie liceum zostałem drużynowym. To była 22. drużyna ZHP im. gen. Zygmunta Berlinga w Żorach. Z tego okresu zapamiętałem wielką tolerancję moich rodziców, wsparcie w przygotowywaniu zbiórek, a także mojego mistrza z harcerstwa, harcmistrza Andrzeja Tomczuka, który był komendantem szczepu.

Chodziłem do jego rodzinnego domu po zbiórkach, analizowaliśmy ich przebieg.

Miałem szczęście do dobrych ludzi, których spotykałem w życiu. No i do dzieci. Pamiętam dzieciaki biegnące do mnie, gdy pojawiałem się na horyzoncie, obładowany akcesoriami do gier, do nauki. Biegli, by mi pomóc to nieść. Zapamiętałem tę radość na zawsze.

W harcerstwie zobaczyłem też, pierwszy raz w życiu, zdemoralizowany świat dorosłych. Byłem na obozie harcerskim, z którego wyjechałem zapłakany, ponieważ nie mogłem się pogodzić z tym, że kadra instruktorska wieczorem była pijana, a rano mówiła o prawie harcerskim. Jestem idealistą, ideowcem i to się chyba już we mnie nie zmieni. Pamiętam, że strasznie to przeżyłem emocjonalnie. I obiecałem sobie, że u mnie, nigdy czegoś takiego nie będzie, gdy będę komendantem obozu. Jestem tej obietnicy wierny.

Po tym obozie wróciłem do działania w szczepie i intensywnie działałem na forum kręgów instruktorskich. Zostałem instruktorem. Mam za sobą dobrą edukację, dobre przygotowanie do prowadzenia drużyn harcerskich.

Po maturze wyjechałem do Wrocławia, do Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Zmechanizowanych. Studiowałem na wydziale dzisiejszej Straży Granicznej, wtedy Wojska Ochrony Pogranicza. I tam znowu trafiłem na dobrych ludzi. Wtedy odrodziło się harcerstwo w kręgach instruktorskich – to się nazywało WKI – Wojskowy Krąg Instruktorski. Szybko zostałem komendantem tego kręgu. Najpierw w jednej kompanii, potem już w całym batalionie i zostałem

zauważony na forum całej szkoły. To pozwoliło mi na współpracę z hufcem Wrocław Psie Pole.

I kolejne działanie, to praca z dziećmi dzielnicy Wrocławia Psie Pole, łącznie z tym, że byłem komendantem obozów harcerskich, oddelegowany na letnie miesiące nad morze, gdzie prowadziłem obozy młodszo-harcerskie. One były dla dzieciaków z ostatnich klas szkoły podstawowej, no i wychowywałem młodszą kadrę instruktorską. Oprócz tego byłem komendantem kręgu. Pracowałem tam z dziewiętnastolatkami i dwudziestoparolatkami. Z nich wychowywałem drużynowych w tym kręgu, by mogli zakładać swoje drużyny.

Jak skończyłem szkołę oficerską, wylądowałem w swojej pierwszej pracy w Kętrzynie. Dzisiaj jest to Centrum Szkolenia Straży Granicznej. Zostałem dowódcą plutonu kadetów. W tym czasie założyłem swoją drugą drużynę harcerską. To była 43. Drużyna Harcerska im. Zawiszaków. Moja przysięga się wszędzie sprawdzała – nigdy nie było alkoholu, papierosów. Wtedy nie było narkotyków, dzisiaj są.

> ” Jeśli coś chce się zbudować i pracuje się z młodzieżą, to trzeba absolutnie zacząć od siebie. Jeżeli się nie jest przykładem, nic z tego

nie będzie. Nie będzie, bo młodzież jest mądra, widzi, dostrzega, nie da się oszukać.

Nie można udawać, że jestem trzeźwy, jak nie jestem. Nawet nie proszę, ale żądam tego od mojej kadry, jestem w tym konsekwentny. Kadra, która nie potrafi tego zrozumieć, musi odejść.

W Przemyślu, z kolei pracowałem z młodymi żołnierzami, byłem dowódcą kompanii. W międzyczasie skończyłem studia pedagogiczne, zaocznie oczywiście, bo dzienne studia to były te inżynierskie we Wrocławiu. Jestem magistrem pedagogiki. Ukończyłem też Akademię Obrony Narodowej w Rembertowie. A potem pojawiła się nowa pasja. Tą nową pasją stał się teatr. I w związku z tym podjąłem nowe studia zaoczne i jako policjant skończyłem reżyserię teatralną.

Połączenie zawodu policjanta z pedagogiką i wręcz z miłością do teatru dało w efekcie program PaT – „Profilaktyka a Ty". Można powiedzieć, że policja to bezpieczeństwo, pedagogika to młodzież i jej wychowanie, no i wreszcie teatr jako narzędzie, ale też jako pewna myśl filozoficzna, myśl, która kształtuje człowieka. Jest to formuła otwarta. Sprawdza się niezwykle zaskakująco, dynamicznie. Takim przedpolem programu PaT była Scena 07, którą założyłem w Warszawie, jedyny teatr środowiska policyjnego. Ta scena działała dwanaście lat, zagrała dwadzieścia sześć premier, przez scenę przewinęło się ponad trzystu młodych ludzi, młodzieży. Niektórzy z nich zajęli się zawodowo teatrem.

Młodzież realizuje program PaT – „Profilaktyka a Teatr – Profilaktyka a Ty”

Grażyna Małkowska, pedagog szkolny w Warszawie, napisała dla nas spektakle edukacyjno-profilaktyczne: *Dzwonek* – dla rodziców, *Blackout* – dla młodzieży. Ja to wyreżyserowałem i się okazało, że ma to niesamowite wzięcie, wszyscy chcą je oglądać, nauczyciele, dyrektorzy, młodzież. W ciągu roku szkolnego gramy te sztuki dla rodziców przed wywiadówkami i potem z nimi rozmawiam o ich dzieciach. To są trudne rozmowy o wychowaniu.

Druga część tego działania, to praca z młodzieżą. Wystawiamy dla nich spektakl, taki dziesięciominutowy, który mówi: zachowaj swoją godność, zachowaj swoją prawdę, nie biegnij na ślepo przed siebie, popatrz, jest ktoś obok ciebie, nie depcz tych, którzy są słabsi. Pokazujemy też rodziców, którzy mówią: „Możesz na mnie liczyć, pamiętaj, że jestem przy tobie”. To jest fantastyczne. Wchodzę na widownię z mikrofonem i rozmawiam. Sposobem dramy, bo tego się uczyłem u pani profesor Haliny Machulskiej, która mówi, że drama to jest dobra metoda edukacyjna. I zgadzam się z nią.

Siłą tego, co nazywam profilaktyką rówieśniczą, jest to, co młodzi czynią dla młodych, że młodzi mówią młodym, że młodzi przestrzegają młodych. To robimy w PaT-cie, promujemy modę na życie bez uzależnień. Nie psychologowie, nie specjaliści-terapeuci, nie pedagodzy, nie policjanci, nie dzielnicowi – a koledzy. Koledzy mówią wymownie: „Ja żyję bez alkoholu, bez narkotyków, zobacz, jak jest fajnie, ile jest rzeczy, jest sport, harcerstwo, kultura, my mamy teatr, film. Dołącz do nas”.

Tańczymy, gramy, robimy gazety. I to jest wielka siła oddziaływania. Ja nie jestem przeciwko – oczywiście – pogadankom czy wykładom z młodzieżą, ale uważam, iż jest to za mało. Bo jeśli by to wystarczało to nie mielibyśmy rosnących zjawisk patologii społecznych. Trzeba szukać innych metod, bo gdyby te były dobre, to nie mielibyśmy dzisiaj tylu narkomanów, dzieci, które już odeszły z tego świata i tyle dzieciaków na odtruciu. Ja proponuję profilaktykę rówieśniczą. No i taki jest właśnie PaT.

I to jest takie moje zaangażowanie w młodych ludzi. Jestem dumny z liderów, których wychowałem, wykształciłem na liderów tego programu, bo w danym mieście inwestujemy w jednego człowieka, który staje się liderem PaT-u, wokół niego zbiera się zespół lidera, czyli tacy, którzy mogą go zastąpić. A oni wokół siebie skupiają ilu się da z całego miasta, z całej wsi, z całej gminy, żeby tych dzieciaków było jak najwięcej, żeby pokazać – zobaczcie, ilu nas jest.

Jestem otoczony fantastycznymi ludźmi, powiedziałem na początku, że mam szczęście do ludzi. W PaT-cie odnajdują się kapitalni przewodnicy młodych ludzi, nauczyciele, za którymi idą grupy teatralne, młodzież.

listopad 2011

Podczas zlotu PaT-y

Grzegorz Jach

– harcmistrz, inspektor Policji, kapitan rezerwy Straży Granicznej.

Urodził się 24 czerwca 1962 w Wodzi-sławiu (pow. jędrzejowski), ukończył Wyższą Szkołę Oficerską Wojsk Zmechanizowanych im. T. Kościuszki we Wrocławiu w 1984 roku, Akademię Obrony Narodowej w Rembertowie w 1991 roku, studia podyplomowe w zakresie zarządzania instytucjami pozarządowymi w Uniwersytecie Warszawskim w 2001 roku, Studium Reżyserii Teatralnej w Warszawie w 2002 roku. Rozpoczął studia doktoranckie na Wydziale Pedagogicznym UW.

Dowódca plutonu (1984 – Centrum Szkolenia WOP w Kętrzynie), dowódca kompanii (1985 – Bieszczadzka Brygada WOP w Przemyślu), przewodniczący Rady Młodzieżowej WOP i krajowy koordynator drużyn Harcerskiej Służby Granicznej (1987 – Dowództwo WOP/Straży Granicznej w Warszawie), oficer Centrum Kultury i Sportu Policji (1991), naczelnik Wydziału Promocji Policji (2001 – Gabinet KGP), pełnomocnik Komendanta Głównego Policji ds. promocji bezpieczeństwa publicznego i współpracy z organizacjami pozarządowymi (2008 – Gabinet KGP).

Twórca Centralnych Artystycznych Akcji Letnich środowiska policyjnego 1996–2006. Założyciel i reżyser (dwadzieścia sześć premier) teatru środowiska policyjnego Scena 07 (1997).

Autor i realizator programu edukacyjno-profilaktycznego KGP „Profilaktyka a Teatr – Profilaktyka a Ty”.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- dzienniklodzi.pl, Grzegorz Jach: PaT to promowanie mody na życie bez uzależnień
- youtube.com, Grzegorz Jach
- policja.gov.pl, Profilaktyka a Ty
- youtube.com, Profilaktyka a Ty

Alina Janowska

Zainicjowała powstanie Gniazd – przytulisk dla dzieci i młodzieży, gdzie podopieczni znajdują domowe ciepło.

Dobrze porozumiewam się z dzieciakami

– *Bardzo piękna idea zaprezentowania Kawalerów Orderu Uśmiechu* – mówi Alina Janowska. – *Szczególnie, gdy człowiek szykuje się już na tamten świat. Bardzo mi się ona podoba – dodaje z typowym dla niej poczuciem humoru*.

W rodzinie mówiło się, że kiedy spotykałam grupkę dzieci, od razu ustawiałam je w dwuszereg i kazałam ćwiczyć. To przesada. Przyznam jednak, że zawsze dobrze porozumiewałam się z najmłodszymi.

Tak więc, kiedy natknęłam się na grupę chłopców, grających w piłkę, którzy wcześniej zdewastowali toaletę, to wzięłam ich za łby i zaprowadziłam do szkoły, do dyrektorki. Tam, w rozmowie wyszło, że mają na sumieniu drobne kradzieże. Zwróciłam się do dyrektorki, by dała jakąś niepotrzebną klasę, może być nawet piwnica, a ja spróbuję się zająć tą młodzieżą. To działo się przed osiemnastu laty. Sami wszystko posprzątaliśmy. Potem dołączały osoby, które zaczęły pomagać. Tak powstało Gniazdo. Nazwa miała być synonimem domu, ciepła, przytulenia, bo ja po rozmowie z tymi chłopakami zorientowałam się, że oni nie mają dokąd wrócić. Nudzą się.

Alinę Janowską przyjmują do grona Kawalerów Orderu Uśmiechu (od lewej): Danuta Rosner, Cezary Leżeński, Marek Michalak

Chodziłam po prośbie po ludziach, którzy mają pieniądze, znajdowałam zrozumienie. Był jeszcze jakiś duch społecznikowski. Taki był początek. Później wysyłaliśmy na wakacje dzieci. Kolejne były kierowane do nas przez księży, psychologów. Stworzyliśmy stołówkę. Dla wielu to był jedyny posiłek. Zaprzyjaźniłam się z prezesem „Społem". Zaczęliśmy gadać, bo przecież żadnymi rozporządzeniami by się tego nie zrobiło. Teraz nie ma pieniędzy. Miasto nie ma, bo przekazało gminom, a gminy nie mają, bo jeszcze do nich nie przyszły – śmieje się pani Alina.

> Gniazda w swoim założeniu nie wyjmują dziecka z rodziny, lecz pomagają jej, aby ta stała się bardziej wydolna wychowawczo i dążyła do stworzenia dziecku warunków do prawidłowego rozwoju.

Od momentu rozpoczęcia naszej działalności założyliśmy wiele świetlic – Gniazd, czyli placówek wsparcia dziennego na terenie Warszawy, w których popołudniową opiekę znajduje codziennie wiele dzieci i młodzieży.

Organizujemy w nich zajęcia: plastyczne, sportowe, komputerowe, muzyczne, fotograficzne, teatralne, taneczne, reedukacyjne, terapeutyczne, ekologiczne, odrabianie lekcji. Przygotowujemy imprezy okolicznościowe z okazji świąt Dnia Dziecka czy Dnia Matki. Wyjeżdżamy na wycieczki turystyczno-krajoznawcze, kolonie terapeutyczne, taneczne czy sportowe. Obejmujemy psychologiczną opieką indywidualną dziecko i rodzinę. W sposób systematyczny prowadzimy w świetlicach dożywianie dzieci w formie drugiego śniadania, podwieczorku i kolacji.

Z satysfakcją obserwujemy, jak dzieciaki lepiej się uczą, uzyskują promocje do wyższych klas, są zdrowsze, rozwijają zainteresowania pozaszkolne.

wiosna 2010

Alina Janowska-Zabłocka

urodziła się 16 kwietnia 1923 roku w Warszawie. Ukończyła Szkołę Tańca Artystycznego Janiny Mieczyńskiej w Łodzi. Wzięła udział w Powstaniu Warszawskim, przyłączając się do niego już 1 sierpnia. Była łączniczką dowództwa batalionu „Kiliński" pod pseudonimem „Alina", na służbie pozostawała do 4 października 1944 roku.

Znana przede wszystkim z ról komediowych. Aktorka telewizyjna, filmowa, estradowa i teatralna. Wielokrotnie brała udział w produkcjach dla dzieci i młodzieży: *Samochodzik i templariusze* 1971, *Podróż za jeden uśmiech* 1972, *Na tropach Bartka* 1982. – W pracy artystycznej wiele robiłam dla dzieci i bardzo to lubiłam – wspomina. – One mnie wciąż miło przyjmują.

Wieloletnia przewodnicząca Sekcji Estrady ZASP-u. W latach 1947–49 występowała w Teatrze Narodowym pod dyrekcją Juliana Tuwima, a następnie – w Teatrze Wojska Polskiego (późniejszy Dramatyczny). W latach 1952–65 (z czteroletnią przerwą) była aktorką Teatru Syrena. W tym czasie należała też do ekipy Teatru Buffo, występowała w kabaretach Szpak i Podwieczorek przy mikrofonie. W latach 1962–64 była też wykładowcą interpretacji piosenki w Szkole Muzycznej im. Chopina w Warszawie, zaś w okresie 1966–80 należała do zespołu Teatru Komedia. W filmie zadebiutowała w słynnej komedii Leonarda Buczkowskiego *Zakazane piosenki* (1946). W latach 60. zasłynęła jako gwiazda małego ekranu, zdobywając popularność dzięki jednej z głównych ról w serialu *Wojna domowa* Jerzego Gruzy (1965).

Założyła sieć świetlic dla dzieci Gniazdo, w ramach stowarzyszenia o tej samej nazwie.

Jak sama mówi, społecznikostwo wyniosła z domu. – Mój ojciec – podkreśla – był społecznikiem z pewnością. Przed wojną był dyrektorem szkół rolniczych. Wychowywał młodzież wiejską. Był bardzo jej oddany. W takiej atmosferze się wychowywałam. Tata, który

był wspaniałym tatą, jak i mama, która była wspaniałą mamą, zawsze pomagali biednym ludziom, potrzebującym, w tym najmłodszym.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Wikipedia, Alina Janowska
- youtube.com, *Pan Samochodzik i Templariusze*
- filmweb.pl, Alina Janowska
- obliczakultury.pl, *Order Uśmiechu* – od dzieci dla dorosłych

Bogusław Kaczyński

Charyzmatyczny popularyzator muzyki poważnej. Ma dar rozmowy z najmłodszą widownią. Sprawia, że dzieci są zasłuchane.

Zaczarowany świat muzyki

– Mam wszystkie polskie odznaczenia, oprócz Orła Białego, ale Order Uśmiechu, choć najskromniejszy z nich, jest dla mnie szczególnie ważny, cenny, bo został przyznany przez dzieci. Doceniły moją wieloletnią pracę nad pokazywaniem im zaczarowanego świata, nie tylko muzyki, kultury, wychowania, ale uczenia dobrego obyczaju, dobrych manier. Właśnie dzieci to doceniły. Bardziej niż dorośli.

Nie pamiętam dokładnie, ale chyba pięćdziesiąt lat temu zacząłem prezentować dzieciom kulturę muzyczną w specjalnym wydaniu, adresowaną tylko do nich. Potem były festiwale muzyki w Łańcucie, które stworzyłem. Do każdego z tych festiwali, poczynając od pierwszego, wprowadziłem jeden koncert zatytułowany Przedstawienie tylko dla dzieci. Tak było zapisane na afiszu festiwalowym i na widownię mieli wstęp tylko najmłodsi. Ich rodzice, opiekunowie słuchali koncertu o tej samej godzinie w innej sali. Dzieci zostawały ze mną. Prezentowałem im najpiękniejsze bajki muzyczne. Były

między innymi opery o tematyce dziecięcej, takie jak *Jaś i Małgosia*, balety klasyczne *Śpiąca królewna*, *Dziadek do orzechów*, *Pan Twardowski*.

Przez dziesięć lat byłem dyrektorem festiwalu w Łańcucie i przygotowałem dziesięć propozycji dziecięcych. Oczywiście każda z nich to wiele, wiele przedstawień. Sukces był ogromny. Do Łańcuta przyjeżdżali rodzicie z dziećmi z całej Polski. Mali widzowie byli bardzo odświętnie, niezwykle pięknie ubrani. Wystrojone dziewczynki, chłopcy w pluszowych marynarkach, muszkach. Te dzieci były maleńkie, niektóre miały zaledwie dwa lata, siedziały czasem we dwójkę na jednym fotelu.

Zapraszałem najlepszych artystów z Teatru Wielkiego z Warszawy, Teatru Wielkiego z Łodzi, a także z innych teatrów. Muszę powiedzieć, że zachowanie dzieci było wprost niezwykłe. Ja sam i pięćset dzieci na widowni. Ale one wcale nie dokazywały, nie przerywały przedstawienia. Były tak zasłuchane, tak włączone w całość sztuki. I tutaj sprawdziła się wymyślona przeze mnie metoda, że dzieci wchodzą na salę same, bo wtedy w skupieniu oglądają spektakl, a kiedy są rodzice, ciocia, babcia to wyjmuje się herbatniczki albo cukierki, dziecko rozmawia.

Ponadto miałem taką czarodziejską, migającą muszkę. Kiedy był moment pewnego kryzysu – rozprzężenia tej dziecięcej widowni, włączałem tę muszkę. W kieszeni miałem bateryjkę, dzięki której muszka migała światłami stroboskopowymi. Przywiozłem ją kiedyś z Ameryki. Bez powodu, kupiłem dla zabawy. Dzieciaki były tak zapatrzone w te światła, że przestawały rozmawiać. Rodzice pytali, co to jest za migająca muszka, bo syn czy córka mówili tylko o niej. To był świetny pomysł, żeby wprowadzić taką równowagę na widowni.

> ” Jak one oglądały te przedstawienia, to było wzruszające. Wtedy się dokładnie poznaje, jaka jest psychika dziecka. One reagują na białe i na czarne, na dobro i na zło.

Królewicz, królewna na scenie mają jasne, białe, srebrne, złote kostiumy – są przez to dobre. A baba-jaga na miotle ubrana jest na ciemno – ciemne fiolety, czernie, ona jest zła. Dzieci się boją, kiedy ona się zjawia. Były takie sytuacje, że widząc strach, bo zjawiła się baba-jaga na miotle, dawałem artystom delikatnie znaki, żeby troszeczkę stonować grę. Z wielką radością obcowałem z tymi małymi widzami. Później artyści schodzili na widownię w kostiumach. Jak te dzieci tych artystów przyjmowały, prosiły o autografy. Wszystkie miały programy i prosiły o autograf na tych właśnie programach.

Z tych moich dzieci na widowni w Łańcucie wiele ukończyło studia, rodzaj kulturoznawstwa na uniwersytetach i dzisiaj zajmują się sztuką. Dowiaduję się o tym przypadkowo. Bo my jesteśmy jak tacy siewcy wiosną, którzy sieją ziarno, ale nie mają pojęcia, co z niego wyrośnie, kto zbierze to ziarno i co dalej z nim zrobi. Zdarza się, że ktoś do mnie podchodzi i mówi: „Jestem pana dzieckiem z bajek w Łańcucie". Stoi dryblas ze swoim małym dzieckiem. Opowiada mi szczegóły bajki, na której był przed laty, muszkę migającą oczywiście przypomina.

Kiedyś, to było w Chicago, w wielkiej, liczącej kilka tysięcy miejsc sali Copernicus Center – na zakończenie koncertu dostaję kosz kwiatów biało-czerwonych, a do kosza przyczepiona wizytówka. No więc dziękuję bardzo, jakaś organizacja polonijna – myślę. Wynoszę ten kosz i czytam wizytówkę: „Z radością pana widzimy. Dzieci z Łańcuta".

Później robiłem bajki muzyczne w telewizji. Trwało to kilka lat. To była seria zatytułowana *Bogusław Kaczyński zaprasza dzieci*. W studio były maluchy, siedziałem wśród nich i opowiadałem bajkę. A na ekranie telewizora pojawiały się fragmenty muzyczne będące ilustracją danej części bajki. A potem konkurs najpiękniejszych prac wykonanych przez dzieci z całej Polski. Pokoje redakcyjne były pod sufit założone rysunkami najmłodszych. Losowaliśmy nagrody, które dostawały oczywiście dzieci sprzed telewizorów.

Po kilku latach przerwano nagrywanie tych audycji. Jak mi powie-dziano: „Są za długie. W tym czasie można dać kilka innych materiałów, takich jak sport,

filmy kryminalne". Mam jednak wielką satysfakcję, bo do dzisiaj widzowie, już dorośli, pamiętają te bajki, pamiętają te moje opowieści dla dzieci.

Potem byłem dyrektorem Teatru Muzycznego Roma i tam również prowadziłem przedstawienia dla dzieci. Wystawiałem opery, balety dziecięce. Na widowni było tysiąc dzieci, a ja witałem je, gdy wchodziły na salę, siadały. Robiliśmy specjalne przedstawienia dla „dzieci ulicy", dla biednych dzieci. To były też niezapomniane wieczory, absolutnie niezapomniane.

Kiedyś przechodziłem między rzędami i zwróciłem uwagę na smutnego chłopca. Mijałem go, taki był smutny, taka buzia księżycowa, włoski rozczochrane, maleńki, siedem lat. Automatycznie, odruchowo wyciągnąłem rękę, chciałem go pogłaskać po głowie. On w tym momencie wykonał jakiś straszny ruch i wszedł pod fotel. Czegoś takiego nigdy w życiu nie widziałem. Poszedłem dalej, bo już zaczynało się przedstawienie. Po spektaklu jego nauczycielka powiedziała mi: „Proszę się temu chłopcu nie dziwić, wyciągnął pan do niego rękę, a dla niego wyciągnięta ręka oznacza bicie". Myślę o tym już tyle lat, nie mogę tego zapomnieć.

Warszawa, koniec marca 2011

Od autora:

Bogusław Kaczyński przywitał mnie uśmiechnięty, w dobrej fizycznej formie. Po chorobie niewiele już śladów. Przyglądałem się domowej ekspozycji. Upamiętnia koncerty prowadzone przez Bogusława Kaczyńskiego w najsławniejszych salach operowych.

Zawsze dba o atrakcyjną formę spotkań z dziećmi

Bogusław Kaczyński

– dziennikarz, publicysta i krytyk muzyczny, popularyzator opery, operetki i muzyki poważnej, teoretyk muzyki, twórca telewizyjny, animator kultury, prezenter i autor wielu programów w TVP. Urodził się 2 maja 1942 roku w Białej Podlaskiej.

Prowadził transmisje telewizyjne najważniejszych wydarzeń muzycznych w kraju i za granicą, m.in.: Konkurs Chopinowski, Konkurs im. Henryka Wieniawskiego, koncerty Pavarottiego, Placido Domingo, jubileusz Filharmonii Narodowej, festiwal w Opolu, Koncerty Noworoczne z Wiednia, konkursy Eurowizji.

Autor licznych felietonów i recenzji. Przez dziesięć lat (1980–1990) kierował Festiwalem Muzyki w Łańcucie. Od 1982 do 2012 roku pełnił funkcję dyrektora Europejskiego Festiwalu im. J. Kiepury organizowanego w Krynicy-Zdroju. W latach 1993–1996 był prorektorem Akademii Muzycznej w Warszawie. Przez cztery lata (1994–1998) kierował Teatrem Muzycznym Roma.

Jest założycielem Fundacji ORFEO, która wspiera kulturę narodową, propaguje sztukę wśród dzieci i młodzieży oraz promuje ambitne inicjatywy artystyczne.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Wikipedia, Bogusław Kaczyński

- Oficjalna strona intenetowa Bogusława Kaczyńskiego
- tvn.pl, Bogusław Kaczyński: „Warto było to robić”
- Oficjalny blog Bogusława Kaczyńskiego

Mirosława Ewa Kątna

„Rzucają mi się na szyję, jakaś kelnerka, jakaś fryzjerka. »Pani Mirko, pani mnie pamięta?!« – mówią. To jest moja satysfakcja. To dlatego warto było żyć, robić to, co robiłam”.

Spełniona kobieta

– Już w szkole średniej chciałam zostać psychologiem sądowym, by zajmować się tak zwaną trudną młodzieżą. I rzeczywiście, studiując taką specjalizację, skupiłam się na psychologii sądowej, przestępczości nieletnich i psychologii klinicznej.

Badania do pracy magisterskiej robiłam w zakładzie poprawczym w Białymstoku. W latach siedemdziesiątych XX wieku miał opinię bardzo surowego zakładu, o obostrzonym rygorze, dla młodzieży, która była już w warunkach recydywy. Miałam niewiele więcej lat od wychowanków tego poprawczaka. Przeprowadzałam z nimi setki rozmów, a oni mieli potrzebę mówienia o swoim życiu, często dramatycznym. Słuchając ich, widziałam w wielu z nich wiele dobrego, ludzi wrażliwych.

Pierwszą pracę podjęłam w Państwowym Zespole Ognisk Wychowawczych pod kierunkiem Marii Łopatkowej, ona była wówczas dyrektorem. Nie zrealizowałam do końca swojego marzenia bezpośredniej pracy z młodzieżą przestępczą z bardzo prozaicznego powodu. Już wówczas mieszkałyśmy z moją

mamą w Warszawie, a tutaj nie było żadnego zakładu poprawczego. Namiastką trudnej młodzieży byli ci, którzy trafili do ognisk wychowawczych. Byłam przez trzy dni w tygodniu wychowawcą grupy, a przez kolejne trzy dni – psychologiem. Tam zobaczyłam, że są to cudowne dzieci, wspaniali ludzie, a mają kompletnie pokiereszowane domy rodzinne. Już wtedy niedoświadczony psycholog mógł powiedzieć, iż nie ma trudnych dzieci, są trudni dorośli.

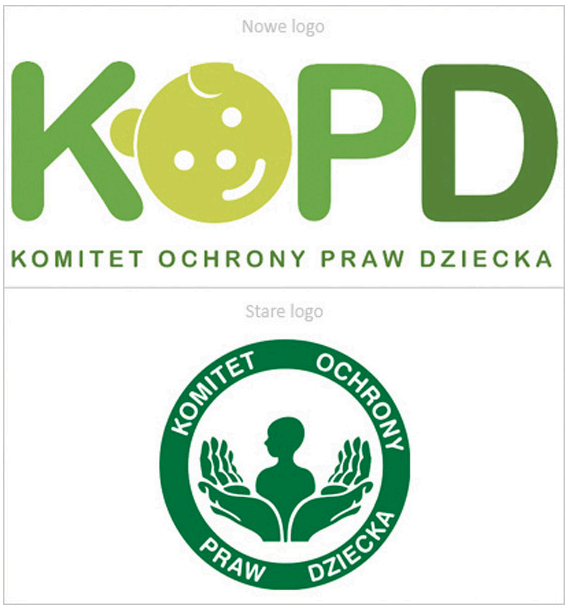

Z całej populacji dziecięcej na świecie dwa procent dzieci, które się rodzą, to są dzieci z tak zwanymi mikrouszkodzeniami w centralnym układzie nerwowym. Czyli obiektywnie, z tych dwóch procent mogą wyrastać te z piekła rodem. To są dzieci nadpobudliwe, dzisiaj określane jako dzieci z ADHD, które zwłaszcza w okresie dojrzewania sprawiają wiele kłopotów. Z innych badań w latach siedemdziesiątych wynikało, że około trzydzieści procent dzieci w okresie dojrzewania, czyli dzisiejsi gimnazjaliści, sprawia poważne problemy wychowawcze. Dzisiaj niektórzy badacze mówią, że pięćdziesiąt procent, czyli wniosek jest bardzo prosty: to my, dorośli, coś z tymi dziećmi zrobiliśmy.

Poznawałam młodych ludzi nie tylko robiąc badania psychologiczne, ale pomagając im w lekcjach, śpiewając z nimi, jeżdżąc na spływy kajakowe, śpiąc w namiotach, gotując posiłki w kotle, łażąc po górach. Poznawałam ich w codziennym życiu. I okazywało się, że oni mają ogromną wrażliwość, że są to

świetni młodzi ludzie. Potem poznawałam ich rodziców i zdawałam sobie sprawę, że to w nich tkwi źródło kłopotów z dziećmi.

> Żadne dziecko nie urodziło się złe. Mieli pecha, mieli niedobrą matkę, niedobrego ojca czy obydwoje rodziców, mieli głupich nauczycieli. To były moje pierwsze refleksje, że trzeba coś z tym środowiskiem dorosłych robić.

Zaczęłam dowiadywać się od moich uczniów, że nauczycielka w pierwszej klasie małemu dzieciakowi naubliżała: „Ty głąbie, ty głupku, ty idioto". I moja wychowanka czy wychowanek przychodzili mi się wypłakiwać. Nie zapomnę dziewczynki, która wróciła ze szkoły, była w drugiej klasie, i wyznała mi, że pani nauczycielka powiedziała jej: „Wyglądasz dzisiaj jak dziwka". A ona tylko kokardki do kucyków przyczepiła, upiększyła się. Myślałam sobie, jak to dziecko ma jutro pójść chętnie do szkoły?

Ogniska były wtedy jedynym miejscem w Warszawie, do których od czasu do czasu dzwoniono z informacją, że jakieś dziecko krzyczy za ścianą. Zdarzył się tragiczny wypadek, pierwszy wtedy upubliczniony, o zakatowanym małym Danielu, w tak zwanym dobrym domu na Bielanach. Matka nauczycielka, ojciec inżynier. Danielek tak długo był bity pasem, aż zatłuczono go na śmierć, bo nie umiał zawiązać sznurowadeł w swoich bucikach. Proszę pamiętać, że za moich czasów, na tej ukochanej psychologii, na temat przemocy wobec dzieci nikt się nawet nie zająknął, nie było tego tematu. Nie było na psychologii, na pedagogice, na resocjalizacji i na prawie też nie było takiego pojęcia. Więc ja – psycholog, nie wiedziałam, na czym to polega.

Maria Łopatkowa zaczęła kierować się intuicją, jako pedagog i dyrektor. Nagle w tak zwanym dobrym domu, wbrew wszelkim stereotypom, skatowano dziecko. Przesłuchiwani sąsiedzi mówili: „Tak, on krzyczał często, ale to tacy porządni ludzie, mówili dzień dobry, zawsze czyści, widocznie smarkacz niesforny". Panie z przedszkola zeznały: „Tak, on miał dziwne plamy na buzi". Dzisiaj wiemy, że jest to jeden z symptomów dziecka maltretowanego i powstaje przez ściskanie palcami buzi.

Danielek zginął po kolejnym ataku niekontrolowanej agresji rodziców. Do tego zdarzenia doszło pod koniec lat siedemdziesiątych XX wieku. Wspólnie z lekarzami chirurgami, przede wszystkim z profesor Bibianą Mossakowską, zaczęliśmy analizować przypadłości dzieci, które nie mogły pochodzić z wypadku. Zaczęliśmy zastanawiać się, co z tym zrobić. Taka była geneza powołania Komitetu Ochrony Praw Dziecka. Oczywiście był wrzask: „Przed kim chcecie bronić dzieci, to się nie mieści w moralności socjalistycznej! Przemoc wobec dzieci to tylko w tym zgniłym kapitalizmie, to w Ameryce, bo tam jest siedlisko zła, narkomania, prostytucja, coca-cola i przemoc!"

Powstał Komitet – Maria Łopatkowa była przewodniczącą, ja wiceprzewodniczącą, no i, że tak powiem, „puściła się" lawina spraw. Wtedy ludzie wiedzieli, ktoś o nas napisał, dostałyśmy pokoik czy dwa w budynku Starej Prochowni. To była droga pod górkę i siermiężna, ale zmieniająca świadomość. Poduczyłyśmy się, czytałyśmy literaturę o przemocy, o dzieciach krzywdzonych. Dziesięć lat później, razem z Aliną Margolis-Edelman i z dr Ireną Kornatowską, współtworzyłam Fundację „Dzieci Niczyje" – drugie ważne miejsce, dzisiaj także prestiżowe, opiniotwórcze.

Jak wspominam te lata, trzydziestolecie Komitetu, a przedtem dziesięć lat pracy w ogniskach wychowawczych, ta idea umacniała się w mojej głowie – nie ma trudnych dzieci, są trudni dorośli. To oni tym dzieciom to robią, świadomie, nieświadomie, z głupoty, ze złości, z różnych bardzo emocji, motywacji. Dziecko nie rodzi się złe, podłe i bandyckie.

Teraz jestem już na formalnej emeryturze, ale nadal pracuję w Komitecie, jeżdżę po Polsce, prowadzę szkolenia dla pracowników socjalnych, pedagogów, policjantów, kuratorów.

Udało mi się, spotykam moich wychowanków, moich podopiecznych, bywałam na ich ślubach, rozwodach, na chrzcinach ich dzieci, nie poznaję ich często, bo wyglądają czasem starzej ode mnie, bo ich życie pokiereszowało. Rzucają mi się na szyję, jakaś kelnerka, jakaś fryzjerka. „Pani Mirko, pani mnie pamięta?!" – mówią. To jest moja satysfakcja. To dlatego warto było żyć, robić to, co robiłam.

Pod koniec 2011 roku przypada trzydziestolecie istnienia Komitetu Ochrony Praw Dziecka. Życzyłabym sobie przewrotnie, abym ja i wszystkie moje koleżanki – pracują tutaj głównie kobiety – zmuszone były do zrobienia kursu układania bukietów czy robienia kapeluszy, byśmy się przebranżowiły, nie

miały co robić, nie były już potrzebne. Bo to świadczyłoby, iż dzieciom nie dzieje się krzywda. Niestety, to życzenie jest na razie nierealne.

w siedzibie Komitetu Ochrony Praw Dziecka, koniec zimy 2011

Mirosława Ewa Kątna

– psycholog, działaczka społeczna, posłanka na Sejm IV kadencji.
W 1972 roku ukończyła studia na Wydziale Psychologii i Pedagogiki Uniwersytetu Warszawskiego, specjalizując się w zakresie psychologii sądowej oraz klinicznej. W latach siedemdziesiątych pracowała z trudną młodzieżą w Państwowym Zespole Ognisk Wychowawczych.
Współtworzyła Komitet Ochrony Praw Dziecka, w którym od 1981 roku pełniła funkcję wiceprzewodniczącej, a którym kieruje od 1992 roku jako przewodnicząca zarządu krajowego. W latach dziewięćdziesiątych zasiadała w zarządzie Fundacji „Dzieci Niczyje". Prowadziła w tym czasie Środowiskowy Ośrodek Pomocy Dzieciom i Rodzinie w Warszawie-Białołęce. Organizowała liczne projekty mające na celu ochronę praw dziecka i respektowanie postanowień Konwencji Praw Dziecka. W 1997 roku pełniła funkcję pełnomocnika rządu do spraw dzieci w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Wikipedia, Mirosława Kątna
- gazeta.pl, Mirosława Kątna
- Oficjalna strona intenetowa Komitetu Ochrony Praw Dziecka
- Oficjalna strona internetowa Poradni POMOST, Mirosława Kątna

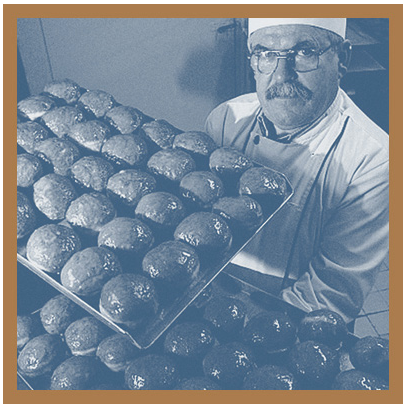

Eugeniusz Kępa

W centrum Świdnicy, niedaleko słynnej katedry, przy ulicy Długiej od wielu, wielu lat działa mała cukierenka „Kasia". Kolejne już pokolenie mieszkańców miasta właśnie tu wstępuje po słodkie wyroby. Także przyjezdni… Wszyscy rozkoszują się smakiem wybornych ciast i ciastek: pierników, keksów, pączków… „Kasię" prowadzi od kilku dekad Eugeniusz Kępa – cukiernik, który dzieciom osładza życie.

Uszczęśliwia dzięki swoim ciastkom

– Nie pochodzę z rodziny cukierników. Gdy byłem w liceum ogólnokształcącym, postanowiłem związać swoją przyszłość z cukiernictwem. Dlatego przeszedłem do szkoły zawodowej. Po jej ukończeniu trafiłem do „Kasi". Jestem z tym zakładem związany od zawsze. Byłem tutaj uczniem, czeladnikiem, a przed laty stałem się właścicielem cukierni. Na moich ciastkach – mogę tak powiedzieć – chowa się już któreś tam pokolenie.

Kiedyś, już dawno, przyszła do mnie ówczesna dyrektorka Domu Dziecka z Bystrzycy Górnej (miejscowość położona niedaleko Świdnicy) i spytała, czy mógłbym wspomóc jej podopiecznych moimi wyrobami. Zgodziłem się od razu. Ucieszyła się, ale chciała, bym podpisał zobowiązanie, że będę stale

dostarczać im ciasta. Bardzo mnie to wówczas uraziło: „Jeżeli – powiedziałem – godzę się, by dzieciakom osładzać życie, to powinno wystarczyć". I ostatecznie żadnego zobowiązania nie podpisałem. To były lata osiemdziesiąte XX wieku, głęboka komuna. Tej pani już dawno w Domu Dziecka nie ma, a ja jestem tam często. Moje wyroby pałaszuje już kolejne pokolenie. Dzieci mnie znają, ja je znam, jestem za pan brat z wychowawcami.

W zeszłym tygodniu byłem w Domu Dziecka ze trzy razy. Przed wyjazdem mówię w swoim zakładzie: „Dziewczyny, zapakujcie mi do kartonów ciasta!" I z tym słodkim bagażem jadę sobie powoli do Bystrzycy Górnej, bo czasem zwierzyna wylatuje na drogę. Dzieci poznają mój samochód po warkocie silnika. W Domu Dziecka czuję się jak u siebie. Wracam stamtąd do domu z uśmiechem na twarzy.

Marek Michalak (obecnie Kanclerz Kapituły Orderu Uśmiechu) też się do mnie zwrócił o pomoc. Nie zapomnę tego dnia, kiedy wszedł do mojego biura – wtedy taki jeszcze wystraszony szesnastoletni młodzieniec, który organizował jakąś imprezę dla dzieci. Dałem wtedy ciasta i jeszcze parę złotych dorzuciłem. I tak się zaczęło. Minęło już ponad dwadzieścia lat od tego spotkania, a ja wciąż przywożę moje wyroby do siedziby Stowarzyszenia Przyjaciół Dzieci Chorych „Serce", które przed laty założył właśnie Marek Michalak.

Swego czasu miałem kontrolę Urzędu Skarbowego. Sprawdzano, czy wystawiam faktury na darowizny, od których muszę płacić podatek VAT. Jakbym tego nie robił, to zostałbym przestępcą gospodarczym. Trzeba mieć wszystko na papierku, jak za komuny. Ale wielu ludzi w Polsce żeruje na darowiznach, na ludzkiej biedzie. Dlatego nie dziwię się takim działaniom, chociaż taka kontrola jest nieprzyjemna.

> ❞ Z chęcią pomocy innym człowiek się chyba rodzi i z tym, żeby być dobrym dla innych. To tak z dnia na dzień nie przychodzi.
> W dzieciństwie nie brakowało mi niczego, ale od małego byłem uczulany na czyjąś krzywdę. Wyniosłem to z domu.

Moja najbliższa rodzina wspiera mnie w tym, co robię, przede wszystkim żona. Syn jest lekarzem, mieszka w Szwecji. Ale przyjeżdża do Polski i leczy dzieci jako wolontariusz. Popatrzył kiedyś na mnie i powiedział: „Po kimś to chyba mam". Jeździ też do Bystrzycy Górnej, gdzie jest Ośrodek Szkolno-Wychowawczy, bada dzieci, przepisuje recepty. On jest tam raz w miesiącu. Córka z kolei studiuje w Wielkiej Brytanii prawo międzynarodowe i też zaangażowała się w pracę charytatywną na swojej uczelni. Cieszę się z tego, to jest pozytywna sprawa.

Jako Kawaler Orderu Uśmiechu czuję się dowartościowany. Być wśród takich ludzi, jak kardynał Henryk Gulbinowicz czy Jacek Kuroń to wielkie wyróżnienie. To są ludzie, których osobiście poznałem.

Jeden z miejscowych decydentów przed laty, na jubileuszu Domu Dziecka w Bystrzycy Górnej, powiedział mi: „Jak pan będzie tak dalej postępował, to pan zbankrutuje". Minęło wiele lat i ja temu panu przypomniałem, że nadal egzystuję. Wspomagam też dorosłych, tam, gdzie jest bieda, na święta.

Świdnica, cukiernia Eugeniusza Kępy, wieczór, po zamknięciu lokalu, koniec zimy 2011

Podziękowania za smakołyki

Eugeniusz Kępa

– cukiernik. W 1978 roku został właścicielem znanej cukierni „Kasia” w Świdnicy. Od tego czasu wspomaga dzieci. Pierwszymi, którzy zaczęli otrzymywać jego słodkości, byli wychowankowie Państwowego Domu Dziecka w Bystrzycy Górnej. Następnymi byli podopieczni Fundacji Pomocy Biednym Dzieciom „Ut Unum Sint” w Świdnicy oraz Polskiego Stowarzyszenia na Rzecz Osób z Upośledzeniem Umysłowym. Wspiera Stowarzyszenie Przyjaciół Dzieci Chorych „Serce” od momentu powstania i zasiada w jego zarządzie. Za działalność charytatywną otrzymał wiele dyplomów i odznaczeń.
Jest twórcą dwóch tortów (piramida i mapa Polski), które zostały wpisane do Polskiej Księgi Rekordów i Osobliwości.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- świdnica24.pl, Tkanie życia – Eugeniusz Kępa
- djoles.pl, MP3 WOŚP Świdnica – pozdrowienia: Eugeniusz Kępa
- gazeta.pl, 40 lat Orderu Uśmiechu
- gość.pl, Nasze dzieci

Rysunek: Marek Konecki

Szymon Kobyliński

„Pamiętam, jak z namaszczeniem wyjmował Order Uśmiechu. Był przechowywany w sekretarzyku babci…”

Miał czas dla dzieci

wspomina Weronika Ewa Kobylińska, wnuczka:

– Poszłam zapewne w stronę dziadka, bo zajmuję się projektami związanymi z teatrem, ilustracją. A więc idę w tym samym kierunku co dziadek, może z trochę mniejszym rozmachem i w innym formacie. Po dziadkach odziedziczyłam miłość do sztuki, literatury i koni. To są rzeczy, które mi przekazali, zostały i kiełkują, można je nazwać tradycjami rodzinnymi. Koń, którego trzymam pod Sulejówkiem, znał się z dziadkiem.

Mam wiele wspomnień o dziadkach. Mówię o dziadkach, bo oni byli nierozłączni. Zawsze było tak, że dziadek miał ten potencjał, intelekt, osobowość, ale, co zawsze podkreślam, bez Danuty Kobylińskiej, żony, która nie pracowała, tylko prowadziła dom, dziadek by nic nie zdziałał. Dzisiaj powiedzielibyśmy, że babcia była jego menedżerem. Szymon był człowiekiem, który godzinę po obiedzie nie pamiętał, co zjadł. Jeśli Danusia nie dała mu czystej koszulki, to chodził w brudnej albo przerzucał plamę na plecy, by mu nie przeszkadzała. To nie była kwestia niechlujstwa, to były takie rzeczy doczesne, przyziemne, które go nie interesowały. W tym domu kupowało się

książki, a nie perły, kryształy i jakieś nowoczesne meble, bo to, według nich, nie było potrzebne.

Od kiedy pamiętam dziadka, zawsze miał brodę. W czasach mojego dzieciństwa była żółta od dymu. Teraz wiem, że to od nikotyny, był bowiem zapalonym fajczarzem, a pod koniec życia, gdy przez pewien czas przestał palić fajkę, bo babcia mu z racji jego chorego serca zakazała, to po cichu zaczął kurzyć papierosy.

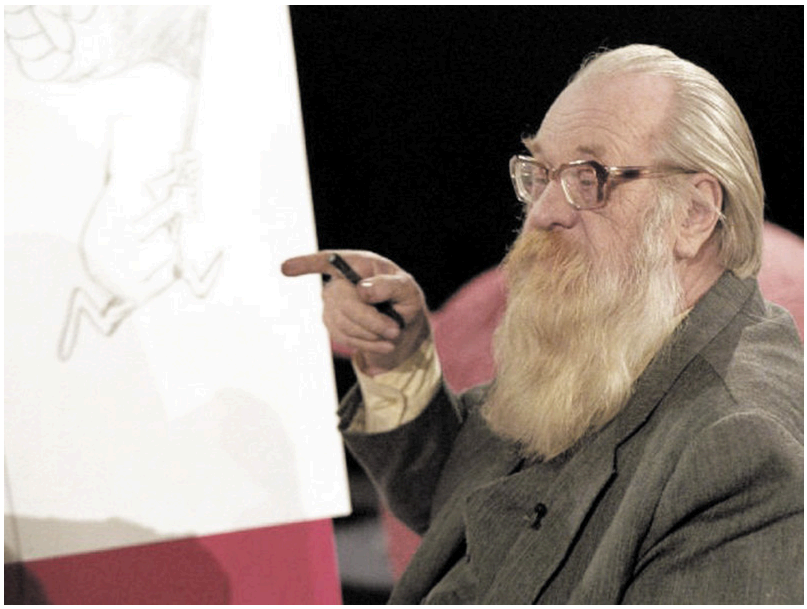

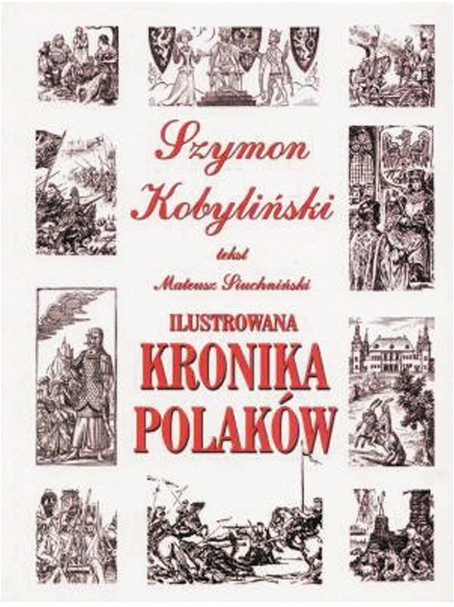

Zawsze mówię o nich – „oni”, bo dla mnie byli nierozłączni, wszędzie byli razem, jakby mieli wspólne życie. To nie było takie życie, że ona żyła własnym, a on własnym. Ona była tym suflerem, który wszystko ustawiał, by on mógł błyszczeć. Do dziś zachowały się kartki z jej zapiskami, kogo trzeba umówić na kolację, kogo trzeba namówić, by przyszedł, bo już bardzo dawno ich nie odwiedzał. Dom Szymonów to była absolutnie ona. On był erudytą, natomiast ona miała wpływ na jego twórczość, na niektórych rysunkach jest napisane, że to był jej pomysł. Miał ten komfort tworzenia, a był ktoś, kto „latał” dookoła niego i zamawiał mu taksówki. On nigdy by nie zamówił, bo by zapomniał. Jak sam mówił: „Jak czegoś nie zgubił, to zepsuł”.

Miałam z dziadkami świetny kontakt i mogę powiedzieć, że bardzo intensywnie uczestniczyli w moim życiu. Dość często ma się dziadków, do których trzeba raz na tydzień pójść na obiad i nawet wtedy się z nimi nie rozmawia, tylko siedzi przed telewizorem i je zupę. A ja chciałam spędzać z dziadkami każdy wolny weekend, każdą wolną chwilę.

Jak pada hasło „dom”, to widzę ich dom na działce pod Łochowem i babcię z dziadkiem siedzących przy stole z lampą na metalowym szkielecie. Był to właściwie letni dom, ale oni wyjeżdżali tam po Wielkiej Nocy, a wracali 11 listopada.

Patrząc z perspektywy czasu, myślę, że dziadek Szymon – zawsze obecny w moim życiu – wymyślił sobie, że można stworzyć młodego inteligenta i tak mnie wychowywał. Kiedy miałam pięć lat, czytał mi na głos wiersze

Baczyńskiego. Podobno, w pewnym momencie zaczęłam mówić prozą i wierszem, stałam się małym literatem, nie potrafiąc czytać. W wieku lat sześciu miałam na głos przeczytane *W pustyni i w puszczy*, już zaczęli się *Krzyżacy*. Zanim poszłam do szkoły podstawowej, znałam wszystkie utwory Sienkiewicza, na pewno obszerne kawałki *Pana Tadeusza*, bo dziadek recytował je z pamięci, *Iliadę* i *Odyseję*, wszystkie mity greckie. Wiedziałam, jak wyglądały różne zwierzęta i rośliny, bo rysował je specjalnie dla mnie.

Dziadek był w stanie „z głowy", nie patrząc na żadną dokumentację, narysować wszystko: każdy kostium, z każdej epoki, każde zwierzę. Za tym kryła się jego olbrzymia erudycja. Eryk Lipiński przy jakimś wstępie do jego wystawy napisał, że Szymon jest człowiekiem, który zawsze odpowie na pytanie i wie wszystko, a jak nawet nie wie, to wie. Na każdy temat miał coś do powiedzenia.

To był człowiek, który pisząc mnóstwo felietonów, książek, listów – bo uwielbiał korespondować – uważał, że komputer to paskudny wymysł. Jemu najlepiej pisało się na maszynie. Wciąż pamiętam stukanie jego maszyny, to znaczyło, że dziadek pisze listy albo felietony.

Nigdy nie powiedział, że nie ma czasu dla mnie albo dla mojego, o trzy lata młodszego, brata Maksa. Dziadek był dostępny zawsze, o każdej godzinie, o każdej porze. Miał dla nas czas, nigdy nie usłyszeliśmy: „Wyjdź, bo dziadek rysuje, bo dziadek pisze, bo dziadek jest zajęty". Wiadomo było, że jak przyjeżdża telewizja, to nie można wchodzić w lampy i kable.

> ” Miał czas dla wszystkich dzieci. Bardzo często bywał w domach dziecka, w szkołach, odwiedzał najmłodszych na koloniach. Okrucieństwo wobec dzieci i zwierząt doprowadzały go do furii.

Nigdy nie uważał siebie za twórcę, mówił, że jest rzemieślnikiem, a nie artystą. Dla niego biegłość pióra czy rysunku to były kwestie rzemieślnicze, dzięki którym zarabia się na życie. Twierdził, że nie umie być artystą, że umie być bardzo dobrym rzemieślnikiem, świetnie wytresowanym i wyuczonym swego zawodu.

Pamiętam, jak z namaszczeniem wyjmował Order Uśmiechu. Był przechowywany w sekretarzyku babci, między rachunkami, książkami i innymi odznaczeniami. Dla kilkuletniego dziecka było to najfajniejsze z licznych odznaczeń.

Wychowując się w takim otoczeniu, naturalną drogą mojej edukacji było liceum plastyczne i Akademia Sztuk Pięknych. Robię ilustracje, projekty graficzne, scenografie albo kostiumy, głównie do reklamy. Wszyscy w rodzinie mamy talent do rysowania, mój ojciec, brat. Ja z tego żyję, utrzymuję się z pracy artystycznej. Kontynuuję tradycję.

Warszawa, herbaciarnia na Saskiej Kępie, zima 2011

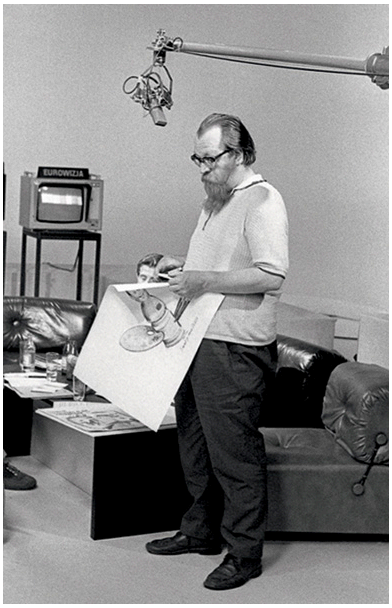

Szymon Tadeusz Kobyliński

– grafik, rysownik karykaturzysta, satyryk, historyk i scenograf. Urodził się 22 maja 1927 roku w Warszawie, zmarł 15 kwietnia 2002 roku tamże. Pochodził z rodziny malarskiej (syn Wiktora i Wandy Jasińskiej) i po części kontynuował te tradycje. Swój pierwszy rysunek prasowy opublikował już w 1936 roku. Studiował grafikę w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych oraz historię sztuki w Uniwersytecie Warszawskim. Był także eseistą i pisarzem oraz autorem programów telewizyjnych i radiowych. Popularyzował polską kulturę oraz historię. Był znawcą broni i barwy Wojska Polskiego, broni białej oraz zbroi, głównie z okresu I Rzeczypospolitej. Zajmował się także heraldyką, zaprojektował między innymi herb Jastrzębia-Zdroju i Świętochłowic.

Przewodniczył jury, które wybrało ostateczną wersję Orderu Uśmiechu, autorstwa dziewięcioletniej Ewy Chrobak. Był członkiem Międzynarodowej Kapituły Orderu Uśmiechu. Zilustrował około trzysta książek (wśród nich najważniejsze dzieła literatury polskiej, m.in. *Pan Tadeusz*, *Trylogia*) oraz wydał dwadzieścia własnych. Jest autorem portretów uzupełniających *Poczet królów i książąt polskich* Jana Matejki.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Wikipedia, Szymon Kobyliński
- tvp.pl, Mój ślad w telewizji, Szymon Kobyliński
- obliczakultury.pl, Szymon Kobyliński – rysownik, satyryk, pisarz
- youtube.com, Sz. Kobyliński muz

Barbara Kolago

Od wielu lat umuzykalnia dzieci nie tylko w Polsce. Założycielka zespołu „Chochliki". Autorka popularnych piosenek dla najmłodszych, audycji radiowych i programów telewizyjnych.

Najmłodsi wciąż śpiewają jej piosenki

Ukończyłaś studia muzyczne. Czy myślałaś wtedy, że będziesz pracowała z dziećmi?

Już jako dziewczynka organizowałam zabawy moim młodszym koleżankom i kolegom. Jak przychodzili do rodziców znajomi z dziećmi, to się nimi opiekowałam. Być może wynikało to z tego, że byłam starszą siostrą. Ale z muzyką związałam się nie z przypadku. Już w przedszkolu czysto śpiewałam i wytypowano mnie do szkoły muzycznej. Zaczęłam od klasy fortepianu. Zarówno w średniej szkole muzycznej, jak i na studiach wyższych byłam ukierunkowana na pedagogikę muzyczną. Ukończyłam w szkole średniej rytmikę, co uprawniało mnie do nauki rytmiki w przedszkolach i szkołach muzycznych, a potem ukończyłam wydział wychowania muzycznego, a więc byłam przekonana, że będę nauczycielką. Już w czasie studiów uczyłam w przedszkolach. W trakcie praktyk studenckich, jakie odbywałam w szkołach muzycznych, poznałam dyrektora jednej z nich, profesora Lecha

Miklaszewskiego. Był on także kierownikiem Redakcji Audycji Umuzykalniających dla Dzieci w Polskim Radiu. I on niespodziewanie zaproponował mi pracę w PR. Jak się okazało, był to dla mnie splot szczęśliwych okoliczności.

Z Aliną Janowską, także Kawalerem Orderu Uśmiechu

Już w przedszkolu wytypowano Basię do szkoły muzycznej

Profesor szybko wrzucił mnie na głęboką wodę, ale najpierw przez rok patrzyłam, jak on w studiu wspaniale współpracuje z dziećmi. To były audycje

umuzykalniające dla szkół i przedszkoli. Polegały między innymi na tym, że w studiu była grupa dzieci uczących się piosenki razem z dziećmi przed radioodbiornikami w całej Polsce. Następnie profesor Miklaszewski powierzył mi redagowanie, a potem pisanie audycji dla klas pierwszych i drugich. Robiłam to przez wiele lat. Zaprzyjaźnione ze mną nauczycielki przyprowadzały uczniów na nagranie. Z czasem zapragnęłam mieć swój zespół, taki, który byłby przydatny do tworzenia audycji nie tylko radiowych, ale i telewizyjnych. Te dzieci ciągle miałam koło siebie.

Jak organizowałaś programy dziecięce, jak one powstawały?

To było uporządkowane. W kwietniu i maju powstawał program audycji dziecięcych, w tym muzycznych, na cały następny rok szkolny. Był on zamieszczany w wydawanej przez nas broszurze „Radio szkole". Nauczyciele musieli go mieć od września, dlatego już w czerwcu rozpoczynało się drukowanie. W związku z tym wiosnę spędzałam na opracowywaniu moich cotygodniowych audycji. Zamawiałam piosenki i wybierałam autorów. Audycje miały charakter umuzykalniający, a więc za pomocą piosenek i utworów muzycznych trzeba było przekazać dzieciom porcję wiedzy muzycznej, oczywiście na ich poziomie.

To była edukacja muzyczna, z której bardzo chętnie korzystali nauczyciele. Wielu z nich nie miało przygotowania, więc włączali radio i mieli gotową lekcję. A jeśli chodzi o nagranie, to zapraszałam do studia aktorów, którzy dobrze śpiewali. Często też sami prowadzili audycje. Pierwszym aktorem, z którym współpracowałam, był Andrzej Żarnecki. Inni to: Jacek Borkowski, Maciej Damięcki, Emilian Kamiński, Ilona Kuśmierska, Wojciech Machnicki, Sylwester Maciejewski, Marian Opania, Krzysztof Tyniec, Ewa Wawrzoń. Zawsze miałam grupę dzieci oraz dobrego pianistę, który akompaniował. Najpierw była to wspaniała Franciszka Leszczyńska, potem znakomity Roman Smoczyński – obydwoje świetnie improwizo- wali i świetnie grali.

Z „Chochlikami” w programie telewizyjnym „Tęczowy Music Box” (Barbara Kolago w ostatnim rzędzie)

Oprócz pasma ściśle edukacyjnego tworzyłam audycje „Radio dzieciom” – adresowane już nie do szkół i nadawane wieczorami. Występowały w nich również dzieci i aktorzy, ale miały one charakter bajkowo–rozrywkowy.

Później była telewizja?

Po dwudziestu dwóch latach pracy w muzycznej redakcji dziecięcej Polskiego Radia dowiedziałam się, że zostanie ona zlikwidowana. Szczęśliwie dla mnie współpracowałam wtedy z telewizją, tworząc dla dzieci „Tęczowy Music Box”. Była to też audycja o charakterze umuzykalniającym. Gdy więc zakończyłam pracę w Polskim Radiu, przeszłam do Telewizji Polonia. Była to wówczas nowa antena i nie miała specjalisty od programów dziecięcych.

W tym też czasie stworzyłam zespół dziecięcy „Chochliki”; dzieci same wymyśliły tę nazwę. Nagrywałam z „Chochlikami” dużo piosenek w studiach radiowych, na płytach i kasetach. W pewnym momencie ten chórek radiowy przekształcił się w zespół tańcząco-śpiewający.

> ” Dzieci były mi bardzo pomocne, polubiły pracę w studiu, a pracowały jak dorośli, bardzo profesjonalnie.

Oczywiście do Telewizji Polonia zapraszałam wiele zespołów prowadzonych przy domach kultury w całej Polsce, a także laureatów festiwali dziecięcych. Robiłam audycję „Na polską nutę", w której prezentowały się dziecięce zespoły folklorystyczne – sporo ich było w naszym kraju. Często jeździłam z kamerą i nagrywałam zespoły w ich naturalnym otoczeniu, naturalnych krajobrazach. Poza tym wyławiałam utalentowane dzieci z festiwali czy konkursów muzycznych i je przedstawiałam. W moich audycjach przewinęło się sporo wykonawców.

Jesteś kompozytorką muzyki dziecięcej, masz na swoim koncie kilkaset piosenek.

Muszę powiedzieć, że pracując w PR, uważałam, że powinnam współpracować z kompozytorami, że nie wypada mi lansować własnych piosenek. Przez kilkanaście lat pisałam piosenki na zajęcia z dziećmi, ale ich nie upowszechniałam. Z czasem jednak życie zmusiło mnie do tego. Okazało się, że nie ma pieniędzy na kupowanie piosenek dla dzieci. Z tej prostej przyczyny do słuchowiska muzycznego *Zielona Półnutka* jego autorka Dorota Gellner, poetka, zaproponowała mi napisanie muzyki. I tak się zaczęło. Powstały pierwsze piosenki, które do dziś są śpiewane w przedszkolach, na przykład *Popatrzcie na jamniczka*, *Czary-mary* czy *Kwiatki bratki*. Ponieważ podobały się dzieciom, to śmielej wprowadzałam je do swoich programów. Również „Chochliki" je śpiewały. Chciałabym dodać, że zanim moje piosenki zostały upowszechnione, zawsze były poddawane próbie wykonania ich przez dzieci. Jeśli nie były to „Chochliki", to byli moi siostrzeńcy czy mój syn, dzieci znajomych.

Uczestniczyłaś w wielu konkursach i festiwalach dziecięcych jako juror.

Przed laty odbywało się sporo festiwali dziecięcych. Mobilizowały one szczególnie kierownictwo domów kultury i instruktorów prowadzących różne zespoły, które miały możliwość pokazywania się na szerszym forum. Spotykały się na nich dzieciaki z całej Polski. Często byłam proszona jako jurorka do oceny zespołów, solistów. Poza tym dzieciaki, które obserwowałam na festiwalach, zapraszałam do studia. Była to forma nagrody. Mogłam w ten sposób popularyzować najwartościowszych wykonawców.

Pracując w Telewizji Polonia, miałam kontakt listowny z widzami z wielu krajów, którzy dzielili się uwagami. Byli nauczyciele, instruktorzy, którzy

pracowali w polskich szkołach. Z niektórymi nawiązałam ścisłe kontakty, nawet – można powiedzieć – przyjaźnie, na przykład z Polonią w Monachium i jej „duszą" Elżbietą Zawadzką. Pomagałam im w tworzeniu repertuaru ułatwiającego nauczanie języka polskiego. Piosenka świetnie się do tego nadaje.

Byłam także zapraszana na festiwale, między innymi w Monachium, Wilnie, Rudziszkach na Litwie, w Szwecji. To dzieci polonijne upomniały się o mnie i na ich wniosek otrzymałam Order Uśmiechu.

początek 2010

Maria Barbara Kolago

– muzyk, kompozytor, dziennikarz, członek i sekretarz Międzynarodowej Kapituły Orderu Uśmiechu.

Urodziła się w 1946 roku w Warszawie. Absolwentka Wydziału Wychowania Muzycznego Akademii Muzycznej w Warszawie. Od roku 1970 w Polskim Radiu jako redaktor audycji muzycznych dla dzieci.

Komponuje piosenki dla dzieci śpiewane w przedszkolach, szkołach, drukowane w podręcznikach szkolnych – głównie do tekstów poetek Doroty Gellner i Anny Bernat. Wśród około czterystu piosenek należy wymienić: *Popatrzcie na jamniczka*, *Czary-mary*, *Kwiatki bratki*, *Kołysz nas ziemio*, *Jesteśmy dziećmi Ziemi* oraz *Jesienny kujawiaczek*.

Założyła i prowadziła dziecięcy zespół wokalno-taneczny „Chochliki". Nagrywała z nim kasety i płyty. Zespół ten występował w audycjach radiowych i programach telewizyjnych, na koncertach w kraju i za granicą, popularyzując polskie piosenki dla najmłodszych.

Maria Barbara Kolago jest również autorką wielu audycji radiowych (m.in. „Abecadło z pięciolinii") i telewizyjnych. Od 1992 do 2006 roku pracowała jako redaktor programów dziecięcych w TV Polonia. Współtworzyła popularny wśród młodzieży program „Tęczowy Music Box", a dla widowni polonijnej między innymi „Polskie ABC" i „Na polską nutę". W 2007 roku uczyła swoich piosenek do tekstów Anny Bernat na antenie Polskiego Radia – „Radio dzieciom". Jest członkiem Stowarzyszenia Autorów ZAiKS.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Wikipedia, Barbara Kolago
- youtube.com, „Chochliki" – Tęczowy Music Box
- facebook.com, Barbara Kolago
- youtube.com, Chochliki Tęczowy Music Box

Izabella Kołecka

Od wczesnego dzieciństwa wrażliwa na los najmłodszych. Zawsze stara się pomagać pokrzywdzonym. Najbardziej zależy jej na tym, by nie dopuszczać do krzywdy.

Stawia na rozwój osobowości

– Byłam potwornie niesfornym dzieckiem, które zawsze miało swoje zdanie. Ale dzieckiem, które widziało krzywdę drugiego dziecka. Pamiętam sytuacje z przedszkola, kiedy dzieci biły inne dzieci, bo zawsze znajdzie się ktoś do bicia, jakieś dziecko, któremu się bardziej dokucza, jest słabsze, nie potrafi sobie z tym poradzić. Próbowałam interweniować, zwracałam uwagę opiekunkom. Mówiłam, że to jest niesprawiedliwe, że się dzieciaki biją i ciągle biją tego samego dzieciaka. One mi odpowiadały, żebym dała im święty spokój i żebym nie przeszkadzała.

Ponieważ to się powtarzało, pewnego razu, gdy miałam niespełna pięć lat, poszłam do mojego dziadka i powiedziałam, że więcej do przedszkola nie pójdę. Tam nikt nie zwraca uwagi, że dzieciom dzieje się krzywda, mnie się to nie podoba. No i dziadek powiedział mi: „Dobrze, skoro nie chcesz chodzić do tego przedszkola, to nie będziesz".

Dziadek mnie wychował, bo rodzice ciężko pracowali na trzy zmiany. Byłabym dzieckiem z kluczem na szyi, gdyby nie mój dziadziuś. Był hutnikiem

i był na rencie chorobowej, bo miał rozedmę płuc. Uczył mnie prawości, uczył mnie tego, że trzeba pomagać słabszym, że trzeba zwracać uwagę na innych.

Po maturze chciałam pójść na medycynę, ponieważ interesowała mnie patologia embrionów. Interesowało mnie, dlaczego rodzą się kalekie dzieci. Myślałam, żeby wynaleźć sposób, by takie dzieci nie przychodziły na świat. Ostatecznie jednak nie studiowałam medycyny.

Motocykle to pasja Izabelli Kołeckiej

> Podejmując różne prace z dziećmi, zrozumiałam, że nie chcę pomagać dzieciom, którym stała się krzywda, chcę zapobiegać tej krzywdzie.

Jedenaście lat temu utworzyłam Fundację Pomocy Rodzinie „Opoka". Jesienią 2000 roku uruchomiliśmy pierwszy w Łodzi Ośrodek Wsparcia dla Rodzin, którego specjaliści udzielali pomocy rocznie kilku tysiącom osób, a pod opieką trzech świetlic specjalistycznych znalazło się sto pięćdziesięcioro dzieci. Znajdowałam dzieci na ulicy, chodziliśmy z pedagogami i poszukiwaliśmy dzieci, zapraszaliśmy do naszych świetlic. Pomoc ośrodka skierowana była szczególnie do rodzin najbiedniejszych, dotkniętych ubóstwem. Teraz jednak chcę się skoncentrować nad programami profilaktycznymi, nad zajęciami grupowymi z dziećmi.

Uruchamiamy na przykład takie programy: „Zespół dziecka potrząsanego", „Bezpieczny w domu, w szkole i na ulicy". To moje autorskie projekty. Jeśli chodzi o ten pierwszy problem, to się o nim nie mówi. Tymczasem dziecko potrząsane może umrzeć dopiero po kilku miesiącach, może też być dzieckiem kalekim. To jest niedoceniane.

Nikt nie mówi o FAS – alkoholowym zespole płodowym, kiedy kobieta, która jest w ciąży, pije alkohol. Powstają wtedy u dziecka nieodwracalne zmiany w mózgu. Może niedowidzieć, niedosłyszeć, urodzić się kalekie.

„Bezpieczny dom, w szkole, na ulicy" – to kolejny program, do którego przygotowałam ulotki z najfajniejszymi rysunkami dzieci, a plakat będzie wisiał w szkołach. Przestrzegają one najmłodszych, by nie otwierać drzwi, nie odbierać telefonu, kiedy jest się samemu w domu. Sugerują, żeby nie przyjmować od nieznajomego nawet drobnego prezentu. Nie ufać obcym, nawet kiedy oferują pomoc. Podkreślają, by nie zawierać znajomości z osobami, których się nie zna, na przykład przez telefon czy Internet. Na tych ulotkach, zawierających rysunki wykonane przez dzieci, mówimy też, iż nikt nie może cię dotykać, jeśli tego nie chcesz. Są też informacje, że można się zgłosić do nas, można zadzwonić na telefon zaufania, do pedagoga szkolnego, do straży miejskiej, do policji. A na ostatniej stronie umieściłam pytania, które przez te dwadzieścia lat mojej pracy z dziećmi, najbardziej mi się utrwaliły: „Czy czujesz się bezpieczny?", „Czy boisz się wracać do domu?", „Czy boisz się chodzić do szkoły?". Bo dziecko, jeśli się boi wracać do domu, to znaczy, że tam coś jest nie tak. Jeśli się boi chodzić do szkoły, to może jest tym dzieckiem wyśmiewanym przez rówieśników, czującym się zagrożonym na podwórku? Chcę, by dzieci wiedziały komu mogą powiedzieć o tym, co złego ich spotkało, co mogą zrobić, jeśli dorosły im nie uwierzy.

Opiekowałam się dziewczynką wykorzystywaną seksualnie przez ojca. Rozmawiałam z nią, pytałam, czy nie pamięta, kiedy to się stało pierwszy raz. Ona bawi się lalką, którą jej dałam, buja się i myśli. Podpowiadam jej, może zapamiętałaś jakieś zdarzenie, może gdzieś szliście na jakąś imprezę do kogoś z rodziny, może to były czyjeś urodziny, jakaś ważna data. Ona wtedy tak na mnie patrzy i mówi: „Miałam wtedy przymiarkę sukienki do komunii. Mój tata powiedział mi, że wyglądam jak królewna. I wtedy pierwszy raz do mnie w nocy przyszedł". To trwało dwa lata, bo ona dwa lata wcześniej była u komunii. Pytam ją: „Dlaczego nie powiedziałaś wcześniej?" Ona na to: „Mówiłam mamie, ale mi nie uwierzyła". Nie wiedziałam, co z tym zrobić. I dlatego napisałam w mojej ulotce, że jeśli dorosły ci nie uwierzy, to trzeba zawsze powiedzieć innemu dorosłemu, bo to nie musiało trwać dwa lata. Mama nie musiała uwierzyć, bo często dla rodziców jest to szok. To nie znaczy, że jest to zła mama. Dziecko często się wycofuje, gdy słyszy: „Nie opowiadaj głupstw… Usypiał cię, przytulał, pocałował".

Po latach prowadzenia świetlic zrozumiałam, że jest pora, by tworzyć akademie rozwoju osobowości. Chcę, żeby dzieci się rozwijały. One mają ukryte talenty, zdolności. Rodzice ze środowisk, z którymi mam do czynienia, tego nie odkryją. Oni rodzą dzieci i zostawiają, żeby się wychowywały. One muszą się wychować same. One nie wiedzą, że są uzdolnione muzycznie, plastycznie. Nikogo to nie obchodzi. Dlatego właśnie opracowałam projekt „Akademia rozwoju osobowości" i teraz w ten sposób będę pracować z dziećmi.

początek 2012

Izabella Kołecka

urodziła się 24 sierpnia 1958 roku w Łodzi. Ukończyła pedagogikę specjalną w Akademii Świętokrzyskiej ze specjalizacją resocjalizacja. Ponadto ukończyła studia podyplomowe w Wyższej Szkole Pedagogicznej na kierunku zarządzanie oświatą. W 1995 roku podjęła pracę w Fundacji na Rzecz Ochrony Dzieci przed Okrucieństwem w Łodzi. Niedługo później utworzyła własną Fundację Pomocy Rodzinie „Opoka", która udzielała kompleksowej pomocy całej rodzinie. Dzieci miały w niej azyl i alternatywę dla szarych podwórek łódzkich kamienic. W 2000 roku uruchomiła pierwszy w Łodzi Ośrodek Wsparcia dla Rodzin, prowadzony przez założoną przez nią fundację, która po dziś dzień udziela wsparcia dla kilku tysięcy osób rocznie. Działalność ta została wyróżniona w latach 2005 i 2006 w konkursie na najlepszą Inicjatywę Obywatelską Pro Publico Bono.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Oficjalna strona internetowa Fundacji Pomocy Rodzinie „Opoka"
- youtube.com, Izabella Kołecka i Elżbieta Hibner, MTŁ, 26 lutego 2012
- lodzianinroku.pl, Izabella Kołecka
- gazeta.pl, Po śmierci Nadii i Wiktora: „Możemy uratować jakieś dziecko"

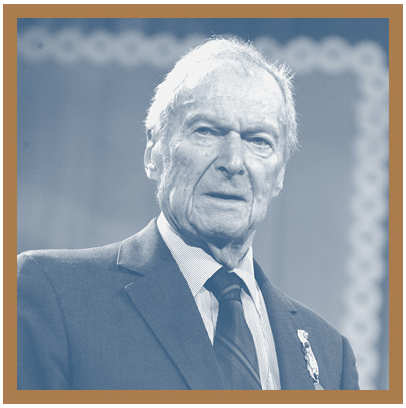

Hilary Koprowski

Jest twórcą pierwszej w świecie szczepionki przeciwko wirusowi polio wywołującemu chorobę Heinego-Medina. Mówił: „Nie wiem, ile dzieci uratowałem dzięki szczepionce, ale myślę, że miliony”.

Szczepić wcześnie i doustnie

– Zainteresowałem się polio czy jak inni nazywają – heinemedina, ze względu na to, że jest to okropna choroba dzieci, która powoduje, że wiele z nich zostaje kalekami na całe życie. Byłem przekonany, że istnieje możliwość stworzenia szczepionki, która będzie chroniła najmłodszych przed tą chorobą.

W trakcie podróży zimą autem w Stanach Zjednoczonych wpadł mi do głowy pomysł, że powinna to być szczepionka żywa, przeciwko zarazkowi i oczywiście przeciwko paraliżowi. Tak więc wraz z zespołem współpracowników dążyliśmy do tego, by wirus osłabić i sprawdzić, czy może on uodpornić najmłodszych na zawsze. To się udało – mówił profesor Hilary Koprowski.

Przypomnijmy, iż w 1944 roku profesor Koprowski przyjechał do Nowego Jorku i dzięki zdobytemu wcześniej doświadczeniu, wziął aktywny udział w opracowaniu szczepionki przeciwko encefalitowi japońskiemu, wirusowi wywołującemu zapalenie mózgu, przenoszonemu przez komary.

W 1946 roku rozpoczął własne badania nad szczepionką przeciwko chorobie Heinego-Medina. Wówczas, w Ameryce budziła paniczny strach. Trwająca epidemia skłoniła wiele zespołów naukowych do poszukiwania skutecznej szczepionki. Jako pierwszemu udało się to właśnie Hilaremu Koprowskiemu. Po wielu próbach znalazł on dla wirusa polio takiego gospodarza, który w warunkach naturalnych nie zakaża się tą chorobą i z którego wirus wychodzi osłabiony. Był to szczur bawełniany.

O zasługach Profesora mówiła Danuta Rosner podczas ceremonii nagrodzenia go Orderem Uśmiechu. Oklaskują go (od lewej): Cezary Leżeński i Ludwik Jerzy Kern, obaj Kawalerowie Orderu Uśmiechu

W 1949 roku Koprowski jako pierwszy człowiek połknął swoją doustną szczepionkę i nie zaobserwował żadnych ubocznych efektów. Wtedy, jak mówi, pierwsze dziecko zostało nią nakarmione. Było to w 1950 roku. Nie pojawiły się żadne objawy uboczne. Po tym nakarmiono szczepionką dziewiętnaścioro kolejnych maluchów i tak się zaczęły szczepienia dzieci w Ameryce.

Polskę epidemia polio atakowała od 1951 roku. Profesor Koprowski wspominał: „Świętej pamięci profesor Feliks Przesmycki, dyrektor Państwowego Zakładu Higieny, przyjechał do nas do USA. I pamiętam, jak mi mówił: «Patrz, co się dzieje z polio, nie można epidemii tej choroby w naszym kraju opanować» (początkowo rocznie chorowało dwa-trzy tysiące dzieci, w 1958 roku już sześć tysięcy). Pytał mnie, czy nie mógłby dostać tej szczepionki. Oczywiście zgodziłem się coś z tym zrobić. Dzięki moim znajomościom firma farmaceutyczna Wyeth przygotowała szczepionkę, którą

mój współpracownik w beczkach woził do Polski. Amerykańska kompania nawigacyjna Moore-McCormack za darmo przetransportowała cały ładunek przez Atlantyk".

Od jesieni 1959 roku dzieciom w Polsce zaczęto podawać szczepionkę profesora Koprowskiego. W ciągu ośmiu miesięcy szczepień dostało ją dziewięć milionów najmłodszych. Efekt był natychmiastowy, liczba zachorowań zaczęła gwałtownie spadać. W roku 1963 zanotowano już tylko trzydzieści nowych przypadków, a liczba zgonów spadła z kilkuset rocznie do dwóch.

– Dlaczego tak długo w ojczystym kraju nie znalazł Pan uznania? – zapytałem profesora.

A on nostalgicznie stwierdził: „To wszystko przez ludzkie słabości. Byli tutaj ludzie, którzy chcieli umniejszyć moje osiągnięcia. Puszczali plotki, że wraz z profesorem Przesmyckim wykorzystywaliśmy polskie dzieci jak króliki doświadczalne. Jestem jednak bardzo zadowolony, że mogłem pomóc dzieciom, to jest niesłychanie ważne, by szczepić najmłodszych wcześniej, by gdy będą dorosłe, nie musiały się niczego obawiać. Nie wiem, ile dzieci uratowałem dzięki szczepionce, ale myślę, że miliony".

W latach sześćdziesiątych XX wieku Hilary Koprowski objął stanowisko dyrektora elitarnego Instytutu Wistara w Filadelfii. Tu między innymi opracował sposób osłabiania wirusa wścieklizny przez hodowlę w kurzym zarodku, co pozwoliło przygotować bezpieczną szczepionkę. Była ona i jest nadal stosowana w postaci czterech zastrzyków domięśniowych lub podskórnych, zamiast czternastu bardzo bolesnych podawanych pod skórę brzucha. Profesor Koprowski jest też odkrywcą szczepionki doustnej przeciw wściekliźnie. Na Uniwersytecie im. Thomasa Jeffersona rozpoczął pionierskie prace nad unowocześnieniem szczepionek. Uznał, że dotychczasowe formy szczepień są już archaiczne, sięgnął po metody inżynierii genetycznej i opracował sposób wprowadzania odpowiednich genów chorobotwórczych mikroorganizmów do roślin.

– Zawsze uważałem, że szczepionki są za drogie i niepotrzebnie podawane przez strzykawki i że trzeba stworzyć szczepionki tak jak polio – doustne. Od dłuższego czasu zajmuję się tworzeniem szczepionek w roślinach, które następnie można jeść. Pracuję nad hodowaniem przeciwciał w roślinach. Myślę, że dzięki temu za jakieś dziesięć lat będzie można powszechnie produkować nowe szczepionki, które znajdą szerokie zastosowanie ze względu na pewność, bezpieczeństwo i taniość. Od kilku lat zajmuję się też walką ze stwardnieniem rozsianym, chorobą jak do tej pory nieuleczalną. Prowadzimy już badania kliniczne nad kontrolowanym zwiększeniem poziomu kwasu moczowego we krwi u ludzi, co zatrzymuje zmiany specyficzne dla stwardnienia rozsianego – mówił profesor Koprowski.

Na zakończenie naszej rozmowy zapytałem profesora o Order Uśmiechu, który otrzymał w 2002 roku. – Jeśli dobrze pamiętam, to ośmioletnia dziewczynka wystąpiła do Międzynarodowej Kapituły Orderu Uśmiechu, by mnie uhonorować. A dowiedziała się o mnie od ojca, który był lekarzem. Pięknie napisała swój wniosek – wyjaśniał Hilary Koprowski.

Warszawa, 2010

Od autora:

Spotkaliśmy się w hotelu Victoria w Warszawie. Hilarego Koprowskiego znali tu wszyscy, bo tutaj zwykle zatrzymywał się podczas odwiedzin kraju. Profesor,

mimo swoich 94 lat, tryskał wówczas energią. Przyjechał do Polski na kilka dni, a miał naprawdę wiele spraw do załatwienia.

Hilary Koprowski

– lekarz medycyny, wirusolog i immunolog, członek zagraniczny PAN, profesor nadzwyczajny Thomas Jefferson University.

Urodził się 5 grudnia 1916 roku w Warszawie. Zmarł 11 kwietnia 2013 roku w Filadelfii. Jest twórcą pierwszej w świecie szczepionki przeciwko wirusowi polio wywołującemu chorobę Heinego-Medina. Ukończył studia medyczne w Uniwersytecie Warszawskim. Studiował też w Konserwatorium Muzycznym w Warszawie oraz w Akademii św. Cecylii w Rzymie. Od 1939 roku przebywał poza Polską (od 1944 roku mieszkał w USA).

Opublikował ponad osiemset pięćdziesiąt prac naukowych. Przez wiele lat kierował Instytutem Wistara w Filadelfii. W ostatnich latach życia był dyrektorem Instytutu Biotechnologii i Zaawansowanej Medycyny Molekularnej oraz Centrum Neurowirusologii w Uniwersytecie Thomasa Jeffersona w Filadelfii. Założyciel Fundacji im. Koprowskich, której zadaniem jest wspieranie rozwoju nauki w Polsce, przede wszystkim wirusologii, oraz polsko-amerykańskiej współpracy naukowej. Jest również autorem utworów muzycznych.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Wikipedia, Hilary Koprowski
- gazeta.pl, Hilary Koprowski
- crazynauka.pl, Zahamował epidemię polio w Polsce
- onet.pl, Lepiej być wielkim naukowcem niż średnim pianistą

Stanisław Kowalski

Przeżycie własnej tragedii uwrażliwia na los innych będących w nieszczęściu. Budzi się pragnienie pomagania.

Społecznik po przejściach

– Nie przypuszczałem, że będę kiedyś zajmował się działalnością społeczną, a tym bardziej charytatywną. W czasach PRL nie mówiło się o takiej działalności, bo to państwo wszystko załatwiało, państwo się o wszystko troszczyło, państwo pomagało.

Jestem inżynierem mechanikiem. Pracowałem w biurach projektowych, w kilku zakładach produkcyjnych. Po dwudziestu latach pracy musiałem zachorować, bo powiedziano mi, że w państwowych przedsiębiorstwach nie mam co robić, bo jako osoba bezpartyjna jestem źle postrzegany. Popadłem w konflikt – chodziło o budowę zakładu, który był konkurencją dla Związku Radzieckiego w produkcji węglików spiekanych. Zakład ten nie tylko miał je produkować, ale nawet wysyłać na eksport. Doradzono mi, bym jako projektant zakładu, zniknął na jakiś czas, a najlepiej na stałe. Wystarałem się o rentę inwalidzką – właściwie mi ją załatwiono – ale nie dało się z niej wyżyć. Zacząłem pracować jako rzemieślnik na swój rachunek. W tamtym okresie wszystko, co się wyprodukowało, to się sprzedawało. Szybko doszedłem do dużych pieniędzy.

W 1986 roku w wypadku samochodowym zginęła moja żona. Byłem w szoku. Został niezamieszkany dom, do którego mieliśmy się przeprowadzić. Po tej tragedii córka uznała, że ciąży na nim fatum i nie chciała tam zamieszkać. Nie wiedziałem, co z sobą robić. Dotąd w prowadzeniu interesu bardzo pomagała mi żona. Zostałem, jak to się mówi, bez prawej ręki i przerwałem działalność rzemieślniczą. Córka doradziła mi, abym założył fundację i pomagał innym. Dałem ogłoszenie w prasie, że poszukuję dzieci, które uległy wypadkowi samochodowemu, albo ich rodzice, i chciałem je wspierać. Chciałem pomagać, ale nikt się nie zgłosił. Wytypowałem trzy ośrodki, żeby wspierać je finansowo. Były to: Zakład dla Niewidomych w Laskach – uznałem bowiem, że niewidomi są najbardziej poszkodowani, Ośrodek dla Dzieci Niepełnosprawnych „Przedwiośnie" w Aninie i Dom Dziecka im. Janusza Korczaka w Warszawie, przy ulicy Jaktorowskiej. Szybko rozeszły się wieści o moich działaniach, zaczęły napływać podania o pomoc. Było ich coraz więcej, a mnie zaczynało ubywać środków. I tak to trwało do 1998 roku. Uznałem wówczas, że moja działalność charytatywna powinna mieć bardziej sformalizowany charakter.

Nawiązałem kontakt z Profesorem Zbigniewem Religą, znanym kardiochirurgiem, a on podpowiedział mi, bym zajął się dziećmi z porażeniem mózgowym. Wspólnie opracowaliśmy program ogólnokrajowy i zaczęliśmy działać według tego programu. Profesor zgodził się zostać patronem Fundacji Dzieciom „Zdążyć z Pomocą". Jak ją zakładaliśmy, to marzeniem Profesora było, byśmy mieli tysiąc podopiecznych.[2]

Podczas dekoracji Orderem Uśmiechu z Ireną Conti Di Mauro, Kawalerem Orderu Uśmiechu

> Działalność naszej fundacji została szybko dostrzeżona przez rodziców dzieci chorych głównie na porażenie mózgowe. W tej chorobie najważniejsze są rehabilitacje. Trwają całe życie.

Do nas przychodzą rodzice z niemowlakami i trzeba się nimi zająć. Chorzy nie będą w pełni sprawni, ale mają szansę na samodzielną pracę czy nawet życie. U dzieci z porażeniem mózgowym rehabilitacja jest niezbędna.

Z myślą o naszych podopiecznych wybudowaliśmy własny, nowoczesny Ośrodek Rehabilitacji „Amicus" oraz hostel dla dzieci przyjeżdżających do nas na turnusy rehabilitacyjne. Zajmujemy się chorymi i niepełnosprawnymi dziećmi z całej Polski. W 2011 roku rozpoczęliśmy budowę nowego ośrodka w Warszawie, nawet większego niż istniejący. Będzie również nowocześnie wyposażony.

Prowadzimy i inne działania, na przykład przekazujemy więźniom prezenty dla ich dzieci, by mogli obdarowywać swoje pociechy na Dzień Dziecka, Gwiazdkę. Pomagamy rodzinom poległych funkcjonariuszy policji. Prowadzimy też w ramach projektu „Poza ciszą i ciemnością" działalność na rzecz niewidomych i niesłyszących, nie tylko dla dzieci.

Wydaje mi się, że dobrym społecznikiem można zostać, kiedy przeżyje się własne nieszczęście.

początek lutego 2011

Stanisław Kowalski

– fundator i prezes zarządu Fundacji Dzieciom „Zdążyć z Pomocą".

Działalność charytatywna oraz wydawnicza fundacji zostały wyróżnione Nagrodą Honorową „Lutetia 2004" Stowarzyszenia Polskich Autorów, Dziennikarzy i Tłumaczy w Europie z siedzibą w Paryżu.

Inicjator i edytor wielotomowej księgi *Twórcy Wizerunku Polski*. Od wielu lat wydaje bogato ilustrowaną serię książeczek dla dzieci z *Biblioteki Myszki Norki*.

Fundacja prowadzi też Klub „Myszki Norki", który integruje dzieci poprzez taniec, teatr, sport, zabawę.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Wikipedia, Fundacja Dzieciom „Zdążyć z pomocą"
- Oficjalna strona Fundacji Dzieciom „Zdążyć z pomocą"

- pastylka.pl, Uśmiech dziecka jest dla mnie największą nagrodą

- youtube.com, TVP Kurier Warszawski – 24 listopada 2013 – O Fundacji Dzieciom „Zdążyć z Pomocą”

[2] W połowie 2013 roku fundacja miała pod opieką już dwadzieścia dwa i pół tysiąca dzieci, a budowa nowego ośrodka w Warszawie była na ukończeniu.

Stanisław Krupa (z lewej) i Marek Michalak

Stanisław Krupa

„Jestem w tej chwili najstarszym członkiem Międzynarodowej Kapituły Orderu Uśmiechu – stażem i wiekiem. Zawsze trzymam się zasady i ją głoszę – nie przyznawać Orderów zbyt pochopnie”.

Nestor wśród kawalerów

– Przez wiele lat byłem kierownikiem Działu Łączności z Czytelnikami „Kuriera Polskiego”. Pamiętam, jak uczestniczyłem w akcji „O Uśmiech Dziecka”. Ten tytuł ktoś teraz sobie przywłaszczył. Ale akcja „O Uśmiech Dziecka” to był pomysł gazety.

Na czym ta akcja polegała? Pod koniec listopada ogłaszaliśmy apele do czytelników o składanie darów dla dzieci z biednych rodzin. Były wśród nich ubranka, zabawki. Na parę dni przed świętami wielki hol redakcyjny „Kuriera Polskiego” zamieniał się w składowisko paczek. Każdy dziennikarz dostawał nazwisko rodziny oraz jej adres i jechał sprawdzić, co jest im potrzebne.

Pamiętam, jak pojechałem sprawdzić pewną rodzinę przy ulicy Białobrzeskiej. Zastałem sześcioro dzieci, najmłodsze dwa lata, najstarsze jedenaście. Ojciec w więzieniu. Dzieciaki nie miały łóżek, tylko spały na siennikach, pokotem na podłodze. Z tej szóstki tylko trójka miała buty. Bieda.

> Minęło sześćdziesiąt lat, a ja do tej pory mam przed oczyma te biedne dzieciaki. Kiedy przyniosłem im świąteczną paczkę i dostały buty, to przyciskały je do piersi, jak największy skarb. A jak zobaczyły czekoladę, pytały mamę, co to jest. Ta akcja zbliżała nas do ludzi.

Gdy „Kurier Polski" stał się jakby opiekunem Orderu Uśmiechu, to jako kierownik Działu Łączności, z urzędu byłem takim nieformalnym rzecznikiem prasowym Międzynarodowej Kapituły Orderu Uśmiechu. Na jej czele stał redaktor naczelny gazety.

W 1981 roku był nim Cezary Leżeński. Wtedy właśnie upływała kadencja władz Stronnictwa Demokratycznego i zwołano zjazd. Leżeński kandydował na przewodniczącego i przepadł w wyborach. Wygrał Tadeusz Witold Młyńczak. Natychmiast odwołał Leżeńskiego z funkcji naczelnego, a powołał Radosława Ostrowicza, który był jego zastępcą. Ostrowicz był dobrym dziennikarzem, ale był też uległy. To był przyzwoity chłopak, ale był takim urzędnikiem bez własnego zdania. Czarek to miał własne zdanie. Był w „Solidarności", ale nie był żadnym działaczem. Zresztą Ostrowicz też wstąpił do tego związku.

W 1990 roku ostatni przewodniczący Stronnictwa Demokratycznego, Aleksander Mackiewicz – trzeba tu dodać, że Stronnictwo było właścicielem gazety – usunął ze stanowiska redaktora naczelnego „Kuriera" Radosława Ostrowicza i mianował na to stanowisko Jacka Snopkiewicza, a ten z urzędu został szefem Kapituły. Od razu stwierdził, że nie będzie się bawił z Orderem Uśmiechu, zresztą Mackiewicz powiedział, że nie będzie tego finansował. „Wiesz co Staszek – dodał – może byśmy ten Order sprzedali w antykwariatach".

Akurat tuż przed tym zamówiliśmy w mennicy dużo Orderów, aż siedemset, a wstążki do nich w Łodzi. Zrobiono to po zniżonych cenach. To wszystko przechowywano w specjalnej kasetce, w szafie wraz z dokumentacją. Ja mu na to: „Jacek czyś ty zgłupiał, wiesz jacy ludzie ten Order noszą?! Jest wśród nich i Jan Paweł II. To jest jedyne odznaczenie, które przyjął. I ty chcesz to sprzedawać?!" Coś mnie tknęło i wziąłem kasetę z Orderami do swojego

gabinetu i włożyłem do swojego biurka. A miałem biurko zamykane na klucz. Trzy dni potem włamano się do tej szafy. Nigdy nie doszli, kto się włamał.

Potem „Kurier Polski" odkupił Zygmunt Solorz. I z miejsca powiedział, że nie będzie finansował Orderu Uśmiechu. Gazeta, do tej pory przekazywała pieniądze na ten cel. Naczelnym redaktorem został Maciej Rosalak. Powiedziałem mu, że warto wznowić działalność Kapituły Orderu Uśmiechu. Zgodził się, ale podkreślił, iż na to właściciel nie da ani grosza: „Ale jak chcesz to działaj, ja ci udostępnię gabinet" – powiedział.

Mając całą dokumentację, Ordery, zwołałem pierwsze posiedzenie dawnych członków Kapituły, m.in. Radosława Ostrowicza, Cezarego Leżeńskiego i zaczęliśmy się zastanawiać, co dalej robić. Czarek zaproponował powołanie Stowarzyszenia Orderu Uśmiechu, oderwanie go od „Kuriera Polskiego". Został opracowany statut, ale by zarejestrować stowarzyszenie trzeba było mieć piętnastu założycieli. Zgromadziliśmy piętnaście osób, chętnych do pracy społecznej. Nasza siedziba mieściła się w UNICEF-ie w al. Szucha w Warszawie, gdzie mieliśmy pokój. Pierwszym kanclerzem został Czarek. On już był kanclerzem, gdy był naczelnym „Kuriera Polskiego".

Początkowo Kapituła była stosunkowo nieliczna, ale z czasem się rozrastała. Są w niej znane osoby, o znanych nazwiskach. Cezary Leżeński doprowadził do tego, że Order Uśmiechu został uznany za odznaczenie międzynarodowe. Dostawali go i dostają znani w świecie aktorzy, pisarze, ludzie nauki. Do Kapituły przychodzi wiele wniosków od dzieci z całego świata. Mało jest wśród nich kontrowersyjnych. Kiedyś na przykład wpłynął wniosek, by Order Uśmiechu przyznać Michaiłowi Gorbaczowowi. Wyobraża sobie pan Order Uśmiechu na jego piersi? Był mocny sprzeciw, nie baliśmy się mu go nie przyznać. Było parę osób nie bojących się, jak choćby ja czy harcerka Danuta Rosner, dzisiaj wicekanclerz. Rozważaliśmy, czy by nie móc odbierać Order Uśmiechu, dostał go bowiem pewien Austriak, który bardzo pomagał dzieciom w Polsce, ale potem został skazany za malwersacje.

końcówka 2011

Od autora:

Redaktor Stanisław Krupa to nestor polskiego dziennikarstwa, bohater Polski Podziemnej, skromny i pełen życzliwości człowiek. W roku 2012, skończył 90

lat. Patrząc na niego, trudno mi w to uwierzyć.

Stanisław Krupa

– dziennikarz. Urodził się w 1922 roku. Przed wojną skończył trzy klasy gimnazjum, maturę zrobił na kompletach w Liceum im. gen. Sowińskiego w Warszawie. Był przed wojną harcerzem, doszedł do stopnia ćwika. W czasie okupacji w Szarych Szeregach, potem w grupach bojowych Szarych Szeregów, w grupie „Jerzego", które zostały przekształcone w batalion „Zośka". Uczestniczył w Powstaniu Warszawskim, przeszedł szlak z Woli na Starówkę i Czerniaków. Po upadku Czerniakowa przepłynął Wisłę wpław.

Po wojnie rozpoczął studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Na czwartym roku aresztowano go, przesiedział pięć lat w więzieniu. Po wyjściu przez dwa lata nie miał pracy. Po październiku 1956 roku został zrehabilitowany. Dokończył studia, zrobił dyplom magistra. Zatrudnił się najpierw w prasie paxowskiej, później przeszedł do „Kuriera Polskiego", w którym pracował czterdzieści lat. Członek Międzynarodowej Kapituły Orderu Uśmiechu. Wiceprezes Fundacji Żołnierzy Polski Walczącej.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- 1944.pl, Stanisław Krupa

- orderusmiechu.pl, Stanisław Krupa
- se.pl, Stanisław Krupa: Bez Powstania nie byłoby Solidarności
- lubimyczytac.pl, Stanisław Krupa

Henryka Krzywonos-Strycharska

Uważana za jeden z symboli wolnej Polski, ale szczególnie jest dumna ze swojej rodziny. Wraz z mężem Krzysztofem wychowała dwanaścioro dzieci. Nie dopuściła do tego, by powtarzały jej trudne dzieciństwo. Życie Henryki Krzywonos-Strycharskiej, to „życie pod prąd”.

Matka dużej rodziny

– Wszystko się zaczęło, gdy trafiłam do domu dziecka. Tam się okazało, że starsze dzieci opiekują się młodszymi. I czy chciałeś, czy nie, to dostawałeś pod opiekę młodsze dziecko. Biłam się z myślami, bo u mnie w domu była młodsza siostra w wieku dziewczynki, którą dostałam pod opiekę. Myślałam sobie: „Nie mogę jej pomóc, bo jestem daleko, a tu mam dziecko”. Zaczęłam więc traktować ją, jak rodzoną siostrę. Miałam wtedy piętnaście lat.

Wróciłam do domu. Miałam dziewiętnaście lat. Zaopiekowałam się moją siostrą, bo nic się nie zmieniło. Dalej było tak, jak w chwili mego odejścia. Pochodzę z patologicznej rodziny, rodzice nie mieli dla nas czasu.

Przyszedł rok 1980 i zanim stworzyliśmy Biuro Interwencji „Solidarności”, to takie biuro – że tak powiem – prowadziłam „na czarno”. Lech Wałęsa mówił wtedy: „Słuchajcie, idźcie tam, gdzie jest pokój 77, w nim urzęduje Krzywonos, ona wam wszystkim pomoże”. I tak się zaczęło. Ludzie

przychodzili z różnymi sprawami, bolączkami. Zobaczyłam wtedy, że umiem cośkolwiek zrobić. Załatwiłam w tym czasie czterdzieści sześć mieszkań. Ówczesny prezydent Gdańska, Jerzy Młynarczyk w swojej książce wspomina mnie. Był to facet, z którym można było wiele załatwić. Miał serce na właściwym miejscu.

Kiedy wróciłam po stanie wojennym i okazało się, że już nie mogę mieć własnych dzieci, zaczęłam myśleć o przyszłości. Pierwsze dziecko adoptowałam, drugim zajęłam się, gdy zmarła siostra mojej sąsiadki i został chłopiec. Stało to się spontanicznie, ponieważ miała go wziąć ciocia. Zrobiliśmy wszystko, by go wzięła, nawet wyremontowaliśmy mieszkanie Janka, ale ona na koniec powiedziała, że „za dużo żre, za głośno słucha muzyki i go nie chce". I my go wzięliśmy. Byłam w sądzie świadkiem i powiedziałam, że go biorę. To nie było jeszcze formalnie, bo musiał wyrazić zgodę mój mąż – Krzysztof Strycharski. Gdy mu powiedziałam, był zachwycony. Tak więc mieliśmy dwoje dzieci. Później przyszła Ola i zostaliśmy rodziną zastępczą dla Oli i Janka, bowiem Agnieszka była adoptowana z zatarciem metryki.

Pewnego razu przyjechała do nas Barbara Passini, dyrektor Krajowego Ośrodka Adopcyjno-Opiekuńczego, która z ramienia rządu opiekowała się rodzinnymi placówkami i zaczęła mnie namawiać, bym założyła rodzinny dom dziecka. Mój mąż początkowo się opierał. Po dwóch latach tak się stało. I było cudownie.

To był 1994 rok. Wtedy otworzyliśmy swój dom. Wkrótce mieliśmy pod opieką dziewiątkę dzieci. Na początku mieliśmy trójkę, a później wzięliśmy piątkę. To było rodzeństwo, małe dzieci, najstarsze miało siedem lat, a najmłodsze dwa. Kiedy ich wzięliśmy, wiedziałam, że z tego rodzeństwa jest jeszcze więcej dzieci, starałam się je znaleźć, chciałam je wszystkie połączyć. W końcu znalazłam jedno i ściągnęłam do siebie. Monika dzisiaj jest najstarszą z dziewcząt. Kiedy ją wzięliśmy, miała czternaście lat.

> „Potem przyjęliśmy Genia, bo zadzwonili z ośrodka adopcyjnego. Nikt go nie chciał. Powiedziano mi: „Pani Heniu, on jest z trudnej rodziny, to dziecko nie będzie funkcjonowało

wśród dzieci, czy pani go weźmie?" Oczywiście, zdecydowałam się.

Wzięliśmy Genia, pięcioletnie dziecko, które było potwornie zakompleksione.

Było bardzo ciężko i zaadoptowaliśmy babcię. Wzięliśmy starszą kobietę z przytułku, z domu dla bezdomnych. Była u nas cztery i pół roku, później znalazła swoją córkę i od nas odeszła. Uważaliśmy, że tak powinno być. Pogubiła się kiedyś w życiu i teraz się odnalazła, ma prawo żyć z własną rodziną. Do dzisiaj utrzymujemy ze sobą kontakt, choć nie mam za dużo czasu i boleję nad tym. Ale zanim zjawiła się u nas babcia Krysia, adoptowaliśmy dwóch chłopców. Tomka i Przemka. Przyjęliśmy ich i w ten sposób powstała dwunastka.

A jak do tego doszło? Był sierpień, mieliśmy z mężem mieć go wyłącznie dla siebie. Pamiętam, Monika mówiła: „Niech mama nie przywozi te dzieciaki, od września je weźmiemy". Ale jak dyrektor ich przyprowadził, rodzonych braci i Tomek, po wejściu do gabinetu powiedział: „Oj mamo, jak to dobrze, że po mnie przyszłaś". Byłam „utopiona". Wracałam już z chłopcami. Monika, jak ich zobaczyła, to powiedziała: „Mamo, wiedziałam, że tak będzie". To było w 1996 roku.

Mieliśmy już piętnastoosobową rodzinę, bo była dodatkowo babcia. Jak była babcia, to mogłam wyjść, więcej zrobić. Ludzie wiedząc, że taki rodzinny dom jest na Zaspie, dzwonili do mnie, pytali, czy przyjmę dziecko, radzili się. Na święta, razem z moimi dziećmi robiliśmy paczki dla rodzin zastępczych, bo

wtedy nie dostawały pieniędzy, był taki okres. Moje dziewczyny zawsze były mikołajami, zdarzało się, że ja – śnieżynką. Śmieszne rzeczy, ale tak było. W ten sposób uczyłam moje dzieci pomagać innym. Paczki były nie tylko dla dzieci, były to również paczki żywnościowe. Taka paczka mogła ważyć nawet pięćdziesiąt kilogramów, bo tam był cukier, mąka, olej, po prostu wszystkie potrzebne na co dzień rzeczy. Otworzyłam fundację, która nazywała się Fundacja Henryki Krzywonos-Strycharskiej. Byli w niej ciekawi ludzie: Jacek Kuroń, Karol Modzelewski, cała masa osób z pierwszych stron gazet. Gdy prezes fundacji – Rysiek Dziekański zachorował, praca w niej utknęła w miejscu.

Rodzinny dom dziecka przestałam prowadzić w 2007 roku. Przeszłam na emeryturę. Ostatni moi chłopcy odeszli z domu trzy tygodnie temu, mieszkają w internacie. Jest to taka próba, w każdej chwili mogą wrócić, jak im się noga powinie. Na razie staramy się im pomóc, chcemy ich usamodzielnić. Obserwujemy ich z daleka. Krzysiek pozakładał im konta. Płacimy za internat, w którym mieszkają. Dajemy pieniądze na życie. Jeden i drugi się uczy, ale pod naszym okiem, przy czym nie wiedzą, że my ich obserwujemy.

Moim śladem poszła jedna z moich córek, Ola, dziewczynka, która była trzy razy przygotowywana do adopcji i tyle razy była odrzucana. W końcu ostania rodzina, w której była, nauczyła ją podkradać. Wzięli małe dziecko, a jej postanowili się pozbyć. Wróciła do domu dziecka i tam zaczęła podkradać, miała skierowanie do poprawczaka czy do zakładu poprawczego. Kiedy trafiła

do nas, okazało się, że nie trzeba poprawczaka, nie musi uciekać, bo ona uciekała z tego domu dziecka, bo jest fajnie. No i kiedy kończyliśmy z Krzysiem prowadzić nasz rodzinny dom, to przyszła do nas i powiedziała, że ona chce taki założyć i prowadzić na swoje konto. Byłam wściekła, Krzysiek jeszcze bardziej. Mówiliśmy jej, z jakimi trudnościami się borykaliśmy, ile razy musiałam podejmować dodatkową pracę, żeby było za co żyć. A ona na to: „Chcę oddać tym dzieciom to, co od was dostałam". Ja się wycofałam, odeszłam, a ona wprowadziła się do naszego mieszkania. Ola ma dwadzieścia osiem lat. W tym samym domu, co ja, prowadzi razem z mężem rodzinny dom dziecka, ma siedmioro dzieci, ósme swoje. W ten sposób kontynuują tradycję.

Dzieci, które wychowywałam, zostały połowicznie adoptowane. Wszystkie mają nazwisko mego męża Krzyśka. Nie nazywają się Krzywonos, mąż mój nie chciał tego zrobić. Powiedział, że przychodzi czas, kiedy trzeba pracować na swoje konto i nie będą na mamusi się „bujać". I tak się „bujają", ale bez nazwiska. Podstawą jest jego nazwisko, a imiona mają nadane przez swoich rodziców. Gdybyśmy ich adoptowali całkowicie, nie byłoby dotacji na nic. A człowiek samą miłością nie żyje. Sądownie zmieniliśmy im nazwiska. Ale są nasze. Przychodzą, otwierają lodówkę, patrzą, co matka ma. Święta skupiają moją rodzinę.

Teraz to jednak wygląda inaczej. Nie chcę kłamać. Dzieci przychodzą rzeczywiście, ale mają swoje życie, swoich rodziców, swoich teściów. W rezultacie jedne święta są u mnie, inne u teściów. Często bywa, że

w pierwszy dzień świąt jest część dzieci, a w drugi kolejna część. W rezultacie przewijają się wszyscy. Mamy dwanaścioro dzieci, pięciu zięciów, dwie synowe, reszta to jeszcze „wolne strzelce" i piętnaścioro wnucząt, w tym adoptowane przez Olę. Też je zaliczam do moich wnucząt, dlatego tak je traktuję. Chodzę na ich urodziny, w święta dostają od nas prezenty, staram się je odwiedzać. Ale nie jestem taką babcią, która przychodzi i pilnuje wnuki. Swoim dzieciom mówię, że ja swoje dzieci już wychowałam, teraz wy wychowajcie swoje. Niemniej kocham wszystkie moje wnuki. Staram się być babcią z doskoku. Przez to mnie moje wnuki kochają i tęsknią za mną. Jakbym była codziennie, to by mnie tak mocno nie kochały.

Nie siedzę w domu z założonymi rękoma, lecz pomagam innym, jestem doradcą Rzecznika Praw Dziecka. Zapraszają mnie szkoły, więc je odwiedzam. Mówię o swoim życiu, o życiu pod prąd, o tym, że można w różny sposób wyjść ze swojego dotychczasowego życia. To, że jestem z rodziny patologicznej, to nie znaczy, że cały świat się zawalił i koniec. Tylko trzeba walczyć o swoje życie, trzeba walczyć o to, by wypłynąć, by dawać sobie radę bez drugich osób. Bo tak można. I mówię o tym do dzieci, do młodzieży, do dorosłych. Mówię o rodzinnym domu, mówię rzeczy śmieszne i smutne, i przekonuję, że można ze wszystkiego wybrnąć.

na Lotnisku Chopina w Warszawie, jesień 2012

Henryka Krzywonos-Strycharska

– polska działaczka opozycji w okresie PRL, sygnatariuszka porozumień sierpniowych.

Urodziła się 27 marca 1953 w Olsztynie. Mając dwadzieścia lat w 1973 roku zaczęła pracę motorniczej w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Komunikacyjnym Oddział Komunikacji Miejskiej Tramwajowej w Gdańsku. W 1978 roku, na rok przeniosła się do Stoczni Gdańskiej, gdzie była operatorem urządzeń dźwigowych. Po czym wróciła za stery tramwaju. 15 sierpnia 1980 roku w pobliżu Opery Bałtyckiej zatrzymała prowadzony przez siebie tramwaj. Zdarzenie to bywa określane jako początek strajku gdańskiej komunikacji publicznej w okresie wydarzeń sierpniowych. Została następnie przedstawicielem WPK w Międzyzakładowym Komitecie Strajkowym, weszła w skład jego prezydium. 16 sierpnia, po podpisaniu w Stoczni Gdańskiej porozumienia z dyrekcją i ogłoszeniu przez Lecha Wałęsę końca strajku, wraz z Aliną Pieńkowską, Anną Walentynowicz i Ewą Osowską zatrzymywała na bramach robotników opuszczających stocznię, co zapobiegło zakończeniu strajku. 31 sierpnia znalazła się wśród sygnatariuszy porozumień sierpniowych. Od 1994 roku do czasu przejścia na emeryturę

(w 2009 roku) prowadziła wraz z mężem Krzysztofem Strycharskim rodzinny dom dziecka w Gdańsku, wychowując łącznie dwanaścioro dzieci.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Wikipedia, Henryka Krzywonos
- Facebook, Henryka Krzywonos-Strycharska
- gazeta.pl, To nagonka na rodziny zastępcze
- echodnia.eu, Henryka Krzywonos była gościem Świętokrzyskiego Zjazdu Rodzin Zastępczych w Ostrowcu

Marian Kulig

Zorganizował całościową i wieloletnią opiekę nad swoimi potrzebującymi młodymi podopiecznymi. Nie chciał, by czuli się gorzej od innych. Budował w nich dumę.

Pomaganie dzieciom było moją pasją

– Naczelnikiem Podgórza, dzielnicy prawobrzeżnego Krakowa zostałem dokładnie 21 grudnia 1973 roku, przedtem byłem zastępcą głównego architekta, pełniącego obowiązki głównego architekta miasta. Wcześniej byłem architektem dzielnicy Stare Miasto.

Kiedy znalazłem się na Podgórzu, dzielnica była bardzo zaniedbana, taki Kraków B. Ale była bardzo uprzemysłowiona, przez to potencjalnie bogata. Tutaj działało sto dwadzieścia zakładów przemysłowych produkujących między innymi: kable, sodę, buty, futra, tkaniny. Odkryłem, że w tej dzielnicy znajduje się też trzynaście ośrodków dla dzieci specjalnej troski. Były to trzy domy dziecka, dwie szkoły szpitalne: w Kobierzynie i w Prokocimiu, cztery szkoły specjalne, ośrodek niewidomych przy ulicy Tynieckiej – taki jak Laski koło Warszawy – pogotowie opiekuńcze dla dziewcząt, ośrodek wychowawczy dla dziewcząt i jedyny w Krakowie, wówczas przy ulicy Saskiej, ośrodek dla dzieci z najgłębszą, skrajną niepełnosprawnością.

„Uzbrojony” w słodycze zacząłem odwiedzać te wszystkie placówki. Zrobiłem to w ciągu dwóch dni, w godzinach 8.00–22.00. Zobaczyłem okropną biedę, w jakiej żyły dzieci z chorobami onkologicznymi, niewidome, chore psychicznie. Zrobiło to na mnie ogromne wrażenie. Powiedziałem sobie, że muszę coś dla tych dzieci zrobić, pomóc tym nieszczęsnym ofiarom swoich rodzin, losu.

> Stworzyłem swoisty system opieki nad nimi, we wszystkich dziedzinach życia. Powołałem sekcje: żywnościową, ubraniową, sportową, naukową, kulturalną, zdrowia, a na ich czele postawiłem dyrektorów z ośrodków dla dzieci jako koordynatorów.

Uważałem bowiem, że placówki muszą mieć odpowiednią ilość żywności i do tego dobrą opiekę zdrowotną, opiekę edukacyjną – korepetycje, żeby dzieci nie kończyły tylko szkół zawodowych, by miały impuls do dalszej nauki.

Poszedłem do prezesa Powszechnej Spółdzielni Spożywców w Krakowie i powiedziałem mu, że moi podopieczni muszą mieć odpowiednie ilości żywności. Dopisywał ich do listy dyplomatycznej. Organizowałem dzieciom wypoczynek w różnych ośrodkach zakładowych. Doprowadziłem do tego, że każde z nich miało zapewnione leczenie w klinice o każdej porze dnia i nocy. Gdy któreś z nich gorączkowało, to pediatra był natychmiast do dyspozycji. Moje dzieci miały pierwszeństwo w przychodniach. Studenci stomatologii leczyli je w pierwszej kolejności. Niektóre dzieci dotąd nawet nie wiedziały, że można sobie „uzupełnić” ząb.

Dzięki moim działaniom każdy wychowanek domu dziecka, wychodząc z niego po ukończeniu osiemnastu lat, dostawał mieszkanie. Walczyłem o te mieszkania, a później robiłem wszystko, by wyposażyć je w niezbędne sprzęty. Pomagały mi w tym zakłady pracy, finansując część zakupów lub przekazując na rzecz wychowanków meble wybrakowane, na przykład fotele z ośrodków wypoczynkowych, ale po renowacji. Dzieci miały na początek taką wyprawkę. Malowanie i urządzanie tych starych mieszkań było dziełem całej grupy osób.

Dbałem o wychowanie sportowe dzieciaków, jeździłem z nimi na mecze, organizowałem życie sportowe, a także kibicowskie. Załatwiałem wejściówki na mecze Wisły Kraków – dzieci siedziały na trybunie honorowej.

Wszystkie święta spędzałem z nimi. Wigilie z rodziną rozpoczynałem po wpół do dziesiątej wieczorem, bo wcześniej miałem wigilię z tymi dziećmi. Chciałem budować w nich dumę, żeby nie czuły się ludźmi drugiej kategorii.

Chodziłem z nimi na wyprawy górskie. Jako naczelnik miałem pod opieką od siedmiuset do ośmiuset pięćdziesięcioro dzieci jednorazowo. Funkcję naczelnika pełniłem dwanaście lat, później byłem przez sześć i pół roku wiceprezydentem Krakowa i równolegle wicewojewodą.

Pokochałem te dzieci, pomaganie im było moją pasją. Jestem już dość długo na emeryturze, mam siedemdziesiąt pięć lat, ale ludzie pamiętają moją działalność. Te dzieci, dzisiaj dorosłe, zdarza się, że zwracają się do mnie z prośbą o pomoc.

Kraków, lato 2011

Od autora:

Spotkaliśmy się się w kawiarni w jednym z nowych hoteli. Marian Kulig z nostalgią wspominał swoją pracę na rzecz Krakowa i dzieci. Kraków to jego umiłowane miasto. Związał się z nim w okresie studiów na Politechnice Krakowskiej. Zna miasto jak własną kieszeń. Przez wiele lat miał wpływ na jego rozwój architektoniczny, jego infrastrukturę. Od dawna na emeryturze, ale wciąż żyje zmianami, jakie zachodzą w wyglądzie dawnej królewskiej stolicy.

Marian Kulig

– architekt.
Urodził się 13 sierpnia 1936 roku w Suchej Beskidzkiej. Ukończył budownictwo lądowe na Politechnice Krakowskiej. W latach 1963–1969 był architektem dzielnicy Stare Miasto w Krakowie, następnie zastępcą głównego architekta miasta Krakowa. Zajmował się odbudową zabytków Starówki w Krakowie, a także problemami bezpieczeństwa budowlanego, kształtowaniem rozwiązań infrastruktury technicznej oraz ładem przestrzennym miasta. Od 1973 do 1985 roku zajmował stanowisko naczelnika dzielnicy Podgórze. W tym czasie doprowadził do zmiany jej obrazu – dzięki jego staraniom przebudowano układ komunikacyjny, wybudowano wiele szkół i przedszkoli. W latach 1985–1990 roku był wiceprezydentem miasta, jednocześnie pełnił funkcję wicewojewody krakowskiego.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Oficjalna strona Stowarzyszenia Podgórze.pl
- orderusmiechu.pl, Marian Kulig

Danuta i Jacek Kuroniowie

Wchodził do studia telewizyjnego i mówił, że musimy sobie pomóc. I taką samopomoc organizował. „Ja daję, moi dają, to jest idea mojej zupy" – podkreślał.

Moja zupa

Wspomina Danuta Kuroń:

– Mąż całe życie zajmował się dziećmi, z krótkimi tylko przerwami. Kilka lat po wojnie, będąc jeszcze uczniem, bardzo chciał zostać pomocnikiem wychowawcy na wakacjach, które organizowano na Żoliborzu. Aby dopiąć swego, powiedział, że ma osiemnaście lat, a w rzeczywistości miał szesnaście. Dzieciaki woziło się pod namioty nad jeziora, do lasu. Środkiem transportu były ciężarówki wojskowe. Od 1955 roku Jacek współtworzył, wraz z kolegami, z którymi pracował, drużyny Walterowców. Po maturze poszedł na studia pedagogiczne do Wyższej Szkoły Pedagogicznej, z wyboru, chciał bowiem być wychowawcą dzieci i młodzieży. To był jego pomysł na życie.

Kiedy hufiec Walterowców rozwiązano, a także Wyższą Szkołę Pedagogiczną, Jacek wylądował w Uniwersytecie Warszawskim, na Wydziale Historycznym. To nie był epizod w jego życiu. Różne rzeczy Jacka uformowały, między innymi doświadczenia z pracy z dziećmi, szczególnie opuszczonymi przez dorosłych. Najmłodszymi zajmował się zawsze. Gajka (pierwsza żona Jacka Kuronia)

studiowała psychologię. On tę psychologię studiował wraz z nią. Można powiedzieć, że nieformalnie ją skończył. Uważał, że trzeba wychowywać do samorządności, do demokracji, do umiejętności współpracy. Z takim przekazem, iż, jaki będziesz, zależy to od ciebie.

Kiedy Jacek trafił do więzienia, jego wychowankowie byli albo jeszcze w szkole, albo na początku studiów. Razem z nimi zajmował się polityką. Bardzo śmiesznie o tym opowiadał: „Wyszedłem po pierwszym wyroku i czułem się jak kura, która wyhodowała kaczki. Wszyscy pływają na głębokiej wodzie, a ja biegam po brzegu i się denerwuję, że się potopią".

Ja też jestem z Żoliborza, z trzeciej kolonii Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej (WSM). Urodziłam się cztery lata po wojnie. WSM przeszedł przez wojnę i lata stalinowskie w mojej pamięci jako dzielnica wolna. Tutaj była taka „republika żoliborska" i ona przez całe moje dzieciństwo istniała. Mieliśmy samorządność na podwórkach WSM-owskich, zorganizowane, rozbudowane życie społeczne. Kto to robił? Nie wiem. Taki był klimat. Na pewno tworzyli go dorośli, ale i dzieci również. Ja, na przykład, byłam bibliotekarką podwórkową. Gdy miałam siedem czy osiem lat, przyszedł ktoś z dorosłych, ze Społecznego Domu Kultury, a więc ktoś ze starych WSM-owców, przyniósł karton z książkami i pudełeczko, w którym były karty książek, karty czytelnika i spytał, kto na trzeciej kolonii będzie bibliotekarzem.

Natychmiast się zgłosiłam. Wynosiłam ten karton na podwórko, na ławkę. Pożyczałam książki.

Poza tym byłam jedną z harcerek w Sempołowskiej. Tę drużynę założyły jeszcze nasze matki. Traktowałyśmy harcerstwo jako służbę społeczną. Jeździłyśmy do Lasek na niedziele, by zajmować się dzieciakami, które potraciły wzrok, ręce przy rozbrajaniu niewypałów. Bawiłyśmy się z nimi, opiekowałyśmy.

Na naszych podwórkach zawsze starsze dzieci zajmowały się młodszymi. Mieliśmy Towarzystwo Przyjaciół Muzyki, bo był adapter na korbę, który też wynosiło się na ławkę. Mieliśmy teatr podwórkowy, działał w nim Pan Pudełko, postać zapomniana. To był pedagog, teraz byśmy powiedzieli, uprawiający pedagogikę ulicy. W takim klimacie się wychowywałam. Nie wiem czy inni żoliborzanie tak to odbierali, ja tak to czułam.

W stanie wojennym Jacek był więziony. Mieszkałam wtedy w Lublinie. Działałam w Związku Zawodowym „Solidarność" w Regionie Środkowo-Wschodnim. Mieliśmy ambicję, by mimo tego, co się wokół działo, realizować zadania związkowe.

> ” Nie chcieliśmy dać się zepchnąć wyłącznie w gazety, demonstracje. Organizowaliśmy zasiłki, letnie wakacje dla najmłodszych, zimowiska dla dzieci.

I dzięki dobrym kontaktom z ludźmi oraz związkowcami na Zachodzie staraliśmy się, by w przysyłanych do Polski paczkach były też zabawki. Wakacje były ubożuchne, ale bardzo starannie przygotowywane, z programem, z zabawą. Gdy powstało pierwsze niezależne kino, to Mirek Chojecki podesłał nam wideo z Paryża i mieliśmy takie pierwsze kino domowe, które krążyło po domach. Pamiętam, że ściągnęliśmy *Anię z Zielonego Wzgórza* i kilka podobnych filmów.

Po 1989 roku zdawaliśmy sobie sprawę, że to my zmieniliśmy system. Tymczasem szalała hiperinflacja. Po czerwcowych wyborach przestał to być problem Jaruzelskiego, a stał się Kuronia. Jacek miał poczucie, że to spadło na jego plecy. Kiedy bary mleczne zostały zamienione na bary piwne, a stało się to w czasie wakacji, w lipcu, zorientowaliśmy się, że większości emerytów starcza pieniędzy najwyżej do piętnastego. Jacek bardzo boleśnie to przeżywał. Wtedy rzucił hasło „moja zupa", czyli robimy zrzutkę z własnych pieniędzy. I zaczął się ruch, który był skierowany w pierwszym momencie do ludzi starych, ale zaraz w drugim – do dzieci. Mąż uważał, że są to dwie grupy, które sobie nie poradzą.

Zaczął występować w telewizji, by organizować zbiórkę pieniędzy. Pierwsze jego audycje były potwornie emocjonalne. Czasem nie kończył rozpoczętego zdania, machał rękoma. Gdyby teraz jakiś pijarowiec to oceniał, powiedziałby, iż było to nieprofesjonalne. Jacek wchodził do studia i mówił, że musimy sobie pomóc. I taką samopomoc organizował. Sam się opodatkował. Stawał się przez to wiarygodny. „Ja daję, moi dają, to jest idea mojej zupy" – podkreślał. W Ministerstwie Pracy, którym kierował, na pierwszym piętrze, gdzie był gabinet ministra, specjalny pokój przeznaczono dla ludzi, którzy przyjeżdżali z całej Polski. Tam się z nimi spotykał, tam powstawały pierwsze statuty organizacji, wzory rozliczania pieniędzy. W ministerstwiet powstała jedna komórka doradzająca, a druga – tu u nas, w mieszkaniu na Mickiewicza. Jeszcze w lipcu stworzyliśmy biuro poselskie w domu. Tutaj ludzie zawsze przychodzili do Jacka.

Trzeba było uruchomić ruch społeczny, ale brakowało pieniędzy. Chodziło o to, by wozić dzieci na wakacje, by działały świetlice. I Fundacja „Pomoc Społeczna SOS" głównie na to zbierała pieniądze. Dawali przeważnie biedni ludzie. Na przekazach pocztowych było na przykład 2 zł i dopisane słowa „Szczęść Boże, panie Jacku". To było wzruszające. Otrzymywaliśmy także przekazy na większe kwoty od firm, ale podstawą był „wdowi grosz". Dawali ludzie, którzy sami niewiele mieli. To oni przede wszystkim odpowiadali na prośbę Jacka: „Nie mamy, ale tym, co mamy, musimy się podzielić". Sytuacja zmieniła się znacząco na korzyść, kiedy córka Juliana Tuwima przekazała fundacji prawa do spuścizny po Irenie i Julianie Tuwim. Tak więc obok *Lokomotywy*, był *Kubuś Puchatek*, *Byczek Fernando* i wszystkie tłumaczenia.

Padło wówczas pytanie, co będzie z dziećmi wychowującymi się w środowiskowych świetlicach socjoterapeutycznych i na terenach byłych PGR-ów. Postanowiliśmy zorganizować dla nich szkołę będącą modelem Uniwersytetu Ludowego. Dwa lata pracowaliśmy, przedyskutowaliśmy wiele godzin, by stworzyć ten uniwersytet. To codzienne rozmowy, z udziałem Jacka – o wychowaniu, o rozwoju dziecka. Założyliśmy Uniwersytet Powszechny im. Józefa Lipskiego w Teremiskach. Absolwenci tego uniwersytetu oraz wychowankowie świetlicy Marka Michalaka ze Świdnicy zgłosili nas, Jacka i mnie, do Orderu Uśmiechu.

warszawskie mieszkanie Jacka Kuronia na Żoliborzu, koniec 2010

Danuta Kuroń

– działaczka opozycyjna w PRL, współorganizatorka struktur podziemnej „Solidarności" na Lubelszczyźnie, redaktorka czasopism związkowych drugiego obiegu. Urodziła się w 1949 roku w Warszawie. Studiowała historię w Uniwersytecie Warszawskim, a następnie na KUL. W latach siedemdziesiątych związana ze środowiskiem lubelskich „Spotkań". W latach 1980–1981 redaktorka pism związkowych NSZZ „Solidarność", po wprowadzeniu stanu wojennego zajmowała się między innymi tworzeniem podziemnych struktur związkowych, pomocą internowanym i represjonowanym, drukiem podziemnych biuletynów i kontaktami z zagranicą. Tworzyła biuro poselskie Jacka Kuronia. Do roku 1995 pracowała w dziale terenowym „Gazety Wyborczej". Prezes Fundacji „Pomoc Społeczna SOS". Po śmierci męża utworzyła Fundację Edukacyjną im. Jacka Kuronia.

Jacek Jan Kuroń

– jeden z przywódców opozycji demokratycznej w okresie PRL, historyk, działacz ZHP, współzałożyciel KOR, dwukrotny minister pracy i polityki społecznej, poseł na Sejm. Urodził się 3 marca 1934 roku we Lwowie, zmarł 17 czerwca 2004 roku w Warszawie. Działacz w Związku Młodzieży Polskiej (ZMP). Założył Krąg Walterowski, którego był komendantem. W latach 1957–1964 pracował w Głównej Kwaterze ZHP. W 1953 roku usunięto go z tej organizacji, jak i z PZPR za krytykę koncepcji ideowej ZMP. Od roku 1955 brał udział w zebraniach Klubu Krzywego Koła. W 1957 roku ukończył studia na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego. We wrześniu 1980 roku był doradcą Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność". Po wprowadzeniu stanu wojennego został internowany (13 grudnia 1981 r.) pod zarzutem próby obalenia ustroju. W 1982 roku podjęto decyzję o zamianie internowania na areszt. Na mocy amnestii ogłoszonej w 1984 roku Jacek

Kuroń wyszedł na wolność. Brał udział w rozmowach Okrągłego Stołu. W 2000 roku wraz z drugą żoną, Danutą, założył Uniwersytet Powszechny im. Jana Józefa Lipskiego w Teremiskach, którego został pierwszym rektorem.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Wikipedia, Danuta Kuroń
- Wikipedia, Jacek Kuroń
- kuron.pl, Oficjalny serwis Jacka Kuronia
- ngo.pl, Robiliśmy to, co należało

Cezary Leżeński

Zawsze spieszył z pomocą. Bardzo często dzwonili do niego ludzie, którzy mieli jakieś problemy albo sprawy do załatwienia, wśród nich i Kawalerowie Orderu np. żeby pomóc jakiemuś dziecku albo żeby tylko pogadać.

Zadbał o rangę Orderu

Opowiada Wiesława Piątek, członek Międzynarodowej Kapituły Orderu Uśmiechu

– Byłam z Czarkiem wiele lat i przez ten czas miałam możliwość obserwowania, czym był dla niego Order Uśmiechu i co dla Orderu zrobił.

Nagradzanie tym odznaczeniem było akcją gazety „Kurier Polski". Cezary, jako jej redaktor naczelny i wicekanclerz, a potem kanclerz Kapituły bardzo się angażował w promowanie Orderu, chuchał na niego i dmuchał. Na łamach gazety zawsze było dużo miejsca na teksty i zdjęcia z uroczystości wręczenia Orderu krajowym, a z czasem i zagranicznym laureatom. Dobierano ich bardzo starannie, wnioski nadsyłane przez dzieci były wnikliwe sprawdzane nim o ich zakwalifikowaniu zdecydowało całe szacowne grono Kapituły.

Czarkowi niezwykle zależało, żeby Order Uśmiechu był ceniony, miał dużą rangę, dobrą markę. Pamiętam, jaki szczęśliwy wrócił ze Stanów Zjednoczonych, skąd przywiózł najlepszy dla Orderu prezent: w 1979 roku zyskał rangę międzynarodowego i jedynego na świecie odznaczenia

przyznawanego dorosłym przez dzieci. W tej właśnie sprawie kanclerz wybrał się za ocean i zabierał głos przed Zgromadzeniem Ogólnym ONZ. Ile było przy tym tremy i napięć najlepiej wiedział tylko on sam.

Kierowanie redakcją ukazującego się codziennie pisma nie jest sprawą łatwą, ale znajdowanie przy tym czasu na inne zajęcia, to prawdziwa sztuka. Czarek ją posiadł, był osobą nadzwyczaj zorganizowaną, a marnowanie czasu na „nicnierobienie" było dla niego nie do przyjęcia. Napisał wtedy sporo książek, w tym cykl dla dzieci o bliźniakach – Jarku i Marku. Najmłodszym tak się te książki spodobały, że nagrodziły ich autora Orderem Uśmiechu. Poprzez losy chłopców, którzy w chwili wybuchu wojny mieli po dwanaście lat przybliżył dzieciom czas okupacji i walki z Niemcami. Założeniem było, żeby poznały historię Polski poprzez życie i postawę swoich rówieśników.

Kiedy nastał tzw. karnawał „Solidarności" i nadzieje na zmiany w kraju, Czarek aktywniej włączył się w działalność Stronnictwa Demokratycznego, którego był wieloletnim działaczem. Źle się to dla niego skończyło. W 1981 roku, jeszcze przed ogłoszeniem stanu wojennego, stracił pracę i usunięto go z funkcji redaktora naczelnego. Jednocześnie musiał się rozstać z Kapitułą Orderu.

Póki redaktorem naczelnym był Radosław Ostrowicz, poprzednio zastępca Czarka, Orderowi krzywda się nie działa, nadal był hołubiony w gazecie. Niestety, kupił ją Zygmunt Solorz, właściciel Polsatu, a nowym szefem redakcji został Jacek Snopkiewicz. Okazało się, że Order jest nikomu do niczego niepotrzebny, zawieszono więc działalność Kapituły i był nawet pomysł, żeby zapas Orderów… oddać do komisu. Uratował je Stasio Krupa, związany z Kapitułą od pierwszych dni jej istnienia, który ukrył Ordery.

Dopiero w 1992 roku Order Uśmiechu odrodził się. Mogło powstać od nikogo niezależne Stowarzyszenie Orderu Uśmiechu. Czarek został ponownie kanclerzem. Ja miałam zaszczyt znaleźć się w gronie członków – założycieli.

Kapituła stopniowo się rozrastała, powiększała o krajowych i zagranicznych członków. Nieważne było, kto z jej członków jakie ma poglądy, czy należy albo sympatyzuje z jakąś partią, czy nie. W Kapitule zasiadły osoby, które pracują na rzecz dzieci, Kawalerowie Orderu. Czarek doprosił jeszcze do niej przedstawicieli wszystkich wyznań: księdza katolickiego, pastora, rabina, lamę buddyjskiego – bo jak zawsze podkreślał –

„ dzieci są najważniejsze i żadnych podziałów,
w tym religijnych być nie powinno.

Wzruszające było pożegnanie Czarka. Ekumeniczne. Nad jego grobem kolejno modlili się kapłani-członkowie Kapituły.

Dla Orderu nastały dobre czasy, choć wymagające ogromu pracy. Przede wszystkim trzeba było przypomnieć, że istnieje. Czarek wiedział, jak to zrobić, w końcu znał się, jak dziś się mówi, na promowaniu albo na pijarze.
W lokalnej prasie pojawiały się relacje z uroczystości dekoracji Orderem i o ich bohaterach, a w ogólnopolskiej telewizji migawki z niektórych z nich.

Zawsze życzliwy, czuły, skromny…

Z Wiesławą Piątek

Ale największą oprawę medialną miał Order podczas pierwszego zlotu Kawalerów Orderu Uśmiechu w Rabce. Czarek wymyślił, aby w tym podupadającym dziecięcym uzdrowisku spotkali się oni ze sobą i z dziećmi, by tchnąć trochę życia w to uśpione miasteczko. Byłam świadkiem jego rozmów z władzami miasta, w których przekonywał je do tej idei. Wykazał podczas nich nadzwyczajną cierpliwość w tłumaczeniu, że jest to korzystne przedsięwzięcie także dla miasta. Szło to wyjątkowo opornie, ja już bym dawno zrezygnowała z przekonywania, ale kanclerz osiągnął swoje. Przez weekend trwał w Rabce nieustający festyn, a o tym, co dzieje się w Rabce i o samym uzdrowisku, co chwila można było usłyszeć w radiu i obejrzeć w telewizji. Mieszkańcy byli zachwyceni, a włodarzom miasta tak się spodobało, że chętnie gościli dwa kolejne zloty. Szkoda, że na tym współpraca się skończyła, bo gdyby miastem zarządzali inni ludzie można by było dla Rabki więcej zrobić.

Wspomnę jeszcze o innej inicjatywie – wydaniu w 1999 roku książki *Kto jest kim*, będącej zbiorem biogramów Kawalerów Orderu Uśmiechu, w języku polskim i angielskim. Niestety, niepełnym, bo nie uchowało się w całości archiwum i nie do wszystkich udało się dotrzeć.

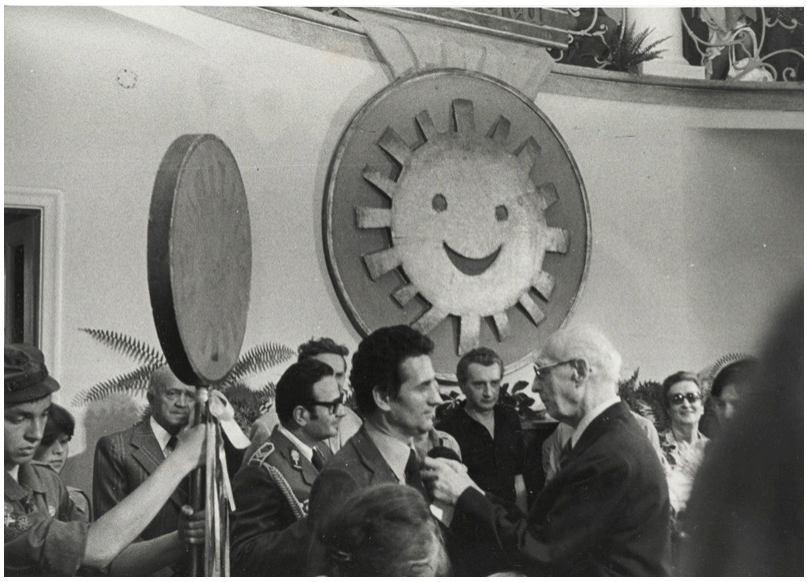

Pisarz Czesław Centkiewicz, Kawaler Orderu Uśmiechu dekoruje tym odznaczeniem Cezarego Leżeńskiego

Oczkiem w głowie stały się dla Cezarego szkoły imienia Kawalerów Orderu Uśmiechu. W uczniowskich plebiscytach to właśnie oni zwyciężali jako patroni. Czarek był chyba na każdej uroczystości nadania szkole tego imienia, zjechał kraj wzdłuż i wszerz. Ostatnia, w której uczestniczyliśmy, odbyła się 12 września 2006 roku w Mrzeżynie koło Kołobrzegu. Dzieci z tej szkoły przyjechały później na jego pogrzeb. Stało się tak, jak sobie Cezary wymarzył. Zaczęły się spotkania Kawalerów w tych szkołach i zacieśniły kontakty między tymi placówkami, których jedną z form stały się doroczne zloty. Bardzo by go ucieszyła wiadomość, że jest już ponad pięćdziesiąt szkół mających Kawalerów Orderu za patronów.

Czarek był życzliwy ludziom, starał się widzieć w nich to, co dobre. Zawsze spieszył z pomocą. Bardzo często dzwonili do niego ludzie, którzy mieli jakieś problemy albo sprawy do załatwienia, wśród nich i Kawalerowie Orderu np. żeby pomóc jakiemuś dziecku albo żeby tylko pogadać. W wieku siedemdziesięciu lat napisał pracę doktorską na temat Powstania Warszawskiego i udziału w nim młodych. Stopień doktorski zdobył dla własnej satysfakcji, nie na poklask – taki właśnie był.

listopad 2011

Od autora:

Spotkaliśmy się w mieszkaniu, gdzie przez wiele lat żyli razem, Wiesława Piątek i Cezary Leżeński. Nic się tu nie zmieniło, od czasu, gdy ich odwiedzałem przed śmiercią Cezarego.

Cezary Leżeński

urodził się 6 stycznia 1930 roku w Poznaniu, zmarł 5 grudnia 2006 roku w Warszawie.

Pisarz i dziennikarz, doktor nauk humanistycznych, podpułkownik Wojska Polskiego, autor ponad trzydziestu książek, w tym dla dzieci i młodzieży.

W 1952 ukończył filologię polską i dziennikarstwo w Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie.

W latach 1969–1981 redaktor naczelny „Kuriera Polskiego" w Warszawie.

W okresie 1976–1981 przewodniczący, następnie w latach 1992–2006 (do śmierci) Kanclerz Międzynarodowej Kapituły Orderu Uśmiechu.

Pochodził ze szlacheckiej rodziny herbu Nałęcz. W okresie okupacji był członkiem Szarych Szeregów. Jako kilkunastoletni chłopiec brał udział w Powstaniu Warszawskim.

Był członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Pochowany na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Warszawie w Panteonie Żołnierzy Polski Walczącej.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Wikipedia, Cezary Leżeński
- lubimyczytac.pl, Cezary Leżeński
- wolnomularstwo.pl, Cezary Leżeński
- orderusmiechu.pl, Leżeński Cezary

Maria Łopatkowa

„Brak przytulenia, czułości powoduje, że dziecko nie może rozwinąć wrażliwości, kochania. Musimy wychowywać w miłości”.

Wychowywać w miłości

– Zawsze chciałam zmieniać świat. Jestem wiejskim dzieckiem, jednym z tych dzieci, które zostały poranione wojną. Gdy wybuchła, byłam dzieckiem, które już umiało czytać i kochać. Moja wrażliwa mama czytała książki mnie i siostrze, ale ja chciałam sama czytać, więc moje pragnienie, by nauczyć się czytania, było dość wczesne. Najpierw, jak pamiętam, chciałam wiedzieć, co się znajduje na stole, bo mogłam zobaczyć tylko to, co było pod nim.

Mieszkaliśmy w kolonii Braciejowice nad Wisłą, w województwie lubelskim. Dlatego tak lubię tę rzekę. Mama bardzo chciała, byśmy się z siostrą uczyły i szukała korepetytorów. Jeden z nich, ksiądz Jan Nieróbca, rozbudził we mnie chęć zdobywania wiedzy. W Solcu nad Wisłą chodziłam na komplety tajnego nauczania. Tak skończyłam trzecią klasę gimnazjalną. W Pabianicach chodziłam do Liceum im. Królowej Jadwigi. Chciałam wraz z przyjaciółkami zmieniać świat, aby nie był tak okrutny. Stałyśmy przed wyborem zawodu. Większość z nas poszła w kierunku pedagogicznym, jedna została pielęgniarką.

Przed wojną nauczano nas patriotyzmu. Jako dziecko ułożyłam wiersz o Józefie Piłsudskim. Gdy Polskę zajęli okupanci, chciałam być z partyzantami. Mimo iż byłam nieletnia, przyjęto mnie do Batalionów Chłopskich. Widziałam śmierć, wiele strasznych rzeczy. Pierwszy artykuł, jaki napisałam do tajnej gazetki BCh „Orle ciosy", to o śmierci w płomieniach matki z dzieckiem, spalonych przez Niemców podczas pacyfikacji. Kościotrup trzymał na rękach kościotrupa. To było dla mnie tak straszne przeżycie, że chciałam coś zrobić, by nigdy nic podobnego się nie zdarzyło.

Gdy ukończyłam polonistykę w Uniwersytecie Łódzkim, wyraziłam chęć pracy w szkole na wsi. Trafiłam do Modlicy położonej pod Łodzią, gdzie uczyłam w miejscowej szkole, której budynek pokryty był strzechą. Świat trzeba zmieniać globalnie, trzeba uczyć kochania – marzyłam o tym i realizowałam to w Modlicy. Dokonałam rewolucji kulturalnej, zapraszałam znanych poetów, aktorów, którzy chętnie przyjeżdżali. Częstym gościem był Wojciech Siemion. Organizowałam spotkania literackie. Bardzo to przypadło do gustu mieszkańcom. Powstawały dziecięce zespoły teatralne, które stały się znane w całym kraju. To dzięki tej popularności Modlica poza planem została zelektryfikowana.

Cały czas chodziło mi o to, by ten świat był lepszy. Wierzyłam, że można go zmienić przez wychowanie. Pomagał mi w tym Janusz Korczak – jego myśli, jego postępowanie. Musimy się skupić na wychowaniu człowieka dobrego, ale globalnie. Pomyślałam, iż jeśli udało mi się w Modlicy, to mogę to robić na większą skalę.

Dzieci zawsze były mi bliskie. Wszystko co słabe, śliczne zawsze mnie przyciągało.

> „Dzieci, które przecież nie mogą obronić się same, trzeba nauczyć kochania i empatii. Wówczas gdy zostaną politykami, będą tak rządzić, by świat był lepszy. Tak zaczęłam budować „pedagogikę serca".

Robiłam to przez pół wieku. Wiem, że w człowieku można rozbudzić serce i uczucie.

Powszechnie wiadomo, że to w dzieciństwie powstają fundamenty osobowości sprzyjające rozwojowi zdolności do dobra i do zła, do miłości i do nienawiści, do budowania i do niszczenia, do altruizmu i do egoizmu, do kształtowania postawy agresora lub człowieka pokoju. Dobre skłonności i nawyki łatwiej wpoić dziecku niż dorosłemu, obciążonemu złymi naleciałościami. Powinniśmy zatem we wszystkich szkołach świata uczyć miłości przez rozwijanie zdolności kochania i empatii, przykładając do tego wagę nie mniejszą niż do nauki liczenia i mierzenia, dbając przy tym, by tej nauce towarzyszyły takie warunki, które zapewniłyby dzieciom realizowanie ich prawa do miłości.

W setkach artykułów i ponad dwudziestu książkach napisałam, jak miłość urzeczywistniać, mając za wzór osobowy *homo amans* – człowieka miłującego ludzi i świat. Sprawdziłam w bezpośrednim kontakcie z dziećmi i młodzieżą na terenach wychowawczo zagrożonych siłę oddziaływania miłości i empatii. Pomogłam tysiącom dzieci. Uratowałam tysiące dzieci, ale chciałam miliony.

wrzesień 2010

Od autora:

Blok mieszkalny z lat siedemdziesiątych minionego wieku, szóste piętro, dwa malutkie pokoiki zawalone książkami i papierami, ciemna kuchnia. Elegancka starsza pani przywitała mnie z uśmiechem. Uśmiech nie zszedł z jej twarzy przez całą długą naszą rozmowę.

Maria Łopatkowa, właściwie Maria Łopatko

– polska działaczka społeczna, pisarka, pedagog, poseł na Sejm PRL VI i VII kadencji, senator III kadencji.

Ukończyła filologię polską w Uniwersytecie Łódzkim, w 1968 roku uzyskała stopień doktora pedagogiki w Uniwersytecie Warszawskim. Od 1947 do 1969 roku pracowała jako nauczyciel w szkołach podstawowych w Łodzi, Modlicy, Ołtarzewie. W latach 1969–1971 pełniła funkcję redaktora naczelnego „Przyjaciela Dziecka".

Przez wiele lat czynnie angażowała się w obronę praw dziecka. Była dyrektorem Zespołu Ognisk Wychowawczych w Warszawie. Współtworzyła, a następnie w latach 1981–1993 kierowała Komitetem Obrony Praw Dziecka. W roku 1988 powołała także Towarzystwo Pomocy Młodzieży.

Jest autorką wielu książek o tematyce współczesnej oraz publikacji naukowych z zakresu pedagogiki. Uważana za pre-kursora nurtu wychowawczego zwanego pedagogiką serca.

W roku 1981 jako ekspert współpracowała z NSZZ „Solidarność". W 1993 roku zainicjowała powstanie „Partii Dziecka", przekształconej później w „Partię Dzieci i Młodzieży", która nie podjęła jednak czynnej działalności politycznej.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Wikipedia, Maria Łopatkowa
- Oficjalny blog prof. Marii Łopatkowej
- youtube.com, PRL 1989 W obronie dziecka prof. Maria Łopatkowa
- onet.pl, Pedagogika serca Marii Łopatkowej

Halina Machulska

„W Wielkiej Brytanii nauczyłam się dramy, która mnie zawsze pociągała. W Polsce nikt tego nie umiał robić. Ta metoda umożliwiała mi zakładanie ognisk teatralnych. Pozwoliła mi też być pedagogiem z prawdziwego zdarzenia. Stała się w końcu moim sposobem na życie”.

Drama jest najważniejsza

– Pracę z dziećmi, pracę edukacyjną wybrałam bardzo wcześnie, miałam szesnaście lat. Postanowiłam wtedy, że nie będę kłamać, bo uważałam, że kłamstwo powoduje, że tracimy zaufanie do siebie. Musiałam sprawdzić, jak będzie się żyło, trzymając się tej zasady. To wyrobiło we mnie bardzo ciekawą postawę wobec życia, która zaowocowała pewną filozofią, filozofią moralną, tak bym to nazwała, która pobudzała mnie do podejmowania decyzji zgodnych z sumieniem.

I właśnie prawda pomogła mi znaleźć sens życia, cel, który sobie postawiłam. Ludzie po prostu mi wierzyli – dzieci, młodzież, moi uczniowie. I na tym budowałam potem wszystkie programy, to była jakby misja. I dziś nie czuję się niepotrzebna, czuję się młoda mimo moich osiemdziesięciu dwóch lat. I co najważniejsze, według mnie, to, że mogłam szczęśliwie przeżyć związek z Janem Machulskim, człowiekiem, który był bardzo kochany i ceniony przez

wszystkich. No i jeszcze mam syna, który mógłby powiedzieć podobnie jak ja, że też zna swoją misję życiową.

Halina Machulska przy rzeźbie przedstawiającej jej męża, aktora Jana Machulskiego

Jak sięgam pamięcią, już jako nastolatka uczyłam dzieci w Łodzi, gdzie mieszkałam podczas okupacji niemieckiej. Na podwórzu było trochę maluchów, którym przekazywałam wiedzę z zakresu pierwszej klasy szkoły podstawowej.

Jestem nie tylko aktorką, ale też pedagogiem. Zdobycie wykształcenia pedagogicznego wiąże się z dość dramatycznymi przeżyciami z mego życia. Jako młoda, dwudziestoletnia dziewczyna trafiłam do więzienia. Mój pierwszy kandydat na męża namówił mnie na wyjazd za granicę. To była prowokacja, czasy stalinowskie. No i zamknęli nas. Siedziałam półtora roku, Andrzej, mój narzeczony, dostał ostatecznie piętnaście lat. Chciałam koniecznie pójść do szkoły aktorskiej, ale on się na to nie zgodził, więc rozpoczęłam studia na Wydziale Pedagogiki Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Łodzi. Zrobiłam magisterium i postanowiłam, że jednak zdaję do szkoły aktorskiej. Dostrzegłam, że poprzez aktorstwo można lepiej uczyć.

Kiedy poznałam Janka (Machulskiego), nie miałam wątpliwości, że to jest ten jeden jedyny, którego chciałabym za męża. Dostałam się na studia aktorskie i wzięliśmy ślub. Odbył się on w bardzo oryginalny sposób. W czasie nagłego zastępstwa Janka, po rannej uroczystości w kościele, wyjechaliśmy, żeby wesele

odbyło się tam, gdzie grał. Po spektaklu wszyscy koledzy usiedli w kawiarni – była herbata, kawa, no i jakieś ciastka. Ciastka odgrywały role: jedno ciastko było indykiem, inne jakąś rybą z Włoch. Każdy z naszych gości miał fantazję – mówił więc, chrupiąc ciastko, jaką to wyszukaną potrawę pałaszuje, a pijąc kawę lub herbatę, ogłaszał, jakie degustuje wino lub inny trunek.

Wróciłam na studia, ale na krótko. Musiałam z nich zrezygnować, bo spodziewałam się dziecka. Podjęłam więc pracę w szkole. Wystawiałam tam sztuki, ucząc jednocześnie polskiego. Ta praca szalenie mi się podobała. Wystawiłam, jak pamiętam, *Antygonę*. Jeden ze znanych aktorów grał główną rolę, za co dostał nagrodę. Ja również otrzymałam nagrodę na festiwalu szkolnym odbywającym się w Olsztynie. Sukces pociągał oczywiście dalsze zainteresowanie pracą.

Ale chciałam być aktorką. I jak się przenieśliśmy do Opola, to już nie byłam nauczycielką, tylko kandydatką na aktorkę. I wtedy zaczęła się moja praca w zawodzie aktorskim. Ale kwalifikacja magistra pedagogiki języka polskiego otworzyła mi możliwość uczenia i zakładania nawet szkoły.

Miałam ciekawe życie, zaczął się bardzo poważny związek uwieńczony urodzeniem syna i wspólną pracą w szkole. Janek też uczył. Zawsze gdziekolwiek byłam, to uczyłam, na przykład w Akademii Teatralnej w Warszawie uczyłam improwizacji i na tym polu mam bardzo dużo doświadczeń. W Wielkiej Brytanii nauczyłam się dramy, która mnie zawsze pociągała. W Polsce nikt tego nie umiał robić. Ta metoda umożliwiała mi zakładanie ognisk teatralnych. Pozwoliła mi też być pedagogiem z prawdziwego zdarzenia. Stała się w końcu moim sposobem na życie.

> Jestem świadoma tego, że aktorstwo i improwizacja mogą być cudownymi środkami edukacji. Znacznie lepszymi niż te, które stosuje się w nauczaniu, czyli informacja, pouczanie, sprawdzanie czy wykonało się zadanie, a które mogą doprowadzać każdego młodego człowieka do tego, że szkoła go nudzi, ucieka od niej.

W tej chwili moi pierwsi uczniowie mają po sześćdziesiąt lat. Wszystko, czego dokonałam w pracy z młodymi ludźmi i dziećmi, ogromnie sobie cenię. Szkoła, którą teraz prowadzę (Szkoła Aktorska Haliny i Jana Machulskich w Warszawie), istnieje już jedenaście lat, jest coraz skuteczniejsza, coraz więcej bowiem osób zaraża się dramą. Mogę powiedzieć, że przygotowuje ona młodych do życia.

A zaczęło się w Teatrze Ochoty, bo tam założyliśmy w 1970 roku ognisko teatralne. Teatr Ochoty był takim naszym dzieckiem. Tam był dom kultury, który nie miał żadnego programu poza bilardem. Wkrótce ognisko cieszyło się ogromną popularnością. Przez nasze ręce przeszły tysiące dzieci. Obecnie programem objęte jest ich blisko trzysta. Po trzech latach dostają świadectwa, bywają na obozach, warsztatach, to jest takie harcerstwo, tylko teatralne. Takie ognisko skończyli między innymi Edyta Jungowska, Piotr Adamczyk. Mogłabym wymienić kilkadziesiąt osób, które dzisiaj są sławne i jeszcze do tego uczciwe.

Z Panią Haliną, osobą wielkiej serdeczności, spotkałem się w siedzibie Szkoły Aktorskiej Haliny i Jana Machulskich w Warszawie, jesień 2011

Halina Zofia Machulska

– aktorka, pedagog, reżyser teatralny. Urodziła się w 1929 roku w Łodzi. Zadebiutowała w 1955 roku w Teatrze Ziemi Opolskiej w spektaklu *Maturzyści*. Do 1957 roku pracowała w Opolu, po czym przeniosła się do Teatru im. Juliusza Osterwy w Lublinie. W latach sześćdziesiątych występowała w Teatrze Nowym w Łodzi i Teatrze Polskim w Warszawie. W 1970 roku zadebiutowała w roli reżysera teatralnego. Wyreżyserowała przedstawienie *Wszystko w ogrodzie* Edwarda Albee'ego, wystawione w Teatrze im. Stefana Jaracza w Łodzi. Rok później ukończyła studia na Wydziale Reżyserskim Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie. W 1972 roku zaczęła pracę w Teatrze Ochoty, gdzie reżyserowała wraz z mężem Janem Machulskim (znany aktor, zmarł w 2008 r.). Tam też wspólnie założyli ognisko teatralne dla dzieci i młodzieży. Halina pracowała w Teatrze Ochoty do połowy lat dziewięćdziesiątych.

W 1965 roku zadebiutowała w kinie w adaptacji powieści Zbigniewa Nienackiego *Wyspa złoczyńców*. W latach 2000–2001 występowała w popularnym serialu *Miasteczko*. Grała także w filmach reżyserowanych przez jej syna, Juliusza Machulskiego.

Halina Machulska jest prezesem Polskiego Ośrodka Międzynarodowego Stowarzyszenia Teatrów dla Dzieci i Młodzieży – ASSITEJ.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Wikipedia, Halina Machulska
- youtube.com, Halina Machulska – Nieopisana radość tworzenia
- onet.pl, Halina Machulska
- Oficjalna strona internetowa Polskiego Ośrodka Międzynarodowego Stowarzyszenia Teatrów dla Dzieci i Młodzieży ASSITEJ

Halina Marszał-Sroczyńska

„Gdy zaczęłam coraz więcej czasu spędzać z dziećmi, zauważyłam, że nie czekają one na prezenty, tylko czekają na mnie”.

Dentystka z sercem

– Jestem stomatologiem, przepracowałam w wiejskim ośrodku zdrowia dwadzieścia pięć lat. Bardzo lubiłam leczyć dzieci. Wiem, że często straszy się w domu dentystą… Zawsze starałam się, by wizyta w moim gabinecie nie stresowała. Musiałam zainteresować małego pacjenta czymś innym, by pozbył się strachu. Wtedy nauczyłam się być cierpliwa. Mimo że nieraz zabieg trwał zaledwie minutę, ale przekonywanie, uspokajanie dziecka zajmowało więcej czasu. Nieraz wydłużała się kolejka, denerwowali się rodzice. Nigdy nie pozwoliłam krzyczeć na ich pociechy.

Od momentu, gdy mój mąż zaczął rozwijać swój biznes, zaczęliśmy dysponować większymi środkami finansowymi. Postanowiłam dzielić się nimi z innymi. Pierwsze kroki skierowaliśmy do domu dziecka w miejscowości Liskowo, niedaleko Opatówka, gdzie mieszkałam. Tam zresztą się urodziłam, tam po ukończeniu studiów pracowałam jako stomatolog. Do tego domu dziecka najpierw poszedł mój mąż sam, bo się bałam, że będę cały czas płakać. Ale ostatecznie zajęłam się pomocą dzieciom. Jak dobra ciocia chodziłam

z prezentami, z pieniędzmi, wszyscy mnie chwalili, dziękowali za dobroć. Szybko doszłam do wniosku, że przecież muszę dać coś od siebie, bo jak na razie korzystałam z pieniędzy, które zarabiał mój małżonek.

Mogłam dać swój czas, uśmiech, swoje zainteresowanie. Zaczęłam się zastanawiać, co będzie dalej z tymi dziećmi, co zrobić, by wracały do swoich biologicznych rodzin. Gdy zaczęłam coraz więcej czasu spędzać z dziećmi, zauważyłam, że nie czekają one na prezenty, tylko czekają na mnie. Więc jeździłam do Liskowa o różnych porach dnia, nawet wieczorami, jak szli spać. Udało mi się jedną z rodzin dysfunkcyjnych, z Opatówka, której dziecko było od półtora roku w domu dziecka, wyciągnąć z nałogu alkoholowego. Dziś mija dwadzieścia lat abstynencji, dziecko dawno wróciło do domu. Dagmara jest z rodzicami od osiemnastu lat.

> Moim przesłaniem jest, by wszystko robić dla utrzymywania więzów rodzinnych, a tam gdzie jest rodzina dysfunkcyjna, ale da się coś z nią zrobić, to tak pracować, by dzieci do niej wróciły albo nie były od niej zabierane.

Sama wprowadziłam taką rodzinę do własnego domu, gdzie dzieci były myte, karmione, wychowywały się z moimi, a rodzice mieli pracę.

Udało mi się uchronić piątkę dzieci przed rozdzieleniem do innych rodzin, gdyż rodzice zginęli w wypadku samochodowym. To było siedemnaście lat temu, najmłodsze miało wtedy dwa latka, a najstarsze czternaście lat. Znałam tę rodzinę tylko jako swoich pacjentów i poszłam do nich zapytać, jak mogę być użyteczna. Miałam możliwość rodzinie zastępczej dać pracę, bo oni przyjechali z Warszawy. To była siostra matki. Mimo różnych kolei losu zawsze byłam z nimi, a dwa lata temu najmłodsza latorośl, która miała wówczas siedemnaście lat, poprosiła mnie bym ją wzięła do siebie. Tak też się stało, dziś ma dziewiętnaście lat i w dalszym ciągu jest w moim domu. Mam stały kontakt z tymi dzieciakami już dorosłymi. To jest – myślę – zasługa ich rodziców, tam w niebie, że nie pozwolili rozdzielić rodzeństwa i że nie trafiły do placówki domu dziecka.

Zapytała mnie się kiedyś dziennikarka, jak się czuję, gdy wchodzę do biednego domu, gdy mieszkam w dużym i bogatym. Ja się nie lituję ani nie załamuję rąk, tylko staram się coś wymyślić, żeby nieraz fajne mieszkania, tylko brudne, doprowadzić do ładu. Z tych kanciap zrobić przytulne mieszkanka. Litość to jest dla mnie takie ulotne uczucie. Popłaczę, popłaczę i idę dalej. Jak się biorę za coś, to „trzymam za gardło" i nie popuszczę. A gdy już widzę, że nic nie mogę zrobić, to wiem, że od tego jest sąd. On podejmie decyzję. Właśnie 20 marca (2012 roku) byłam obecna na sprawie o zabranie matce trójki dzieci. Przewidywałam wcześniej taki scenariusz, więc przygotowywałam babcię do roli opiekuna. Będę jej pomagać, aby te dziewczynki nie poszły do domu dziecka. Babcia będzie rodziną zastępczą.

Założyłam fundację swojego imienia i nazwiska, żeby wszystko ogarnąć.

Z powodu działalności biznesowej męża byłam odbierana jakbym przyjechała z Ameryki. A ja przecież tutaj się urodziłam, tu pracowałam. Mój mąż jest twórcą przedsiębiorstwa napojowego o nazwie Hellena, ma podobne cechy jak ja, uważa, że należy pomagać innym. W biznesie bardzo mu się udało. Robił pieniądze i dzielił się nimi. Jest również Kawalerem Orderu Uśmiechu.

Myślę, że Order Uśmiechu dostałam za czas, który poświęciłam najmłodszym. Jeszcze dzisiaj zapraszają mnie na śluby, na chrzciny.

wczesna jesień 2012

Halina Marszał-Sroczyńska

– lekarz, działacz społeczny.
Urodziła się 27 stycznia 1947 w Opatówku. Ukończyła Liceum Ogólnokształcące im. Anny Jagiellonki w Kaliszu, a następnie w 1972 roku Wydział Stomatologii Akademii Medycznej w Poznaniu. Przez dwadzieścia pięć lat pracowała w ośrodku zdrowia jako lekarz-stomatolog.
Po stworzeniu przez męża przedsiębiorstwa Hellena, przeszła do tego zakładu, gdzie otwarto gabinet dla pracowników. Założyła wraz z mężem fundację w 1990 roku, która zajmowała się pomocą materialną dla domów dziecka, dla placówek opiekuńczo- wychowawczych. Pracowała też z rodzinami dysfunkcyjnymi. Jest Wicekanclerzem Międzynarodowej Kapituły Orderu Uśmiechu.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Wikipedia, Halina Marszał-Sroczyńska
- zyciekalisza.pl, Halina Marszał-Sroczyńska: Cieszę się, że mogę pomagać
- naszemiasto.pl, Kobieta Roku niczego się nie boi
- neurobiz.pl, Halina Marszał-Sroczyńska

Bohdan Maruszewski

Konsekwentnie i odważnie buduje najwyższej jakości kardiochirurgię dla dzieci. Zaczął od gniewu. Nie godził się na niesprawiedliwość. Na Zachodzie najmłodsi z wadami serca byli pomyślnie operowani, a w Polsce tak nie było. Postanowił zatrzeć tę różnicę. Pomogła mu Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy.

Najważniejsze dzieci, które zoperowałem

– Jako młody człowiek nie chciałem być lekarzem. Fascynował mnie teatr, humanistyka, literatura. Myślałem, że zostanę pisarzem albo aktorem. Przy wielkiej pomocy, inspiracji twórczej wspaniałego Adama Hanuszkiewicza, razem z Kasią, jego córką prowadziliśmy szkolny teatr w Liceum Ogólnokształcącym im. Hoffmanowej w Warszawie.

Ale mój ojciec, który był i jest bardzo racjonalną osobą, powiedział mi: „Jak chcesz się w życiu sam utrzymać, to idź na medycynę albo zostań inżynierem". I tak zostałem lekarzem. Ale nie stało to się od razu. Poszedłem na studia po to, żeby zostać chirurgiem, ale za pierwszym razem nie dostałem się, zabrakło mi trzech punktów. Pochodzenie było niewłaściwe na tamte czasy. Więc poszedłem do pracy do szpitala dziecięcego przy ulicy Litewskiej w Warszawie, gdzie

trafiłem na wspaniałych ludzi. Od tamtej pory jestem przekonany, że w życiu o naszych losach w głównej mierze decydują przypadki. Przypadkowo trafiłem na lekarzy, którzy okazali się świetnymi nauczycielami, ale również ukazali mi pewnego rodzaju drogowskaz w życiu.

Pracowałem jako salowy na bloku operacyjnym, gdzie na ostrych dyżurach chirurgii dziecięcej wykonywano po sto pięćdziesiąt-sto siedemdziesiąt porad ambulatoryjnych i operacji. Żyłem tymi dyżurami. Nauczyłem się wtedy podstaw chirurgii, a pierwszą operację wyrostka robaczkowego wykonałem jako student pierwszego roku medycyny, oczywiście przy pomocy i z asystą jednego z najwspanialszych chirurgów, jakiego poznałem, doktora Wojciecha Kamińskiego, który zmarł niedawno.

W czasie całych studiów żyłem w zasadzie w szpitalu. Nocowałem w nim często. W rzeczywistości byłem takim pielęgniarzem zabiegowym izby przyjęć szpitala na Litewskiej. Szyłem rany, opatrywałem rany, zakładałem gipsy, opatrywałem różne urazy u dzieci. To stanowiło właściwie treść mojego życia. Na uczelni pojawiałem się rzadko, tylko wtedy, kiedy koniecznie tam trzeba było być, trzeba było zdać egzamin albo zaliczyć kolokwium. Pamiętam, że wtedy mój etat wynosił sto godzin miesięcznie. Z pewnością przekraczałem te etatowe godziny.

Tam poznałem, dokładnie czterdzieści lat temu, 2 października, na korytarzu szpitalnym, moją żonę i w krótkim czasie okazało się, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Żona została farmaceutą, ale wszystko zaczęło się tam, na Litewskiej, na chirurgii dziecięcej. Tam również poznałem profesora Jarosława Stodulskiego, który już wówczas był znanym kardiochirurgiem, jednym z pionierów polskiej kardiochirurgii. Był on ordynatorem Oddziału Chirurgii Dziecięcej i Kardiochirurgii w Szpitalu MSW przy Wołoskiej w Warszawie. Profesor przyjeżdżał czasami na konsultacje, pomagał w trudnych przypadkach. Pod koniec studiów zaproponował mi pracę w Centrum Zdrowia Dziecka, w nowo tworzonej Klinice Kardiochirurgii. To był ten następny przypadek, niezwykły przypadek spotkania człowieka, który stał się moim drugim ojcem, ojcem dorosłego mężczyzny.

Należy do tych ludzi, dzięki którym jestem kim jestem, bo przede wszystkim zaszczepili we mnie pasję do medycyny, a zwłaszcza do chirurgii. Również do tego, że…

> nic nie jest ważniejsze na świecie niż dzieci. Profesor Stodulski do końca swego życia mawiał, że aby mieć prawo dotykać się do dziecięcego serca, trzeba posiadać przede wszystkim czyste ręce.

Stworzył klinikę tutaj w CZD w 1979 roku. Najpierw była to Klinika Ogólna Chirurgii Dziecięcej, ale już w 1980 roku Klinika Kardiochirurgii Dziecięcej, oparta w bardzo krótkim czasie właściwie na nim oraz na gronie młodych entuzjastów. Wychował całe pokolenie młodych kardiochirurgów. Mieszkał, tu żył, pilnował nas, dbał o nas, wysyłał na szkolenia, na stypendia, doprowadził do tego, że cały trzon zespołu został wyszkolony w Wielkiej Brytanii, a to nie było takie łatwe w tamtych latach. Ale przede wszystkim uczył nas pełnego oddania pracy. Pracowaliśmy wtedy za równowartość trzydziestu dolarów miesięcznie, tak jak wszyscy polscy lekarze. Nikt wtedy nie pytał, kiedy kończy się dzień i kiedy może iść do domu.

Wyjechałem do Wielkiej Brytanii, do Liverpoolu w 1985 roku. Przez rok miałem możliwość pracowania w fantastycznym zespole kardiochirurgii dziecięcej, który wówczas dokonywał największej liczby operacji serca u dzieci na Wyspach. Potem wielokrotnie spędzałem czas również w drugim ośrodku angielskim – w Londynie w Great Ormond Street Hospital, który był taką „mekką światowej chirurgii", ponieważ tam się kształcili ludzie z całego świata, w tym również ze Stanów Zjednoczonych.

Po powrocie z Wielkiej Brytanii zdawałem sobie sprawę z przepaści, ogromnej przepaści w wyposażeniu, dostępnej technologii, jaka tam była do naszej dyspozycji, a degradującym się już kompletnie i zużytym sprzętem tutaj, w CZD. Pamiętam bardzo dokładnie moment, gdy powiedziałem mojej żonie – siedzieliśmy przy kolacji w małym służbowym mieszkaniu niedaleko szpitala – że są tylko dwie możliwości: albo zdobędę środki na to, żeby odbudować sprzęt kliniki (byłem wtedy zastępcą kierownika kliniki, zastępcą profesora Stodulskiego, bardzo młodym, niesłychanie entuzjastycznym), albo będę musiał zrezygnować z tego zawodu. To było bardzo serio. Powiedziałem jej wtedy: „Słuchaj, w przysiędze Hipokratesa nie jest powiedziane, że będziemy ratować życie pod warunkiem, że nam ktoś zapłaci albo pod warunkiem, że da do ręki środki i sprzęt. Jest powiedziane, że mamy ratować życie. Ja się nie godzę na to, żeby w Polsce dzieci umierały, podczas kiedy te same operacje, z dobrymi wynikami, można wykonać w Wielkiej Brytanii, tylko dlatego, że tam jest świetna, intensywna terapia, świetne urządzenia, dostępne całą dobę, świetnie opłacany personel".

Wróciłem do Anglii. Moja teściowa – dzisiaj ma osiemdziesiąt siedem lat – zaprzyjaźniona z brytyjską Polonią, arystokracją brytyjską, wtedy mieszkała w Londynie, zorganizowała mi spotkanie z Henrykiem Dembińskim, potomkiem polskiego rodu arystokratycznego, którego firma w profesjonalny sposób organizowała wielkie akcje charytatywne w Wielkiej Brytanii. Ich celem było zbieranie pieniędzy na pomoc ofiarom białaczki, na dzieci z wadami serca,

na różne cele medyczne. I Henryk Dembiński, w kawiarni, gdzie spędziliśmy chyba z osiem godzin, rozmawiając, powiedział: „Musisz wrócić do Polski, musisz znaleźć ludzi, którzy zajmują się zawodowo w Polsce reklamą".

Dzięki moim przyjaciołom dotarłem do ówczesnego szefa Interpressu Janusza Rolickiego, który zgodził się sfinansować projekt, powstały w kawiarni w Wielkiej Brytanii. A ten projekt polegał na tym, żeby zrobić dokument oparty na nowoczesnych zasadach reklamy, pokazujący, że wszystkie dzieci rodzące się w Polsce z wadami serca powinny być operowane w Polsce, że są lekarze, którzy umieją to zrobić, że są wyszkoleni za granicą i którzy nie pytają o pieniądze, tylko potrzebują pieniędzy na sprzęt.

I tak powstał film o dzieciach z wadami serca. Jego celem było zebranie pieniędzy na nowe płuco-serce, urządzenie niezbędne do operacji serca u dzieci. Ten film był pokazany wielokrotnie w drugim programie TVP, wzbudził niezwykle entuzjastyczną reakcję, zwłaszcza ze strony dzieci i młodzieży, do tego stopnia, że zaczęły przysyłać do telewizji pieniądze. Koperta, w środku kilka złotych i mała kartka z informacją: „W tym miesiącu zrezygnowałem z cukierków. Pieniądze na ratowanie dzieci z wadami serca".

Wtedy w 2 programie TVP Jurek Owsiak i Walter Chełstowski mieli program pod tytułem „Róbta co chceta". Któregoś dnia Jurek zadzwonił do sekretariatu kliniki kardiochirurgii ze studia PR na Myśliwieckiej i zaproponował spotkanie. Gdy do tego doszło było oczywiste, że ten nikomu wtedy nieznany bliżej, radiowy i początkujący telewizyjny dziennikarz, zapali się do tego pomysłu. Zaraziliśmy go naszym entuzjazmem.

Wkrótce na festiwalu w Jarocinie doszło do koncertu o nazwie „Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy". Pamiętam młodą piosenkarkę, nieznaną jeszcze Edytę Bartosiewicz i pamiętam worki na śmieci, czarne worki na śmieci, pełne pieniędzy dla ratowania życia dzieci z wadami serca, które były przez młodych punków wrzucane na scenę.

Niedługo potem odbył się pierwszy finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, nie istniała jeszcze Fundacja WOŚP. To była spontaniczna zbiórka pieniędzy wykorzystująca medium, jakim jest telewizja, dla dzieci z wrodzonymi wadami serca. Zebraliśmy równowartość 1,7 mln dolarów, a na zakup płuco-serca trzeba było może jedną dziesiątą tego. Pieniądze wylądowały na koncie Kliniki Kardiochirurgii CZD. Złamaliśmy absolutnie wszystkie przepisy, była to nielegalna zbiórka publiczna, niezarejestrowana, bez niczyjej

zgody, niekontrolowana. Nasze panie z księgowości żelazkami przyniesionymi z domu prasowały na stole u dyrektora te zebrane, pomięte banknoty.

Tymi pieniędzmi postanowiliśmy podzielić się z całą polską kardiochirurgią. Pieniądze były zbierane w całej Polsce i ludzie mieli poczucie, że zbierają je dla dzieci. Tak się rodziła samorządność, tak się rodziło świadome obywatelskie państwo, gdzie obywatele po prostu chcieli zrobić coś dla siebie. Kilka miesięcy później, tutaj w CZD na sali wykładowej, dokonaliśmy podziału sprzętu zakupionego dla wszystkich ośrodków kardiochirurgii dziecięcej, a wkrótce została zarejestrowana Fundacja Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Jej pierwszy statut funkcjonujący przez pięć lat mówił, że celem powołania tej fundacji jest zbieranie pieniędzy dla ratowania życia dzieci z wrodzonymi wadami serca. W tym celu powstała Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy, której liderem od początku był Jurek Owsiak. Dzięki niemu rozwinęła się ona w tak wspaniałą, już z dwudziestoletnim doświadczeniem i dwudziestoletnią tradycją, akcję ogólnopolską, w wielkie pospolite ruszenie dla robienia czegoś dla innych.

Ale niewątpliwie powstała ona z poczucia, że lekarzowi nie wolno jest się godzić na jakikolwiek kompromis, jeśli chodzi o ratowanie życia swojego pacjenta. I to było takie motto, które właściwie przez całe życie mi towarzyszyło, które co roku jakby się odnawia, nabiera nowego znaczenia przy każdym kolejnym finale Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Które doprowadziło mnie – chyba nie powinienem się wstydzić powiedzieć tego – do szczytów w światowej karierze w zakresie kardiochirurgii dziecięcej, do funkcji Prezydenta Europejskiego Towarzystwa Kardiochirurgów Dziecięcych, członka amerykańskich towarzystw.

Mój tata często się zżyma na mnie i złości, że powinienem tylko operować, a nie zajmować się pozyskiwaniem pieniędzy. Jego zdaniem tracę czas na mało ważne rzeczy. Nie mógłbym operować, gdyby nie zdobywanie pieniędzy na sprzęt. Nie można by rozwijać kardiochirurgii, gdyby nie ta cała dodatkowa działalność. Równie ważna jest dla mnie działalność naukowa. Ale powiem szczerze, kiedy będę się żegnał z życiem zawodowym, to największe znaczenie dla mnie będą miały te dzieci, które zoperowałem, jest ich tysiące, a cała reszta to jest niezbędny dodatek.

czerwiec 2012

Bohdan Jarosław Maruszewski

– wybitny kardiochirurg dziecięcy.
Urodził się 19 sierpnia 1953 roku w Warszawie. Tutaj ukończył Akademię Medyczną, zostając w 1979 roku lekarzem. Tego samego roku rozpoczął pracę w klinice chirurgii Centrum Zdrowia Dziecka, przekształconej wkrótce w klinikę kardiochirurgii. W latach 1985–1986 przebywał na stypendium w Wielkiej Brytanii, gdzie w najlepszych ośrodkach kardiochirurgii dziecięcej zdobywał doświadczenie. W 1987 roku otrzymał tytuł doktora nauk medycznych. Był zastępcą profesora Jarosława Stodulskiego, pioniera polskiej kardiochirurgii, szefa kardiochirurgii CZD, a następnie został kierownikiem tej kliniki. Od 2004 roku jest profesorem. Był Prezydentem Europejskiego Towarzystwa Kardiochirurgów Dziecięcych, Prezesem Klubu Kardiochirurgów Polskich.
Profesor uważany jest z jednego z najlepszych kardiochirurgów dziecięcych na świecie. Jego twarz Polacy znają z finałów Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Jest jednym z założycieli Fundacji Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, którą zarejestrowano 2 marca 1993 roku.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Wikipedia, Bohdan Maruszewski
- polskieradio.pl, prof. Bohdan Maruszewski z Orderem Uśmiechu

- Oficjalna strona internetowa Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy

- pulsmedycyny.pl, Zakochany w medycynie od drugiego spojrzenia prof. Bohdan Maruszewski

Marek Michalak

„Magda, dziewięcioletnia dziewczynka wróciła zapłakana ze szkoły. Zapytałem, co się stało, a ona na to, że nie dostała roli w teatrzyku szkolnym. Pani powiedziała, że ma ojca alkoholika, to i tak nie będzie miała możliwości nauczyć się tekstu. Pomyślałem sobie wtedy, ileż jest niesprawiedliwości na tym świecie i jak mocno dotyka ona dzieci. Ta Magda powinna pierwsza dostać rolę. Nawet jeśli nie będzie mogła, nie będzie miała możliwości nauczyć się roli, to trzeba jej poświęcić więcej czasu. Trzeba jej pomóc. Od tego jest dobry wychowawca, pedagog. We mnie wewnętrznie odezwało się poczucie krzywdy, ale również wściekłość, wola walki. Powiedziałem sobie, tak nie może być".

Dumny z dzieci i młodzieży

Co skłoniło Pana do poświęcenia się dzieciom?

To nie jest poświęcenie. Poświęcenie jest czymś uciążliwym, a moja praca na rzecz dzieci daje mi dużo satysfakcji.

Niewątpliwie, nie bez znaczenia był dla mnie okres pobytu w Centrum Zdrowia Dziecka. To czas, kiedy uczęszczałem do szkoły podstawowej. Tam zetknąłem się z problemami dzieci wynikającymi z oderwania od rodziców, z chorobą. Byłem najstarszym pacjentem na oddziale szpitala. Po powrocie do domu po leczeniu, razem z przyjaciółmi, koleżankami i kolegami ze szkoły zastanawialiśmy się, co można fajnego zrobić dla innych.

Inspiracją do działalności na rzecz dzieci było dla mnie poznanie ks. prof. Józefa Gniewniaka. Przychodził do szpitala i był po prostu z pacjentami. Przynosił różne słodkości, w czasach, kiedy nie były takie dostępne. Był codziennym gościem na oddziale. Wszyscy czekali na jego wizytę. Obok posługi kapłańskiej tworzył atmosferę ciepła, przyjaźni, opiekuńczości. Po powrocie z CZD do domu przez długi czas utrzymywałem z nim kontakt. Tak, jego osobowość i wsparcie moich rodziców wpłynęły na chęć pomagania innym.

Marek Michalak rodzinnie: z żoną Adrianą i dziećmi – Julią i Miłoszem

Z przyjaciółmi, wśród nich z Adrianą, dziś moją żoną, postanowiliśmy znaleźć grupę dzieci potrzebujących pomocy. Zdobyliśmy adresy dzieci z niepełnosprawnością, które były w domach. Ich rodzice przyjęli nas z otwartymi rękoma. Wtedy nie było powszechnej akceptacji niepełnosprawności. Te dzieci całymi dniami, tygodniami, miesiącami i latami siedziały w domu i tak naprawdę nie miały za bardzo do kogo, poza

najbliższymi otworzyć buzi. I nagle znaleźliśmy się my – pełni wigoru, chętni do pomocy. Tak mniej więcej zrodziła się idea Stowarzyszenia Przyjaciół Dzieci Chorych „Serce". W tamtym czasie nie było wolontariatu, tak jak dzisiaj. Nikt by nas nie wpuścił do żadnej placówki, żebyśmy cokolwiek robili. Ale do domu już tak. Wyciągaliśmy ich, tych prawie rówieśników, bo my mieliśmy po szesnaście, siedemnaście lat, a nasi podopieczni najstarsi po dwanaście, trzynaście, czternaście, do parku, na jakiś koncert, do teatru, siedzieliśmy z nimi w domu, rozmawialiśmy, graliśmy w gry. To nie było nic nadzwyczajnego, normalna koleżeńska pomoc, jednych ludzi względem drugich. Przede wszystkim ważne było poczucie, że jest ktoś, komu na nich zależy, a my czuliśmy się komuś potrzebni. Taki był początek. Później nasza działalność sformalizowała się, nabrała ram prawnych. Uzyskaliśmy pełnoletność, zarejestrowaliśmy stowarzyszenie, powołaliśmy pierwszą świetlicę dla dzieci. Rozpoczęła się działalność z większą dawką odpowiedzialności, z konkretnym planowaniem.

Czy to była świadomie wybrana przez Pana droga życiowa?

Tak bym nie powiedział. Wtedy zdecydowałem, że pójdę na studia o profilu pedagogicznym. Gromadziłem ludzi wokół siebie. Część osób, które ze mną zaczynały, pozostały, a część poszła w swoją stronę. To była społeczna działalność.

Pierwsza placówka miała charakter integracyjny. To było moje idée fixe, że połączymy dzieci z niepełnosprawnością – które tak naprawdę cierpią nie dlatego, że mają niedostatek finansowy, tylko emocjonalny, koleżeński, rówieśniczy – z dziećmi, które potrzebują pomocy materialnej, socjalnej. Są po prostu głodne i biedne. Ta placówka miała łączyć dwa światy. Tak wystartowaliśmy i tak wiele lat to funkcjonowało. Dzieci z zespołem Downa, porażeniem mózgowym przychodziły na kilka godzin, żeby pobyć z dziećmi, które przychodziły po to, by zjeść, żeby mieć ciepły kąt, żeby móc odrobić lekcje. To było miejsce dla nich bezpieczne, często jedyne, gdzie czuły się ludźmi. Już wtedy nazywaliśmy się „Serce". To działo się na przestrzeni lat osiemdziesiątych i później, w latach 1987-1993.

Został Pan najmłodszym w historii Kawalerem Orderu Uśmiechu – miał Pan wtedy 23 lata.

To te moje dzieci, gdzieś wyczytały o Orderze Uśmiechu. Nie był wtedy tak bardzo powszechny, znany jak dzisiaj. Napisały wniosek, namalowały go. Robiły to w tajemnicy. Parę miesięcy później przyszedł list z nagłówkiem „Kanclerz Kapituły" i informacją, że zostałem Kawalerem Orderu Uśmiechu. Był to początek 1994 roku. Nie do końca rozumiałem o co chodzi. Podejrzewałem, że ktoś mi zrobił dowcip, bo w moim przekonaniu nie robiłem nic nadzwyczajnego. Działałem, pracowałem, kierowałem świetlicą, która już wtedy nazywała się Centrum Przyjaźni Dziecięcej i funkcjonowała według mojego programu. Każdego dnia weryfikowałem go, układałem, żeby był jakimś wyjściem na zapotrzebowanie naszych podopiecznych. Kiedy powiedziałem dzieciom, że dostałem list, w którym napisano o przyznaniu mi Orderu Uśmiechu, wszystkie z poważnym uśmiechem na twarzy, stwierdziły, że wiedzą o tym, bowiem wcześniej zostały powiadomione. Wtedy uświadomiłem sobie, że to nie żart, że to bardzo poważna sytuacja w moim życiu. Tak się zaczęła przygoda z tym najbardziej słonecznym z odznaczeń.

Jego wręczenie opisał w swojej książce Cezary Leżeński – ówczesny Kanclerz MKOU i mój przyjaciel. Cezary ogłosił, że zostałem najmłodszym Kawalerem Orderu Uśmiechu w historii tego odznaczenia. To też było wyróżnieniem. Myślę, że Order pomagał w mojej działalności, otwierał wiele drzwi, które wcześniej nie były tak bardzo otwarte.

Moja praca rozwijała się, placówka zaczynała od kilkunastu dzieci, a w okresach swojej świetności miała i sto pięćdziesięcioro. Przychodziły całkowicie dobrowolnie, bo wiedziały, że to jest ich miejsce na Ziemi. Zresztą, niektóre mówiły, że to jest ich drugi dom. I tak było przez dwadzieścia jeden lat: codzienne spotkania, wyjazdy, kolonie, wycieczki, trudy dnia codziennego. Bo dzieciom, które przychodziły, często nie dawano szansy na normalny rozwój ze względu na trudności domowe, alkoholizm rodziców, na jakieś akty przemocy. Każdy ich sukces, większy czy mniejszy był wielkim sukcesem. Pamiętam 1 czerwca 1994 roku, kiedy odbierałem Order Uśmiechu, odnieśliśmy tego dnia bardzo duży sukces. Nasz wychowanek Mirek został posłem do pierwszego Parlamentu Dzieci i Młodzieży. To było ogromne wyróżnienie, szczególnie dla dziecka, które pochodziło z trudnego domu. On nie miał łatwego życia. Ten dzień był jakby podwójnym dniem sukcesu. Wszyscy mieliśmy poczucie, że coś ważnego się dzieje. Nasz reprezentant w Warszawie bierze udział w posiedzeniu Parlamentu!

Odniósł Pan wiele sukcesów w pracy z najmłodszymi, ale który z nich utkwił w pamięci?

Wart wspomnienia jest Zespół Dziecięcy „Serduszka", który powstał w 1993 roku. Magda, dziewięcioletnia dziewczynka wróciła zapłakana ze szkoły. Zapytałem, co się stało, a ona na to, że nie dostała roli w teatrzyku szkolnym. Pani powiedziała, że ma ojca alkoholika, to i tak nie będzie miała możliwości nauczyć się tekstu. Pomyślałem sobie wtedy, ile jest niesprawiedliwości na tym świecie i jak mocno dotyka ona dzieci. Ta Magda powinna pierwsza dostać rolę. Nawet jeśli nie będzie mogła, nie będzie miała możliwości nauczyć się roli, to trzeba jej poświęcić więcej czasu. Od tego jest dobry wychowawca, pedagog. We mnie wewnętrznie odezwało się poczucie krzywdy, ale również wściekłość, wola walki. Powiedziałem sobie, tak nie może być. W tym samym dniu pocztą dostałem zaproszenie do udziału dzieci w pierwszym Przeglądzie Piosenki Turystycznej. Myślę sobie, piosenka turystyczna, to przecież jest to, czym zajmujemy się od dawna podczas każdej wycieczki, każdego wyjazdu. Grupa „Serca" była zawsze grupą rozśpiewaną. Pomyślałem z kolei, może to jest właśnie taki moment, że możemy pokazać, co nasze dzieci potrafią. Ale festiwal był za dwa tygodnie. Zgłoszenie w ciągu trzech dni… Co tu robić? Pełen entuzjazmu wypełniłem od ręki kartę. Trzeba było wpisać nazwę zespołu, a myśmy jej nie mieli… „Serce"… to niech będzie…??? „Serduszka"! I tak, bez długiego zastanawiania się, powstała nazwa zespołu. Wpisałem tytuły piosenek, jakie zaprezentujemy, a należało podać trzy. Pamiętam do dziś, że były to: Płynie łódź moja wzburzonym morzem, Słoneczko późno dzisiaj wstało i My Cyganie. Ćwiczyliśmy je godzinami przez dwa tygodnie. Nie było dziecka, które by nie uczestniczyło w przygotowaniach. Całą grupą udaliśmy się na występ. Stroje były takie, w których dzisiaj dzieci by nie wystąpiły. Kto, co miał, to włożył na siebie… i dostaliśmy Grand Prix!

Zespół działa do dnia dzisiejszego. Myślę, że ważnym przełomem w rozwoju zespołu było zapoznanie się z „Chochlikami". Przyjechały dzieci z Warszawy wyrobione scenicznie. Natychmiast, kiedy wchodziły na scenę wiedziały, że są obserwowane. Nasze nie. Nasze były bardzo naturalne, nie zawsze się uśmiechały, bo jak nie miały ochoty się uśmiechać, to były smutne. Ich życie nie było na co dzień wesołe. Później Basia Kolago, prowadząca „Chochliki", zaprosiła „Serduszka" do Telewizji Polonia. To też było niezwykle ważne. Od tego czasu „Serduszka" były częstymi gośćmi w TVP. Nagraliśmy razem pięć teledysków i trzy płyty.

Skąd brały się dzieciaki przychodzące do świetlicy?

Do pierwszej świetlicy przychodziły dzieci z niepełnosprawnością, które już znaliśmy. A dzieci z trudnych środowisk, głodne, ze środowisk ubogich zbierałem idąc ulicą. To były podwórka, trzepaki, miejsca, gdzie po prostu spędzały czas. Zaproponowaliśmy, że będzie dla nich organizowane bezpieczne miejsce. Co jest istotne, że to miejsce było też tworzone z poszanowaniem podmiotowości dziecięcej, z samorządem dziecięcym. Dzieci wybierały swojego prezydenta, swoich ministrów. Współuczestniczyły w zarządzaniu placówką, w planowaniu jej działań. Zajęcia też nie były odgórnie narzucane, tylko wspólnie planowane. Kierowaliśmy się potrzebami dzieci. Czasami było tak, że zaplanowaliśmy coś, a okazało się, że realizowaliśmy zupełnie coś innego, bo ktoś miał ważniejszy problem.

Najboleśniejszym wtedy wyzwiskiem między dziećmi było powiedzenie: „ty biedaku". Pojęcie „biedak" było tak bardzo dla nich traumatyzujące, że wulgaryzmy z jakimi spotykali się na co dzień, nie były tak straszne. Długo nie mogliśmy tego poskromić. Zrobiłem cykl zajęć, pokazujący, co to jest ubóstwo, że dziecko nie ponosi za to winy. Pamiętam Bogdana, który zawsze używał pięści, gdy ktoś „wyjeżdżał" z biedakiem. Kiedyś, po przeanalizowaniu z dziećmi całego problemu, po zrozumieniu przez nie, że bieda nie jest niczym wstydliwym i niczym, co powinno obciążać, Bogdan nareszcie zaczął potakiwać. „To powiedz, czy jesteś biedakiem?" – mówię do niego. A on na to: „Biedakiem nie, jestem tylko ubogi". To gdzieś tam głęboko w nim siedziało…

O świetlice trzeba było walczyć, by przetrwały?

Pomoc dzieciom i jeszcze z pozycji organizacji pozarządowej, to była ciągła walka i walka od początku. Myśmy walczyli ze światem dorosłych, który nie do końca miał poczucie, że coś możemy zrobić. Uważał, że w tym wieku, młodzi mają się uczyć, a nie zajmować zbawianiem świata, wielkimi sprawami. To było akurat chybione, jeśli o nas chodziło. Myśmy się całkiem nieźle uczyli, a próbowaliśmy zrobić coś więcej. Z jednej strony na młodzież narzeka się, tak jest też dzisiaj, że sięga po alkohol, że zajmuje się rzeczami destrukcyjnymi, z drugiej strony narzeka się, że chce coś zrobić i świat naprawić. Na szczęście, wraz z moją żoną Adrianą, chodziliśmy razem do szkoły, w której nauczyciele dawali nam wsparcie, tak jak i nasi rodzice. Mieliśmy dużo samozaparcia, dużo woli walki i się udało. Dzisiaj widać po latach, że był to dobry pomysł, fajnie zainwestowany czas. Wspólne wyjazdy, integracja, wspólne rozmowy. Myślę, że ważne było to, że byliśmy dla siebie przyjaciółmi, bez zadęcia. To zaowocowało wzmocnieniem wewnętrznym, przyjaźniami trwającymi do dzisiaj.
Z podziwem patrzę, jak moi wychowankowie pozakładali rodziny, w których funkcjonują szczęśliwie. Zadbali nie tylko o swoich najbliższych, rodzeństwo, ale także o kolegów z „Serca", przyjaciół, którzy są w różnych miejscach, rozsiani po całym świecie. Wspierają się wzajemnie, pomagają sobie. To jest coś z czego dzisiaj jestem bardzo dumny.

wiosna 2013

Od autora:

Długo próbowałem umówić się na rozmowę z Markiem Michalakiem. Od objęcia funkcji Rzecznika Praw Dziecka jest bardzo zajęty. Codziennie na jego biurko trafia wiele trudnych spraw dotyczących najmłodszych, wymagających interwencji.

Marek Michalak

– urodził się w 1971 roku w Świdnicy, ukończył pedagogikę resocjalizacyjną, absolwent studiów podyplomowych w zakresie socjoterapii oraz organizacji pomocy społecznej. W lipcu 2008 roku wybrany przez parlament na urząd Rzecznika Praw Dziecka. W lipcu 2013 roku powołany na drugą kadencję.
Przewodniczący Koła Przyjaciół Dzieci Chorych „Serce" w Świdnicy; do 2008 roku prezes Zarządu Głównego Stowarzyszenia Przyjaciół Dzieci Chorych „Serce"; członek – założyciel

Ogólnopolskiego Forum na Rzecz Praw Dziecka oraz członek Komisji ds. Rozwiązywania Problemów Alkoholowych w Świdnicy. Od 2003 roku wchodził w skład Rady Organizacji Pozarządowych przy Rzeczniku Praw Dziecka. Jest twórcą „Centrum Przyjaźni Dziecięcej". W latach 1993-2008 kierownik Zespołu Dziecięcego „Serduszka" stworzonego przez dzieci z rodzin dysfunkcyjnych. Inicjator akcji „Czerwiec Miesiącem Dziecka". W 1994 roku odznaczony Orderem Uśmiechu. Zasiada w Międzynarodowej Kapitule Orderu Uśmiechu. Był jej wicekanclerzem, w styczniu 2007 roku został kanclerzem, ponownie wybrany w 2012 roku.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Wikipedia, Marek Michalak
- facebook.com, Marek Michalak
- tvn.pl, Nagroda za uśmiech
- youtube.com, Wolność i odpowiedzialność Marek Michalak Rzecznik Praw Dziecka

Jadwiga i Jacek Moll

„Wspaniały specjalista i kobieta o wielkim sercu. Do tego pełna energii i w jakiś przedziwny sposób potrafiąca ogarnąć wszystkie problemy małych serduszek. Dodatkowo niestrudzenie walczy o dobro dzieci, które zawsze stawia na pierwszym miejscu… Po prostu wspaniała!”

„Wspaniały i kompetentny lekarz, a zarazem cudowny człowiek z rewelacyjnym podejściem do dzieci i ogromną cierpliwością dla rodziców. Najlepszy fachowiec w swej dziedzinie z jakim się spotkałam”.

„Ta osoba to Słońce… Zawsze uśmiechnięta, przyjazna dla dzieci i rodziców. Niezwykła fachowość i kompetencja”.

„Naj, naj, naj, kochany, wspaniały – mogę tylko tak o nim mówić, nie tylko o lekarzu, ale i o człowieku. Nie było problemu, któremu nie chciał stawić czoła. Wielki mistrz, uratował życie mojemu dziecku z wieloma wadami,

z zespołem Downa i złożoną wadą serca. Życie naszej córeczki jest nadal tylko w jego rękach. Ufamy mu z całego serca".

„Z całego serca dziękuję Profesorowi za uratowanie mojego życia. Obecnie jestem nastolatką, gdy miałam dwa latka wykryto u mnie wadę serca. Natychmiast mnie zoperowano, lekarzem, który wykonał operację był Pan Moll. Dzięki niemu dostałam nowe życie i bardzo, bardzo dziękuję, choć każdy wie, że nie da się tego wyrazić w słowach".

„Najlepszy kardiochirurg dziecięcy w Polsce. W 1991 roku uratował mi mojego synka, zoperował mu maleńkie serduszko, kiedy dziecko miało dziewięć miesięcy. Teraz syn jest już dorosły i jest zdrowym człowiekiem. Dziękujemy Ci Profesorze za życie dla naszego syna".

Od autora:

Te słowa, które można przeczytać na stronach internetowych, oddają wszystko. Są najprawdziwszą oceną profesorów Jadwigi i Jacka Mollów. Całe swoje dorosłe życie poświęcili ratowaniu najmłodszych. Ta profesorska para to niezrównany duet leczący od lat dzieci z wrodzonymi wadami serca.

Ratują serduszka i życie

Pani profesor jest kardiologiem, pan profesor – kardiochirurgiem. Od lat są związani z Centrum Zdrowia Matki Polki w Łodzi, gdzie pani profesor jest zastępcą kierownika Kliniki Kardiologii, pan profesor natomiast jest kierownikiem Kliniki Kardiochirurgii. Przez lata obydwoje szkolili się w międzynarodowych instytucjach, z zakresu diagnozowania, leczenia i operowania wrodzonych wad serca. To głównie dzięki nim łódzka kardiologia i kardiochirurgia są znane w całej Polsce. Przy tym profesorowie słynną z niezwykłego zaangażowania i oddania sprawie. Cały czas walczą o poprawę warunków na oddziałach i o dobro dzieci.

Poznali się w okresie studiów, ale Jacek Moll uczęszczał wtedy na Wydział Mechaniczny Politechniki Łódzkiej. Chciał zostać inżynierem. Jak sam przypomina, jego ojciec był lekarzem. Przez pierwszych czternaście lat swojego życia mieszkał na terenie szpitala w Poznaniu. Rodzice mieli mieszkanie na terenie szpitala.

– Do siebie musiałem przechodzić przez różne poradnie, między innymi dermatologiczną. Napatrzyłem się tam różnych rzeczy i nie bardzo wtedy to się mi podobało. Ja chciałem być inżynierem i tak się stało. Ale gdy się okazało, że moje pasje inżynierskie – a chciałem budować silniki spalinowe do samochodów – są nierealne, zwróciłem się ku medycynie. Na pewno wpływ miał na to ojciec Jan Moll, który też był lekarzem, wybitnym kardiochirurgiem. Wpłynęła na to moja żona, która mnie wspierała, gdy

postanowiłem skończyć medycynę. Ona ją właśnie kończyła – wspomina Jacek Moll.

Jak przyznają obydwoje, pomagali im finansowo rodzice, bo już wtedy mieli dwójkę dzieci.

Warto dodać, że ojciec Jacka Molla, 4 stycznia 1969 roku, wraz z Antonim Dziatkowiakiem i Kazimierzem Rybińskim, podjęli pierwszą w Polsce, niestety nieudaną, próbę przeszczepienia serca. Na świecie pierwszą udaną transplantację serca przeprowadził trzynaście miesięcy wcześniej w Kapsztadzie dr Christian Barnard. Profesor Jan Moll dokonał pierwszych operacji na otwartym sercu w Polsce. Był pionierem wymiany zastawek serca i chirurgii wieńcowej, przeprowadził pierwsze lewostronne cewnikowanie serca w 1954 roku.

Jacek Moll wspomina, że po kilku latach studiów postanowił specjalizować się w kardiochirurgii, ale nie była to kardiochirurgia dziecięca.

– Na początku operowałem dorosłych, ale kiedy już zacząłem zajmować się dziećmi, zauważyłem, że kardiologia pediatryczna i wady serca są o wiele bardziej różnorodne. To dla nas wielkie wyzwania, z którymi trzeba walczyć, bo każdy pacjent jest inny i każdego trzeba inaczej traktować.

Pierwsze przełomowe operacje przeprowadzono w krajach o bardziej rozwiniętej medycynie, przede wszystkim w USA. My wprowadzaliśmy je w Polsce i tu jesteśmy nowatorami. W naszym wypadku możemy mówić o pewnych modyfikacjach zabiegów. Ale nawet te najdrobniejsze zmiany mogą zmniejszyć śmiertelność czy decydować o jednej operacji zamiast kilku. Dzisiaj

niczym się nie różnimy w porównaniu z najlepszymi ośrodkami na świecie – mówi.

Profesor Jacek Moll w ciągu dwudziestu lat zoperował wraz ze swoimi asystentami dziewięć tysięcy dzieci.

W Polsce rocznie operacje serca wykonywane są u około dwóch tysięcy dwustu dzieci, a pomocy wymaga około trzech tysięcy. Ciągle brakuje ośmiuset operacji, ale to wynika wciąż z braku zaplecza. Jak podkreśla profesor Moll statystycznie ośmioro dzieci na tysiąc ma wadę serca. Te najmłodsze, rodzące się z sercem jednokomorowym, to mniej niż jedno na tysiąc. Te właśnie interesują profesora.

Fachowo nazywa się to hipoplazją. To taki niedorozwój lewej komory. Dziecko przychodzące na świat z tą wadą, nie ma szans na przeżycie, jeśli nie pomoże mu się zaraz po urodzeniu. – Musi przejść trzy rozłożone w czasie operacje – podkreśla profesor Jadwiga Moll. Pierwsza jest przeprowadzana w drugim lub trzecim tygodniu życia. Kolejne dwie, w zależności od rokowań, po pół roku i między trzecim a czwartym rokiem życia.

połowa stycznia 2010

Jadwiga Anna Moll

– pediatra, kardiolog i kardiolog dziecięcym. Profesor doktor habilitowany nauk medycznych w Klinice Kardiologii Instytutu Centrum Zdrowia Matki Polki w Łodzi. Tytuł profesora otrzymała w 2006 roku. W latach 1974 – 1990 w Instytucie Pediatrii Akademii Medycznej w Łodzi, a od 1990 roku w ICZMP. Wprowadzała do diagnostyki chorób serca nieinwazyjne metody polikardiograficzne (rozprawa doktorska), a następnie techniki inwazyjne – cyfrową angiografię subtrakcyjną. Jako pierwsza w Polsce zastosowała echokardiografię u noworodków i niemowląt. Od 1990 roku, w związku z powstaniem Kliniki Kardiochirurgii, zajęła się organizacją pracy obu oddziałów, a następnie opracowaniem algorytmów postępowania okołooperacyjnego z noworodkami i niemowlętami z najbardziej złożonymi wadami serca, kwalifikacji do leczenia oraz opieki pooperacyjnej. Wspólne z Zakładem Diagnostyki Prenatalnej opracowuje zasady postępowania z płodem, a następnie noworodkiem obarczonym ciężką wadą serca. Łącznie dorobek naukowy profesor Jadwigi Moll obejmuje sto trzydzieści trzy publikacje w polskim i zagranicznym piśmiennictwie oraz trzysta jedenaście streszczeń opublikowanych w materiałach naukowych konferencji i zjazdów. Ponadto jest autorem rozdziałów w podręcznikach pediatrii, kardiologii i echokardiografii.

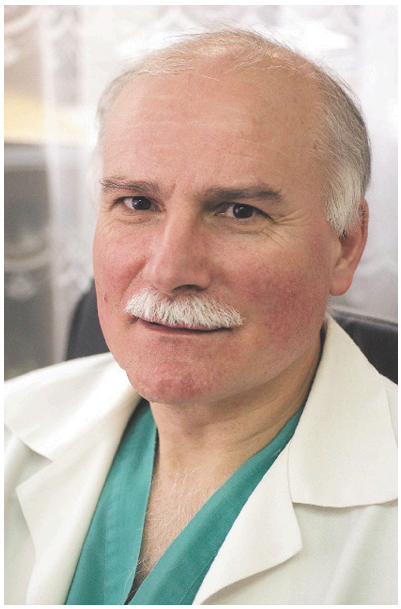

Jacek Jan Moll

– kardiochirurg dziecięcy, prof. dr hab. nauk medycznych.

Urodził się 6 maja 1949 roku w Poznaniu. Egzamin maturalny złożył w XIX Liceum Ogólnokształcącym w Łodzi w 1967 roku. W tym samym roku rozpoczął studia na Wydziale Mechanicznym Politechniki Łódzkiej, gdzie uzyskał tytuł magistra inżyniera w roku 1974. Od 1975 roku na studiach medycznych na Wydziale Lekarskim Akademii Medycznej w Łodzi. Po uzyskaniu dyplomu lekarskiego w 1981 roku rozpoczął pracę w Klinice Kardiochirurgii Instytutu Kardiologii AM w Łodzi. W latach 1983–1986 przebywał na stypendiach naukowych w Stanach Zjednoczonych. W tym czasie, łącząc posiadaną wiedzę z zakresu

mechaniki i medycyny, opracował własne modele mechanicznych zastawek serca, na które uzyskał dwa patenty w Stanach Zjednoczonych oraz wzór użytkowy w Polsce.

W 1986 roku obronił doktorat, a w 1987 roku uzyskał I stopień specjalizacji z chirurgii ogólnej oraz rozpoczął pracę w Klinice Kardiochirurgii Śląskiej Akademii Medycznej pod kierunkiem profesora Zbigniewa Religi. Zajmował się początkowo leczeniem chirurgicznym choroby wieńcowej i przeszczepami serca, a następnie korekcją wrodzonych wad serca u dzieci w najmłodszym wieku.

W 1990 roku uzyskał II stopień specjalizacji z kardiochirurgii oraz objął stanowisko ordynatora Oddziału Kardiochirurgii w Instytucie Pediatrii AM na bazie Szpitala Centrum Zdrowia Matki Polki w Łodzi, tworząc go od podstaw. Po przekształceniu w 1998 roku CZMP w Instytut pełni funkcję kierownika Kliniki Kardiochirurgii. W 1999 roku otrzymał stopień doktora habilitowanego.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- naszemiasto.pl, Order Uśmiechu dla profesorów Jadwigi i Jacka Molla
- rynekzdrowia.pl, Opowieść sercem pisana
- youtube.com, Order Uśmiechu dla profesorów Moll cz. I
- dzieciwlodzi.pl, „Talent naprawiania serc”- wywiad z prof. Jackiem Mollem

Bibiana Mossakowska

Pół wieku temu wyważyła zamknięte dotąd na głucho drzwi i ujawniła, że w niektórych domach najbliżsi biją swoje dzieci. Wprowadziła w Polsce termin dziecka maltretowanego. Oddała mu całą swoją wiedzę medyczną, umiejętności zawodowe i wrażliwe serce.

Artystka, która została chirurgiem dziecięcym

Jest Pani wybitnym chirurgiem dziecięcym. Spowodował to los?

Jako dziecko marzyłam, żeby zostać artystką, aktorką. To były marzenia małego trzyletniego, czteroletniego dziecka. Ale zachorowałam. Był początek wojny i epidemia choroby Heinego-Medina, która spowodowała u mnie niesprawność prawej nogi. W 1941 roku przeszłam operację. W ciągu jednego roku miałam trzy operacje i przez ten czas nosiłam nogę w gipsie. Moje artystyczne zainteresowania poszły na obok. Rehabilitował mnie tańcem ojciec. Tańczyłam, jak pamiętam, modny wtedy lambeth walk. Dużo też pływałam. Ale długo przebywałam w szpitalu w Warszawie, bo tutaj mieszkaliśmy podczas okupacji. Wtedy postanowiłam, że zostanę lekarzem, że będę chirurgiem dziecięcym i będę operowała najmłodszych.

I tak już potem trzymałam się tego, chociaż moje artystyczne zainteresowania realizowałam w szkole – tańcząc, śpiewając i biorąc udział w przedstawieniach teatralnych. Gdy badał mnie lekarz, bo miałam bóle i – jak się okazało – zapalenie wyrostka robaczkowego, wyznałam mu, że idę na medycynę. A on powiedział mi, że nadaję się bardziej do zakonu. Byłam mała, chuda i trochę taka wiercipięta. I jak pisał mój polonista: „Wśród nich najmłodsza, ruchliwa, prawdziwa druhenka psotka, niekiedy aż niemożliwa, Bisia, klasowa pieszczotka". Ja byłam taką pieszczotką.

Skończyłam jednak medycynę i natychmiast poszłam na chirurgię dziecięcą. Rozpoczęłam pracę na Oddziale Chirurgii Dziecięcej. Związałam się z nim na pięćdziesiąt pięć lat. Długo byłam ordynatorem, potem konsultantem do spraw chirurgii dziecięcej w nadzorze krajowym. Ta moja przygoda zakończyła się w 2010 roku uroczystościami pięćdziesięciolecia Szpitala Bielańskiego.

Od Pani zaczęło się w Polsce zainteresowanie przypadkami dzieci maltretowanych?

Gdy byłam w 1964 roku na stypendium w Liverpoolu, szkoliłam się tam w zakresie chirurgii noworodka, bo to mnie interesowało. Jedna z chirurgów dziecięcych wskazała mi urazy, jakie miały dzieciaki uczestniczące w imprezach masowych. Wtedy to Beatlesi robili karierę, zresztą odwiedzili nas w szpitalu.

W tamtym czasie zwróciłam uwagę na artykuł w piśmie „Lancet" o tym, że często matka jest agresorem w stosunku do swoich dzieci, ojciec też. W wyniku agresji dochodzi do uszkodzeń fizycznych. Tam, w Anglii, jak przywożono do szpitala dzieci zaniedbane, pytano mnie, czy nie sądzę, iż były one maltretowane.

Kiedy wróciłam do kraju, zaczęłam zwracać baczniejszą uwagę na wszystkie urazy z jakimi przywożono dzieci.

> W 1968 roku opisałam pierwszy przypadek dziecka maltretowanego w Polsce. Dotyczył on dziewczynki. I tak się zaczęło moje zainteresowanie i monitorowanie takich przypadków.

Zaczęłam przyglądać się wypadkom domowym i szkolić lekarzy, by rozpoznawali przypadki takich dzieci, w tym wykorzystywanych seksualnie. Publikowałam materiał kliniczny. Tymi sprawami zajmowałam się w kilku organizacjach pozarządowych.

Pani działania, a przede wszystkim zwrócenie uwagi na ten problem, przyczyniły się do walki z przemocą?

Lekarze zaczęli się przyglądać z większą dokładnością wszelkim przypadkom dzieci uszkodzonych. Ale jednocześnie byłam krytykowana przez starszych kolegów, którzy powątpiewali w wiele przypadków pobić. Nie wierzyli, że dziecko może być bite tłuczkiem do mięsa. Jednym z czynników trudności rozpoznawania była niewiara, że ojciec czy matka, albo jakaś bliska osoba może skrzywdzić swoje dziecko. Dotyczyło to również mnie. Wszystkie przypadki urazów, którym można było zapobiec, powinny być traktowane jako niezabezpieczenie dziecka. Później okazało się, że coraz młodsze dzieci są maltretowane. Pierwsza opisałam zespół dziecka potrząsanego. W zagranicznej literaturze naukowej pisano wcześniej, że dzieci są potrząsane ze złości. Długo nie wiedziano u nas, co się dzieje z dzieckiem, jak się nim potrząsa. Jak się potrząsa trzymiesięcznym maluchem, to ma ono jeszcze otwarte żyły przy ciemieniu. Gdy się nim potrząśnie to są one rozrywane. Potrząsanie daje efekty jak wypadek samochodowy. Opisałam to dokładnie. Teraz się mówi, że nieświadomie rodzice to czynią, gdy na przykład dziecko w nocy płacze. Niestety, robią to często w momencie zniecierpliwienia.

Czy dzięki Pani zaangażowaniu liczba takich przypadków zmalała?

Największy udział w monitorowaniu takich przypadków miały organizacje pozarządowe, robiły wiele. Przede wszystkim Komitet Ochrony Praw Dziecka, w którym działałam. Monitorował takie zdarzenia, szkolił lekarzy, pielęgniarki. Powstała sekcja dziecka maltretowanego w ramach Polskiego Towarzystwa Chirurgów Dziecięcych.

Z moich obserwacji wynika, że obecnie takich przypadków jest o wiele mniej. Kiedyśmy obliczali to w osiemdziesięciu oddziałach w Polsce, to mniej więcej pięćset dzieci rocznie wymagało leczenia szpitalnego z powodu przemocy fizycznej. To były lata 80. minionego wieku. Teraz takich przypadków jest zdecydowanie mniej. Żyje inne pokolenie rodziców, większa jest świadomość społeczna. W przypadkach pobicia trzeba też przeanalizować,

dlaczego do tego doszło. Udowodniono, że dzieci, które nie mają ojca czy jest on nieznany, są niechciane, dosłownie niechciane. Objawia się to często agresją matki wobec nich.

koniec listopada 2010

Bibiana Mossakowska

– wybitny chirurg dziecięcy. Ukończyła Akademię Medyczną w Warszawie. Przez czterdzieści dziewięć lat pracowała w stołecznym Szpitalu Bielańskim, z czego trzydzieści prowadziła Oddział Chirurgii Dziecięcej. Od 1999 roku jest profesorem nauk medycznych. Autorka lub współautorka stu czterdziestu dziewięciu publikacji naukowych oraz realizatorka pięciu filmów z dziedziny chirurgii dziecięcej, neurochirurgii i chirurgii noworodka. Na kierowanym przez nią oddziale zastosowano szereg nowoczesnych metod diagnostycznych i terapeutycznych w odniesieniu do noworodków i niemowląt. Pionierską, wielkiej miary zasługą pani profesor jest zapoczątkowanie w polskim środowisku lekarskim działań na rzecz ochrony praw dziecka.

Wprowadziła pojęcie dziecka maltretowanego i utworzyła przy Polskim Towarzystwie Chirurgów Dziecięcych sekcję zajmującą się tą problematyką.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- polityka.pl, Jednostka chorobowa T-74
- oil.org.pl, Silne kobiety, ideowi mężczyźni
- youtube.com, 15- lecie Fundacji Dzieciom „Zdążyć z pomocą”
- textalk.com, Profesor Bibiana Mossakowska gościem dzieci

Arkadiusz Nowak

W trosce o dzieci wprowadzono u nas taką procedurę, by lekarz każdej ciężarnej kobiecie proponował badania w kierunku HIV. Jest to jeden z efektów działalności księdza Arkadiusza Nowaka.

Posługujemy chorym

– Jestem prowincjałem zakonu, którego głównym celem jest praca z chorymi. Poza podstawową działalnością, wykonywaną przez każdego księdza, a więc pracą duszpasterską, ojcowie kamilianie posługują chorym na różne możliwe sposoby.

Tradycją jest, że kiedy rozpoczyna się czas życia zakonnego, staramy się, by każdy się „uprofilował", to znaczy starał się określić, w jakim rodzaju działalności związanej z chorymi dobrze by się czuł. Kiedy mnie zapytano, co chciałbym robić w przyszłości, powiedziałem, że chciałbym pracować z osobami uzależnionymi od narkotyków. Usłyszałem wtedy od swoich przełożonych: „Wprawdzie jest to na granicy między patologią a chorobą, ale jeżeli ci to odpowiada, możesz zacząć się tym interesować."

Rzeczywiście, w tamtym czasie narkomanię klasyfikowano bardziej jako patologię społeczną niż jako chorobę. Jednak dzięki działalności Marka Kotańskiego zaczęto zwracać uwagę na problemy z nią związane. Sam,

przyznaję, wiedziałem wówczas niewiele – zaledwie w moim środowisku szkolnym obserwowałem, co się dzieje z człowiekiem uzależnionym. Kiedy jako kamilianin uzyskałem zgodę przełożonych na pracę z osobami uzależnionymi, zacząłem dokładniej zgłębiać istotę narkomanii.

Znalazłem takie miejsce w Warszawie – Towarzystwo Rodzin i Przyjaciół Dzieci Uzależnionych, w którym zacząłem działalność społeczną. Tam właśnie – można tak powiedzieć – poznawałem tę chorobę od podstaw, obserwując, co się dzieje z dziećmi uzależnionymi i ich rodzicami. W pewnym momencie, dość szybko to nastąpiło, zetknąłem się z zarażonymi HIV.

Wtedy wokół HIV zrobiła się ogromna wrzawa. Zrozumiałem, że zarażeni ludzie stali się nagle wyobcowani – chciano ich izolować, zamykać, „palić na stosach". Jako kamilianin musiałem zająć stanowisko, stanąć w ich obronie.

> „Składamy przecież ślub służenia wszystkim chorym – jeżeli zachodzi potrzeba nawet z narażeniem własnego życia – szczególnie tym, którzy są odrzuceni przez społeczeństwo.

Poszedłem do przełożonych i powiedziałem z pewnością w głosie, iż jeśli mam być kamilianinem, muszę służyć zarażonym HIV. „To będzie moje wypełnienie ślubu" – powiedziałem. Mój przełożony odrzekł wtedy: „Dobrze, zajmij się tym, ale rób to z głową".

Początkowo było bardzo trudno – wszyscy bali się AIDS. Stopniowo jednak następowały pozytywne zmiany. Przede wszystkim społeczeństwo na tyle przyzwyczaiło się do kwestii zakażenia HIV, do obecności problemu AIDS w Polsce, że w zasadzie temat ten przestawał być jakoś szczególnie modny i obecnie nie wzbudza już większych emocji. Można powiedzieć, że osoba, która jest zakażona HIV i o tym powie, nie spotyka się z takimi negatywnymi reakcjami, jak to było dawniej.

Zmieniło się też wiele, jeśli chodzi o opiekę nad zakażonymi pacjentami. Jest ona na bardzo wysokim poziomie, szczególnie opieka medyczna. Chorzy na AIDS mają dostęp do najnowocześniejszych darmowych terapii. Zostały rozbudowane struktury poradni, przychodni, w których się leczą.

Wielkim sukcesem medycznym w Polsce jest to, że zakażona kobieta może urodzić zdrowe dziecko, jeśli są stosowane odpowiednie procedury. Gdy tylko wiadomo, że przyszła matka jest zakażona, wystarczy odpowiednio prowadzić ciążę. Dzięki temu z roku na rok wyraźnie zmniejszał się odsetek noworodków zakażonych urodzonych z matek zakażonych. Obecnie takich dzieci jest kilkadziesiąt – przyszły na świat w okresie, kiedy ciężarne nie były jeszcze objęte wspomnianymi specjalnymi procedurami leczenia (noworodki zakażały się wówczas na skutek porodu i karmienia piersią). Dzisiaj mają one po kilkanaście lat. Oczywiście leczy się je, są one traktowane w sposób szczególny. Przede wszystkim mają pełny dostęp do nowoczesnej diagnostyki, do najnowocześniejszej terapii. Ostatnio rzadko odnotowuje się zakażenie u nowo narodzonego dziecka właśnie dzięki temu, że przeprowadza się dokładne badania ciężarnych.

W trosce o dzieci wprowadziliśmy taką procedurę, by lekarz każdej kobiecie ciężarnej proponował badania w kierunku HIV. Nie ma obowiązku wykonania takiego badania, ale lekarz ma obowiązek zaproponowania go. I w praktyce to działa, chociaż bardzo się obawialiśmy reakcji kobiet. Na początku ciężarne uważały, że proponowanie im takiego badania urąga ich godności. Teraz się nie dziwią. Jest to standardowa procedura i dzięki jej przestrzeganiu rzeczywiście należymy do tych krajów w Europie, które mają najniższy odsetek zakażonych dzieci. Jest to niewątpliwie duży sukces.

Mimo że minęło dwadzieścia lat od pierwszego zakażenia HIV w Polsce, wiedza ludzi o AIDS nie jest zadowalająca. Szczególnie młode osoby wiedzą coraz mniej, bo już zmieniło się pokolenie. Tak naprawdę to edukacja jest potrzebna permanentnie. Są wspaniałe rodziny adopcyjne, które przyjęły dzieci zarażone HIV. Nie jest im łatwo, bo wciąż znajdzie się ktoś, kto uważa, że dzieci te niosą ze sobą zagrożenie dla rówieśników, kiedy się z nim spotykają, uczą. Na szczęście takie postawy są incydentalne. Najważniejsze, że podopieczni tych rodzin mogą liczyć na opiekę medyczną na najwyższym poziomie. Leki, które przyjmują, pozwalają na znaczne wydłużenie życia i podniesienie komfortu życia w chorobie. Jest też bardzo ważne, by te dzieci jak najdłużej czuły się komfortowo mimo swej choroby. Jest szansa, że pod dobrą opieką medyczną będą mogły żyć długo i spokojnie dożyć dorosłości. A ciągle jest nadzieja, że w niedługim czasie znajdą się leki, które wyeliminują wirusa, chociaż na razie na to się nie zanosi.

My, kamilianie, mamy różne placówki w naszym kraju i na świecie. W Polsce jest to przede wszystkim region śląski. Prowadzimy parafie, mamy własny szpital w Tarnowskich Górach, zakłady opiekuńczo-lecznicze dla osób starszych, dla chorych nieuleczalnie albo chorych przewlekle, domy pomocy społecznej i jeden dom pomocy społecznej dla dzieci i młodzieży upośledzonej psychicznie. Tam są dzieci, które przyszły do nas jako maluchy, z czasem stają się dorosłe i zostają tutaj do końca życia. Kamilianie to specyficzny zakon, głównie szpitalniczy. Mamy ukierunkowanie głównie na chorego. Pomagamy od strony duchowej i fizycznej.

Krajowe Centrum do spraw AIDS, koniec marca 2011

Ksiądz Arkadiusz Nowak

– ojciec kamilianin.
Urodził się 28 listopada 1966 roku w Rybniku. Ukończył studia filozoficzno-teologiczne na Papieskim Wydziale Teologicznym w Warszawie oraz socjologię w Uniwersytecie Szczecińskim. Od maja 2007 roku prowincjał Polskiej Prowincji Zakonu Kleryków Regularnych Posługujących Chorym (ojcowie kamilianie).
Zaangażowany w działania na rzecz chorych, a w szczególności osób zakażonych wirusem HIV. Do 2003 roku pełnomocnik ministra zdrowia do spraw AIDS i narkomanii. Współautor pierwszego Krajowego Programu do spraw Przeciwdziałania AIDS. Założyciel i prezes Instytutu Praw Pacjenta i Edukacji Zdrowotnej. Współzałożyciel Polskiej Fundacji Pomocy Humanitarnej oraz Fundacji Edukacji Społecznej. Wykładowca z zakresu profilaktyki terapii uzależnień oraz profilaktyki i promocji zdrowia, etyki zawodów medycznych i socjologii medycyny.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Wikipedia, Arkadiusz Nowak
- kamilianie.eu, O. dr Arkadiusz Nowak MI
- youtube.com, Ks. Arkadiusz Nowak i A. T. Kijowski – A Teraz Konkretnie
- onet.pl, Ksiądz Arkadiusz Nowak

Wiesław Ochman

Dzieciństwo bez ojca, bo zabrała go wojna, pod opieką dobrej i troskliwej mamy, nauczyło go prawdy życia.

Wielki śpiewak z wielkim sercem

– Order Uśmiechu to bardzo piękne wyróżnienie, to coś wyjątkowego, coś, co jest związane z ludzką życzliwością, dobrocią. Jest to przepiękny Order, dlatego że dzieci dają go za uśmiech, za uśmiech skierowany w ich stronę. Jestem bardzo dumny z tego wyróżnienia. Można mieć różnego rodzaju państwowe odznaczenia, ale to jest szczególne.

Dzieciom musiano powiedzieć, że wspomagam najmłodszych, że organizuję różne imprezy, z których dochód jest przekazywany właśnie na ich potrzeby, bo ja o tym nie mówię. Nie wiem, czy wiedziały konkretnie, kogo wspomagam, ale na pewno wiedziały, że należę do grona tych ludzi, którzy odnoszą się z niezwykłą sympatią do najmłodszych i że mogą na mnie liczyć w każdym wypadku.

> „Najważniejszy dla dzieci jest przyjazny uśmiech dorosłego. Jest on czymś, czego na co dzień w Polsce dosyć trudno uświadczyć.

Przypominam sobie, że na początku okupacji niemieckiej – miałem wtedy trzy czy cztery lata – jeździliśmy w Lubelskie, skąd pochodziła moja mama. Woziliśmy tam różne produkty, nazwijmy to powszechnego użytku, mydło, jakieś proszki. Mama wymieniała to wszystko na żywność, którą przywoziliśmy do Warszawy i na ulicy Ząbkowskiej 48, w naszym bloku, takim trzypiętrowym, mama rozdawała to ludziom. Po prostu rozdawała. Ja przez długi czas byłem przekonany, że w ogóle nie ma pieniędzy, tylko tak się rozdaje, ludzie ludziom rozdają.

Urodziłem się w Warszawie na Pradze, gdzie wszyscy mieliśmy po równo, czyli nic. Może właśnie z tego wynika moja potrzeba niesienia pomocy ludziom. To jest bardzo piękne uczucie, że można komuś pomóc, a już szczególnie dzieciom, które często borykają się z trudnościami. Zdaję sobie sprawę, jak to jest, bo wychowywałem się bez ojca, który po Powstaniu Warszawskim został gdzieś zabrany i nie wiadomo, niestety, gdzie zginął. Ciężko jest żyć, gdy zabraknie kogoś najbliższego i gdy dokucza bieda. I może dlatego bardzo dobrze rozumiem dzieci.

Chodzę na dziecięce przedstawienia, na których widzę szczerą, prawdziwą sztukę, chęć występu, chęć bycia artystą, zaistnienia. Mnie to bawi, a jednocześnie rozumiem, bo jak miałem cztery lata, to stawiano mnie na krzesełku i śpiewałem Chryzantemy złociste, podobno bardzo pięknie, lepiej niż śpiewam obecnie. Po wielu latach, kiedy już pracowałem w Teatrze Wielkim w Warszawie, spotkałem naszego dozorcę z dziecięcych czasów. Jeździł rykszą, był pierwszym prywatnym przedsiębiorcą, woził jakieś towary z Dworca Wschodniego na bazar Różyckiego. I on mi właśnie powiedział: „Wiesiu, tak się cieszę, że tak wysoko zaszedłeś z tej Ząbkowskiej. Słyszałem cię w radiu, jak śpiewałeś, bardzo ładnie śpiewałeś, ale tak jak śpiewałeś wtedy te Chryzantemy..., to już chyba nie dasz rady".

Pomoc innym, szczególnie dzieciom, przyszła w moim wypadku sama z siebie. Oczywiście, tak jak powiedziałem, wpłynęła na moją postawę działalność mamy. Mając trzynaście lat – gdy mieszkałem w internacie z chłopakami i chodziłem najpierw do liceum plastycznego, a później do technikum ceramicznego z kierunkiem zdobnictwa – organizowaliśmy specjalne wieczorki dla dzieci w takich miejscowościach, jak Szczawno-Zdrój, Bolków. Dla dzieci, takich przedszkolaków, wystawialiśmy przedstawienia ze śpiewem, z recytacjami. Dzieci są wspaniałymi odbiorcami.

Jak tylko Warszawa została wyzwolona, poszedłem po raz pierwszy w życiu do teatru. Właściwie to mama zaprowadziła mnie i mojego brata Andrzeja. Mieliśmy wówczas: ja – pięć, a brat – sześć lat. Przypominam sobie, że budynek stał naprzeciw Dworca Wileńskiego. W ocalałej sali odbywało się przedstawienie. Było ono o wojnie. Głównym elementem dekoracji był budynek mieszkalny. Na scenie dozorca zamiatał ulicę i przyszła dwójka dzieci. Szukały swojego taty, który ma wąsik i nosi wojskową czapkę. Dozorca powiedział do nich: „Jest noc, powinniście iść na górę i się wyspać".
W pewnym momencie w jednym z okien na górnym piętrze domu zapaliło się światło. Był to oczywisty znak dla widzów, że dziewczynka i chłopiec już tam są. Potem pojawiła się na scenie pani dozorczyni i obierała kartofle. Wtedy przyszedł człowiek w rogatywce i pyta czy nie widziała dwójki dzieci. Ona na to, że nie. Cała sala drze się: „Są na górze!". Wtedy zrozumiałem, że teatr to, po pierwsze iluzja, a po drugie, że może nie trzeba krzyczeć podczas przedstawienia. Jak ów żołnierz zamierzał odejść, dzieciaki z pierwszych rzędów zaczęły krzyczeć: „Proszę pana, oni są na górze". Było to szczególne przeżycie artystyczne.

W dzieciństwie, na warszawskiej Pradze

Z mamą

Jedno z wielu scenicznych wcieleń

Lubię przedstawienia dla dzieci, bo mogę obserwować wspaniałe zachowania najmłodszych widzów, ich szczere reakcje, przejęcie losami bohaterów sztuki. Patrzę na to też z bliska. Mamy pięcioro wnucząt w wieku od sześciu do czternastu lat, znamy ich zainteresowania, rozmowy z nimi są wielką przyjemnością.

Zamierzam w Operze Śląskiej wyreżyserować spektakl muzyczny dla dzieci. Muzykę napisał Jerzy Milian, libretto – Michał Rosiński. Nosi on tytuł Głowy w Operlandii. To jest bardzo ciekawe przedsięwzięcie. Trzeba to tak wystawić, by dorośli zrozumieli, bo dzieci na pewno zrozumieją. Zapowiada się bardzo sympatyczny, wesoły i dowcipny spektakl. To będzie pierwsza moja reżyseria, będę próbował spojrzeć okiem dziecka na scenę. Jest tam oczywiście i baba-jaga, i cała magia z dziecięcej wyobraźni.

Nigdy nie śpiewałem dla dzieci. Gdy zaczynałem pracę w operach polskich i światowych, nie miały one w swoich repertuarach kompozycji skierowanych do młodego widza. Kiedy śpiewałem w Operze Krakowskiej, w Operze Śląskiej, obowiązywał repertuar stricte operowy. Także Teatr Wielki w Warszawie nie wystawiał podobnych sztuk. Na Zachodzie też się nie spotkałem ze spektaklami operowymi dla dzieci. Zapewne wychodzono z założenia, być może słusznego, że od tego są teatry dziecięce, których jest sporo.

początek lata 2011

Od autora:

Spotkaliśmy się w domu Wiesława Ochmana. Przeprosił, że ma mało czasu, ale znów wyjeżdża na koncerty. Na ścianach wiele obrazów. Ten wybitny artysta zbiera je, by wspierać polskich malarzy.

Wiesław Ochman

– słynny śpiewak operowy.
Urodził się w 1937 roku w Warszawie. Ukończył studia w Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, uzyskując tytuł magistra inżyniera na Wydziale Ceramicznym. W trakcie studiów rozpoczął naukę śpiewu. Debiutował w 1960 roku na scenie Opery Śląskiej, następnie śpiewał w Operze Krakowskiej, a w latach 1965–1975 roku w Teatrze Wielkim w Warszawie.
Od 1966 roku występuje regularnie na największych scenach operowych i estradach świata. Uczestniczy w najbardziej prestiżowych festiwalach muzycznych, podczas których towarzyszą mu zespoły prowadzone przez najwybitniejszych dyrygentów naszych czasów. Artysta dokonał licznych nagrań radiowych i płytowych dla renomowanych firm światowych repertuaru operowego, oratoryjnego, kameralnego i rozrywkowego. Wiesław Ochman zajmuje się także malarstwem, które prezentował na wystawach między innymi: we Wrocławiu, w Warszawie, Krakowie, Zawierciu, Lublinie, Szczecinie, Łodzi, Grudziądzu i Sobótce.
Ważnym elementem jego działalności stała się działalność charytatywna. W 1998 roku, z okazji dwustulecia urodzin Adama Mickiewicza, artysta zebrał prace malarzy polskich, które wystawione na licytacji w Konsulacie Generalnym RP w Nowym Jorku, sprzedano za łączną kwotę 44 tys. dolarów. Cały zysk przekazano na remont Domu-Muzeum Wieszcza w Wilnie.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Wikipedia, Wiesław Ochman
- youtube.com, Wiesław Ochman, *Szumią jodły* (Moniuszko)
- culture.pl, Wiesław Ochman
- onet.pl, Wiesław Ochman świętuje 55 lecie pracy artystycznej

Janina Ochojska

„To dzieci cierpią najbardziej w katastrofach i wojnach i one są najczęściej ofiarami ubóstwa”.

Astronom kieruje pomocą humanitarną

– Order Uśmiechu dostałam w 1995 roku. Patrząc z dzisiejszej perspektywy, byłam wtedy na początku drogi zawodowej – byłam astronomem. Taki jest mój zawód i myślałam, że będę go wykonywać do końca życia. Okoliczności sprawiły, że moje życie potoczyło się zupełnie inaczej. Porzuciłam astronomię na rzecz pracy z ludźmi i dla ludzi. Dziś mogę powiedzieć, że jestem zadowolona z tego nagłego zwrotu.

Nasza praca była sformalizowana od samego początku. Już w 1989 roku, zaraz po wolnych wyborach, stworzyliśmy polską Fundację EquiLibre, w ramach której po raz pierwszy w 1992 roku wyjechałam z konwojem do Sarajewa. Jednak w 1994 roku zdecydowaliśmy się na zmianę nazwy na Polską Akcję Humanitarną. Chcieliśmy, aby pomoc, którą dostarczaliśmy, kojarzyła się z Polską.

Droga do Sarajewa wiodła przez Francję, w której akurat przebywałam, gdy przygotowywano akcję sprowadzenia tysiąca dzieci z obozu dla uchodźców w Bośni do rodzin francuskich. To był październik 1992 roku. Ogłoszono, że zajmuje się tym EquiLibre (organizacja humanitarna znana z organizowania do Polski konwojów z pomocą humanitarną w latach 1984–1990). Pojechałam do

ich biura i zgłosiłam się do pracy jako wolontariusz. Odbierałam telefony i wpisywałam dane rodzin do bazy – trzydzieści tysięcy rodzin! To była bardzo duża operacja, której celem było znalezienie najodpowiedniejszej rodziny dla poszczególnych dzieci. Wyboru dokonywano według klucza terytorialnego, dzieci rozmieszczano w różnych regionach Francji. Potem zaczęto przygotowywać konwój, a gdy miał wyjechać, ubłagałam szefa, by mnie zabrali ze sobą. Chciałam zobaczyć na własne oczy, jak z bliska wygląda taka akcja.

W redakcji „Tygodnika Powszechnego”

I tak, w październiku 1992 roku znalazłam się w Sarajewie. Było to dla mnie bardzo ważne doświadczenie. W miejscu, gdzie ludzie potrzebowali pomocy, byłam bowiem z tymi, którzy kiedyś pomagali Polsce. Wtedy właśnie pomyślałam sobie, że chciałabym zorganizować konwój z pomocą z Polski.

Po powrocie do kraju nie wyobrażałam sobie, że spokojnie wrócę do swojej pracy astronoma i będę oglądać planety. Postanowiłam, że muszę działać, aby zrealizować swój zamiar.

> ” Dziś, patrząc wstecz, mogę powiedzieć, iż jeżeli człowiek chce coś zrobić i w to wierzy, i zrobi ten

pierwszy krok, nie oglądając się na nic, to zawsze mu się uda.

W moim przypadku pierwszy krok wykonałam, gdy zostałam zaproszona do audycji w radiowej „Trójce". Powiedziałam wówczas, gdzie byłam i że chcę zorganizować konwój. W Polakach była tak silna potrzeba niesienia pomocy Bośni, że wystarczyła tylko iskra zapalna. Podałam na antenie numer telefonu pani, którą niedawno poznałam, a po audycji już się nie mogłam do niej dodzwonić. Jej telefon był ciągle zajęty – tyle osób zgłaszało chęć pomocy. To był listopad, a już w grudniu wyjechał konwój dwunastu ciężarówek. Ludzie przynosili dary, zgłaszali się kierowcy. Dwanaście wypełnionych ciężarówek z pomocą wyjechało z Polski. Pojechał też autokar z dziennikarzami. W Rijece spotkaliśmy się z konwojem francuskim i dalej jechaliśmy razem, ponieważ nie mieliśmy doświadczenia w poruszaniu się w terenie działań wojennych.

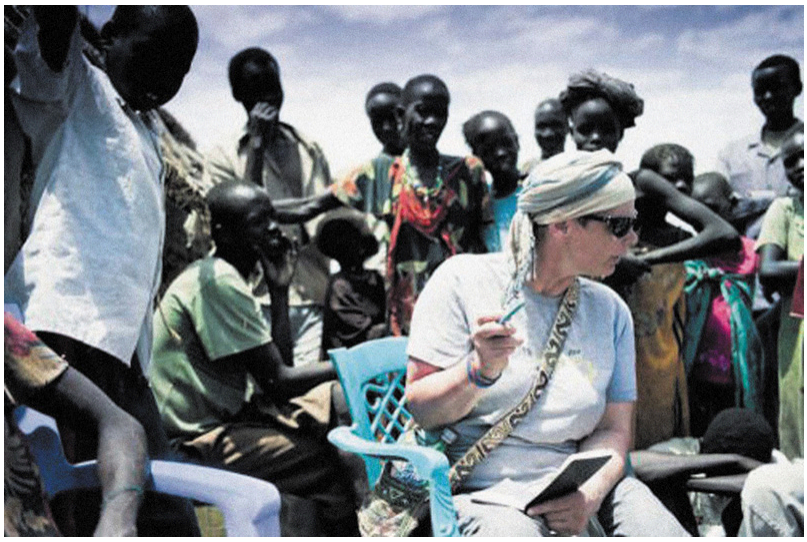

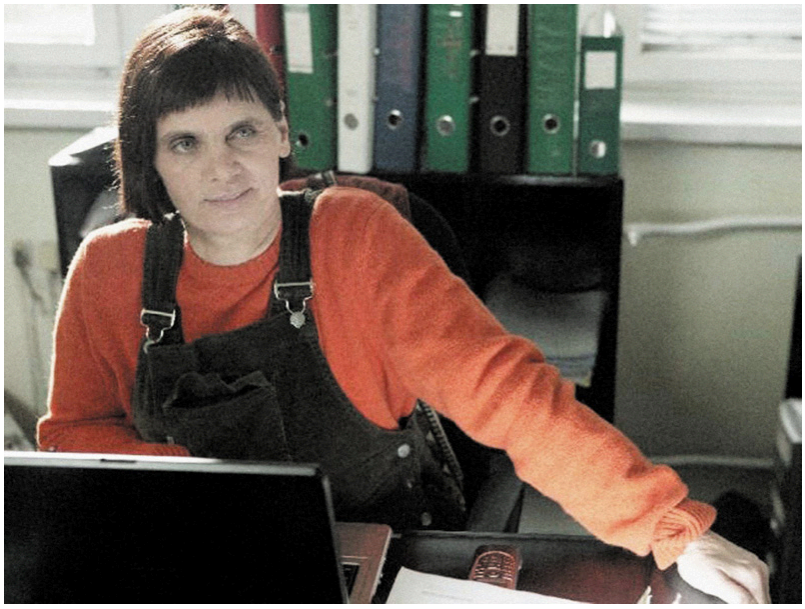

Pracuje w wielu miejscach wśród tysięcy osób

Moim zamiarem było wysłanie tylko tego jednego konwoju. Wyobrażałam sobie, że go wyślę i wrócę do mojej pracy. Ale były już nowe zgłoszenia ciężarówek, kierowców, dary. Trzeba było pojechać drugi raz. Ten konwój, gdy wyjeżdżał z Sarajewa, został ostrzelany, zginęła wolontariuszka francuska, dwóch polskich kierowców zostało rannych. Musieliśmy podjąć decyzję, co robić dalej. Było dla nas oczywiste, że mimo problemów nie możemy zaniechać udzielania pomocy humanitarnej. Zdecydowaliśmy wówczas, że będziemy kontynuowali nasze działania. Wzięłam bezpłatny urlop i myślałam, że przez jakiś czas pociągniemy.

Wszyscy mieliśmy nadzieję, że wojna w Bośni szybko się skończy. Ale wojna się nie kończyła. W grudniu 1993 roku zostałam przedstawiona do tytułu Kobiety Europy (przyznawany jest co dwa lata przez International Association for the Promotion of Women of Europe z siedzibą w Brukseli) i nią zostałam. Już nie mogłam się wycofać. Pomagaliśmy wszystkim stronom konfliktu, nawiązaliśmy także kontakty prywatne, ludzie pytali, czy przyjedziemy. W tej sytuacji nie mogliśmy odmówić pomocy. Tak się to właśnie rozwijało, a my rozszerzyliśmy naszą działalność o Kazachstan, potem o Czeczenię.

Przez pierwszy rok współpracowałam tylko z wolontariuszami. Obecnie biuro jest pełne ludzi, w większości młodych, a liczba stałego personelu waha się od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu osób. Część pracowników przebywa na misjach: w Sudanie, w Somali, a także w Autonomii Palestyńskiej.

Pomoc dzieciom była i jest naszym priorytetowym działaniem, ale czasami dzieciom pomaga się, udzielając pomocy dorosłym. W Czeczeni pierwszą akcją pomocy było tworzenie przedszkoli w obozach dla uchodźców, budowa szkół. W szkołach zapewnialiśmy dostęp do wody. W Palestynie budowaliśmy zbiorniki wodne, w Afganistanie studnie albo ujęcia wodne, w Sudanie – studnie. Po rozpoczęciu konfliktu w Libii pojawili się uchodźcy na granicy libijsko-egipskiej. Postanowiliśmy wysłać na miejsce naszego koordynatora do spraw pomocy humanitarnej, który dostarczył pomoc, zarówno medyczną do szpitali w Bengazi, jak i higieniczno-sanitarną dzieciom oraz kobietom. Przekazaliśmy również żywność specjalistyczną dla dzieci. To właśnie one były dla nas zawsze najważniejszym beneficjentem pomocy. To dzieci cierpią najbardziej w katastrofach i wojnach i one są najczęściej ofiarami ubóstwa.

Dzisiaj nie wysyłamy konwojów, tylko działamy przez stałe misje. Naszą działalność wspieramy prowadząc edukację globalną i rozwojową, związaną bardzo ze szkołami w Polsce. Prowadzimy też pomoc dla uchodźców i repatriantów, którzy przyjeżdżają do naszego kraju.

Nasza organizacja pomaga ofiarom konfliktów zbrojnych, katastrof naturalnych i długotrwałego ubóstwa. Taki jest nasz cel statutowy. Nie dzielimy naszej pomocy na Polskę i zagranicę. Oczywiście, jeżeli mamy do czynienia z katastrofą naturalną w Polsce, przykładowo z powodzią, to angażujemy się tutaj w organizowanie pomocy. Odbiorcami docelowo są głównie dzieci, kobiety, osoby starsze i niepełnosprawni, czyli grupy – jak się mówi – wrażliwe. Nasza pomoc dotarła już do czterdziestu dwóch krajów.

wiosna 2011

Od autora:

Rozmawialiśmy w ciasnej, małej salce bez okna, w siedzibie Polskiej Akcji Humanitarnej. Bardzo skromnie, wokół wielu młodych, pełnych zapału ludzi. To oddani współpracownicy mojej rozmówczyni.

Janina Ochojska

– polska działaczka humanitarna, założycielka Polskiej Akcji Humanitarnej.

Studiowała astronomię w Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Po jej ukończeniu pracowała w Pracowni Astrofizyki PAN w Centrum Astronomicznym im. Mikołaja Kopernika w Toruniu. Jako studentka działała w Duszpasterstwie Akademickim oo. Jezuitów w Toruniu, a od 1976 roku włączyła się w działalność opozycyjną, angażując się między innymi w powstanie NSZZ „Solidarność" w Toruniu.

Jest niepełnosprawna od wczesnego dzieciństwa (choroba Heinego-Medina). Wiele zawdzięcza pobytowi w Zakładzie Leczniczo-Wychowawczym dla Dzieci Kalekich, prowadzonym przez doktora Lecha Wierusza, który był nie tylko wybitnym lekarzem, ale i wychowawcą.

W 1984 roku wyjechała do Francji na operację. Tam zetknęła się z ideą pomocy humanitarnej. Jako wolontariuszka działała dla organizacji EquiLibre, wyszukując kontakty i koordynując pomoc dla Polski.

Po powrocie do kraju, w 1989 roku współtworzyła polski oddział EquiLibre z siedzibami w Krakowie i Toruniu. Trzy lata później zorganizowała konwój polskiej pomocy dla byłej Jugosławii. Dzięki niej powstało wówczas biuro EquiLibre w Warszawie.

W 1994 roku została zarejestrowana fundacja pod nazwą Polska Akcja Humanitarna, w której Janina Ochojska sprawuje funkcję prezesa zarządu.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Wikipedia, Janina Ochojska
- Oficjalna strona internetowa PAH

- tok.fm, blog Janiny Ochojskiej
- youtube.com, Pomagam, bo…

Joanna Papuzińska

„W dzieciństwie jest coś uniwersalnego i wydaje mi się, że do tego potrafią docierać wielcy autorzy”.

Pomysły podkradałam córce

– Jestem profesorem, uczę studentów. Uczę studentów w Uniwersytecie Warszawskim o literaturze dziecięcej, w ogóle o literaturze, o czytelnictwie. Ale wyróżnienie Orderem Uśmiechu związane jest z drugim wątkiem mojego działania, mianowicie z pisaniem dla dzieci. Mam na koncie trochę, może nie za dużo książek dla dzieci. Z nich najbardziej znana jest Nasza mama czarodziejka, bo była w lekturze szkolnej przez całe lata. Myślę, że to ona spowodowała, że „zostałam wystawiona”, jak to się mówi, do Orderu Uśmiechu, a stało to się z inicjatywy dzieci ze szkoły w Oświęcimiu.

Podczas uroczystości nadania Orderu, jak wiadomo trzeba wypić kielich soku cytrynowego. Tego strasznie się bałam, ale pani, która była mistrzem ceremonii, szepnęła mi do ucha: „Proszę się nic nie martwić, wybrałam bardzo dojrzałą cytrynę” – wspomina.

Jak doszło do tego, że zaczęła Pani pisać dla dzieci?

Na to pytanie można odpowiedzieć na trzy sposoby. Pan sobie wybierze, który będzie chciał. Pierwszy to: podaż – popyt. Jako młoda osoba szukałam jakiegoś zarobku. Robiłam różne rzeczy, na przykład obrębiałam szale tiulowe. Ale

okazało się, że „Świerszczyk” potrzebuje małych wierszyków, zgłosiłam się i zaczęłam dostarczać swoje. I okazało się, wtedy jeszcze był tam szefem Bolesław Zagała (tłumacz, autor opowiadań dla dzieci i młodzieży, redaktor naczelny „Świerszczyka”, Kawaler Orderu Uśmiechu), że te wierszyki pasują do tego pisemka. I tak się zaczęło. Zarobki nie były zbyt wielkie, ale było bardzo miło, jak pod koniec miesiąca przychodziła pani listonosz i przynosiła czterdzieści siedem złotych. To były inne pieniądze, bardzo potrzebne. To jest ten wątek ekonomiczny. Później z tych wierszyków ułożyła się książeczka Pims, którego nie ma.

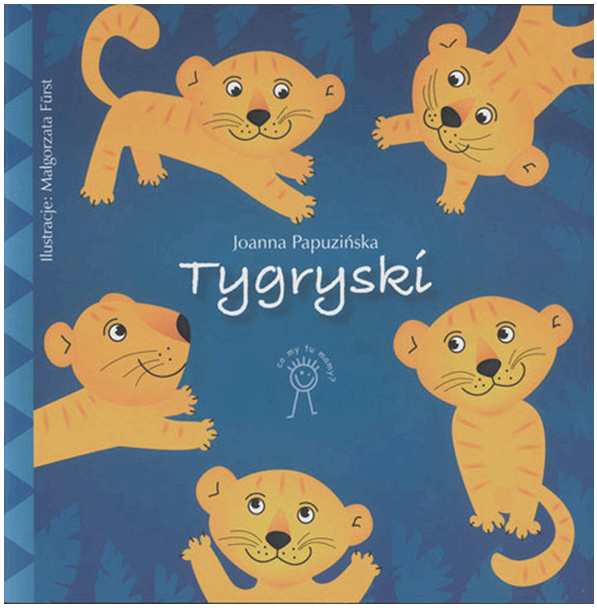

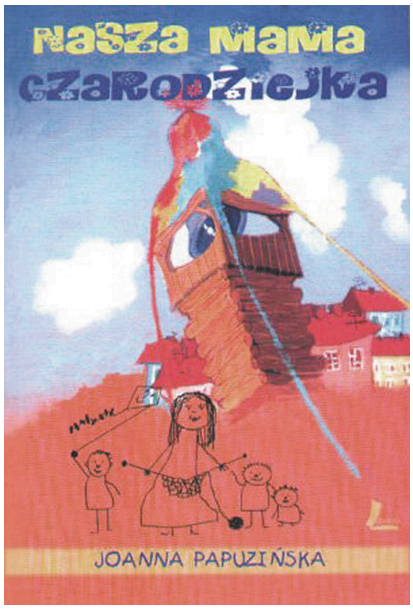

Drugi wariant – genetyczny. Moi rodzice byli pedagogami, a moja mama pisała. Niestety, bardzo wcześnie zmarła. Moi bracia i ja, jak dorastaliśmy, mówiliśmy, że nie będziemy mieli nic wspólnego z dziećmi. Więc najstarszy brat poszedł na medycynę, został pediatrą, kolejny poszedł do szkoły filmowej i zaczął kręcić filmy oświatowe. A ja poszłam na dziennikarstwo, żeby zajmować się wielką polityką. Wylądowałam w „Świerszczyku". Tak więc w każdym z nas tkwi jakiś przekaz genetyczny, stąd te zainteresowania dziećmi.

Trzeci wariant jest towarzyski. Spotkałam na swojej drodze Wandę Chotomską i ona mi właśnie poradziła: „Jak potrzebujesz jakiejś pracy – a nie mogłam podjąć stałej pracy, bo miałam malutką córeczkę – to te krótkie wierszyki zawieź do Naszej Księgarni, spróbuj może ci się uda".

Co Panią inspirowało do pisania wierszyków?

Przede wszystkim własne dzieci. Dużo pomysłów podkradłam mojej córce, malutkiej wówczas, która miała dużo świetnych pomysłów. Jest taka mała książeczka i sztuka teatralna Tygryski. To właśnie córka powiedziała mi kiedyś, ubrana w pidżamę z wymalowanymi tygrysami: „Mamo, ja bym chciała spać, tylko te tygrysy na mojej pidżamie są tak rozbrykane, że mi przeszkadzają". No i oczywiście był gotowy pomysł na książkę. Na początku inspirowały mnie dzieci, i te w domu, i te poza nim, a potem już inspirował mnie właściwie cały świat.

Jeśli się tworzy dla dzieci, to inaczej patrzy się na świat?

Tak. Ale jest to moim zdaniem kwestia takiej szuflady w mózgu, którą człowiek ma albo jej nie ma. I są tacy, którzy piszą wspaniale, a dla dzieci im nie wychodzi i są ludzie, którzy świetnie piszą dla dzieci, a jak się przymierzają do pisania dla dorosłych, to nie idzie im tak, jakby chcieli.

Czy można o piszących dla dzieci powiedzieć, że są zdziecinniali?

Nie. Joanna Kulmowa powiedziała – może nie tylko ona – że pisze to dziecko, które jest w niej.

> To są ludzie, którzy nie wyrastają do końca z dzieciństwa, zachowują w sobie coś z tego dziecka i tego dziecięcego widzenia świata, zdolności widzenia, cieszenia się byle czym, dostrzegania detali, których inni nie widzą.

Czy tworzenie dla najmłodszych jest też tworzeniem dla dorosłych?

Tak, zwłaszcza to pisanie dla młodszych dzieci, bo wtedy jest jeszcze ten dorosły pośrednik. Czyta dziecku, wybiera mu książki. Więc trzeba trafić do niego, co doskonale potrafił robić Jan Brzechwa. Natomiast oprócz tego, wydaje mi się, że niby ten świat tak biegnie naprzód, bardzo się zmienia i te dzieci są inne, ale jak się poskrobie, to tam pod spodem siedzi to samo dziecko. W dzieciństwie jest coś uniwersalnego i wydaje mi się, że do tego potrafią docierać ci wielcy autorzy. Bo ci średni razem z pokoleniami odchodzą, są to autorzy swojego pokolenia.

Czy zmiany zachodzące wokół nas, rewolucja technologiczna i inne, nowe zainteresowania dzieci, mają wpływ na Pani twórczość i na odbiór tej twórczości przez dzieci?

Na pewno jakiś wpływ mają. Przedtem książka często była tą jedyną jakąś atrakcją, jedynym bodźcem dla wyobraźni. W okresie mojego wczesnego pisania mniej było tych możliwości, a w tej chwili jest ich bardzo wiele. Zupełnie inaczej funkcjonuje wyobraźnia dzieci. Mam czasami wrażenie, że jest bardzo wypełniona różnymi wizjami i że na przykład ta granica pomiędzy prawdą realną a baśnią jest bardzo łatwa do przekroczenia dla dzieci. W tej

chwili dziecko zaczyna jakieś opowiadanie i dla niego nie jest żadnym problemem powiedzieć: „Szedłem do szkoły i nagle zobaczyłem małą dziurkę w chodniku. Więc wszedłem do niej i tam był jakiś dziwny świat". Podczas gdy dawniej tę barierę było trudno przekroczyć. Pamiętam chłopca, który mi opowiadał, że nie ma dywanów latających. „Pani widziała dywan latający…? – mówił – To mógł być najwyżej samolot oblepiony dywanami, żeby to wyglądało jak dywan. W środku musiał mieć silnik, skrzydła". Napisałam opowiadanie o krasnoludkach, które czyszczą buty. Na spotkaniu autorskim dziecko mi powiedziało: „Proszę pani, to jest niemożliwe, przecież krasnoludek nie byłby w stanie podnieść szczotki".

Ta taka skrupulatność niektórych dzieci, nie wszystkich, ustąpiła miejsca swobodzie tworzenia wizji, jakiejś fantazji, która płynie z tego, co dziecko ogląda, czego doświadczyło. Wydaje mi się, że taka otwartość jest większa i może wyrosną z tego bardziej twórcze pokolenia.

Czy bardzo zmienia się sposób pisania o świecie?

Bardzo się zmienia, świat jest wypełniony różnymi technicznymi szczegółami. I cały ten świat techniki, też się staje wątkiem literackim, tematem literackim. Albo trzeba to respektować, albo dzieci nie zrozumieją o co chodzi. Dzieci grają w gry komputerowe i to staje się przedmiotem intrygi literackiej, trzeba brać pod uwagę to, że dziecko ma komórkę, że może się porozumieć.

Jakiś czas temu opowiadałam najmłodszym o Tomku Sawyerze, o tym, jak zabłądził z kolegami w grotach. Krążą, krążą i nie mogą znaleźć wyjścia. Jedno z dzieci mówi mi: „Ależ, proszę pani, nie mogli zadzwonić na komórkę?" A drugi na to: „Przecież w grotach nie ma zasięgu". To są już zupełnie inne sposoby wnioskowania, a dzieci czasami zdumiewają tymi swoimi opiniami.

koniec 2012

Od autora:

W warszawskim mieszkaniu pani profesor; w całej kamienicy remont, wymiana rur gazowych. Siedzieliśmy wśród książek, a czuliśmy zapach farb. Wiał silny wiatr, zima.

Joanna Papuzińska

– prozaik, poetka, autorka bajek i wierszy dla dzieci.
Urodziła się 3 stycznia 1939 r. w Warszawie. Ukończyła wydział dziennikarski w Uniwersytecie Warszawskim. Jest profesorem zwyczajnym Uniwersytetu Warszawskiego. Doktorat uzyskała na podstawie rozprawy o czasopismach dla dzieci, habilitację – na podstawie książki Inicjacje literackie. Ogłosiła wysoko cenione tomy rozpraw z zakresu historii i współczesności książki dziecięcej, pod jej redakcją ukazały się księgi zbiorowe.
Debiutowała w 1964 roku na łamach prasy literackiej. Wydała zbiorki poezji i wierszowane opowieści, m.in. Pims, którego nie ma, Nasza mama czarodziejka, Ściana zaczarowana, Agnieszka opowiada bajkę, Czarna łapa, Wędrowne wierszyki, Uśmiechnięta planeta, Jesienna przygoda, Wędrowcy, Czarna jama, Szumikraj, Stare i nowe wierszyki domowe. Jest również autorką trzyczęściowej opowieści dla najmłodszych: A gdzie ja się biedniuteńki podzieję, Rokiś wraca, Rokiś i Kraina dachów. W 1994 roku opublikowała autobiograficzne wspomnienia z lat wojny i pierwszych lat odbudowy stolicy Darowane kreski. Jest także autorką licznych prac teoretycznych z zakresu czytelnictwa, bibliotekoznawstwa i literatury dla dzieci.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Wikipedia, Joanna Papuzińska

- jaw.pl, Spotkanie autorskie z Joanną Papuzińską
- youtube.com, Joanna Papuzińska w Łomży
- 1944.pl, Joanna Papuzińska – Beksiak

Danuta Rosner

Druhna Danuta całe życie oddała harcerstwu i do dziś jest ono dla niej wszystkim. Dumna z harcerskiego munduru. Nosi go z wielką powagą, na różnych oficjalnych uroczystościach dodaje do niego charakterystyczny kapelusik. Od młodszych harcerzy wymaga, by także szanowali mundury, obciągali rękawy i zapinali guziki.

Wieczna harcerka

– Zawsze lubiłam bawić się z dziećmi, opowiadać im bajki, uczyć śpiewania. Najmłodszymi zaczęłam się zajmować, będąc jeszcze uczennicą szóstej klasy szkoły podstawowej. Kiedy przyszła wojna, mieszkałam na Śląsku, obok walcowni metali w Czechowicach-Dziedzicach, które zostały wcielone do Rzeszy. Działały tutaj wyłącznie szkoły niemieckie. My, polskie dzieciaki, mogliśmy kończyć tylko szkoły podstawowe.

Jak pamiętam, z naszą drużynową bawiliśmy się i śpiewaliśmy patriotyczne piosenki na wielkiej polanie, przy stawach. Tam się zaczęło. Nie wiedziałam wówczas, że działam pod egidą Związku Harcerstwa Polskiego na terenie Śląska.

Moja rodzina była dwukrotnie wysiedlana. Gdy miałam szesnaście lat, zgłosiłam się do pracy. Mama nie żyła, a ojciec się ukrywał, był bowiem powstańcem śląskim. Zaczęłam pracować w Bielsku-Białej w zakładach, gdzie produkowano części do samolotów. Tam dotrwałam do końca wojny. Natychmiast po jej zakończeniu zapisałam się do ZHP. Niestety, krótko prowadziłam drużynę harcerską, bo dotychczasowe harcerstwo zlikwidowano.

Już jako dziecko zaczęłam pisać wiersze. Tuż po wojnie, na akademii z okazji 3 maja w Domu Katolickim recytowałam swój wiersz Serce Ślązaków do narodu polskiego. Niesamowicie to zostało przyjęte. Od tego momentu chciano mi pomóc. Dzięki burmistrzowi, dostałam mieszkanie, stypendium.

Na dożynkach koło Opola, dwa lata po zakończeniu wojny, znów recytowałam ten swój wiersz. Zainteresował się mną sam prezydent Bolesław Bierut. Otrzymałam stypendium prezydenckie na czas studiów. Skończyłam polonistykę w Uniwersytecie Jagiellońskim. Jednocześnie zapisałam się do szkoły muzycznej. Gdy w 1956 roku odbudowano ZHP, mieszkałam w Krakowie. Założyłam szczep „Słowiki Krakowskie", stworzyliśmy zespół, który grał i śpiewał.

W 1962 roku przyjechałam do Warszawy i zgłosiłam się do pani kurator. Skierowała mnie do szkoły w Aninie, gdzie odbudowywałam harcerstwo. To było szkoła jedenastoklasowa. Byłam wtedy podharcmistrzynią. Uczyłam języka polskiego. Dostałam pod opiekę klasę, którą wcześniej prowadził uczestnik Powstania Warszawskiego (stracił w nim żonę). Młodzież przyjęła mnie wprawdzie chłodno, ale szybko mnie zaakceptowała i pokochała. Pracowałam tam do 2002 roku. Stworzyłam dwie drużyny harcerskie – męską i żeńską oraz dodatkowo zuchową.

> W swoim życiu zorganizowałam sto dwa obozy harcerskie, w tym dziewięćdziesiąt, które prowadziłam już mieszkając w Warszawie. Były obozy stałe i wędrowne oraz moje hobby – nauka jazdy na nartach.

Dziesięć lat chodziłam z młodzieżą na rajdy piesze „Ścieżkami partyzantów". Jestem przewodnikiem górskim i mam uprawnienia instruktora. Z młodzieżą przeszłam całe Sudety – od Gór Izerskich przez Karkonosze, przez Góry Stołowe, Orlickie… Organizacyjnie wyglądało to tak: był obóz stały oraz dwa tygodnie obozu wędrownego. Jeżeli jazda na nartach, to na Ryniance, tam się uczyło najlepiej. To było w ramach obozów zimowych. Kiedy się z nich wracało, wszyscy już zjeżdżali na nartach. Dużo jeździłam po Tatrach. Na Hali Tomanowej Niżnej i Wyżnej. Tam dwanaście lat jeździłam na nartach. Po dwóch, trzech latach nakrył nas jakiś młody strażnik przyrody. Pyta: „Co wy tu robicie, przecież śnieg napadał i może zejść lawina". Mówię mu: „Nic nam tu nie grozi, po prostu jeździmy". On wtedy: „To pani nie wie, że to jest ścisły rezerwat?" Ja mu na to: „Nie ma żadnej tabliczki. On: „Jak to? Cała (Dolina) Kościeliska jest rezerwatem, tysiąc złotych kary i wynocha stąd". Ja: „My tu nie hałasujemy, nie wiedzieliśmy. A w ogóle jesteśmy harcerzami". To on: „Chcę zobaczyć, jak jeździcie. Ja też jestem druhem". I ostatecznie darował nam karę. Dostałam pozwolenie od dyrektora parku narodowego na jazdę na nartach na tym terenie. Jeździliśmy tam prawie dwadzieścia lat. Byliśmy hołubieni, ale żadnych ekscesów, spokój, kultura.

lato 2010

Danuta Rosner – jak zawsze dynamiczna. Na pierwszym planie – Cezary Leżeński.

Danuta Rosner

– instruktorka harcerska w stopniu harcmistrzyni w Hufcu ZHP Warszawa-Praga Południe, nauczycielka języka polskiego, Wicekanclerz Międzynarodowej Kapituły Orderu Uśmiechu, przodownik turystyki PTTK, członkini zarządu Stowarzyszenia Miłośników Mazurka Dąbrowskiego.

Urodziła się 22 marca 1926 roku w Czechowicach-Dziedzicach. W 1945 roku powierzono jej funkcję wychowawczyni drużyny dziewcząt.

23 kwietnia 1946 roku składa przysięgę i otrzymuje Harcerski Krzyż. W 1949 roku zostaje mianowana komendantką obozu liczącego sto dwadzieścia osób. Nieoczekiwanie, zajęcia obozowiczów przerywa wiadomość o rozwiązaniu ZHP. Dopiero w wyniku wydarzeń 1956 roku ukazuje się w prasie apel Chorągwi Krakowskiej, wzywający harcerzy do powrotu w szeregi tej organizacji. Okres 1956–1962 Danuta Rosner określa jako „harcerskie lata w Krakowie". W 1962 roku przeprowadza się do Warszawy, a zawodowe i harcerskie życie wiąże z Aninem. Podejmuje pracę jako nauczycielka w anińskim LO i przejmuje prowadzenie Warszawskiej Drużyny Harcerskiej „Błękitni". W listopadzie 1962 roku powstaje szczep „Błękitni", którego bohaterem zostaje Tadeusz Sygietyński – twórca Państwowego Zespołu Ludowego Pieśni i Tańca „Mazowsze". Danuta Rosner jest autorką hymnu Hufca ZHP Warszawa-Praga Południe oraz wielu piosenek harcerskich i patriotycznych.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Wikipedia, Danuta Rosner
- Polskie Radio, Źli ludzie pieśni nie znają
- Linia Otwocka, 85 lat druhny Danuty Rosner. Jubileusz harcerki – seniorki
- youtube.com, Benefis Danuty Rosner

Ryszard Rynkowski

Wydawało mu się, że nie potrafi zaśpiewać dla dzieci, bo dyskwalifikuje go barwa głosu, niepasująca do dziecięcego repertuaru. Stało się inaczej. Ośmieliła go potrzeba serca.

Duży człowiek o dużym sercu

– Kiedyś, w przeszłości słyszałem, że jest taki Order Uśmiechu, a w telewizyjnych relacjach oglądałem parę razy uroczyste wręczenia tych odznaczeń. Kojarzyły mi się z wybitnymi ludźmi, którzy poświęcali swoje życie i swoją wiedzę dzieciom, tworzyli dla dzieci. A więc była to taka prosta relacja: ten Order dostają ludzie, którzy coś robią dla dzieci.

Na moje życie wpłynęło odpowiednie wychowanie i trzymanie się pewnych tradycji, jakie w moim domu były hołdowane. I to nie tylko w moim domu, ale i w domu dziadków. Wychowywałem się w domu bardzo katolickim, miałem ciotkę, która była siostrą zakonną. Do zakonu wstąpiła jeszcze przed wojną. Pracowała w Caritasie, bardzo się poświęcała. Była to osoba, o której można powiedzieć, że miała powołanie. Pracowała przy najciężej chorych osobach do końca swego życia. Była moją jedną z najbardziej ulubionych ciotek, przy tym zwariowaną, bardzo radosną. Pamiętam, że przywoziła mi zawsze raczki, takie cukierki.

Byłem jedynakiem, powinienem mieć wrodzone tendencje do egocentryzmu, do samolubstwa, egoizmu. Ale byłem wychowywany na przykładzie tej cioci Krystyny – zakonnicy. Ten wzór pokazywał, by się dzielić, by pomagać. Po prostu tak, jak to jest w Dekalogu. Pomagaj bliźniemu swemu, nie rób czegoś, co przyniesie komuś krzywdę itd. Dlatego, kiedy życie pozwoliło mi osiągnąć status artysty, nie byłem obojętny na to, co się wokół dzieje. Nie mogę powiedzieć, że byłem człowiekiem, który chodził i pytał się, dopytywał czy może pomóc. Nie. Natomiast, kiedy ktoś do mnie zadzwonił z prośbą o pomoc, nie odmawiałem.

Zaczęło się od Elbląga, mojego miasta rodzinnego, które po prostu podupadało. Zamykano wielkie zakłady, zrobiło się duże bezrobocie. Przyjaciele prosili: „Przyjedź, pomóż, może zrobimy koncert, może zwołasz ludzi, może zrobimy jakąś zbiórkę pieniędzy…”.

> ” To był początek charytatywnych koncertów. Gdy je grałem, zauważyłem, że staję się taką tubą, która powoduje, że innym się otwierają portfele.

Przykładem może być koncert dla ośrodka leczenia dzieci z urazami rdzenia kręgowego. Sala na trzysta-czterysta miejsc, więc ile tam można było z tych biletów zdobyć pieniędzy? Oczywiście, zawiozłem jakieś plakaty, płyty. To wszystko posprzedawano w ten sposób, że ile kto wrzuci, to tyle będzie, byle to nie było mniej niż 20 zł. Taka była umowa i ludzie wrzucali, kto mógł to wrzucił 50, kto nie mógł to wrzucił 20 zł i tak się uzbierała suma, która może nie była porażająca, by móc w tym ośrodku wiele zmienić, ale pojawili się ludzie, którzy zaoferowali coś więcej.

Dyrektor elektrowni na przykład postanowił, że jego zakład przez pół roku nie będzie pobierał pieniędzy za energię elektryczną, a dyrektor zakładów meblarskich dał wyposażenie do sześciu pokoików, do sześciu sypialni dziecięcych. Jeśli Rynkowski mógł pomóc, to i my coś damy. Nie wiem, czy chciano w ten sposób stawać w jednym szeregu, czy ta idea, ich poruszyła. Wszystko jedno, nieważne. Ważne, że ten ośrodek dostał nie tylko kilkanaście

tysięcy złotych z przychodu z całego koncertu, ale też dostał realną pomoc. I zauważyłem, że to działa.

Grałem w różnych miejscach. Tam, gdzie budowano hospicja dla dzieci, występy organizowano ścieżkami kościelnymi. Są one najbardziej nośne. Parafialno-kuryjna „poczta" jest nieprawdopodobnie sprawna. Takich zaproszeń przychodziło naprawdę dużo. Staram się nigdy nie odmawiać. Jeżeli miałem wolne terminy, jeździłem. Czułem się lepszy, jak po spowiedzi.

Miałem pracę, żyłem sobie bardzo dobrze, moja kariera się rozwijała, a to było coś takiego z boku. Były również takie zaproszenia, takie wizyty, które powodowały ogromne wzruszenia i potwierdzenie tego, jakie to szczęście, że jestem taki jaki jestem, że mam zdrową rodzinę. Zdawałem sobie sprawę, że ja przyjeżdżam, robię jakąś zawieruchę, to przynosi jakiś tam skutek czy uśmiech dziecka, czy radosny wieczór, czy zbiórkę pieniędzy, a później wyjeżdżam i wchodzę w normalny świat. Tamci ludzi zostawali ze swoimi problemami. I to zawsze we mnie tkwiło. Ale to były moje emocje i doświadczenia, które tylko ja dostrzegałem, nosiłem je w sobie. Natomiast nigdy nie myślałem, że będą z tego jakieś konsekwencje. I powiem szczerze, że w momencie, kiedy dostałem zawiadomienie, że został mi przyznany Order Uśmiechu, po prostu nie mogłem zrozumieć o co chodzi. Pierwsze moje pytanie: „Przecież ja nic dla dzieci nie robię, nie śpiewam dla dzieci".

Okazało się, że najmłodsi ze szkół, ośrodków rehabilitacyjnych, hospicjów zaczęli pisać, wysyłać kartki z moim nazwiskiem do Międzynarodowej Kapituły Orderu Uśmiechu z wnioskami o przyznanie mi tego wyróżnienia. Kiedy odbywała się uroczystość wręczenia w Teatrze Polskim w Warszawie Orderu Uśmiechu, to dostałem cztery ogromne worki, właśnie tych kartek. Było to dla mnie naprawdę duże zaskoczenie. Nigdy nie przypuszczałem, że to może tak pięknie wrócić. Byłem tym bardzo wzruszony.

Zawsze chyliłem głowę przed tymi ludźmi, którzy potrafią dla dzieci coś dobrego robić. Bo wydawało mi się, że ja po prostu nie potrafię, że moja barwa głosu nie pozwala zaśpiewać kołysanki ciepłej dla dziecka. Wydawało mi się, że ja się po prostu do tego nie nadaję. Natomiast z potrzeby serca nie odmawiałem i nie odmawiam pomocy.

Jako Kawaler Orderu Uśmiechu czuję, że stoję w szeregu wybitnych osobowości, czuję się zażenowany, bo są wśród nich nazwiska światowe.

W moim domu na ścianach wiszą, że tak powiem, rewanże za moje występy. Na przykład ten obraz z koniem dostałem w domu starców, a to są prezenty od szkół, prace od dzieci. Mam tutaj też obraz namalowany ustami przez dziewczynkę spod Łodzi. To jest dla mnie taka izba pamięci. A to niebieskie pudełeczko z Orderem Kawalera Uśmiechu zawsze robi wrażenie na ludziach, kiedy im go pokazuję. Nigdy nie przypuszczałem, że będę miał takie odznaczenie.

jesień 2011

Od autora:

Ryszard Rynkowski zaprosił mnie do swojego domu koło Brodnicy. Wokół pola, lasy i jeziora. Tutaj mieszka i stąd wyjeżdża na koncerty.

Ryszard Rynkowski

– muzyk, piosenkarz, kompozytor.

Urodził się w 1951 roku w Elblągu. Już we wczesnej młodości poświęcił się muzycznej pasji, ćwicząc grę na różnych instrumentach. Studiował na Wydziale Wychowania Muzycznego WSP w Olsztynie i tam debiutował z grupą El. W latach 1977–1978 grał z grupą Gramine oraz śpiewał w zespole Victoria Singers, który w 1979 roku przekształcił się w kwartet wokalny Vox. Rynkowski jest autorem wielu przebojów tego zespołu (m.in. Bananowy song, Szczęśliwej drogi, już czas). Od 1987 roku rozpoczął karierę solową. Pierwsza solowa płyta Rynkowskiego, Szczęśliwej drogi już czas, ukazała się w 1991 roku. Jest wielokrotnym laureatem festiwalu piosenki w Opolu. W 1989 roku został po raz pierwszy jego zwycięzcą za piosenkę Wypijmy za błędy. W 2011 roku Rynkowski wziął udział w nagraniu utworu Cudne Mazury powstałego w ramach akcji „Mazury Cud Natury", promującego ten region naszego kraju.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Wikipedia, Ryszard Rynkowski
- Oficjalna strona internetowa Ryszarda Rynkowskiego
- youtube.com, Ryszard Rynkowski, *Wznieś serce* (live)
- RMF FM, Ryszard Rynkowski – biografia

Irena Santor

„Z największą rozkoszą chciałabym śpiewać dla dzieci. To nie jest łatwe, przy nich nie można udawać”.

Odznaczenie najbliższe mojemu sercu

Ludzie kochają Panią, Pani piosenki. Są wśród nich też dzieci, skąd to się bierze?

Otóż to jest dla mnie tajemnica. Może ja zainspirowałam młodych ludzi, bo marzyłam o Orderze Uśmiechu? Myślałam sobie, o Boże, i ten dostał, i ta dostała, może ja kiedyś też, może będzie mi dane. To jest odznaczenie najbliższe mojemu sercu. Ten medal ma dla mnie niebywałą wartość. Jeżeli młodzi ludzie zauważają w ogóle moje istnienie, to jest niesamowite. Przecież ja jestem starszą panią, śpiewam zupełnie inny repertuar. Ale jeżeli zauważają moje istnienie i chcą przyłożyć do tego taki swój paluszek, żebym ja spełniła marzenie swojego życia, to jest cudownie.

Ale Pani śpiewała też piosenki dla dzieci?

Tak, śpiewałam takie piosenki. Wydałam dwie płyty długogrające z piosenkami dla dzieci. Na jednej są bajki Andersena przerobione na piosenki, a na drugiej – piosenki Witolda Rudzińskiego do tekstów Stanisława Karaszkiewicza. Witold Rudziński jest dziadkiem Anulki, dla której pisał te

piosenki, a tata Anulki pisał teksty. Piosenki są urokliwe. Mówię to z całym przekonaniem, dlatego że wiadomo, iż Witold Rudziński to wielki kompozytor, ale był też moim nauczycielem w „Mazowszu". On mnie wtajemniczał w arkana muzyczne, uczył słuchać muzyki, doceniać, rozróżniać. Los zdarzył potem, że śpiewałam jego piosenki, które są tak komunikatywne, tak proste i szlachetne muzycznie. Tak może pisać tylko wielki kompozytor. Będę się starała, by wznowić te płyty.

> Ciekawe, że kiedy poeta i wielki kompozytor piszą dla dzieci, używają najszlachetniejszych, najbardziej wartościowych słów – cudne są te piosenki.

Wspiera Pani fundacje dziecięce, chociażby dzieci niepełnosprawnych Anny Dymnej czy fundację w Skierniewicach…

Skierniewice to jest specjalna sprawa. Pani Maria Czyżykowska-Karczewska (również Kawaler Orderu Uśmiechu – przypis autora) to osoba nawiedzona, ale wspaniałymi sprawami. Za cel i honor wzięła sobie, by uławiać życie dzieciom niepełnosprawnym, które są wokół niej. Stara się o stypendia dla nich, o pieniądze na operacje. Zadzwoniła do mnie i opowiedziała mi o tym. Uważałam, że jeśli można się przyczynić do czegoś takiego, to się włączę. Kiedy Ania Dymna zakładała fundację i zadzwoniła do mnie z zapytaniem, czy chciałabym być przy niej, powiedziałam oczywiście tak. Ale mój udział jest

niewielki. Pracuję przy Festiwalu Zaczarowanej Piosenki. Ale zawsze jej mówię: „Aniu, jeśli potrzeba przynieść, wynieść, pozamiatać, to ja zaraz jestem". Ona mi imponuje. Aktorka w pełni sił, talentu i urody, nagle decyduje się na założenie takiej fundacji, poświęca jej całe swoje życie. Ona teraz przy okazji fundacji jest aktorką. Jak ma czas, to gra. To jest ze szkodą dla kultury, ale to jej wybór. Ona się odważyła wejść w taki świat ludzi, których musi inspirować, by chcieli dać pieniądze na słuszny, jedyny cel. Że się nie boi – podziwiam. Jeśli mówię zdrowaśki, to w jej intencji, by nikt jej nie obrabował z dobrego imienia, ze szlachetności. To jest prawy człowiek i myślę, że dość łatwo ją skrzywdzić. Na szczęście ma wokół siebie oddanych, a przy tym zwariowanych ludzi, którzy ją może uchronią. Ja nie mam takiej odwagi, nie jestem zdolna do takich poświęceń. Tak mi się wydaje, chociaż do końca tego nie wiem. Przy Festiwalu Zaczarowanej Piosenki pracuje armia wolontariuszy, którzy służą tej akcji, nie chcąc niczego w zamian, nie dostają za to żadnych pieniędzy. To imponujące.

Czy myślała Pani, by samej stworzyć jakąś fundację?

Niestety, nie mam organizacyjnych talentów. Boję się zależności od ludzi. Mam niepiękną cechę: jak mam pieniądze, to je wydaję i nie liczę. To jest cecha charakteru. Jakbym znała wartość pieniędzy, jakbym umiała je zużytkować…, a u mnie pieniądze są albo ich nie ma. A najgorsze, że nie mam żadnych talentów organizacyjnych.

Czy miała Pani częste kontakty z najmłodszymi?

Z dziećmi nie było mi dane często obcować. Ale ja lubię dzieci, umiem z nimi rozmawiać jak równy z równym. Dzieci mnie nie unikają. Mój przyjaciel Bartuś ma pięć lat. To teatralne dziecko. Ostatnio kiedy występowałam, przyszedł się przywitać za kulisy i tak siedzi w tej garderobie, i patrzy, co ja robię. Mówię do niego: „Bartuś, muszę już iść, ale mam tremę". A on na to: „Co to jest trema?" Wytłumaczyłam mu i powiedziałam, że jak będzie się mu mój występ podobał, to niech przyjdzie i powie. Przychodzi po spektaklu i mówi: „Nic a nic nie było widać, że się boisz". Jego mama wyszukała w Internecie filmik, na którym śpiewam piosenkę o sąsiedzie. Po jego obejrzeniu Bartuś zapytał mamę, czy pani Santor będzie jeszcze kiedyś młoda. Wolał mnie z tego filmiku sprzed lat niż ostatnio z garderoby.

Dzieci nie unikają ze mną kontaktu, ale rzadko mam okazję spotykać się z nimi. Jednak kiedy uczestniczę w imprezach dla dzieci, to śpiewam dla najmłodszych..

Przekazała Pani skrzypce pierwszego męża na szczytny cel…

Mój mąż był skrzypkiem. Gdy zgłosiła się do niego kiedyś fundacja dzieci ociemniałych z prośbą o podarowanie im instrumentu, dał im osiem skrzypiec wraz ze smyczkami. Po jego śmierci ofiarowałam wszystkie skrzypce, jakie mi po nim zostały, właśnie dzieciom, między innymi przez Fundację Jolanty Kwaśniewskiej. Skrzypce muszą grać, a nie wisieć na ścianie. Zresztą, jakbym tego nie zrobiła, to mój nieżyjący mąż chybaby mnie straszył. Ale to jego zasługa, on by tak chciał.

Z największą rozkoszą chciałabym śpiewać dla dzieci. To nie jest łatwe, przy nich nie można udawać. Sama się dziwię, że dzieci słuchają mojego repertuaru dla dorosłych. Ostatnio telewizja i radio o najmłodszych zapomniały. Wiem, że mają swoje ucho, trzeba to zauważyć i rozwijać. Odkąd pamiętam, w radiu zawsze była audycja dla dzieci.

Niech pan napisze, co pan chce, ale ja i tak nie oddam Orderu Uśmiechu. Dostałam go na wyrost. Rozumiem, że otrzymała go Ania Dymna, Basia Kolago, one od dawna robią wiele dla najmłodszych. Ale nie oddam go.

wiosna 2010

Od autora:

Gdy zadzwoniłem do Pani Ireny i poprosiłem ją o spotkanie, nie stwarzała żadnego problemu. Zaproponowała miłą restaurację obok domu, gdzie mieszka. Rozmawialiśmy o jej pracy, chciałem jak najwięcej dowiedzieć się o życiu tej wielkiej artystki.

Irena Santor

– wybitna piosenkarka, mezzosopran.

Urodziła się 9 grudnia 1934 roku w Papowie Biskupim. Solistka Państwowego Zespołu Ludowego Pieśni i Tańca „Mazowsze". Od 1959 roku rozpoczęła samodzielną działalność estradową. Współpracowała z takimi kabaretami, jak: Wagabunda, U Kierdziołka i Karuzela Warszawska. Uczestniczyła w festiwalach zagranicznych, między innymi w Rio de Janeiro, na Majorce. Koncertowała w większości krajów Europy, w obu Amerykach, Azji i Australii. Dokonała licznych nagrań dla Polskiego Radia, a jednym z pierwszych była piosenka Straciłam twe serce (kompozycja Władysława Szpilmana do słów Ludwika Starskiego). Wystąpiła w wielu

recitalach telewizyjnych. Laureatka międzynarodowych festiwali piosenkarskich oraz wykonawczyni dużej liczby utworów, które stały się przebojami (np. Tych lat nie odda nikt, Powrócisz tu, Już nie ma dzikich plaż). Nagrywała także albumy solowe, między innymi: Piosenki stare jak świat, Powrócisz tu, Biegnie czas, Witaj gwiazdko złota, Warszawa, ja i ty, Telegram miłości. Wzięła udział w wielu koncertach charytatywnych.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Wikipedia, Irena Santor
- Oficjalna strona internetowa Ireny Santor
- Jedynka Polskie Radio, Diamentowy mikrofon dla Ireny Santor
- dailymotion.pl Irena Santor, Pierwszy deszcz

Danuta Saul-Kawka

Doskonale rozumie każdego potrzebującego. Sama, chora od dziecka, dostała wiele wsparcia. Empatię przekuwa w pracę w Stowarzyszeniu Przyjaciół Dzieci Chorych „Serce” i inne działania społeczne.

Słabe ciało, mocny duch

– Urodziłam się w Ratnie Górnym, koło Radkowa, jako najstarsza z sześciorga dzieci. W czwartym roku życia zaczęłam chorować na ogólny, postępujący zanik mięśni. Ta choroba dopadła też najmłodszego brata. Po szkole podstawowej zdałam egzamin do technikum ekonomicznego w Legnicy, potem miałam studiować handel zagraniczny. Ale choroba nie dała mi tej szansy. O nauczaniu indywidualnym nikt wtedy nie myślał i nawet nie śmiał marzyć. Jedyna na Dolny Śląsk, czteropiętrowa szkoła dla inwalidów we Wrocławiu nie miała windy. Zostałam w domu. Koleżanki wychodziły za mąż, moja mama bardzo płakała, słysząc weselną muzykę na wsi.

Mój tato wpajał w nas, że powinniśmy się kochać i pomagać sobie. Nie pozwalał nam nawet na drobną nieuczciwość. Umarł młodo i nagle – ze zmartwienia. Mama uczyła nas rzetelności, pracowitości i żeby się nigdy nie poddawać. Żartowała, nawet w czasie swojej choroby. Dożyła dziewięćdziesięciu lat. Oboje rodzice przeszli przez szkołę życia, która była istną

akademią wszelkich umiejętności. Mama straciła bliskich, tato musiał zostawić swoją rodzinę na Litwie. Oboje zostali przesiedleni w obce strony.

Tato był społecznikiem, chyba oddziedziczyłam po nim tę chęć bycia użyteczną. Już jako młoda dziewczyna próbowałam pomagać, pisząc ludziom podania i listy interwencyjne. Bardzo dużo czytałam. Były to książki popularnonaukowe, podręczniki mojego rodzeństwa. Starałam się wybierać literaturę wartościową, uznanych pisarzy i poetów. Biblioteka była moją szkołą średnią i uniwersytetem, rodzice – nauczycielami.

W jednym ze szpitali spotkałam pielęgniarkę – poetkę. To ona namówiła mnie do pisania, bo zauważyła, że mam do tego predyspozycje. Dzięki wierszom poznałam przyszłego męża, też poetę. To było na cyklicznej, ogólnopolskiej imprezie – Kłodzkiej Wiośnie Poetyckiej. Wkrótce powiedział mi: „Ty będziesz moimi uszami, a ja – twoimi nogami". I tak jest do dzisiaj. Jesteśmy już trzydzieści sześć lat po ślubie. Oprócz miłości do sportu wszystko nas łączy, a najbardziej chyba cztery koty. Na początku nie mieliśmy samochodu, ale mimo to mało jest zakątków w Polsce, których nie zwiedziliśmy.

Wydałam tylko dwa tomiki wierszy, w tym jeden w renomowanym Wydawnictwie Ossolineum – Czasu jak na listek. W 1994 roku wiele zmieniło się w moim życiu, bo zostałam radną Miasta Świdnicy. Wiersze poszły trochę w kąt, a ja zaangażowałam się w działalność społeczną – tak na sto procent.

W następnej kadencji zostałam członkiem Zarządu Miasta. Byłam pierwszym i jedynym członkiem Zarządu Miasta na wózku, i w dodatku kobietą. Wtedy jako radna mogłam naprawdę dużo pomóc osobom niepełnosprawnym, starszym, dzieciom. Wiedziałam, że mam możliwości, ale też serce do tego, żeby to robić, pasję – po prostu to było we mnie.

> ” Gdy kładłam się spać, myślałam, komu jutro i w czym muszę pomóc, gdzie muszę zadzwonić w czyjejś sprawie, z kim muszę się pokłócić o kogoś.

Bo były i takie sytuacje na posiedzeniach Zarządu Miasta i na sesjach, gdy byłam twarda i nieustępliwa, aby postawić „na swoim”, a właściwie „na cudzym”, bo przecież to o czyjeś sprawy chodziło.

Zarząd Stowarzyszenia Przyjaciół Dzieci Chorych „Serce” i jego przyjaciele starali się o nową i wygodną siedzibę dla podopiecznych stowarzyszenia. Wiele miesięcy przekonywaliśmy Zarząd Miasta i radnych, że warto zaufać twórcom Europejskiego Centrum Przyjaźni Dziecięcej, niezwykłej idei, chyba nigdzie w Polsce niespotykanej. Radni, na bardzo gorącej sesji, przegłosowali uchwałę o przekazaniu dla „Serca” domu do remontu. Marek Michalak nie zawiódł radnych i świdniczan.

Dzisiaj zaniedbane dzieci nie biegają już wokół autobusów zagranicznych turystów, przyjeżdżających by zwiedzić Kościół Pokoju w Świdnicy. Dom zgarnął te wszystkie chore społecznie dzieci, które szukały wsparcia u obcych. Tu uczą się życia w godnych warunkach, wśród kolorowych ścian i ładnych mebli oraz obrazów. Wieloletni przyjaciele „Serca” – wolontariusze pomagają swoim podopiecznym odrabiać lekcje, uczą ich tego wszystkiego, czego zabrakło im w rodzinach. Dzieci są otoczone prawdziwą troską, tu dba się nie tylko o ich żołądki i stopnie, ale też o zdrowie i dobrą kondycję psychiczną. Czy jest gdzieś jeszcze taki sam Dom?

Z mężem Franciszkiem

Muszę podziękować mojemu mężowi i wspomnieć, że gdyby nie on, nie zamieszkałabym w pięknej Świdnicy, nie byłabym radną i na pewno nie miałabym takich możliwości pomagania innym. Bo to on wprowadził mnie w świat naszego miasta i jego spraw. Razem braliśmy udział w jego życiu. Franek podpowiadał mi różne rozwiązania, był moim „trenerem". Razem zabiegaliśmy o mieszkania dla osob niepełnosprawnych, o likwidacje wszelkich barier, także mentalnych, o wspieranie mnożących się organizacji pozarządowych.

Przez wiele lat współpracowaliśmy ze Stowarzyszeniem na Rzecz Osób z Upośledzeniem Umysłowym, sprowadzaliśmy z Niemiec i Anglii sprzęt ortopedyczny, który przekazywaliśmy także chorym dzieciom. Od lat razem bierzemy udział w akcji mikołajowej dla dzieci z „Serca". Wyszukujemy też mikołajów dla dzieci biednych, niepełnosprawnych, które do „Serca" z różnych względów nie mogą chodzić. Dlatego to jemu należy się pół Orderu Uśmiechu.

Teraz jestem przewodniczącą stowarzyszenia, skupiającego ludzi, cierpiących na dystrofie mięśniowe. Bardzo cieszę się, że dzieci niepełnosprawne mają nareszcie nową, wygodną szkołę, że miasto stworzyło Centrum Wspierania Organizacji Pozarządowych, że jest coraz więcej autobusów niskopodłogowych.

Ale ciągle myślę o rodzicach i opiekunach dzieci niepełnosprawnych intelektualnie, którzy całe swoje życie i marzenia o samorealizacji poświęcają swoim bliskim. To są cisi święci, bez nadziei na poprawę losu. Mam też wielki żal do polityków o to, że tak wiele dzieci na świecie umiera z głodu i chorób.

To jest grzech śmiertelny decydentów i nas wszystkich, dorosłych, którzy nie wierzą, że mogą to zmienić. Gdybym była zdrowa, próbowałabym… A może to jest niewykonalne?

Świdnica, w siedzibie Stowarzyszenia Przyjaciół Dzieci Chorych „Serce", w dniu wizyty szwedzkiej pary królewskiej, maj 2011

Danuta Saul-Kawka

– urodziła się w 1947 roku.

Poetka, dziennikarka, autorka piosenek. Od 2005 roku Kawaler Orderu Uśmiechu. W latach 1994 – 1998 radna, od 1998 do 2002 roku członek Zarządu Miasta Świdnicy. Od wielu lat działa społecznie na rzecz ludzi, zwierząt i przyrody. Animatorka m.in. wieloletniej akcji przeciwko wypalaniu suchych traw i ściernisk Nie palcie skowronków oraz Nie masz kumpelka nad kundelka.

Laureatka wielu konkursów poetyckich. Swoje wiersze publikowała w prasie ogólnopolskiej, literackiej, w almanachach, były też czytane w radiu i telewizji. Dotąd ukazały się jej dwa tomiki poetyckie: xxx/ bez tytułu/ oraz Czasu jak na listek, wydany przez Wydawnictwo Ossolineum.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Danuta Saul-Kawka, *Zastygające słońca*, *Skoro taki*
- ws-24.pl, Rozbitkowie ratują innych
- świdnica24.pl, Świdniccy kawalerowie uśmiechu w książce
- gazeta.pl, 40 LAT Orderu Uśmiechu

Irena Sendlerowa

„Przyjmuję Order Uśmiechu od dzieci za działalność dla dzieci. Przyjmuję go od Was w imieniu dzieci, którym kiedyś pomogłam, starałam się im dać właśnie możliwość uśmiechu. Gdyby tamte dzieci były tu, pewnie też patrzyłyby z ciekawością, czy teraz będę równie opanowana i spokojna jak kiedyś.

”Postaram się nie okazywać grymasu, uśmiecham się do Was, przy soku z cytryny, tak jak kiedyś uśmiechałam się do innych dzieci, aby zniknął z ich twarzy strach”

– tak mówiła w 2007 r. Irena Sendlerowa do otaczających ją dzieci, podczas uroczystości wręczenia Orderu Uśmiechu.

Irena Sendlerowa, najstarszy Kawaler Orderu Uśmiechu i Marek Michalak, najmłodszy Kawaler

Uratowała kilka tysięcy dzieci

Janina Zgrzembska o swojej Mamie:

Urodziła się wprawdzie Pani po wojnie, ale na pewno w domu mówiło się o przeżyciach wojennych?

Nasz dom nie był wypełniony wspomnieniami wojny. Moja Mama uważała, że jak wojna się skończyła, to zakończyła się pomoc dzieciom żydowskim i zaczęła pomagać innym, którzy tej pomocy potrzebowali. W zrujnowanej Warszawie w 1945 roku potrzebna była pomoc dzieciom, które uratowały się z Powstania Warszawskiego i w ogóle z wojny – wychodziły z nor, piwnic – dzieciom, które utraciły swoich rodziców. Była też potrzebna pomoc rodzicom, którzy potracili swoje dorosłe dzieci. W 1945 roku moja Mama zaczęła zakładać domy dziecka i domy dla starców. Dla niej wojna się skończyła.

Kiedy dowiedziała się Pani o heroicznych czynach Mamy?

To były lata sześćdziesiąte XX wieku, kiedy Mama otrzymała medal Yad Vashem Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata. Wtedy zaczęła mówić, mówiąc kolokwialnie „puściła parę".

Czy utrzymywała kontakty z uratowanymi dziećmi?

Podstawą wszystkich działań w czasie wojny była konspiracja. Po ukazaniu się po raz pierwszy w 2004 roku książki Matka dzieci Holokaustu, moja Mama zaczęła otrzymywać listy i odbierać telefony, a w nich pisano lub mówiono: „Proszę Pani, to chyba Pani mnie uratowała, bo ja pamiętam, bo gdzieś po głowie plącze mi się hasło »Jolanta«. To przecież Pani…"

Czy moja Mama mogła pamiętać dwa i pół tysiąca dzieci? Zresztą, nie ratowała ich sama. Wokół niej byli bezimienni ludzie, były łączniczki, harcerki. Wyprowadzały dzieci do jakiegoś parku, żeby się trochę poopalały, bo były to dzieci, które wyszły z piwnic w getcie warszawskim.

Nominację do pokojowej Nagrody Nobla Mama uważała za hołd dla nieżyjących łączniczek, współpracowników, dla wszystkich tych, którzy pomagali w jej działaniach. Film, z nazwiskiem Mamy w tytule, również jest im poświecony. Drzewka w Jerozolimie, na wzgórzu Yad Vashem, upamiętniające Żegotę – jedyne poświęcone jakiejś organizacji – a obok z nazwiskiem mojej Mamy, dopełniają się. Ale jak Mama mówiła, za nimi kryją się wszyscy, którzy pomagali i ratowali dzieci.

Znanych mojej Mamie z nazwiska może było pięcioro, siedmioro. Z tymi osobami utrzymywała kontakt do ostatnich dni. Nie może być wdzięczności za podarowanie życia, po prostu to, że żyją, to ich podziękowanie. Profesor Michał Głowiński, jego cioteczna siostra Elżbieta, jego cioteczny brat Piotr, który żyje w Szwecji pamiętali zawsze o wszystkich świętach – imieninach, urodzinach Mamy. Teraz pamiętają o rocznicy śmierci, w tym dniu przychodzą na cmentarz i na grobie kładą kwiaty. Teresa, która mieszka w Izraelu, gościła Mamę w 1983 roku, bo wtedy Mama mogła osobiście posadzić drzewko. Nikt nie prowadził statystyk uratowanych dzieci. Z imienia i nazwiska znani są nieliczni. Tak, jak mówiłam, podstawą działania podczas okupacji niemieckiej była konspiracja.

A jaka była Irena Sendlerowa?

Moją Mamę cechowała, poza zaletami i wadami, skromność. Nie mówiła, co robiła, bo uważała, że nie ma o czym mówić. Pomaganie ludziom, pomaganie potrzebującym nie jest newsem. Ponadto, część ludzi po wojnie chciała o wojnie zapomnieć. Uratowani z piekła getta, z piekła II wojny światowej do dnia dzisiejszego nie wyszli z szoku, nie wyszli z ukrycia. Jest kilkadziesiąt lat po wyzwoleniu, a oni dalej chodzą ulicami i się boją. Nie wyszli z szafy. Trauma tkwi w nich, niewykluczone, że przeszła na ich dzieci, po prostu nieświadomie.

Pamiętam przełom lat 1967 i 1968. Mama choruje ciężko na serce, stan przedzawałowy, szpital, sanatorium. Zimą 1968 roku, kiedy zabierałam Mamę do domu, lekarz powiedział: „Mama teraz to w mieszkaniu, w kapciach, życie hotelowe i właściwie życie leżące, półleżące. Nie powinna podnosić więcej niż czajnik z pół litrem wody". Rokowania nie najlepsze. Jak zaczęły się wydarzenia marcowe w Uniwersytecie Warszawskim i nie tylko tam, moja Mama złapała za słuchawkę telefoniczną i powiedziała do swoich dawnych łączniczek, które jeszcze żyły: „Biją Żydów. Zakładamy nową Żegotę". Wstała w marcu 1968 roku i do ostatnich dni swego życia była czynna.

Czy utrzymywała kontakty z najmłodszymi?

Mama miała łatwość nawiązywania kontaktów z dziećmi i młodzieżą. Interesowała się ich sprawami szkolnymi. Jak się dowiedziała o przyznaniu Orderu Uśmiechu, to bardzo się ucieszyła. Roześmiała się w ten sposób, jak wygląda uśmiech na tym orderze. Bardzo jej się podobało, że najmłodsi

doceniają jej działania. Gdy powiedziano jej, że szkoła będzie nosiła jej imię – w chwili śmierci wiedziała o dwóch takich szkołach – mówiła, że to jest jej Nobel. Pierwszą, która przyjęła imię Ireny Sendlerowej była szkoła w Hochenrod w Niemczech, drugą jest Gimnazjum numer 23 w Warszawie na Gocławiu.

Ci, co ją odwiedzali, dzieci, osoby starsze wychodziły zafascynowane. Była pełna charyzmy, z żywym wzrokiem, uśmiechem. Dzieci i młodzież, którzy przychodzili do niej mogli dotknąć żywej historii. Moja Mama była też niewygodnym świadkiem historii, bardzo niewygodnym świadkiem historii. Tak jak Żydzi są i będą niewygodnym świadkiem naszej historii.

Przychodzili do niej wielcy tego świata, przychodzili zwyczajni ludzie. Pamiętam, jak odwiedził ją Niemiec tylko po to, by dać kwiaty, powiedzieć „dziękuję" oraz „przepraszam" i wyjść. Takie spotkania też były.

2010

Irena Stanisława Sendler

– urodziła się 15 lutego 1910 roku w Warszawie, zmarła tamże 12 maja 2008 roku.

W czasie wojny pracowała dla miejskiego ośrodka pomocy społecznej. W grudniu 1942 roku świeżo utworzona Rada Pomocy Żydom „Żegota" mianowała ją szefową wydziału dziecięcego. Jako pracownik ośrodka pomocy społecznej miała przepustkę do getta. Współpracowała z polską organizacją pomocową działającą pod niemieckim nadzorem i zorganizowała przemycanie dzieci żydowskich z getta, umieszczając je w przybranych rodzinach, domach

dziecka i u sióstr katolickich w Warszawie. W 1943 roku została aresztowana przez gestapowców, była torturowana i skazana na śmierć. „Żegota" zdołała ją uratować, przekupując niemieckich strażników. W ukryciu pracowała dalej nad ocaleniem żydowskich dzieci – uratowała ich około dwa i pół tysiąca.

Po wojnie również pracowała na rzecz dzieci, m.in. tworzyła domy sierot, powołała Ośrodek Opieki nad Matką i Dzieckiem – instytucję pomocy rodzinom bezrobotnym.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Wikipedia, Irena Sendlerowa
- youtube.com, Historia Ireny Sendlerowej
- youtube.com, Dzieci Ireny Sendler (2009)
- Władysław Bartoszewski, blox, Zasłużyła na najwyższy szacunek

Teresa Skudniewska

„Odbierając Order Uśmiechu, powiedziałam, że właściwie tego, co umiem i tego, co robiłam dobrze, nauczyły mnie dzieci”.

Jej domem był „Nasz Dom”

– Nie ukrywam, że miałam w głębi duszy marzenie, żeby być obdarowaną Orderem Uśmiechu. Całe życie z własnego wyboru pracowałam z dziećmi. Rozpoczęłam pracę w Ośrodku Szkolno-Wychowawczym w Międzylesiu pod Warszawą, a stamtąd przeszłam do pogotowia opiekuńczego w stolicy. Trafiałam na dzieci, które potrzebowały ogromnego wsparcia i pomocy.

W tych dwóch placówkach przepracowałam dwa lata i byłam zadowolona z tego, co robiłam, bo dzieciaki lepiej się uczyły, lepiej zachowywały. Wtedy program wychowawczy nastawiony był na czasowe zastąpienie dzieciom rodziny, wszechstronny rozwój dzieci, przygotowanie do samodzielnego życia. Dlatego też nie wiedziałam, że można pracować z rodziną, że można ją wspierać, pomagać tak, by dzieci jak najszybciej wróciły do domów rodzinnych. Inaczej nas bowiem uczono. Nie brało się pod uwagę, że dziecko powinno wychowywać się przede wszystkim w rodzinie, że kocha się rodziców takich, jacy oni są.

Od 1978 roku, a więc od podjęcia pracy w Domu Dziecka „Nasz Dom" im. Maryny Falskiej, wiele się zmieniło. Przede wszystkim od Maryny Falskiej i Janusza Korczaka „nauczyłam się", że dziecko ma swoją tożsamość, ma swoją rodzinę i że powinno odzyskiwać to wszystko, co straciło. Trzeba też dać mu namiastkę szczęśliwego dzieciństwa.

Kiedy trafiłam do „Naszego Domu", w placówce tej było stu dziesięciu wychowanków. Czekał mnie i cały zespół ogrom pracy. Wydawało mi się, że nie poradzę sobie z bardzo trudnymi sytuacjami dzieci i ich rodzin. Wtedy przebywały tutaj dzieci od trzeciego roku życia do pełnoletniości, a więc niektórymi opiekowaliśmy się przez kilkanaście lat. Traktowałam ten dom jak własny. Moim nadrzędnym celem było sprawianie, by dzieci czuły, że są u siebie, w swoim domu. Pragnęłam, aby nie odczuwały niedostatków materialnych, aby żyły na dobrym poziomie.

> „Nasz Dom" piękniał, stawał się elegancki i funkcjonalny, ciepłą atmosferę tworzyły liczne dokonania artystyczne naszych dzieci. Widać było ich troskę o miejsce, w którym żyją.

Przepracowałam w „Naszym Domu" trzydzieści dwa lata. Najważniejszym zadaniem, jakie sobie postawiłam, stało się łączenie rodzeństw. Moja pomoc dawała efekty, dzieci zaczęły odzyskiwać poczucie więzi z rodziną. Udało mi się tutaj, w tym domu, połączyć wszystkie rodzeństwa, które wcześniej trafiły do różnych placówek na terenie Warszawy lub pod Warszawą.

Z profesor Marią Łopatkową stworzyłyśmy projekt przeciwdziałania sieroctwu społecznemu i jednym z jego elementów było łączenie rodzeństw i tworzenie grup rodzinkowych. Przyniósł on bardzo dobre rezultaty, dzieciakom było lepiej, zaczęły odzyskiwać swoje miejsce w rodzinie. Widać było, że jak zamieszkały w jednym pokoju i nawet się kłóciły czy biły się ze sobą, było to naturalne, tak jak między rodzeństwem.

Nie zapomniałam nigdy o historii i tradycjach „Naszego Domu", ale starałam się tworzyć placówkę nowoczesną, wykorzystującą nowatorskie osiągnięcia psychologii i pedagogiki, oparte na inspiracjach korczakowskich, związanych

z poszanowaniem godności dziecka i jego praw, wzajemnym szacunku i odpowiedzialności jednych za drugich.

Zawsze uważałam, że trzeba mieć dużo cierpliwości, dużo serca, dużo zrozumienia, ale też dużo pokory wobec dziecka. Odbierając Order Uśmiechu, powiedziałam, że właściwie to, co umiem i wiem, że robiłam dobrze, nauczyłam się od dzieci. Sytuacje życiowe są niewyobrażalne, my dorośli nie przeżywamy tego, co przeżywają dzieci. Ważne, żeby miały przy sobie osobę, która wysłucha, zrozumie, i choć może to trwać chwilę, to dla niego jest to szczęśliwa chwila. Dorośli mają wspierać dzieci.

Myślę, że mi się udało. Mam wśród dzieci bardzo dużo przyjaciół. Teraz mogę liczyć na już dorosłą swoją młodzież, która odeszła z „Naszego Domu". Nawet zwracam się czasami do nich o pomoc. Przez ten dom za moich czasów przeszło ponad tysiąc dzieci. Oczywiście były wzloty i upadki, samymi sukcesami nie żyłam, bo codziennie pojawiały się jakieś kłopoty, jakieś straty. Ale zawsze miałam uśmiech na twarzy, by wzmocnić kogoś, kto tego potrzebuje. Podczas rozmów, ale też w listach, we wspomnieniach wychowankowie często podkreślają, że kiedy odnosili jakiś sukces, natychmiast się tym dzielili. Gdy znaleźli się w trudnych sytuacjach życiowych, zwracali się z prośbą o wsparcie. Jeden z chłopców, już teraz dorosły, mówił mi: „Wie pani, co ja najbardziej wspominam? Jak pani siadała przy mnie i czytała bajki".

Drugi chłopiec przypomniał mi, że kiedyś uratowałam rybkę w akwarium. Cóż, teraz mogę wyjawić, że tak naprawdę – żeby nie cierpiał – to kupiłam wtedy nie tylko tę jedną nową rybkę. Dowiedziałam się bowiem, że jeden z naszych podopiecznych wsypał do akwarium proszku do prania i że wszystkie rybki padły. Odwiedziłam więc sklep zoologiczny i następnego dnia rybki po prostu się „odnalazły".

Moje pragnienie, aby „Nasz Dom" stał się szczęśliwą wyspą dzieciństwa dla wielu pokoleń, otwartą dla wielu przyjaciół, spełniło się. W listopadzie każdego roku spotykamy się, aby potwierdzić, że dla każdego wychowanka był przez jakiś czas domem dzieciństwa i pracy nad sobą. Przeżywaliśmy tu wspólnie dobre i złe czasy. Te przeżycia wzmacniały więź z tym domem i z tymi, z którymi przyszło nam razem żyć.

Jestem dumna, że dzieci z „Naszego Domu", mojego Domu, obdarowały mnie Orderem Uśmiechu, tym najpiękniejszym podziękowaniem.

jesień 2011

Od autora:

Spotkaliśmy się w Domu Dziecka „Nasz Dom” im. Maryny Falskiej na Bielanach w Warszawie. Ma on ogromną tradycję. Z tą częścią stolicy związany jest od ponad osiemdziesięciu lat, od 1928 roku (a powstał w 1919 roku w Pruszkowie koło Warszawy).

Teresa Skudniewska

– pedagog.

W 1974 roku ukończyła studia pedagogiczne i resocjalizację w Uniwersytecie Warszawskim. W tejże uczelni odbyła także studia podyplomowe z organizacji pomocy społecznej. Była wychowawczynią i nauczycielką w Specjalnym Ośrodku Szkolno-Wychowawczo-Rehabilitacyjnym TPD „Helenów” w Warszawie-Międzylesiu, następnie w Pogotowiu Opiekuńczym nr 1 w Warszawie.

Od 1978 roku pełniła funkcję zastępcy dyrektora do spraw pedagogicznych w Domu Dziecka nr 1 „Nasz Dom” im. Maryny Falskiej w Warszawie. Od 1987 do 2010 roku była dyrektorką tej placówki.

Prowadziła wykłady w Wyższej Szkole Pedagogicznej ZNP. Jest członkiem Międzynarodowego Stowarzyszenia im. Janusza Korczaka, Polskiego Stowarzyszenia im. Janusza Korczaka oraz Towarzystwa „Nasz Dom”.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Wikipedia, „Nasz Dom”
- mmwarszawa.pl, „Nasz Dom” ma 90 lat
- Oficjalna strona internetowa Towarzystwa „Nasz Dom”
- wprost.pl, Siedmioro nowych Kawalerów Orderu Uśmiechu

Anna Sobiesiak

„Już na studiach pedagogicznych, podczas których były różnego rodzaju praktyki, między innymi w domach dziecka, upewniłam się, że odpowiada mi praca z dziećmi. Tylko i wyłącznie. No i tak się stało”.

Zawsze chciałam pracować z dziećmi

– Najpierw byłam pedagogiem w dużej, nowej szkole w Toruniu. Tam zajmowałam się dożywianiem uczniów, wysyłałam ich na kolonie. Po prostu pomagałam dzieciakom i przy okazji ich rodzinom. Wtedy też zaczęłam współpracować z sądem i z kuratorami, no i też zostałam powołana na społecznego kuratora. Ta działalność się rozszerzała, dawałam sobie radę ze wszystkim, więc przydzielono mi wielodzietne rodziny, nie tylko z dużą liczbą dzieci, ale i z wieloma problemami. Były to bardzo trudne środowiska, w dzielnicach, do których wtedy i dzisiaj lepiej nie wchodzić. Ja mogę tam przebywać i nikt mi samochodu nie porysuje, szyb nie powybija.

Z kolei zaangażowałam się w prace organizacji pozarządowych. To były lata 90. ubiegłego wieku. Generalnie nastawiłam się na dożywianie, bo dzieciaki tak naprawdę miały problemy w szkole z tego powodu, że przychodziły głodne. Zaczynały się kradzieże, podbieranie, wagary. Organizowałam więc obiady, drugie śniadania. Zajęłam się też świetlicami, bo trzeba było jeszcze tym

dzieciom zorganizować czas po południu. Powstawały świetlice środowiskowe. Zdawałam sobie sprawę, że są jeszcze do zagospodarowania wakacje i zabrałam się za to. To nie były inicjatywy dla, przykładowo, pięciorga dzieci, tylko dla setek. Organizowałam wyjazdy w ramach stowarzyszeń, jedno sama założyłam. Po prostu zebrałam ludzi, przyjaciół, którzy zawsze mi kibicowali, pomagali w różny sposób, a potem to sformalizowaliśmy. Były to kolonie dla pięciuset-sześciuset dzieci, a nawet siedmiuset w ciągu jednych wakacji.

Teraz są kontynuatorzy. To nigdy nie jest tak, że jak zaczynam sama, to też sama kończę. Trzeba umieć wychować sobie następców. W tej chwili świetlice działają, wszystko gra. Poza tym dzisiaj są inne warunki, są różnego rodzaju środki finansowe, dotacje, można pisać projekty i pozyskiwać je z różnych źródeł. Początkowo tak nie było, trzeba było wszystko wychodzić, wydeptać każdą ścieżkę. Warunki się zmieniają. Samorządy się uaktywniły. Natomiast w latach 90. takich możliwości nie było. Po wejściu do Unii Europejskiej zaczął się rozwój tak naprawdę organizacji pozarządowych, które mogły już być dotowane.

Opisuję moją działalność społeczną, ale cały czas jestem zawodowo związana z dziećmi. Po ukończeniu studiów pedagogicznych, jak już wspominałam, pracowałam w szkole jako pedagog szkolny. Byłam nim osiem lat. Chodziłam do każdej z klas na lekcje wychowawcze, wprowadzałam zajęcia warsztatowe z profilaktyki. Na początku nauczyciele reagowali różnie. Jak zwykle byli zwolennicy i przeciwnicy.

> Niektórzy wątpili. Mówili: „Po co pedagog?! Przecież poradzimy sobie sami". Ale ostatecznie, po iluś miesiącach pracy i zapoznawania się, reagowali pozytywnie.

Zapraszali mnie na lekcje, szukali u mnie porady, jak rozwiązać problem, przychodzili też z dziećmi, rodzicami.

Po szkole trafiłam do Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej w Toruniu, gdzie zajmowałam się typową pomocą dla dzieci. Współpracowałam z pedagogami szkolnymi, a dlatego, że sama z nich się wywodziłam, to

w Toruniu znałam wszystkich. Tych szkół nie jest tak dużo. Mieliśmy dobry kontakt. Pedagodzy w szkołach wiedzą, któremu dziecku trzeba pomóc, więc dzwonili, przychodzili, a my, w komitecie pomocy, zajmowaliśmy się już organizacją.

A potem jako wychowawca pracowałam w gimnazjum akademickim. To był eksperyment. Tam szły zdolne dzieci z całej Polski po podstawowej szkole, po ósmej klasie, i to gimnazjum trwało pięć lat. Czyli była tam pełna matura. Wykładowcy byli uniwersyteccy, a dzieci miały również zajęcia na uniwersytecie. Następnie zostałam dyrektorem ośrodka adopcyjnego i dalej pracuję z dziećmi. Przygotowujemy rodziny adopcyjne do przysposobienia dziecka, szkolimy je, udzielamy wsparcia rodzinom zastępczym, nie zapominamy o rodzicach biologicznych. U nas jest punkt spotkań dzieci przebywających pod pieczą zastępczą z rodzicami biologicznymi. Spotkania zwykle odbywają się po postanowieniu sądu albo na prośbę rodziców biologicznych.

październik 2011

Anna Maria Sobiesiak

– pedagog. Urodziła się w 1967 roku w Sierpcu. Ukończyła pedagogikę na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. W latach 1991–1998 pedagog w Szkole Podstawowej nr 31 w Toruniu. Była społecznym kuratorem rodzinnym. Dyrektor i wiceprezes zarządu Wojewódzkiego Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej w Toruniu. W latach 2001–2002 prezes Pomorskiej Fundacji Rozwoju, Kultury i Sztuki w Toruniu. Założyciel, wiceprezes stowarzyszenia charytatywnego Akcja Społeczna „Razem" w Toruniu. Od 2004 do 2007 roku w Centrum Integracji Społecznej „Cistor" w Toruniu,

następnie dyrektor Ośrodka Adopcyjno – Opiekuńczego w Toruniu. Od początku 2012 roku p.o. dyrektor Kujawsko – Pomorskiego Ośrodka Adopcyjnego w Toruniu.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- youtube.com, Reaguj. Masz prawo – Anna Sobiesiak
- tvp.pl, Rozmowa dnia
- brpd.gov.pl, Społeczni doradcy Rzecznika Praw Dziecka
- Oficjalna strona internetowa Kujawsko-Pomorskiego Ośrodka Adopcyjnego w Toruniu

Małgorzata Stolarska

„A jak otrzymałam Order, pomyślałam, że właściwie to już mogę iść na emeryturę. Wszystko, co tak naprawdę chciałam, osiągnęłam, a to wyróżnienie wieńczy moją pracę. Myślę, że jest to najlepsze, najfajniejsze, najbardziej wartościowe odznaczenie, jakie może otrzymać lekarz pediatra".

Zawsze przy dzieciach

– Jestem przede wszystkim lekarzem. Zawsze chciałam nim być. Od początku pracuję w jednym szpitalu dziecięcym, dawniej nazywał się Klinika Chorób Dzieci, w tej chwili jest to Klinika Pediatrii, Onkologii, Hematologii i Diabetologii Uniwersytetu Medycznego w Łodzi. Skończyłam uczelnię i prawie od razu po studiach zostałam przyjęta tutaj do pracy.

Klinika zajmowała się przede wszystkim chorobami przewlekłymi. Taki był jej główny profil. Krótko zajmowałam się diabetologią, chciałam bowiem specjalizować się w onkologii i hematologii. To była prawdziwa walka i nadal jest, prawdziwa walka o życie. Szybko przestałam wyobrażać sobie, że mogłabym robić cokolwiek innego.

Tutaj, w niewielkim zespole budowałyśmy onkologię dziecięcą. Kiedy zaczynałam, mówiło się, że Łódź, chociaż duże miasto w centrum Polski, to na mapie onkologicznej jest białą plamą. Dzisiaj nasz oddział liczy się w Polsce.

Małgorzata Stolarska (z lewej) z Danutą Rosner

> Jestem lekarzem i mimo że mam doktorat oraz wszystkie konieczne specjalizacje, świadomie nie zrobiłam habilitacji, ponieważ to odsunęłoby mnie bardzo od leczenia. Muszę przyznać, że nigdy mnie nauka nie kręciła, natomiast potrzebuję do życia pacjentów.

Zmieniła się onkologia, jest coraz więcej sukcesów. Fakt, że w tej chwili osiemdziesiąt procent dzieci z chorobami nowotworowymi może być całkowicie wyleczonych, jest ogromnym osiągnięciem. Pamiętam czasy, kiedy tutaj, przed oddziałem odgrywały się dramatyczne sceny odrywania dzieci od rodziców, kiedy nie rozmawiało się z dziećmi na temat ich choroby, kiedy przebywały na oddziale bardzo długo i w zasadzie same borykały się z chorobą. Często kończyło się to nieszczęśliwie. W tej chwili dzieci mają zwszystko, co

chcą, zabawki, komputery. Bardzo dużo się robi, żżeby pobyt był tu po prostu znośny, po ludzku znośny. Wprowadziliśmy na oddział psychologów, sprawiliśmy, że jest tu wesoło, pogodnie. Są wolontariusze, są zajęcia dla dzieci. Jest mnóstwo różnych takich elementów, które wpływają – może nie bezpośrednio na stan zdrowia – ale na psychikę najmłodszych. I myślę, że jest to bardzo ważne.

Kiedy powstała opieka paliatywna dla dzieci, postanowiłam się nią zainteresować. Już wcześniej współpracowałam z Fundacją „Gajusz" i gdy fundacja założyła hospicjum dla dzieci, zostałam kierownikiem medycznym, zajmuję się tam opieką paliatywną. To jest ogromne wyzwanie, bo tak naprawdę się okazało, że wcale nie dzieci onkologiczne dominują w tym hospicjum, tylko dzieci z innymi chorobami, bardzo ciężkimi. Ta praca zmieniła całkowicie moje podejście do świata. Myślę, że w sumie w pozytywny sposób. Dużo wtedy rozważałam nad sensem życia, śmierci jako takiej i tego wszystkiego, co się z nią wiąże. Takie rozmowy ze sobą prowadzi pewnie każdy z nas…

Jest to paradoksalne, że taki dział medycyny daje dużo satysfakcji. Takiej innej… Tu, w onkologii zadowolenie jest wtedy, kiedy są dobre relacje z rodziną pacjenta, a jego można wyleczyć. Potem, w poradni obserwujemy dzieci, patrzymy na nie. Niedawno biegały po oddziale z łysą główką, a teraz rosną, chodzą do szkoły, zawierają różne związki, potem po latach kończą studia, zdobywają zawody, mają swoje dzieci… Przyjeżdżają do nas czasami już jako dorośli. To wielka satysfakcja, uskrzydlająca do nawet najcięższej pracy. Natomiast hospicjum jest to zupełnie inna satysfakcja, ponieważ stykamy się tam z dziećmi, które nigdy nie wyzdrowieją i ich życie zawsze będzie krótsze, niż się oczekuje. I tam zupełnie z czegoś innego czerpie się zadowolenie. Można być przy tych ludziach, można im pomagać w taki normalny sposób, taką właśnie swoją normalnością, życzliwym, spokojnym spojrzeniem na dziecko. Przestaje się widzieć chorobę, zaczyna się widzieć zupełnie inne sprawy.

Przyznanie mi Orderu Uśmiechu było dla mnie bardzo dużym zaskoczeniem, ale też ogromną radością. Gdy pracowałam jako młody lekarz, zawsze sobie myślałam, że najcudowniejszą sprawą na świecie jest otrzymać taki Order. Nie ma innego odznaczenia, które by mnie ucieszyło bardziej, bo to jest dowód na to, że się robi coś naprawdę dobrego dla dzieci.

początek 2012

Od autora:

W pokoju ordynatora, w Klinice Pediatrii, Onkologii, Hematologii i Diabetologii Uniwersytetu Medycznego w Łodzi. Podczas naszej rozmowy

wciąż ktoś wchodził i wychodził.

Małgorzata Stolarska

– lekarz, specjalizacja z pediatrii oraz onkologii i hematologii dziecięcej, dr nauk medycznych. Urodziła się w 1959 roku w Zakopanem. Od 1963 roku w Łodzi. Ukończyła tutejszą Akademię Medyczną w 1984 roku. Następnie pracowała w Akademii/Uniwersytecie Medycznym, obecnie jako starszy wykładowca. Równolegle praca w uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym nr 4 w Łodzi im. Marii Konopnickiej. Od 2000 roku prowadzi oddział onkologii i hematologii dla dzieci starszych. Od 2004 roku w Fundacji „Gajusz", kierownik ds. medycznych Hospicjum Domowego dla Dzieci Ziemi Łódzkiej. Zajmuje się opieką paliatywną nad dziećmi.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Oficjalna strona internetowa fundacji Gajusz
- uml.lodz.pl, Wiedza to lepsze leczenie
- gazeta.pl, Order Uśmiechu dla łódzkiej lekarki

Anna Tylki-Szymańska

Pocieszenie szkodzi, musi być prawda, nawet ta najbardziej bolesna, o nieuleczalnej chorobie dziecka. Rodzice w pełni świadomi stanu zdrowia swoich pociech są wielkim wsparciem dla lekarzy.

Nie można tracić nadziei

– To, że chcę być lekarzem wiedziałam od czwartego roku życia. Może to wcześnie, ale miałam uroczego pediatrę domowego i to dzięki niemu tak szybko zdecydowałam, co zamierzam robić w dorosłym życiu. Ten człowiek pozostał dla mnie wzorem pięknego lekarza – wspomina profesor Anna Tylki-Szymańska. Jestem absolwentką Liceum im. Jana Zamoyskiego w Warszawie – mówi. W czasach, kiedy tam chodziłam, było ono jednym z najbardziej renomowanych w stolicy. Po zdaniu matury w 1967 roku dostałam się na studia na Wydziale Lekarskim Akademii Medycznej, który ukończyłam w terminie i wkrótce po stażu podyplomowym pojechałam na kolejny staż, tym razem do Paryża, gdzie zetknęłam się z neuropediatrią i genetyką. Na mojej drodze spotkałam bardzo znanego profesora Jérôme Lejeune, który wyjaśnił przyczynę choroby Downa. Zakład genetyki tego profesora stał się dla mnie wzorem. Nauczyłam się tam fascynacji, takiej racjonalnej, nie emocjonalnej.

Po roku wróciłam do kraju i rozpoczęłam pracę w neuropediatrii, ponieważ fascynowały mnie sprawy układu nerwowego, również choroby nie tylko neurologiczne, ale i psychiatryczne. To były lata 70. minionego wieku, kiedy zapoznawaliśmy się z pracami wybitnego psychiatry Antoniego Kępińskiego. Później miałam możliwość zatrudnienia w Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie. Był rok 1980, wcześniej zrobiłam pierwszy stopień specjalizacji z pediatrii.

Pracę doktorską rozpoczęłam pod kierownictwem profesora Ignacego Walda z Instytutu Psychiatrii i Neurologii. Należał on do organizatorów badań

i opieki nad dziećmi upośledzonymi umysłowo. Był też współtwórcą diagnostyki prenatalnej. Pomysł pracy przywiozłam z Paryża. Zajmowałam się zjawiskami dysleksji i dysgrafii. Z analiz statystycznych i badawczych wynikało, że przyczyna ich powstawania ma podłoże genetyczne. To potwierdziło się po dwudziestu pięciu latach, ale już nad badaniami genetycznymi. W CZD otwierano placówkę chorób metabolicznych i do niej trafiłam. Jako swoją „działkę" dostałam choroby lizosomalne, które mają charakter postępujący. W tamtych czasach nie było żadnych możliwości terapeutycznych.

Podjęłam tę beznadziejną próbę i tak, penetrując temat, przetrwałam do dziś. Opublikowałam wiele na temat tej choroby, odbyłam kilka staży zagranicznych, m.in. w Londynie, Stanach Zjednoczonych, Amsterdamie, wróciłam jeszcze raz do Paryża, poznałam wszystkie choroby meta- boliczne.

Wiele osób mi współczuło, że ja tak siedzę z tymi biedaczkami, z tymi nieuleczalnie chorymi. Najgorsze, że nie ma się nic do powiedzenia rodzicom chorych dzieci, co podniosłoby na duchu. Trzeba było nauczyć się trwać z nimi, z tymi dorosłymi i z tymi dziećmi. Oczywiście, rodzice wiedzą od początku o chorobie dziecka. Oni mają również fazę dojrzewania do akceptacji takiej sytuacji. To jest bardzo bogaty aspekt psychologiczny, no i bardzo złożona sprawa, bo każdy ma inną, że tak powiem „urodę" emocjonalną i intelektualną, żeby przyjąć takie wyzwania i takie trudności, jakimi jest nieuleczalna choroba dziecka. Ale nie tylko, bo dodatkowo, co na nich ciąży, to poczucie, że to przeze mnie, gdyż właśnie rodzice są nosicielami tych chorób.

Szacuję, że przez moje ręce przeszło ponad dwieście dzieci. Są one pod stałą naszą opieką, nie rozstają się z nami. Wiedza o tych chorobach jest bardzo znikoma wśród lekarzy internistów czy innych specjalistów. Chorzy przyzwyczajają się do nas. Jest potrzebny ciągły kontakt. Duże znaczenie ma element wsparcia. A tego wsparcia nie ma, gdy idzie się do lekarza, który jest akurat w gabinecie. To musi być lekarz, który zna pacjenta, potrafiący wyjaśniać narastające problemy zdrowotne.

Bardzo ważne jest, by pacjent rozumiał sytuację, a jeśli jest bardzo mały, to muszą za niego zrozumieć rodzice. Staram się, by moja relacja z pacjentami była serdeczna, wszystkich lubię, ale również zależy mi na tym, żeby była ona racjonalna. Pocieszanie szkodzi, musi być prawda, ale ta prawda musi mieć oczywiście uzasadnienie w szerokim kontekście ludzkiej kondycji.

> Kiedy rodzice pytają, dlaczego nam urodziło się takie dziecko, przecież chcieliśmy mieć zdrowe i śliczne…, odpowiadam: „Proszę państwa, nie ma na nic gwarancji w życiu”.

W ślicznym dziecku może rozwinąć się choroba nowotworowa, śliczny maluch może wypaść z pierwszego piętra i złamać kręgosłup albo zostać narkomanem. Nie wiadomo, jaki dramat jest większy.

Im dłużej się tym zajmuję, tym bardziej ulegam zdziwieniu, jak heterogenny, czyli różny, jest obraz przebiegu tych chorób. Nie można powiedzieć, że potrafię wskazać, który przebieg choroby jest cięższy. Każdy ma własną „urodę” chorowania i czy choruje na grypę, czy na zapalenie płuc, na gruźlicę, czy na chorobę genetycznie uwarunkowaną, to jest to jego własna historia naturalna.

Kiedy człowiek sobie uświadomi, że nie może zostać wyleczony – bo choroby genetycznej się nie wyleczy nigdy – to trzeba trwać przy tym pacjencie, być z nim i pomóc mu w tym, w czym tylko można. Nie należy nigdy tracić nadziei, że w końcu jakieś leczenie będzie bardziej pomocne i zminimalizuje objawy. I to jest już sukces. Uważam, że pierwsze osiągnięcie to jest postawienie rozpoznania. I to jest już nawet połowa zwycięstwa, że wie się, gdzie iść, co proponować, co powiedzieć, jak to będzie dalej wyglądało. No i trzeba jeszcze mieć świadomość, że pacjenci są z rodzin obciążonych nosicielstwem, tam jest ryzyko, lęk przed posiadaniem następnych dzieci. Cały kontekst trzeba mieć na względzie i trzeba zdobyć odpowiednią wprawę, żeby z tymi ludźmi na ten temat rozmawiać. To oczywiście przychodzi z czasem, z dojrzałością.

Jak widzę, że chorzy potrzebują kogoś wspierającego, to tym bardziej czuję się zobowiązana, by im pomóc.

zima 2011/2012

Od autora:

W Klinice Chorób Metabolicznych, Endokrynologii i Diabetologii Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie. Rozmawialiśmy w maleńkim gabinecie,

pełnym dokumentacji i książek.

Anna Tylki-Szymańska

– profesor dr hab. nauk medycznych.
Urodziła się 20 marca 1949 roku w Milanówku, niedaleko Warszawy. W latach 1967–1973 studiowała na Wydziale Lekarskim Akademii Medycznej w Warszawie. Po ukończeniu stażu podyplomowego w 1975 roku przebywała na dziewięciomiesięcznym stażu w Hospital Enfants Malades w Paryżu. Od 1976 roku w Specjalistycznym Zespole Neuropsychiatrycznej Opieki Zdrowotnej dla Dzieci i Młodzieży w Warszawie. Od 1980 roku zatrudniona w Centrum Zdrowia Dziecka w Zespole Chorób Metabolicznych. Choroby metaboliczne są jej pasją, naukową i lekarską. Oddaje się jej całkowicie.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Wikipedia, Fundacja Gajusz
- viddler.com, 2011-12-04 Ceremonia wręczenia Orderu Uśmiechu Prof. Annie Tylki-Szymańskiej
- Media Planet 2/2011, Choroby rzadkie

Bożena Walter

„Wszystkie nagrody, które kiedyś dostawałam za pracę dziennikarską, niewiele znaczą w porównaniu z tym, co mam szanse robić dzięki Fundacji »Nie jesteś sam«”.

Wykorzystujemy moc telewizji

– Ludzie masowo zwracali się do TVN z prośbą o pomoc. Aby udzielać jej w sposób zorganizowany, szefowie telewizji wymyślili, że powinna zostać powołana fundacja. Miała już taką Telewizja Polsat i działała ona znakomicie. Postanowiono pójść za tym przykładem. Fundacja TVN „Nie jesteś sam” została założona, a mnie nominowano na jej prezesa. W statucie fundacji zapisaliśmy, że pomagamy nie tylko dzieciom, ale także dorosłym. Pani Małgorzata Żak, która kierowała Fundacją Polsat, opowiadała mi o swojej pracy, zwracała uwagę na różne niebezpieczeństwa, jakie na mnie mogą czyhać, udzieliła kilku wskazówek.

Na początku bałam się funkcji prezesa fundacji, bo wiedziałam, że czeka mnie trudne zadanie zdobywania pieniędzy, a właściwie proszenia o nie. Przyznaję, że w czarnych barwach widziałam swoją wędrówkę od firmy do firmy. Z natury jestem osobą nieśmiałą, dlatego proszenie o fundusze, nawet na tak szczytne cele, wydawało się dość kłopotliwe.

> Tymczasem okazało się, że ludzie, do których się zwracałam, byli niezwykle wrażliwi i natychmiast odpowiadali na prośby, szczególnie jeśli były one poparte jakimś przykładem chorego dziecka.

Fundacja TVN zaczęła też organizować różne akcje, mecze piłkarskie, bale, by w ten sposób zdobywać środki finansowe. Wykorzystywaliśmy przy tym moc telewizji.

Mamy szeroki wachlarz pomocy. Wysyłamy dzieci, przede wszystkim te dotknięte porażeniem mózgowym, na turnusy rehabilitacyjne. Na ten cel wydajemy najwięcej pieniędzy, mniej więcej od 2 mln do 4 mln zł rocznie. Oprócz tego pomagamy poszczególnym dzieciom, o których dowiadujemy się od ich rodziców. Współpracujemy między innymi z programem TVN „Uwaga", w którym pokazywane jest konkretne dziecko i na jego leczenie zbieramy pieniądze. Wykorzystujemy do tego celu esemesy. Jeśli mamy większą sumę, niż potrzebowaliśmy dla danego malucha, wtedy przeznaczamy ją na leczenie innych dzieci, które cierpią na tę samą chorobę. Akcje te przynoszą nam od około 1 mln do 1,5 mln zł. Zbieramy pieniądze w ciągu dwóch tygodni, a później opłacamy najmłodszym wszystkie koszty leczenia.

Przekazujemy także środki finansowe na remonty szpitali. Zrobiliśmy remont, a właściwie wybudowaliśmy Klinikę Patologii Noworodka w Uniwersyteckim Szpitalu Dziecięcym w Krakowie-Prokocimiu, wyremontowaliśmy całe Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie od wewnątrz i rozpoczęliśmy remont Kliniki Pediatrii CZD (oddzielny budynek przy Centrum). Oprócz tego powstała Klinika Patologii Noworodka w Gdańsku. Kupiliśmy kilka karetek pogotowia.

Mamy piękną akcję z misiami. Firmy Rossmann i Allegro są naszymi partnerami. One zakupują te maskotki i następnie sprzedają je w sklepach Rossmann lub wystawiają na Allegro. Zanim zaczyna się ta przedświąteczna akcja, otrzymujemy mnóstwo e-maili z pytaniem czy będą znowu misie. Misie przynoszą nam około 1,5 mln zł. Tak więc mamy dużo pieniędzy, ale rozchodzą się błyskawicznie.

Prowadzenie fundacji okazało się łatwe. Mówiąc „prowadzenie”, mam na myśli zbieranie pieniędzy. Trzeba tylko mieć pomysły, w jaki sposób zdobywać kolejne tak potrzebne fundusze.

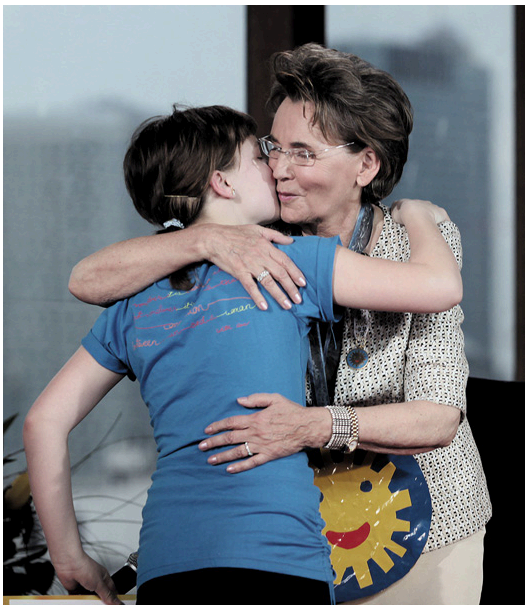

Nie mogę powiedzieć, że marzyłam, by zajmować się sprawami osób niepełnosprawnych, chorych dzieci i ich rodziców. Jednakże, gdy pracowałam jeszcze w Telewizji Polskiej, wymyśliłam program rozrywkowy, w którym brali udział niepełnosprawni.

Kilkakrotnie byłam w różnych ośrodkach rehabilitacyjnych i widziałam, jak matki pracują ze swymi chorymi dziećmi. Podziwiałam je za tę walkę

o najmniejszą choćby poprawę funkcjonowania ich dzieci, doceniałam wysiłek fizyczny, jaki musiały włożyć, żeby na przykład podnieść dziesięć-piętnaście razy dziecko ważące nawet około dwudziestu kilogramów.

Dzisiaj myślę sobie, że wszystkie nagrody, które kiedyś dostawałam za pracę dziennikarską, niewiele znaczą w porównaniu z tym, co mam szanse robić dzięki Fundacji „Nie jesteś sam".

kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia, 2011

Bożena Walter

– przez wiele dziennikarka i prezenterka telewizyjna.
Urodziła się w 1938 roku w Krakowie, gdzie ukończyła Wydział Filologii Orientalnej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jest także absolwentką Zaocznego Wyższego Studium Zawodowego Realizacji Telewizyjnej Programów Dziennikarskich PWSFTviT w Łodzi (1976 r.). Swoją karierę zaczęła w Telewizji Polskiej na początku lat siedemdziesiątych, kiedy współprowadziła program rozrywkowy „Telewizyjny Ekran Młodych". Była współprowadzącą i współautorką popularnego przed laty wielogodzinnego bloku programowego „Studio 2", nadawanego w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku w TVP. Tam też współtworzyła i przez pewien czas kierowała programem dla dzieci i młodzieży „5–10–15".

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Wikipedia Bożena Walter
- Oficjalna strona internetowa Fundacji TVN „Nie jesteś sam"
- tvn.pl, Bożena Walter odznaczona przez Prezydenta RP
- tvn.pl, Nagroda za uśmiech

Jan Wojdak

„Realizuję marzenia dzieciaków. Uważam, że mamy bardzo dużo dzieci uzdolnionych, które chciałyby się spełniać”.

Najlepszy inżynier wśród muzyków

– Niewielu wie, że skończyłem Wydział Mechaniczny na Politechnice Krakowskiej, maszyny robocze ciężkie. Nigdy nie pracowałem jako inżynier, ba, może to nie jest wychowawcze i dydaktyczne, ale też nie odbyłem żadnej praktyki. Podsyłałem moich kolegów, którzy za mnie je odbywali, a ja w tym czasie grałem nad morzem.

Śpiewałem od kołyski, w szkole podstawowej byłem członkiem chóru chłopięcego Filharmonii Krakowskiej. Przez kilka lat śpiewałem w tym chórze.

Chodziłem prywatnie do szkół muzycznych, a to, że skończyłem Politechnikę Krakowską, to zrobiłem tylko dla rodziców, ponieważ uważali oni wtedy, że zawód muzyka nie jest żadnym zawodem, że nie można wiązać z nim przyszłości. A jak będę inżynierem, wyjadę gdzieś, na przykład do Iraku – tam się wtedy jeździło – i będę zarabiał dużo pieniędzy. Ja jednak całym sercem byłem przy muzyce. Moja rodzina była bardzo umuzykalniona: matka grała, ojciec grał, siostra skończyła wyższą szkołę muzyczną.

Mama, która nie chciała, bym poszedł do szkoły muzycznej, kupiła mi gitarę. Ostatecznie czas zweryfikował moje muzyczne umiejętności. Już w szkole średniej nie tylko tworzyłem zespoły, ale też pisałem i komponowałem

piosenki. Nawet na swojej studniówce nie bawiłem się, tylko zagrałem z zespołem „Duchy", który powstał z mojej inicjatywy.

Wtedy, w Krakowie było mnóstwo klubów studenckich, w których się grało. Tworzyłem kolejny zespół i kolejny. Spełniałem się jako wokalista i kompozytor. Pisałem piosenki, które w tym czasie śpiewali Andrzej Zaucha, Toni Keczer. Zespoły opierały swój repertuar na własnej twórczości. Grałem we wszystkich klubach studenckich w Krakowie, między innymi w „Jaszczurach", „Żaczku". To były kultowe kluby, gdzie przychodziło mnóstwo młodzieży. Związałem się ze Starym Teatrem, konkretnie ze sztuką Biesy, którą reżyserował Andrzej Wajda, a ja byłem odtwórcą muzyki Zygmunta Koniecznego. W tej sztuce grałem kilka lat. Jeździliśmy z Biesami po całym świecie. Do pierwszego wyjazdu doszło w głębokiej komunie i to do Londynu, na światowe przeglądy teatralne. Potem była Szwajcaria, Francja. W Krakowie przedstawienie cieszyło się ogromnym powodzeniem, biletów nie można było kupić. W 2011 roku mija właśnie czterdzieści lat od jej wystawienia. Grali w niej: Janek Nowicki, Wojtek Pszoniak, Jerzy Bińczycki.

Chociaż skończyłem Politechnikę Krakowską, to granie stało się moim zawodem. Udało mi się napisać kilka hitów znanych w Polsce do tej pory. W plebiscycie na 80–lecie. Polskiego Radia wśród najlepszych polskich piosenek, a startowało pięć tysięcy, znalazł się *Biały latawiec*.

Zespół „Wawele" to moje dziecko. Doszedłem do niego w 1972 roku. Wraz z nim uczestniczyłem w wielu radiowych i telewizyjnych giełdach piosenki, w muzycznych festiwalach w kraju i za granicą.

Będąc jeszcze w „Wawelach", zacząłem pisać piosenki dla dzieci, na początku dla mojej córki. To było w latach osiemdziesiątych XX wieku. Przyjaźniłem się z Jarkiem Kukulskim. On miał Natalkę, ja miałem Sylwię i pisaliśmy piosenki dla naszych córek. Tworzyłem programy dla najmłodszych, napisałem książkę dla dzieci Przygody mrówki Bogo-Jogo, a także – pod tym samym tytułem – muzykę do pierwszego polskiego musicalu dla najmłodszych, wystawianego w Operetce Wrocławskiej.

> ” Pisanie piosenek dla dzieci jest rzeczą bardzo ważną. Dzieci powinny mieć własne piosenki, muzykę, która powinna trafiać do szkół czy

przedszkoli, by można było z czegoś czerpać jakieś wzorce.

Dla mnie to było już za mało i powołałem festiwal dzieci i młodzieży. Powstał na Zamku w Niepołomicach, gdzie się urodziłem. W 2000 roku odbył się Pierwszy Małopolski Festiwal Dzieci i Młodzieży „Tęczowe piosenki Jana Wojdaka". Ogromne zainteresowanie nim spowodowało, że przeniosłem go do Krakowa. Na festiwalu są śpiewane głównie moje piosenki, ale nie tylko. Dzieci wybierają te utwory, które chcą śpiewać.

Dzisiaj festiwal ma charakter ogólnopolski. Realizuję marzenia dzieciaków. Uważam, że mamy bardzo dużo dzieci uzdolnionych, które chciałyby się spełniać, jak ja. Pomagam najzdolniejszym uczestnikom mojego festiwalu, interesuję się ich losami. Staram się, by byli zapraszani na inne festiwale, w tym międzynarodowe. Pracuję z nimi, zapraszam do studia, wydaję im płyty.

Staram się nieść pomoc uzdolnionej młodzieży, chcę, by nie zmarnowała swoich umiejętności, by spełniała swoje marzenia. Często jestem wśród dzieci i młodzieży w szpitalach, ośrodkach wychowawczych. Śpiewam, przynoszę prezenty. Mam pod opieką wspaniałą rodzinę, jedną z najliczniejszych w Polsce, niedaleko Poznania. Jest w niej piętnaścioro dzieci.

Warszawa, w kawiarni niedaleko radiowej Trójki, marzec 2011

Jan Wojdak

– piosenkarz, kompozytor, z wykształcenia inżynier, absolwent Politechniki Krakowskiej. Urodził się w 1947 roku na Zamku w Niepołomicach. Założyciel takich formacji wokalno-instrumentalnych, jak: „Duchy", „Wawelskie Smoki", „Górale". Był członkiem grupy „Mini Max", z którą występował w Starym Teatrze w Krakowie, odtwarzając muzykę Zygmunta Koniecznego w spektaklu Biesy, wyreżyserowanym przez Andrzeja Wajdę. W 1972 roku dołączył do „Waweli". Zespół ten dokonał między innymi pierwszych profesjonalnych nagrań dla warszawskiego Studia „Rytm" Witolda Pogranicznego. W tej historycznej sesji zarejestrowano trzy piosenki: Mleczarz, Kup mi księżyc i Ballada o trzech kotach z tekstami Ewy Lipskiej i Tadeusza Śliwiaka oraz muzyką Jana Wojdaka. Skomponował blisko sześćset piosenek, nagrał kilkadziesiąt płyt, z czego kilkanaście uzyskało status złotych. Pięć jego płyt wypełniają piosenki dla dzieci.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Wikipedia, Jan Wojdak
- youtube.com, Wawele & Jan Wojdak – *Biały latawiec* (oficjalny teledysk)
- Wikipedia, Wawele
- youtube.com, XIII Festiwal Dzieci i Młodzieży „Tęczowe Piosenki Jana Wojdaka" 2012

Maciej Wojtyszko

Maciej Wojtyszko uważa, że rynek książek dla najmłodszych jest chaotyczny i przydałby się przewodnik po nim. Przyznaje, że myśli o tym, by go stworzyć. Byłby to przewodnik podpowiadający rodzicom, co mądrego podsuwać dzieciom do lektury.

Zacząłem pisać do żony

Jak to się stało, że w Pana bogatej twórczości znalazło się miejsce dla dzieciaków?

To dzięki mamie, która była nauczycielką – uczyła w szkole w Międzylesiu pod Warszawą. Bez przerwy robiliśmy przedstawienia szkolne. Jak zdałem do Państwowego Liceum Technik Teatralnych, to moja mądra mama powoli zaczęła mnie zachęcać, bym pomagał przy reżyserowaniu. Ale odruchowo człowiek staje się sam nauczycielem. Najpierw uczyłem czternastolatków, będąc piętnastolatkiem, a potem to już stało się normą. Liceum było znakomitą szkołą, która właściwie ukształtowała mnie i moich wszystkich kolegów na całe życie. Bo myśmy od czternastego roku życia i chodzili do teatru, i bawili się w projektowanie przedstawień. Uczono nas znakomicie. Potem zdałem na reżyserię filmową.

Założyłem rodzinę i wtedy powstała Bromba, czyli książka, która na początku była tak naprawdę korespondencją do mojej żony. Pierwsze siedem opowiadań, napisanych odręcznie, wysłałem do mojej żony, która studiowała wtedy w Poznaniu. Ona była mądrzejsza ode mnie, przepisała je na maszynie i powiedziała, żebym zaniósł do wydawnictwa. I tak zrobiłem.

> Spotkałem bardzo mądrego człowieka. Wtedy nie było oczywiste, by abstrakcyjne teksty trafiały do dzieci. Nie znano jeszcze Muminków. Ale się udało i ukazała się „Bromba".

To załatwiło mi jedną rzecz, zagościłem w telewizji i nagrałem z Wieńczysławem Glińskim trzy programy poświęcone postaciom z mojej książki. Jednocześnie pojawiło się coś, co pozwoliło bardzo oryginalnie zrealizować moje pomysły – to technika umożliwiająca robienie różnych sztuczek, na przykład zwielokrotnianie obrazów. Potem był jeszcze Festiwal Bromby i tak, można powiedzieć, wszedłem do zawodu. Tak więc praca dla dzieci to moje pierwotne zajęcie, które pozwoliło mi potem powolutku zacząć tworzyć dla dorosłych.

Gdy zaczął Pan tworzyć dla dorosłych, nie zapomniał Pan o dzieciach…

Nie zapomniałem z różnych powodów. Albo miałem swoje dzieci, albo zgłaszali się do mnie mądrzy ludzie, którzy z jakiegoś powodu potrzebowali czy to sztukę, czy piosenki, czy inny utwór właśnie dla dzieci, o dzieciach. A ja też, dorastając, odważyłem się napisać kilka sztuk dla najmłodszych. Jedna z nich wygrała konkurs Teatru Białostockiego, druga uzyskała wyróżnienie. Z zamówieniami różnie bywało. W stanie wojennym przyszli do mnie aktorzy Starego Teatru i mówią: „Maciek, napisz coś, co by było na cztery osoby i żeby można było zarabiać". Wtedy była bieda. Pomogłem kolegom i w ciągu tygodnia powstała sztuka pod tytułem Pożarcie królewny Bluetki. Miała w Polsce kilkadziesiąt premier i jeszcze jest grana w Nowosybirsku, Tel Awiwie. Uważam, że pisanie dla dzieci to dobra szkoła dla każdego twórcy, wymaga bowiem pewnej dyscypliny. Dziecko nie jest cierpliwe, nie wytrzymuje długiego tłumaczenia, jest surowym egzaminatorem, jeśli chodzi o percepcję.

Maciej Wojtyszko
BROMBA I INNI
(po latach także...)
KROPER

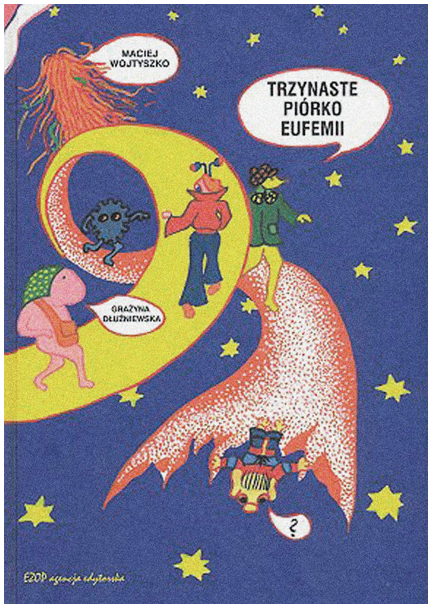
MACIEJ WOJTYSZKO
TRZYNASTE PIÓRKO EUFEMII
GRAŻYNA DŁUŻNIEWSKA
?
EZOP agencja edytorska

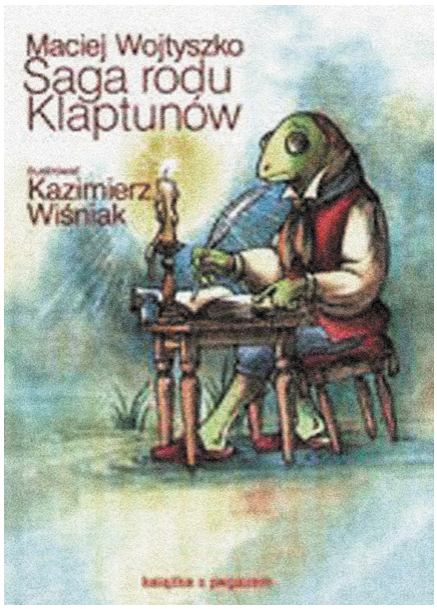

Czy obserwacje własnych dzieci pomagają w twórczości dla najmłodszych?

Tak. Nie ukrywam, że czerpałem z własnych doświadczeń i obserwacji, obserwacji własnych dzieci, a teraz i wnuków. Ale pisząc tylko dla dzieci, czułbym się ograniczony, tak mi się wydaje.

Czy dzisiejsze czasy sprzyjają twórczości dla dzieci?

I tak, i nie. Łatwiej jest napisać i wydrukować książkę, jeśli ma się ochotę zrobić to prywatnie. I pewnie można znaleźć wiele sposobów, by dostać się na rynek. Trudniej natomiast w dzisiejszych czasach zaistnieć dobrej twórczości dla dzieci, bo na rynku wydawniczym jest mnóstwo pozycji, które nazwałbym różowawo-naiwnymi i takich, że lepiej, by ich nie było. A przy tym wskazanie rodzicom dobrej literatury wciąż nie jest doskonałe. Uważam, że w tym chaotycznym rynku książek dla najmłodszych przydałby się przewodnik. Nawet myślę o tym, by go stworzyć. Byłby to przewodnik podpowiadający rodzicom, co podsuwać dzieciom do lektury. Kiedy stajemy przed tak ogromną ofertą – mnóstwo tytułów, na okładkach a to biedroneczka, a to zajączek czy piesek i kotek – trudno trafić na coś dobrego. Dzięki Brombie zyskałem liczne grono czytelników, bo książka od razu miała ogromne nakłady. Popularność tej pozycji sprawiła, że było mi łatwiej zaistnieć na rynku wydawniczym. Wiem, że obecnie ukazało się kilka przepięknych książek dla dzieci, bardzo ładnie wydanych, ale są to publikacje drukowane zaledwie w tysiącu egzemplarzy.

Ważna jest rola mediów elektronicznych – radia i telewizji – by trafić do rodziców i dzieci…

Najważniejsze wyzwanie to, by ludzie nauczyli się szukać. Precyzyjnie stawiali sobie pytania, co jest im potrzebne. Bo znaleźć można wszystko. Jest takie opowiadanie o synu i matce, którym się zepsuł samochód na pustyni i umarli z pragnienia, bo nie pamiętali, że woda jest w chłodnicy. Troszkę podobnie może być i u nas. Na przykład, gdy dziecko jest nieufne wobec świata, chciałoby znaleźć książkę, by tę nieufność przezwyciężyć, ale nie wie, gdzie. A przecież są książki, które pomagają to zrobić. Może brakować informacji i ludzie mogą nie wiedzieć, jak szukać sposobów, gdy po jednej stronie jest dziecko ze swoimi problemami, a po drugiej rodzice, którzy mają trudności z wymagającą sztuką szukania.

Czy nasze wnuki chcą czytać? A może nie potrafią znaleźć odpowiednich książek?

Myślę, że nie potrafią znaleźć. Zasłużony sukces Harry'ego Pottera dowodzi, że zawsze musi to być zorganizowana akcja. Akcja redakcji dziecięcej, poważnego wydawnictwa i nawet przedsiębiorców wydających pismo dla dzieci. Wszyscy razem postanawiają, że stworzą coś, co będzie w świadomości społecznej ważne.

początek 2010

Maciej Wojtyszko

– reżyser teatralny i filmowy, pisarz, autor sztuk. Urodził się 16 kwietnia 1946 roku w Warszawie. Jest absolwentem Wydziału Reżyserii Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi. Ma na swoim koncie ponad kilkadziesiąt realizacji, począwszy od teatralnych spektakli według tekstów Thomasa Bernharda, Sławomira Mrożka i Witolda Gombrowicza, poprzez przedstawienia dla dzieci, a skończywszy na telewizyjnym sitcomie Miodowe lata. Interesuje go przede wszystkim literatura sceniczna, głównie XX wieku, której wyróżnikiem jest między innymi inteligentny humor.
Wojtyszko jest także dramatopisarzem, autorem kilkunastu sztuk teatralnych. Do jego najbardziej znanych dramatów należą: Bambuko, Semiramida, Wznowienie, Żelazna konstrukcja oraz Bułhakow. Do wielu przedstawień dla dzieci i młodzieży przygotowywał scenariusze i pisał teksty piosenek, na przykład do Pożarcia królewny Bluetki, Ani z Zielonego Wzgórza, Szatana z siódmej klasy. Przedstawienia dla dzieci realizował także w Teatrze Telewizji: Brzechwa dzieciom według wierszy Jana Brzechwy (1979) oraz Szelmostwa Lisa Witalisa Jana Brzechwy (1980). Jest autorem znanych książek dla dzieci, takich jak Bromba i inni, Saga rodu Klaptunów, Tajemnica szyfru Marabuta. W latach osiemdziesiątych na dużym ekranie Wojtyszko nakręcił kilka filmów, wśród nich Syntezę (1983) – film fantastyczny dla młodzieży oraz Ognistego anioła (1985) – na motywach powieści Walerego Briusowa. Ostatnio zrealizował Ogród Luizy (2007) – współczesną opowieść o spotkaniu wrażliwej nastoletniej dziewczyny i gangstera, którzy poznają się w szpitalu psychiatrycznym.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Wikipedia, Maciej Wojtyszko
- Wikipedia, *Bromba i inni*
- youtube.com, Maciej Wojtyszko – *Bromba i inni*
- nostalgia.pl, *Tajemnica szyfru Marabuta*

Elżbieta Zawadzka

Od 1993 roku prowadzi w Monachium wokalno-taneczny zespół dziecięcy „Polonia”, który tak się rozwinął, że w tej chwili przypomina instytucję.

Pasjonatka polskości

Mieszka Pani obecnie w Niemczech, dlaczego wybrała Pani ten kraj?

W Niemczech mieszkam od grudnia 1981 roku. Przypadek sprawił, że właśnie w tym kraju zastał mnie stan wojenny, przyjechałam na pięć dni przed jego wprowadzeniem. Kiedy sięgam w głąb mojej emigracyjnej biografii, przypominam sobie, że nigdy nie planowałam osiedlić się w Niemczech. Pochodzę z rodziny wywodzącej się z okolic Wilanowa, dzielnicy Warszawy, jak się to mówi „z dziada pradziada”. Przez całe dzieciństwo, zamiast bajek musiałam słuchać wstrząsających opowieści rodziców i dziadków z okresu wojny i okupacji. Moja psychika była wystarczająco obciążona opowieściami o złych Niemcach, chyba nawet nie lubiłam języka niemieckiego. Wiele lat potrzebowałam, aby pozbyć się tych uprzedzeń.

Pracuje Pani od wielu lat na rzecz dzieci polonijnych, skąd ta pasja?

Na początku lat dziewięćdziesiątych, bezpośrednio po doktoracie, zaczęłam tańczyć w polonijnej grupie folklorystycznej. Na nasze próby młodzi rodzice

przyprowadzali ze sobą dzieci, których po prostu nie mieli z kim zostawić. Pomyślałam sobie, że w tych dzieciach tkwi ogromny potencjał i postanowiłam się nimi zająć. Jako pedagog z wykształcenia, miałam już pewne doświadczenie.

Od wczesnego dzieciństwa tańczyłam w grupach baletowych, a w czasach studenckich w renomowanych zespołach pieśni i tańca, m.in. w zespole „Wielkopolska". Przez kilka lat prowadziłam w Poznaniu i Gdańsku dziecięce zespoły folklorystyczne, a etnografią interesuję się niemalże przez całe życie. Przede wszystkim miałam ogromny zapał do tej działalności, którym zapewne zarażałam nie tylko dzieci, ale także ich rodziców. Może to pomogło mi w tak krótkim czasie nauczyć ich wielu polskich piosenek i tańców. Na próby rodzice bez wahania przywozili dzieci, nawet z najbardziej odległych zakątków Monachium.

Nasze występy zaczęły cieszyć się wielkim uznaniem. Zaproszenia do udziału w festiwalach i koncertach przychodziły z całych Niemiec. W 2004 roku dziecięcy zespół „Polonia" po raz pierwszy otrzymał zaproszenie do udziału w otwarciu monachijskiego Oktoberfestu.

> „Po uroczystym koncercie z udziałem władz Bawarii i wielu niemieckich prominentów, gazeta „Süddeutsche Zeitung" zamieściła zdjęcie naszego zespołu wraz z podpisem: „Polskie dzieci podbiły serca monachijczyków!"

Pamiętam, że całymi dniami wydeptywałam ścieżki w niemieckich instytucjach kultury, aby załatwić nam sale na próby. Po roku udało mi się zainteresować naszą działalnością kierownictwo ośrodka kultury, należącego do Kreissjugendring München. To był prawdziwy cud, wraz z salą na próby otrzymaliśmy do dyspozycji plac zabaw dla dzieci i piękny ogród dla rodziców.

Jak ta działalność wygląda, w czym się przejawia?

Od 1993 roku prowadzę wokalno-taneczny zespół „Polonia", który tak się rozwinął, że w tej chwili przypomina instytucję. Bierzemy udział w ponad dwudziestu pięciu występach rocznie. Aby je zorganizować, korzystam

z domowego biura, odbieram telefony, piszę pisma do różnych instytucji, piszę na domowym komputerze, wykorzystuję własne radio do nagrań, a na stroje, które sama uszyłam, pocięłam wszystkie swoje firanki. Stroje i akcesoria trzymam we własnym mieszkaniu, zajmują mi one jeden pokój, balkon i piwnicę. Dokumentację zespołu i innych projektów przechowuję w swoim mieszkaniu, w kilku szafach.

Jakkolwiek otrzymuję spore wsparcie finansowe na przeprowadzenie trzech koncertów w ramach festiwalu „Razem we Wspólnej Europie", to zabierają je opłaty za hotele, wyżywienie, transport grup i drogie sale koncertowe. Zgodnie z niemieckimi przepisami, absolutnie nie mogę tych funduszy przeznaczyć na nic innego. Organizacja tych koncertów, przygotowanie i rozliczenie, na które poświęcam niemalże cały rok, odbywa się także społecznie. Robię wszystko to, co robi w Polsce dyrektor sporego domu kultury, a także jednocześnie choreograf, kostiumolog, krawcowa, akustyk, księgowa, sekretarka, praczka i czasem sprzątaczka… Nie narzekam, bo to moja pasja.

Jak Niemcy odbierają Pani zaangażowanie w propagowaniu polskiej kultury?

Od początku absolutnie fantastycznie! Dzieci są laureatami głównych nagród na konkursach niemieckich. Ja także otrzymałam dyplom od burmistrza Monachium za szczególne zasługi w zakresie popularyzacji kultury ludowej. Nie jesteśmy w stanie sprostać wszystkim zaproszeniom, też ze względów

finansowych. W ubiegłym roku z powodu braku środków na transport musieliśmy zrezygnować z prestiżowych występów w Landshucie i Passau.

Czy utrzymuje Pani kontakty z krajem ojczystym?

W latach 1993–2010 przygotowywałam zespół „Polonia" oraz utalentowane wokalistki z terenu Niemiec do prestiżowych konkursów i festiwali na terenie Polski. Dzieci i młodzież polonijna występowała m.in. na festiwalach: w Koninie, Kielcach, Gdańsku, Sopocie, Tarnobrzegu, Kutnie, Kołobrzegu, Złotowie i wielu innych polskich miastach.

styczeń 2012

Elżbieta Zawadzka

– absolwentka Wydziału Pedagogiki i Ekonomii Uniwersytetu Gdańskiego, doktorantka Wydziału Nauk Społecznych Polskiego Uniwersytetu w Londynie. Do 1981 roku pracowała w polskich instytucjach oświatowo – wychowawczych. Od 1981 roku mieszka w Niemczech. Zajmuje się promocją utalentowanej młodzieży polskiej i polonijnej. Organizatorka i kierownik artystyczny Festiwali Kultury Dziecięcej „Razem we Wspólnej Europie", w którym wzięło udział kilka tysięcy dzieci z Polski i z Niemiec. Organizatorka Polonijnego Konkursu Piosenki i polsko-niemieckiego koncertu laureatów „Kuźnia Talentów". Od 1993 roku prowadzi zespół „Polonia".

DODATKOWE MATERIAŁY:

- polonikmonachijski.de, Jak promować Młode Talenty
- karel-art.de, XVIII Polsko-Niemiecki Festiwal Kultury – Razem we Wspólnej Europie, Monachium 2013
- Polsko-Niemiecki Festiwal Kultury Dziecięcej i Młodzieżowej Razem we wspólnej Europie
- mypolacy.de, Zespół folklorystyczny „Polonia" z Monachium zaprasza

Małgorzata Żak

„Stworzyliśmy łańcuch ludzi dobrej woli – od lekarzy przez rodzica, ośrodki pomocy społecznej i to daje efekty. Objęliśmy już pomocą kilkanaście tysięcy dzieci”.

Nie ratuje się świata, ale ratuje się dziecko

– Gdy powstała Telewizja Polsat, a było to ponad osiemnaście lat temu, po pewnym czasie stało się jasne, że jest potrzebny innego rodzaju kontakt z widzem. Przychodziło bowiem masę listów z prośbami o pomoc. W Polsacie założyliśmy ośrodek interwencji, który miał pomagać w rozwiązywaniu różnych ludzkich problemów. Ale wkrótce okazało się, że jest ich bardzo dużo, a telewizja prywatna, pierwsza komercyjna telewizja nie jest przygotowana do tego, by zajmować się społecznymi sprawami.

Pomysł stworzenia Fundacji Polsat wyszedł z zarządu telewizji. To nie była moja inicjatywa, nie mój pomysł. Pomyślałam wówczas, że trzeba stworzyć organizację zajmującą się bezpośrednią pomocą. Interwencyjne sprawy mogła załatwiać telewizja. Proszę pamiętać, że to były lata dziewięćdziesiąte, zupełnie inne czasy. Dzisiaj nie ma problemu z założeniem fundacji, by pomagać ludziom, wtedy był olbrzymi. I jeszcze ta ludzka świadomość. Już był na szczęście Jurek Owsiak – „starszy” od nas dwa lata. Była już Janina Ochojska –

w tym czasie pojechała do Sarajewa. Pięć lat po nas fundację otworzył TVN, z tych samych powodów.

Aby stworzyć Fundację Polsat w 1996 roku, musieliśmy trochę powalczyć o zarejestrowanie. To były jeszcze czasy, kiedy fundacje nie były najlepiej postrzegane, jak – chwała Bogu – dzieje się dzisiaj.

Bardzo szybko okazało się, że jest to miejsce dla mnie. Moja mama całe życie pomagała ludziom, zmarła przedwcześnie na białaczkę. Wtedy postanowiłam, że będę w życiu robić to, co z jednej strony będzie mi sprawiało satysfakcję, a z drugiej strony przyniesie coś dobrego innym.

> Ludzie rodzą się – to jest moja teoria – z potrzebą pomagania, tylko nie każdy sobie to uświadamia. Uświadamiają sobie wtedy, kiedy spotka ich jakieś nieszczęście. Jeżeli ktoś czuje potrzebę pomagania innym i sobie to uświadomi, jest na najlepszej drodze, by to robić. Tak było w moim wypadku.

Dzisiaj mamy pod opieką ponad trzynaście tysięcy dzieci, na pomoc dla nich wydajemy rocznie blisko 20 mln zł. Nasza fundacja to nie małe stowarzyszenie, to jest olbrzymia działalność przynosząca mi ogromną satysfakcję. Trwa ona już piętnaście lat. Wiem jedno, to jest taka frajda, taka przyjemność, że – z mojego egoistycznego punktu widzenia – warto to robić. Kiedy zaczynałam działalność w fundacji, wydawało mi się, że trzeba zbawić cały świat. Jednak cel naszej organizacji jest inny – my mamy uratować jedno dziecko, które stanie się całym światem. Jeżeli ma umrzeć sto dzieci, a umrze dziewięćdziesiąt dziewięć, bo to jedno dało się uratować, to jest właśnie sens i cel tej działalności. Niestety, nie wszyscy to rozumieją. Tego trzeba się uczyć przez lata. Myślę, że my w fundacji tego się nauczyliśmy. Mam fantastycznych ludzi, wspaniały zespół. Tak naprawdę, Order Uśmiechu nie jest dla mnie, ale dla całej fundacji, tak to traktuję.

Fundacja Polsat ma statut, zgodnie z którym pomagamy dzieciom do osiemnastego roku życia. Jest to jednak płynna granica, bo jeśli trafia do nas

młody człowiek w wieku szesnastu lat, to wiadomo, że będzie pod naszą opieką tak długo, jak długo będzie to potrzebne. Zgłaszają się do nas rodzice dzieci zdiagnozowanych jako chore, wymagające leczenia, operacji, rehabilitacji, na co zabrakło środków z budżetu państwa, a najbliżsi tych rodzin są biedni. Przykładowo, rehabilitacja dziecka niepełnosprawnego na wózku czy autystycznego kosztuje 3 tys. zł miesięcznie. Oczywiście można z niej zrezygnować, tylko dziecko będzie wtedy „zanikało". Jesteśmy organizacją, która gromadzi środki finansowe, żeby zapłacić za leczenie, rehabilitację i operacje dzieci. Czasami operacje muszą się odbywać w klinikach zagranicznych, bo w Polsce nie ma takiej możliwości. A to są niejednokrotnie olbrzymie pieniądze – operacja kosztuje nawet 500 tys. zł. Kupujemy też sprzęt do szpitali, robimy w nich remonty i adaptacje.

Z perspektywy piętnastu lat pracy fundacji widać, że jest coraz więcej zgłoszeń o pomoc. Myślę, że wynika to przede wszystkim z wad systemu, który powoduje, że coraz większe grupy ludzi nie mają dostępu do bezpłatnych świadczeń lekarskich.

Nie wybieramy dzieci, nie jesteśmy lekarzami. Mamy konsultantów medycznych z każdej dziedziny. Z reguły są to konsultanci krajowi albo wojewódzcy i to oni tak naprawdę decydują, które dziecko wymaga natychmiastowej interwencji, które może jeszcze chwilę poczekać. Czasami dziecko jest w takim stanie, że nie może być operowane, musi być najpierw odżywione. Mamy bardzo dużo dzieci niedożywionych, które nie mogą być poddane ostrej ingerencji chirurgicznej, bo to by się skończyło tragicznie. Większość to standardowe przypadki, takie jak rehabilitacja dzieci niepełnosprawnych. Jeśli lekarz napisze, jaka forma rehabilitacji jest potrzebna – nam to wystarczy. Natomiast w przypadkach bardziej skomplikowanych, merytorycznie rozwiązują to konsultanci z określonej dziedziny medycyny. Na podstawie ich opinii decydujemy, czy przyznać pieniądze, gdzie wysłać dziecko.

Polsat to pierwsza prywatna telewizja, dlatego fundacja miała pokazać, że ten „wstrętny kapitalista" jest w stanie wyłożyć kilka milionów. Podstawą naszych pieniędzy (20 mln zł rocznie) są w większości pieniądze polsatowskie. Czas antenowy, gotówka, zyski, z którymi się z nami dzielą, to jest nasza baza. Chodziło też o to, by pokazać, że ten właśnie prywatny kapitał też się może do czegoś przydać. Staramy się wykorzystać te środki w najlepszy sposób. Miarą naszych dokonań jest liczba dzieci, które przynoszone do nas na rękach przez rodziców, po jakimś czasie potrafią samodzielnie zejść po schodach, a także

dzieci, które dzięki operacjom w ośrodkach zagranicznych będą żyły. Nie wszystkie daje się uratować.

Na początku swej działalności załamywałam się, gdy jakieś dziecko umarło. Ale później przyszło następne, później powoli, powoli zmieniło się moje myślenie o ratowaniu świata. Nie ratuje się świata, ale ratuje się dziecko. Dzisiaj wiem, że człowiek musi mieć pasję, bez pasji nie ma szczęścia w życiu.

Warszawa, siedziba Telewizji Polsat, tuż przed Wielkanocą, kwiecień 2011

Małgorzata Żak

– działaczka społeczna, obecnie honorowy prezes Fundacji Polsat.

Urodziła się w 1960 roku w Warszawie. Ukończyła studia na Wydziale Ekonomii Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie oraz na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego.

Fundacja Polsat prowadzi między innymi publiczne zbiórki pieniędzy. Uzyskany dochód jest przeznaczany głównie na różnorodne leczenie specjalistyczne, środki farmaceutyczne, skomplikowane zabiegi operacyjne czy inne formy pomocy najmłodszym pacjentom. Jesienią 2008 roku pojawiły się dwa nowe programy pilotowane przez tę fundację: „Na zdrowie" i „Wystarczy chcieć".

W 2010 roku ufundowała w Kenii, gdzie mieszka, Fundację Animal Rights Reserved, której celem jest ochrona i zabezpieczenie dzikiej przyrody oraz wsparcie zrównoważonego rozwoju.

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Wikipedia, Małgorzata Żak
- Wikipedia, Fundacja Polsat
- Prezydent.pl, Odznaczenia dla twórców fundacji odpowiedzialnego biznesu
- Oficjalna strona Fundacji Polsat

Tisa Żawrocka-Kwiatkowska

Założona przez nią Fundacja „Gajusz" powstała z osobistego doświadczenia. To nieodosobniony przypadek. Szukając pomocy dla własnego dziecka dajemy ją także innym.

Kobieta-anioł

– Rok 1997 był dla mnie i mojej rodziny szczególnie trudny. Okazało się bowiem, że mój dziewięciodniowy syn Gajusz ma wadę szpiku kostnego, polegającą na tym, że nie produkował on granulocytów. Są to takie krwinki odpowiedzialne za walkę z infekcjami bakteryjnymi. Większość dzieci z tego rodzaju problemami po prostu umiera.

Mniej więcej dziesięć miesięcy spędziłam z Gajuszem w szpitalu. Jest moim trzecim dzieckiem. Kiedy się urodził, miałam już sześcioletnią córkę i czteroletniego syna. Właśnie rodzeństwo dawało sporą nadzieję na przeszczep szpiku kostnego, który uratowałby życie Gajuszowi. Niestety, okazało się, że ani siostra Basia, ani brat Julek nie są zgodnymi dawcami. Zostałam wraz z mężem poinformowana przez lekarzy, że to jest koniec procesu leczenia, że już nic więcej nie można zrobić. Wpadłam w czarną rozpacz.

W szpitalu, w którym był leczony Gajusz, poznałam dziewczynkę z domu dziecka, półtoraroczną Paulinkę. Miała rozpoznaną białaczkę. Leżała

naprzeciwko łóżka synka, więc widziałam, jak przebiegała jej choroba. Byłam świadkiem lepszych i gorszych dni, pewnego polepszenia jej samopoczucia, ale i wyraźnego pogorszenia stanu zdrowia. Paulinka umarła w grudniu 1997 roku.

I wtedy wymyśliłam sobie fundację, która będzie pomagała chorym dzieciom. Zatrudnieni w niej wolontariusze mieli sprawiać, by ciężko chore, umierające dzieci nie były same w szpitalu. Moja rodzina przyjęła ten pomysł z aprobatą, ale i z wielkim zdziwieniem, ponieważ miałam wygodne życie, mieszkaliśmy na wsi, nie pracowałam, prowadziłam dom.

Tymczasem, zupełnie niespodziewanie, kolejne wyniki badań Gajusza wskazywały na wyraźną poprawę. Lekarze powiedzieli mi, żebym się nie cieszyła, że choroby nie znikają. Ja jednak miałam coraz większą nadzieję, że syn wyzdrowieje.

Z pomocą zaprzyjaźnionego prawnika zarejestrowaliśmy Fundację „Gajusz", jak na tamte czasy w tempie rekordowym. Powstała już 20 lutego 1998 roku i od 1 marca zaczęła działać. Namówiłam kilka osób do współpracy.

> Wolontariusze fundacji zaczęli odwiedzać dzieci w szpitalach, bawić się z nimi. Wnosili autentyczną radość, beztroskę. Okazali się ludźmi naprawdę niezwykle oddanymi, robili znacznie więcej niż to, na co się umówili.

W 2002 roku minęły cztery lata mojej pracy, głównie tej wolontaryjnej. Dla mnie był to jednak rok bardzo smutny, ponieważ zmarły dzieci, którymi się szczególnie blisko opiekowałam. Sześcioletni chłopczyk, gdy go odwoziłam do domu, zwierzył się, że ma zmiany w płucach. „Jak tak jest, to nas się nie daje uratować" – powiedział, a mnie serce omal nie pękło. Stwierdziłam, że nie dam już dalej rady „umierać" z każdym swoim pacjentem. Wszystko to przekładało się na moje dzieci. Przez cały czas bałam się o nie, wciąż je badałam.

Postanowiłam wówczas założyć niepubliczny zakład opieki zdrowotnej, który zatrudni psychologów stale dostępnych dla oddziału onkologicznego. I od 2003 roku aż do dziś jest to zespół składający się z czterech lub pięciu osób.

Dwa lata później powołaliśmy Hospicjum Domowe dla Dzieci Ziemi Łódzkiej, które prowadzimy do tej pory. Są nim objęte dzieci mieszkające w swoich rodzinach w odległości do stu kilometrów od Łodzi; średnio trzydzieścioro pięcioro podopiecznych. Działa ono jak oddział szpitalny, to znaczy musi mieć łóżka, cały sprzęt medyczny, kilkanaście samochodów. Dyżur trwa całą dobę. Zatrudniamy w hospicjum świetne pielęgniarki i bardzo dobrych lekarzy pediatrów, pracownika socjalnego, psychologa, rehabilitanta, a dodatkowym wsparciem są wolontariusze. Pielęgniarka jest u dziecka zawsze dwa razy w tygodniu, lekarz – raz w tygodniu, rehabilitant wtedy, gdy dziecko go potrzebuje, podobnie psycholog czy pracownik socjalny. Mówimy o dzieciach nie tylko nowotworowych – tych jest najmniej w hospicjach domowych, bo większość na szczęście udaje się wyleczyć, ale dotkniętych chorobami genetycznymi, z uszkodzeniami okołoporodowymi, chorobami kardiologicznymi. Po godzinie 16.00 jest zawsze ekipa dyżurna. Jeden zespół albo dwa, lekarz z pielęgniarką na każde wezwanie rodziców. Takich hospicjów jak nasze jest w Polsce jedenaście.

Nie ma natomiast w naszym kraju stacjonarnych hospicjów dla dzieci. Podjęliśmy decyzję, że je stworzymy. Teraz „budujemy" hospicjum stacjonarne dla osieroconych dzieci, którymi nie ma kto się zajmować. Taka placówka dla centralnej Polski powinna mieć pięć-osiem miejsc. Zwróciliśmy się do władz Łodzi o przekazanie nam budynku. Po pewnych perturbacjach otrzymaliśmy go, ma dwa tysiące mkw. powierzchni.

Niestety, środków na jego remont już nam nie przyznano. Nie załamaliśmy rąk. Z prośbą o ludzi do pracy zwróciliśmy się do naczelnika aresztu śledczego. To był początek 2011 roku. Ekipa ośmiu osadzonych, bardzo przykładnie pracujących, wykonywała proste prace, takie jak skrobanie i wyrównywanie ścian, usuwanie starych instalacji. Dzięki pomocy wielu różnych firm i zbieranym przez nas pieniądzom udało się zamontować nowe instalacje elektryczne, wodno-kanalizacyjne, grzewcze, a także wymienić okna. I tak powoli powstaje to nasze łódzkie stacjonarne hospicjum.

Nie żałuję, że nie zajmuję się filmoznawstwem, które studiowałam. Chodzę dwa razy w tygodniu do kina. A mój syn Gajusz ma teraz piętnaście lat, jest wielkim facetem.

Łódź, początek 2012

Tisa Żawrocka-Kwiatkowska

urodziła się 8 lutego 1970 roku w Łodzi.
Ukończyła III Liceum Ogólnokształcące w Łodzi. Studiowała na Uniwersytecie Łódzkim na Wydziale Filologicznym, kierunek – kulturoznawstwo, specjalność – filmoznawstwo. Po ukończeniu studiów (1995 r.) rozpoczęła pracę w kinie „Charlie".
Od 1998 roku pracuje w Fundacji „Gajusz" na stanowisku prezesa zarządu. Była w komitecie założycielskim Hospicjum Domowego dla Dzieci Ziemi Łódzkiej, pomagała założyć Fundację Dom w Łodzi. Ma czworo dzieci: trzech synów (11, 15, 19 lat) i córkę (21 lat).

DODATKOWE MATERIAŁY:

- Wikipedia, Fundacja Gajusz
- Oficjalna strona internetowa Fundacji Gajusz
- gazeta.edu.pl, Wywiad z założycielką i prezesem Fundacji GAJUSZ panią Tisą Żawrocką-Kwiatkowską
- gazeta.pl, Hospicjum bardzo naukowe

Kawalerowie Orderu Uśmiechu*

A

Abdullah bin Abdulaziz Al Saud – Król Arabii Saudyjskiej (ARABIA SAUDYJSKA)
Adamczak Stanisław (POLSKA)
Adamczewska Genowefa (POLSKA)
Adamiec Tadeusz (POLSKA)
Adamska Liliana (POLSKA)
Adzick N. Scott (USA)
Ajtmatow Czingiz (KIRGIZJA)
Akajewa Majram D. (KIRGIZJA)
Al–Rabeeah Abdullah (ARABIA SAUDYJSKA)
Albingier Alfreda (POLSKA)
Aleksandrzak Stanisław (POLSKA)
Andrukiewicz Ryszard (POLSKA)
Antoszewski Hubert (POLSKA)
Arendarski Andrzej (POLSKA)
Artemska Beata (POLSKA)
Arłukowicz Bartosz (POLSKA)
Audycka Elżbieta (POLSKA)
Aufderhaar Jan Hendrik (HOLANDIA)
Awgulowa Janina (POLSKA)

B

Bagińska Zofia (POLSKA)
Bajda Barbara (POLSKA)
Bajerska Grażyna (POLSKA)
Balazsne Gyurkovics (WĘGRY)
Balcerowski Tadeusz (POLSKA)
Bałanda Franciszka (POLSKA)

Barabas Eva (WĘGRY)
Baranowski Henryk (WIELKA BRYTANIA)
Barthel Günter (NIEMCY)
Barto Agnija-Lwowna (ROSJA)
Baszniak Janusz (POLSKA)
Beblik Jerzy (POLSKA)
Behrendt Gerhard (NIEMCY)
Bejger Stanisław (FINLANDIA)
Bekasiak Józef (POLSKA)
Belfer Itzchak (IZRAEL)
Bellew Bob (WIELKA BRYTANIA)
Berek Jerzy (POLSKA)
Berger Małgorzata M. (POLSKA)
Bertasz Wasyli (UKRAINA)
Berting van Meer Riet (HOLANDIA)
Berwid Małgorzata (POLSKA)
Biczuja Nina (UKRAINA)
Bieniek Jan (POLSKA)
Bieńczak Gabriela (POLSKA)
Bigosińska Maria (POLSKA)
Binert Alicja (BIAŁORUŚ)
Binert Andrzej (BIAŁORUŚ)
Bińczycka Jadwiga (POLSKA)
Blacha Ewa (POLSKA)
Bliżanka–Bielińska Maria (POLSKA)
Błaszczyk Ewa (POLSKA)
Błaszczyszyn Janina (POLSKA)
Błeńska Wanda (POLSKA)
Bobek Danuta (POLSKA)
Bochniak Bolesław (POLSKA)
Bochniak Izabela (POLSKA)
Boda Katalin (POLSKA)
Bodalski Jerzy (POLSKA)
Bogdanowicz Marta (POLSKA)
Bogobowicz Urszula (POLSKA)
Bojko Jan Pietier (UKRAINA)

Bombicka Alicja (POLSKA)
Bońkowski Witold (POLSKA)
Borchardt Erich (NIEMCY)
Borkowska Waleria (POLSKA)
Borkowski Henryk (POLSKA)
Borodzicz Wirginia (POLSKA)
Borowski Henryk (POLSKA)
Borowski Marek (POLSKA)
Bortkiewicz Elżbieta (POLSKA)
Bosew Asen (BUŁGARIA)
Boukef Maria (TUNEZJA)
Boukef Tahar (TUNEZJA)
Bouquet Karol (POLSKA)
Boyko Petro (UKRAINA)
Bramorski Krzysztof (POLSKA)
Brandstetter Andrzej (POLSKA)
Brandt Aleksander (POLSKA)
Broszkiewicz Jerzy (POLSKA)
Broś Tadeusz (POLSKA)
Brzewski Zenon (POLSKA)
Budny Elżbieta (POLSKA)
Bunyadzada Aygun (AZERBEJDŻAN)
Burcan Mariola (POLSKA)
Burek Wanda (MOŁDAWIA)
Bury Jan (POLSKA)
Burzyński Strzeżywój Zbigniew (POLSKA)
Burża Kazimierz (POLSKA)
Bzdyra Mirosław (POLSKA)

C

Capała Antoni (POLSKA)
Carter Gordon (SZWAJCARIA)
Caugvil Jacqueline (FRANCJA)
Celmer Antoni (POLSKA)
Centkiewicz Alina (POLSKA)

Centkiewicz Czesław (POLSKA)
Centkowska Stanisława (POLSKA)
Chirac Bernardette (FRANCJA)
Chlebda Jacek Stanisław (POLSKA)
Chmielewski Henryk Jerzy (POLSKA)
Chmielewski Marian (POLSKA)
Chmielowski Bogusław (POLSKA)
Chodzinikolau Nikos (GRECJA)
Cholewiak Alfred (POLSKA)
Chotomska Wanda (POLSKA)
Chowańska Krystyna (POLSKA)
Chrobak Ewa (POLSKA)
Chrobok Maksymilian (POLSKA)
Chrościcki Antoni (POLSKA)
Chryc Stanisław ks. (POLSKA)
Chrząścik Cecylia (POLSKA)
Chudy Tadeusz (POLSKA)
Chwiałkowski Grzegorz (POLSKA)
Chybicka Alicja (POLSKA)
Cichowicz Krystyna siostra Alojza (KANADA)
Cielątkowska Barbara (POLSKA)
Ciuk Henryk (POLSKA)
Conti Di Mauro Irena (WŁOCHY)
Cozaca Tadeusz (POLSKA)
Cseko Sandor (WĘGRY)
Csorba Tibor (POLSKA)
Ctvrtek Václav (CZECHY)
Cwynar Krzysztof (POLSKA)
Cybulski Antoni (POLSKA)
Cygan Jacek (POLSKA)
Czapliński Tadeusz (POLSKA)
Czarnuch Zbigniew (POLSKA)
Czartoryska Cecylia (POLSKA)
Czechowski Wiktor (POLSKA)
Czekała Franciszek (POLSKA)
Czernicka Zofia (POLSKA)

Czerwińska Maria (POLSKA)
Czerwińska-Twarowska Krystyna (POLSKA)
Czerwiński Józef (POLSKA)
Czerwionka-Szaflarska Mieczysława (POLSKA)
Czugajewski Stefan Ryszard (POLSKA)
Czyżycki Wacław (POLSKA)
Czyżykowska-Karczewska Maria (POLSKA)

D

Dados Ewa (POLSKA)
Dalajlama XIV (TYBET)
Danielski Aleksy (POLSKA)
Dąbrowska Danuta (POLSKA)
Dega Wiktor (POLSKA)
Deka Władysława (POLSKA)
Dekers Christien (HOLANDIA)
Dencikowski Zdzisław (POLSKA)
Deptuła Kazimierz (POLSKA)
Dębkowska Barbara (POLSKA)
Dębska Elżbieta (POLSKA)
Dietrich Georg (NIEMCY)
Dijkhuis Garardus Mattheus Adolf (NIEMCY)
Długosz Antoni ks. bp (POLSKA)
Dobosiewicz Krystyna (POLSKA)
Dobromilski Włodzimierz (POLSKA)
Dobrosz Janusz Karol (POLSKA)
Domagalik Janusz (POLSKA)
Dowlasz Grzegorz (POLSKA)
Dowlasz Weronika (POLSKA)
Drozdowska Barbara (POLSKA)
Dróżdź Józef (POLSKA)
Dróżdż Piotr (POLSKA)
Dróżdż Tadeusz (POLSKA)
Drygas Elżbieta (POLSKA)
Duda Andrzej (POLSKA)

Duffner Herbert (NIEMCY)
Dumieński Mieczysław (POLSKA)
Dutkiewicz Teresa (UKRAINA)
Dworak Zbigniew Kazimierz (USA)
Dworakowska Anna (POLSKA)
Dymna Anna (POLSKA)
Dziekańska Danuta (POLSKA)
Dzik Grzegorz (POLSKA)
Dzikowski Krzysztof (POLSKA)
Dziopa Jerzy (POLSKA)
Dziura Maria (USA)

E

Eareckson Tada Joni (USA)
Eckert Alex (SZWAJCARIA)
Elzakkers Cornelia Johanna (HOLANDIA)

F

Fabisiak Joanna (POLSKA)
Fahle Irene (NIEMCY)
Falski Marian (POLSKA)
Feldman Krystyna (POLSKA)
Ferguson Sarah Księżna Yorku (WIELKA BRYTANIA)
Feszt Timea Diana (WĘGRY)
Ficek Roman (POLSKA)
Fiedler Arkady (POLSKA)
Fiedułowa Wasilewna Aleftina (ROSJA)
Fine Richard (USA)
Fiore Benjamin (USA)
Fisher Roger (USA)
Formanowicz Anna (POLSKA)
Fornalik Jerzy (POLSKA)
Franckiewicz Jerzy (POLSKA)
Francuz Jan Janusz (POLSKA)

Francuz Władysława Maria (POLSKA)
Fryczyński Stanley (USA)

G

Gabe Dora (BUŁGARIA)
Gajewski Bogdan (POLSKA)
Gambrych Małgorzata (POLSKA)
Gargol Mariusz (POLSKA)
Garszczyński Franciszek (POLSKA)
Garścia Janina (POLSKA)
Gawron Stefan (POLSKA)
Gellert Jan (POLSKA)
Gellner Dorota (POLSKA)
Gerlecka Elżbieta (POLSKA)
Gierczyk Kazimiera (POLSKA)
Gierek-Łapińska Ariadna (POLSKA)
Gil Marian ks. (KANADA)
Glinkowski Józef (POLSKA)
Gocoł Genowefa (POLSKA)
Gondek Krystyna (POLSKA)
Goulandris Angelos (GRECJA)
Goulandris Niki (GRECJA)
Góralówna Maria (POLSKA)
Górniak Jadwiga (POLSKA)
Grabiański Janusz (POLSKA)
Grabowiecki Julian (POLSKA)
Grabowska Danuta Maria (POLSKA)
Grabowska-Markowska Jolanta (POLSKA)
Grabowski Andrzej (POLSKA)
Grabowski Zbigniew (POLSKA)
Gradowski Krzysztof (POLSKA)
Grajkowski Zygmunt (POLSKA)
Grant James P. (USA)
Graszczyński Franciszek (POLSKA)
Greluk Mirosław (POLSKA)

Gremnik Henrik (HOLANDIA)
Gremnik Sientie (HOLANDIA)
Griszuk Anatol (BIAŁORUŚ)
Grochowska Maria Marzena (POLSKA)
Gromek Jacek (POLSKA)
Gruca Witold (POLSKA)
Gruszka Michalina (POLSKA)
Grzelak Jerzy (POLSKA)
Grzelak Zdzisław (POLSKA)
Grzesiak Zygmunt (POLSKA)
Grzybek-Kruszewski Władysław (POLSKA)
Grzymała-Siedlecki Bohdan (POLSKA)
Gucwińska Hanna (POLSKA)
Gucwiński Antoni (POLSKA)
Gulbinowicz Henryk ks. kardynał (POLSKA)
Gut-Mostowy Andrzej (POLSKA)
Gutry Maria (POLSKA)
Gyurkovics Balazsne (WĘGRY)

H

Habich Barbara (POLSKA)
Halasz Judit (WĘGRY)
Halec Franciszek (POLSKA)
Halt Irena (POLSKA)
Halt Stefan (POLSKA)
Hamerski Jerzy (POLSKA)
Han-Ilgiewicz Natalia (POLSKA)
Hanas Jan (POLSKA)
Haniaczyk Zygmunt (POLSKA)
Hanin Ryszarda (POLSKA)
Hanovre de Karolina Księżna (MONAKO)
Hansheins Reinbrecht (POLSKA)
Havlova Dagmar (CZECHY)
Hejmo Konrad ks. (WATYKAN)
Hejnen Hubertus (BELGIA)

Helak Franciszek (POLSKA)
Helak Helena Jadwiga (POLSKA)
Helwing Henryk (POLSKA)
Hendriks Sief (HOLANDIA)
Herman Zbigniew (POLSKA)
Hermanowicz Henryk (POLSKA)
Hermaszewski Mirosław (POLSKA)
Hitchcock Josef F. (HOLANDIA)
Hoenl Danuta (POLSKA)
Holletschek Sylwia (NIEMCY)
Holletschek von Manfred (NIEMCY)
Hosokawa Mariko (JAPONIA)
Hrabar Roman (POLSKA)
Huebner Jolanta (KANADA)
Hunya Jolan (WĘGRY)
Huseynow Alekpier (AZERBEJDŻAN)

I

Ibek Wiesław (POLSKA)
Idziałkowski Zbigniew (POLSKA)
Ilizarow Gawrił Abramowicz (ROSJA)
Isakowicz-Zaleski Tadeusz ks. (POLSKA)
Iwaki Setsuko (JAPONIA)
Iwanowa Maria (UKRAINA)
Izak Sławomir (POLSKA)

J

Jach Grzegorz (POLSKA)
Jahn Gyorgyne Katalin (WĘGRY)
Jakubowski Marek (POLSKA)
Jan Paweł II Papież (WATYKAN)
Janaszek Piotr (POLSKA)
Janiak Jacek (POLSKA)
Janik Maria (POLSKA)

Janikovszky Eva (WĘGRY)
Jankiewicz Leszek (POLSKA)
Jankiewicz Tomasz (POLSKA)
Jankowiak Zofia (USA)
Jankowski Bogusław (POLSKA)
Jankowski Stanisław (POLSKA)
Janowska-Zabłocka Alina (POLSKA)
Janowski Zbigniew (POLSKA)
Jansson Tove (FINLANDIA)
Januszewicz Paweł (POLSKA)
Januszewska Hanna (POLSKA)
Januszko Sabina (POLSKA)
Jańczak Krzysztof „Pan Yapa" (POLSKA)
Jarochowska Maria Magdalena (POLSKA)
Jaros Paweł (POLSKA)
Jarosiński Mirosław (POLSKA)
Jaroszewska-Kościuszko Barbara (POLSKA)
Jaroszewski Franciszek (POLSKA)
Jaskólska Danuta Janina (POLSKA)
Jasny-Mazurek Jadwiga (POLSKA)
Jastrząb Jadwiga Maria (POLSKA)
Jaworska Bogusławska Janina (POLSKA)
Jedliński Jerzy Maria (POLSKA)
Jednoróg Kazimierz (POLSKA)
Jednoróg Teresa (POLSKA)
Jerzykowska Kalina (POLSKA)
Jeż Ignacy ks. bp (POLSKA)
Jeżowska Majka (POLSKA)
Jędrzejczak Otylia (POLSKA)
Jozajtis Edward (POLSKA)
Józefczyk Michał ks. prałat (POLSKA)
Jungowska Adela (POLSKA)
Jurasz Janusz (POLSKA)
Jurgielewiczowa Irena (POLSKA)
Jużykiewicz Henryk (POLSKA)

K

Kaczmarski Maciej (POLSKA)
Kaczor Tadeusz (POLSKA)
Kaczyński Bogusław (POLSKA)
Kaiser Zofia (POLSKA)
Kajibas Eva Katalin (WĘGRY)
Kalicki Tadeusz (POLSKA)
Kamionka Tadeusz (POLSKA)
Kapherr von Hoffman Siegfried (NIEMCY)
Karczewska Krystyna (POLSKA)
Karwowski Jerzy (POLSKA)
Kasprzak Józef (POLSKA)
Kaszczyc Romana (POLSKA)
Kawalec Wanda (POLSKA)
Kąkolecka Irena (POLSKA)
Mirosława Ewa (POLSKA)
Keith Louis G. (USA)
Kelli Burns (USA)
Kempka Dorota (POLSKA)
Kennedy-Shriver Eunice (USA)
Kern Ludwik Jerzy (POLSKA)
Kędzia Alicja (POLSKA)
Kępa Eugeniusz (POLSKA)
Kęstowicz Zygmunt (POLSKA)
Kiegler Elizabeth (KANADA)
Kiełek Ryszard (POLSKA)
Kiernan Ian (AUSTRALIA)
Kieruzalski Andrzej (POLSKA)
Kilian Adam (POLSKA)
Klementowski Władysław (POLSKA)
Klim Franciszek (POLSKA)
Klimaszewski Zenon (POLSKA)
Klimaszyk Maria (POLSKA)
Klinik Jerzy (POLSKA)
Klinowska Władysława (POLSKA)

Kłoszewska Rita Lidia (USA)
Knap Aleksander (POLSKA)
Knura Teresa (POLSKA)
Knysz Tadeusz (POLSKA)
Kober Stanisław (POLSKA)
Kobus Bolesław (POLSKA)
Kobus Kazimierz (POLSKA)
Kobyliński Szymon (POLSKA)
Kocielińska Danuta Maria (POLSKA)
Kocieliński Roman (POLSKA)
Kolago Maria Barbara (POLSKA)
Kolecki Jerzy (POLSKA)
Kołak Wiesław (POLSKA)
Kołecka Izabella (POLSKA)
Kompała Henryk (POLSKA)
Konarzewski Stanisław (POLSKA)
Konior Ryszard (POLSKA)
Konopiński Lech (POLSKA)
Konters Wim (HOLANDIA)
Kopacka Stanisława (POLSKA)
Koprowski Hilary (USA)
Korgol Andrzej (POLSKA)
Korkuć Władysław (POLSKA)
Kornatowska Irena (POLSKA)
Kostecki Władysław (POLSKA)
Kostewicz Zbigniew (POLSKA)
Kostrzewski Zenon (POLSKA)
Koś Kazimierz (POLSKA)
Kotański Marek (POLSKA)
Kotas Jan (CZECHY)
Kotienoczkin Wiaczesław (ROSJA)
Kowalczyk Elżbieta (POLSKA)
Kowalczykowa Maria (POLSKA)
Kowalska Janina (POLSKA)
Kowalski Stanisław (POLSKA)
Kowalski Szczepan (POLSKA)

Kownacka Maria (POLSKA)
Kozłowska Wiera (POLSKA)
Kozłowski Mieczysław (POLSKA)
Kozłowski Witold (POLSKA)
Kozyr Margarita (POLSKA)
Koźmińska Irena (POLSKA)
Krajewska Wiesława (POLSKA)
Krajnik Józef (POLSKA)
Kraus Antoni (POLSKA)
Krauze Ryszard (POLSKA)
Królikowski Łukasz ks. (USA)
Krupa Stanisław (POLSKA)
Krupska Daniela (POLSKA)
Kruszewski Władysław (POLSKA)
Krychowski Lech (POLSKA)
Kryńska Maria Ewa (POLSKA)
Krzyk Roman (POLSKA)
Krzywiński Stanisław (POLSKA)
Krzywonos-Strycharska Henryka (POLSKA)
Księżopolski Bronisław (POLSKA)
Kubala Adela (POLSKA)
Kuczyńska Władysława (POLSKA)
Kuczyński Czesław (POLSKA)
Kujawski Jerzy (POLSKA)
Kukiz Paweł (POLSKA)
Kukuryka Stanisław (POLSKA)
Kuler Piotr (WIELKA BRYTANIA)
Kulig Marian (POLSKA)
Kulmowa Jolanta (POLSKA)
Kuńska Jolanta (POLSKA)
Kuroń Danuta (POLSKA)
Kuroń Jacek (POLSKA)
Kurp Jan (POLSKA)
Kuryło Weronika (BIAŁORUŚ)
Kuziemski Kazimierz (POLSKA)
Kwaśniewska Jolanta (POLSKA)

Kwaśniewski Aleksander (POLSKA)
Kwiatkowska Irena (POLSKA)
Kwiatkowska Małgorzata Wiktoria (POLSKA)
Kwiatkowska-Tulczyńska Hanna (POLSKA)
Kwiatkowski Andrzej Marek (POLSKA)
Kwiecień-Dziopa Krystyna (POLSKA)
Kwieciński Stanisław (POLSKA)

L

Labouisse Henry R. (USA)
Lach Antoni (POLSKA)
Lackowski Marian (POLSKA)
Lawera Edward (POLSKA)
Lazari Irena (POLSKA)
Leczykiewicz Henryk (POLSKA)
Lećkowski Jan (POLSKA)
Lenartowicz Ryszard (POLSKA)
Lengren Zbigniew (POLSKA)
Levenberger Paul (SZWAJCARIA)
Lewicka Lidia (POLSKA)
Lewińska Halina (POLSKA)
Leżeński Cezary (POLSKA)
Lic Halina (POLSKA)
Lillingston Sophie (IRLANDIA)
Lima Rocco Bruno (WŁOCHY)
Lindgren Astrid (SZWECJA)
Litwiński Jan (POLSKA)
Lobrow Chester (USA)
Lobrow Jadwiga (USA)
Lubicky John (USA)
Lubicz-Kirszke Halina (POLSKA)
Lubieniecki Zygmunt (POLSKA)
Ludwicka Roma (POLSKA)
Ludwiczak Jacek (POLSKA)
Luedkowa Janina (POLSKA)

Ł

Łankowska Teresa (POLSKA)
Łopatkowa Maria (POLSKA)
Łuczak Alojzy Andrzej (POLSKA)
Łuszcz Teresa (POLSKA)
Łyczek Henryk Józef (POLSKA)
Łyczko Maria (POLSKA)

M

Macharski Franciszek ks. kardynał (POLSKA)
Machno Abramowicz Aleksiej (BIAŁORUŚ)
Machowiak Stanisław (POLSKA)
Machulska Halina (POLSKA)
Maciejewska Kurzawa Grażyna (POLSKA)
Mackiewicz Jadwiga (POLSKA)
Maćkowiak Henryk (POLSKA)
Madys Edward (POLSKA)
Maffay Peter (NIEMCY)
Majewska Aleksandra (POLSKA)
Makarewicz Waldemar (POLSKA)
Malanowska Leokadia (POLSKA)
Malec Bolesław (POLSKA)
Malec Edward (POLSKA)
Malecka Maria (CZECHOSŁOWACJA)
Maliszewski Wacław (POLSKA)
Malkovych Ivan (POLSKA)
Małachowski Krzysztof ks. (POLSKA)
Mandela Nelson (RPA)
Mandryga Mirosław (POLSKA)
Mandryga Sławomir (POLSKA)
Marchewicz Czesław ks. „Kuba“(POLSKA)
Marchocki Edward (POLSKA)
Marchow Marian Fryderyk (POLSKA)
Marciniak Tadeusz (POLSKA)

Marciniak Włodzimierz (POLSKA)
Margolis-Edelman Alina (FRANCJA)
Mariaud Jean Claude (FRANCJA)
Marijnissen Ria (HOLANDIA)
Marinho Roberto (BRAZYLIA)
Markunina Irena (UKRAINA)
Markuszewska Irena (POLSKA)
Martić Adelika (JUGOSŁAWIA)
Maruszewski Bohdan (POLSKA)
Maser Seigfried (NIEMCY)
Mateja Józef (POLSKA)
Matka Teresa z Kalkuty (INDIE)
Matulka Teresa (POLSKA)
Mayer sir Robert (WIELKA BRYTANIA)
Mech Zdzisław Leszek (POLSKA)
Mendak Adam (POLSKA)
Meysztowicz-Stanisławska Mira (AUSTRALIA)
Michalak Marek (POLSKA)
Michalik-Tałuć Maria Teresa (POLSKA)
Michałkow Sergiej Władymirowicz (ROSJA)
Miętus Eugeniusz (POLSKA)
Miklaszewski Gwidon (POLSKA)
Mikołajczyk Henryk (POLSKA)
Mikołajczyk Maria (POLSKA)
Mikulski Mirosław ks. (POLSKA)
Milke Wacław (POLSKA)
Miller Leszek (POLSKA)
Mirecka-Ploss Kaya (USA)
Misiorny-Fitz Maria (POLSKA)
Moerman Canon Joseph (SZWAJCARIA)
Moll Jacek (POLSKA)
Moll Jadwiga (POLSKA)
Mooren Bert (HOLANDIA)
Mordak Bronisław (POLSKA)
Moroz Henryk (POLSKA)
Mossakowska Bibiana (POLSKA)

Mostowski Benon (POLSKA)
Moś Ignacy (POLSKA)
Mountbatten-Windsor Anna Księżna (WIELKA BRYTANIA)
Mroczkowski Bolesław (POLSKA)
Mrugalska Krystyna (POLSKA)
Mulka Andrzej ks. (POLSKA)
Murzyn Stanisław (POLSKA)
Musierowicz Małgorzata (POLSKA)
Muskus Irena (POLSKA)
Muszyńska-Zamorska Danuta (POLSKA)
Muszyński Heliodor (POLSKA)
Młynarska Agata (POLSKA)

N

Nadel Szlomo (IZRAEL)
Nagłowska Elżbieta (POLSKA)
Należyty Maria (POLSKA)
Nasser Sheikha Mozah Bint – małżonka emira Kataru (KATAR)
Nehrebecki Władysław (POLSKA)
Niedźwiecki Leszek (USA)
Niziurski Edmund (POLSKA)
Nordlund Gunvor (POLSKA)
Nosek Zbigniew (POLSKA)
Nowak Arkadiusz ks. (NIEMCY)
Nowak Danuta (POLSKA)
Nowak Henryk (POLSKA)
Nowak Joanna (POLSKA)
Nowak Józef (POLSKA)
Nowak Sylwester (POLSKA)
Nowak-Niechorański Merćin (POLSKA)
Nowakowski Józef (POLSKA)
Nowakowski Tadeusz Konstanty (POLSKA)
Nowicki Roman (POLSKA)
Nowicki Wojciech (POLSKA)

O

Obrazcow Sergiej Władymirowicz (ZSRR)
Obrenovic Rade (JUGOSŁAWIA)
Ochman Wiesław (POLSKA)
Ochojska Janina (POLSKA)
Okoń Longin Jan (POLSKA)
Okuszko Halina (POLSKA)
Oleksiuk Stanisława (POLSKA)
Olesiak Stanisław (POLSKA)
Oleszczuk Jan (POLSKA)
Oleszczuk Jarosław (POLSKA)
Olszewska Halina (POLSKA)
Orbegoso Pomeras Alfredo (PERU)
Orkisz Maria (POLSKA)
Orlik-Grzesik Andrzej (POLSKA)
Orlik-Grzesik Irena (POLSKA)
Ornowski Władysław (POLSKA)
Orłowski Jerzy (POLSKA)
Oses Edmund (POLSKA)
Ostrowski Zygmunt Leonidas (FRANCJA)
Osuch Edward (POLSKA)
Osuch Maria (POLSKA)
Osuch Tomasz (POLSKA)
Osuch Marian (POLSKA)
Otrębski Andrzej (POLSKA)
Otta Lech ks. (POLSKA)
Ozaist Jan (POLSKA)
Ożogowska Hanna (POLSKA)

P

Pacławski Ryszard (POLSKA)
Paczkowski Stanisław (POLSKA)
Pagaczewski Stanisław (POLSKA)
Pahlawi Farah małżonka szacha (IRAN)

Pallieres des Christian (FRANCJA)
Pallieres des Maria (FRANCJA)
Paluchowa Barbara (POLSKA)
Pałac Aleksander (POLSKA)
Pałka Andrzej (POLSKA)
Panaś Barbara (POLSKA)
Panek Marian ks. (POLSKA)
Pantaleoni Helena (POLSKA)
Pańko Urszula (POLSKA)
Papuzińska Joanna (POLSKA)
Parciak Rivka (IZRAEL)
Pasterny Erwin (POLSKA)
Pawlak Waldemar (POLSKA)
Pawzun Janina (POLSKA)
Pepel Wincenty (POLSKA)
Perl Bolesław (POLSKA)
Persson Christina (SZWECJA)
Perzyński Henryk (POLSKA)
Petri Zbigniew Julian (POLSKA)
Pędziwiatr-Karbowska Halina (POLSKA)
Pięgot Marian (POLSKA)
Piecuch Leon (POLSKA)
Pieniak Andrzej (POLSKA)
Pieśniak Karol (POLSKA)
Pietrzyk Jan (POLSKA)
Pikuła Jacek (POLSKA)
Pilar Radek (CZECHY)
Pillai K. Shankar (INDIE)
Piotrowska Krystyna (KANADA)
Piotrowska-Wesołowska Irena (POLSKA)
Ploch Leszek (POLSKA)
Plura Marek (POLSKA)
Płoskoń Maria (POLSKA)
Płoskoń Stanisław (POLSKA)
Pocztarski Sławomir (POLSKA)
Podgórski Wiesław (POLSKA)

Podrygałło Jadwiga Wanda (POLSKA)
Polkowski Tomasz (POLSKA)
Poniatowski Eugeniusz (POLSKA)
Porazińska Janina (POLSKA)
Pośrednik Eleonora (POLSKA)
Potrykus Jan (POLSKA)
Preś Anna (POLSKA)
Prewysz-Kwinto Irena (POLSKA)
Pręgowski Zdzisław Jerzy (SZWAJCARIA)
Prochaski Adam (USA)
Prokop-Kinicka Krystyna (POLSKA)
Pruszczyński Marian (POLSKA)
Przesmycka Henryka (POLSKA)
Przewłocki Jan Józef (POLSKA)
Przybylski Jerzy (POLSKA)
Przybyłowicz Roman (POLSKA)
Przymanowski Janusz (POLSKA)
Puchalski Stanisław (POLSKA)
Puchała Jacek (POLSKA)
Pussak Kazimierz (POLSKA)
Putniković Drago (JUGOSŁAWIA)
Pyz Helena (INDIE)

R

Rabus Karl (AUSTRIA)
Raciborska Zofia (POLSKA)
Radecki Bogdan (POLSKA)
Radko Christopher (USA)
Radkowska Alina-Elżbieta (POLSKA)
Radkowski Bogdan (POLSKA)
Radziewicz Julian (POLSKA)
Radziszewski Marian (POLSKA)
Radziwiłł Joanna (POLSKA)
Rajewski Franciszek (POLSKA)
Rajkow-Krzywicka Ewa (TUNEZJA)

Rajska Teresa (POLSKA)
Rakauskas Audrius (LITWA)
Raniś Sylwester (POLSKA)
Raymont Stanisław (POLSKA)
Reddy B. A. (INDIE)
Reich Henryk (POLSKA)
Reicher Eleonora (POLSKA)
Reinprecht Hans Heinz (AUSTRIA)
Religa Zbigniew (POLSKA)
Remażewska Wiera (UKRAINA)
Renes Andrzej (POLSKA)
Reniewiecki Władysław (POLSKA)
Reszka-Oleksiak Małgorzata (POLSKA)
Ritchie Cyril (SZWAJCARIA)
Roll Duszan (SŁOWACJA)
Romanowski Stefan (POLSKA)
Romecki Stefan (POLSKA)
Ronge Danuta (POLSKA)
Rosing Ekkerhard Otto (NIEMCY)
Rosing Hamelore (NIEMCY)
Rosner Danuta (POLSKA)
Rossi Ettore (SZWAJCARIA)
Rostek Krzysztof (USA)
Rot Miriam (IZRAEL)
Rotter Piotr (POLSKA)
Rowling Joanne (WIELKA BRYTANIA)
Rozpara Tadeusz (POLSKA)
Różycka Zofia (POLSKA)
Rudenko Nicole (FRANCJA)
Rudkowski Zbigniew (POLSKA)
Rudnik Jan (POLSKA)
Ruppert Rolf Dieter (NIEMCY)
Rüster Anna (NIEMCY)
Rutka James (KANADA)
Rutkowski Tadeusz (POLSKA)
Rużyłło Witold (POLSKA)

Rybarczyk Maria (POLSKA)
Rybałko Eugeniusz (POLSKA)
Rychlicki Zbigniew (POLSKA)
Ryczek Paweł (POLSKA)
Ryder Lady Sue (WIELKA BRYTANIA)
Rynkowski Ryszard (POLSKA)

S

Sacchaliniuk Aleksandra (POLSKA)
Sadkiewicz Piotr ks. (POLSKA)
Sadowczyk Danuta (POLSKA)
Sadżak Zofia (USA)
Sagatowska Janina (POLSKA)
Sagi Tibor (WĘGRY)
Sallai Melitta (NIEMCY)
Samuleviciene Vasiliauskaite Stase (LITWA)
Santor Irena (POLSKA)
Sapieha Maria Krystyna (POLSKA)
Sapieżyna – Księżna Renata (WIELKA BRYTANIA)
Saul-Kawka Danuta (POLSKA)
Sawczyńska-Łatyk Teodora (UKRAINA)
Sawicki Edmund (POLSKA)
Sawicki Piotr (POLSKA)
Schulz Gerhard (NIEMCY)
Schutz-Bettwy Monika (FRANCJA)
Seadu Arslanagiciu (BOŚNIA I HERCEGOWINA)
Sempolińska-Uzarowicz Jadwiga (ARGENTYNA)
Sender Zdzisław (POLSKA)
Sendlerowa Irena (POLSKA)
Sendułka Zbigniew (POLSKA)
Serafinowicz Leokadia (POLSKA)
Shriver Sargent (USA)
Siebe Gisela (NIEMCY)
Sieniawska Maria (POLSKA)
Sieradzki Stanisław (POLSKA)

Sikirycki Igor (POLSKA)
Sikoń Adam (POLSKA)
Sikorska Stanisława (POLSKA)
Sikorski Stanisław ks. (POLSKA)
Sitkowski Krzysztof (POLSKA)
Skalski Janusz (POLSKA)
Skalski Stanisław (POLSKA)
Skałka Izaak (IZRAEL)
Skarżyński Henryk (POLSKA)
Skibicka Teresa (KANADA)
Skinder Lesław (POLSKA)
Skrodzki Sławomir (POLSKA)
Skrzypczyk Witold (POLSKA)
Skudniewska Teresa (POLSKA)
Słodowy Adam (POLSKA)
Słowińska Zofia (POLSKA)
Smagliński Henryk (POLSKA)
Smoczyńska Urszula (POLSKA)
Sobańska Felicja (POLSKA)
Sobiesiak Anna (POLSKA)
Sobieszczuk Przemysław (POLSKA)
Sobiś Edmund (POLSKA)
Sobiś Stanisław Andrzej (POLSKA)
Sobol Robert (POLSKA)
Sochor Antoni (CZECHY)
Sokołowska Henryka (POLSKA)
Sokołowski Jarosław (POLSKA)
Solarczyk Zofia (USA)
Soroko Ryszard (POLSKA)
Sośnierz Edward (POLSKA)
Sowa Anna (POLSKA)
Speczik Stanisław (POLSKA)
Spielberg Steven (USA)
Sroczyńska Halina (Marszał-Sroczyńska) (POLSKA)
Sroczyński Zenon (POLSKA)
Stankiewicz-Kiełczewska Lidia (POLSKA)

Starmach Andrzej (POLSKA)
Steciak Wodzimierz (POLSKA)
Stefański Władysław (POLSKA)
Stevens Will (HOLANDIA)
Stępień Stanisław (POLSKA)
Stolarczyk Zofia (USA)
Stolarska Małgorzata (POLSKA)
Stoop Johannes Walter (HOLANDIA)
Strachwitz von Wolfram Freiherra (NIEMCY)
Strugała-Stawik Halina (POLSKA)
Strzemieczny Zdzisław (POLSKA)
Stuligrosz Stefan (POLSKA)
Stypułkowska-Chojecka Maria Kama (POLSKA)
Suchij Iwan Iwanowicz (UKRAINA)
Sullivan James Hubert (WIELKA BRYTANIA)
Sumiński Michał (POLSKA)
Suntherland Efua Theodor (POLSKA)
Suwiczak Krystyna Maria (POLSKA)
Sułek Zofia (POLSKA)
Swerdnyk Łarysa (UKRAINA)
Switek Ewek (WIELKA BRYTANIA)
Syldatk Zdzisław (POLSKA)
Sylwia Królowa Szwecji (SZWECJA)
Szadkowski Stanisław (POLSKA)
Szafrańska-Słupecka Izabela (POLSKA)
Szałkiewicz Wiktor (BIAŁORUŚ)
Szarek Stanisław (POLSKA)
Szczepanik Lucjan SCJ (POLSKA)
Szczepańska Joanna (POLSKA)
Szczepański Jan (POLSKA)
Szczepski Olech (POLSKA)
Szczuka Jadwiga (POLSKA)
Szeląg Roman (POLSKA)
Szelburg-Zarembina Ewa (POLSKA)
Szilagyi Martha-Elizabeth (SZWAJCARIA)
Szklarski Alfred Benedykt (POLSKA)

Szlapiński Fred (USA)
Szopa Janusz (POLSKA)
Szostak Sylwester (POLSKA)
Szperling Stanisław (POLSKA)
Szponder Stanisław (POLSKA)
Szrek Jacek (POLSKA)
Sztrumf Jadwiga (KANADA)
Szubartowska Alicja (POLSKA)
Szubert Andrzej (POLSKA)
Szubstarska Regina (POLSKA)
Szuman Wanda (POLSKA)
Szupiluk Krzysztof (POLSKA)
Szupiluk Maria (POLSKA)
Szustaczek Stella (KANADA)
Szwalbe Stanisław (POLSKA)
Szydło Rudolf (POLSKA)
Szyfer Halina (POLSKA)
Szymańska Klara (POLSKA)
Szymańska Maria (SZKOCJA)
Szymański Tadeusz (POLSKA)
Szymura Karol (POLSKA)
Ścigacz Stanisława (POLSKA)
Ścigajło Dorota (POLSKA)
Ściwiarska Krystyna (POLSKA)
Śliwerski Maciej (POLSKA)
Śliwko Paweł (POLSKA)
Śpićek Donka (JUGOSŁAWIA)
Świątek Edward (POLSKA)
Świątkowski Janusz (POLSKA)
Świątkowski Lucjan (POLSKA)
Świerz Stanisława (POLSKA)
Świtała Grażyna (POLSKA)

T

Tabjan Włodzimierz (POLSKA)

Tabula Angelika Grażyna (ZAMBIA)
Tanase Nicolae (RUMUNIA)
Targańska Jadwiga (POLSKA)
Taworski Tadeusz Maria (ARGENTYNA)
Taylor Gregory Lawton (AUSTRALIA)
Tazbirówna Wanda (POLSKA)
Temanson Jerry (USA)
Ter-Grigorian Aszo (ARMENIA)
Terlecki Władysław Antoni (POLSKA)
Timmler Jerzy (POLSKA)
Tomanek Zygfryd (POLSKA)
Tomaszewska Marta (POLSKA)
Tomaszewski Stanisław (POLSKA)
Toniak Jan (POLSKA)
Trachimowicz Marian (POLSKA)
Trojanek Bogdan (POLSKA)
Trokenheim Marek (SZWECJA)
Trombitas Jeno (RUMUNIA)
Trzeszczkowska Henryka Janina (POLSKA)
Twardowski Jan ks. (POLSKA)
Tylki Dariusz (POLSKA)
Tylki-Szymańska Anna (POLSKA)
Tzoka Eleni (GRECJA)

U

Umiastowski Andrzej Marek (POLSKA)
Ural Yalvac (TURCJA)
Ustinov Peter (WIELKA BRYTANIA)
Uziel Stanisław (POLSKA)

V

Ventre Meriele (WŁOCHY)
Viehoff Werner (NIEMCY)
Vik Flo Anna Grad (NORWEGIA)

Vioncet Maria-Claire (SZWAJCARIA)

W

Wachowicz-Napiórkowska Barbara (POLSKA)
Wajda Wanda (POLSKA)
Wala Czesław ks. (POLSKA)
Waldheim Kurt (AUSTRIA)
Walendzik Krzysztof (FRANCJA)
Walendzik Maria (FRANCJA)
Waleriańczyk Seweryna (POLSKA)
Waligóra Czesława (POLSKA)
Walsh Maria Elena (ARGENTYNA)
Walter Bożena (POLSKA)
Waner Milton (USA)
Waśkowska Barbara (POLSKA)
Wawrzyński Edmund (POLSKA)
Wąchała Halina (POLSKA)
Weinstein David A. (USA)
Weiss Marian (POLSKA)
Welczer Wacław (POLSKA)
Wellman Arnold F. (USA)
Weltschek Adolf (POLSKA)
Wencel-Kokoszka Wanda (POLSKA)
Wenner J. (NIEMCY)
Werbliński Witold (POLSKA)
Wesołowski Józef (POLSKA)
Weyssenhoff Antoni (POLSKA)
Węgrzyk Robert (POLSKA)
Wiącek Jan Leszek (POLSKA)
Wichrowska Grażyna (POLSKA)
Wiecha Wanda (POLSKA)
Wiechowski Henryk Jerzy (POLSKA)
Wieczorek Janusz (POLSKA)
Wiertieim Sawielij Mosiejewicz (UKRAINA)
Wierus Zygmunt (POLSKA)

Wierzcholska Ewa Marzena (POLSKA)
Winfrey Oprah (USA)
Witkowska Hanna (POLSKA)
Wojciechowski Andrzej (POLSKA)
Wojdak Jan (POLSKA)
Wojtasik Józef (POLSKA)
Wojtczak-Jarosz Jadwiga (KANADA)
Wojtyszko Maciej (POLSKA)
Wolfowa Wiesława (POLSKA)
Wolfs-Monfils Marie Therese (BELGIA)
Woliniewska Matylda (POLSKA)
Wolniewicz Beata (POLSKA)
Wolniewicz Lucjan Ferdynard (POLSKA)
Woronin Marian (POLSKA)
Wośko Ignacy (POLSKA)
Woźniak Maria (POLSKA)
Wójcik Józef ks. infułat (POLSKA)
Wroński Waldemar (POLSKA)
Wróbel Antoni (POLSKA)
Wydrych Zygmunt (POLSKA)
Wyrwalski Janusz (POLSKA)
Wysocki Adam (POLSKA)

Z

Zabielna Ewa (POLSKA)
Zaborski Robert (POLSKA)
Zagała Bolesław (POLSKA)
Zagórski Walery (BIAŁORUŚ)
Zając Irena (POLSKA)
Zając Teresa (POLSKA)
Zapałowa Kazimiera (POLSKA)
Zapaśnik-Kobierska Maria Halina (POLSKA)
Zaranek Aleksander (POLSKA)
Zaremba Andrzej Wojciech (POLSKA)
Zarzecka Teresa (POLSKA)

Zarzecki Jean (FRANCJA)
Zarzycki Daniel (POLSKA)
Zawadzka Elżbieta (NIEMCY)
Zbączyniak Krzysztof (POLSKA)
Zbylut Bronisława (POLSKA)
Zdebska Eugenia (POLSKA)
Zdybał Tadeusz (KANADA)
Zembala Marian (POLSKA)
Zgodziński Jerzy (POLSKA)
Zimiński Jerzy (POLSKA)
Ziobrowski Szczęsny (POLSKA)
Ziomek Zofia (POLSKA)
Ziółkowska Maria (POLSKA)
Ziółkowski Zenon Józef (POLSKA)
Zitzman Jerzy (POLSKA)
Zuckowski Rolf (NIEMCY)
Zwolska Alina (POLSKA)

Ż

Żak Małgorzata (POLSKA)
Żawrocka-Kwiatkowska Tisa (POLSKA)
Żebrak Jerzy (POLSKA)
Żmuda Zbigniew (POLSKA)
Źrółko Maria (POLSKA)
Żukrowski Wojciech (POLSKA)
Żychowski Antoni (POLSKA)

*do momentu zakończenia prac nad książką „Kawalerowie Orderu Uśmiechu”

Szkoły i Placówki im. Kawalerów Orderu Uśmiechu (2002-2013*)

2002

Centrum Przyjaźni Dziecięcej „Serce” im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
ul. Kościelna 15, 58-100 Świdnica

2003

Publiczna Szkoła Podstawowa im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
ul. Zamkowa 6, 49-345 Skorogoszcz

Szkoła Podstawowa Nr 12 z Oddziałami Integracyjnymi im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
ul. Gomółki 43, 67-200 Głogów

2004

Publiczne Gimnazjum Nr 4 im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
Zbylitowska Góra, ul. św. Floriana 1, 33-113 Zgłobice

Publiczne Gimnazjum Nr 2 im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
ul. 11 Listopada 75, 58-302 Wałbrzych

Szkoła Podstawowa Nr 8 im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
ul. Wałbrzyska 39, 58-100 Świdnica

2005

Szkoła Podstawowa Nr 1 im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
ul. Bohaterów Warszawy 7, 48-300 Nysa

Szkoła Podstawowa im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
Wałdowo 1, 77-200 Miastko

Gimnazjum Nr 49 im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
Osiedle Słoneczne 12, 31-957 Kraków

Publiczna Szkoła Podstawowa im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
ul. Konarskiego 4, 47-260 Polska Cerkiew

Szkoła Podstawowa im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
Jeleń 2, 78-446 Silnowo

2006

Szkoła Podstawowa Nr 3 im Kawalerów Orderu Uśmiechu
ul. Tysiąclecia Państwa Polskiego 6, 41-400 Mysłowice

Szkoła Podstawowa
im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
ul. Tysiąclecia 32a, 72-330 Mrzeżyno

Publiczne Gimnazjum im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
ul. Tysiąclecia 32a, 72-330 Mrzeżyno

Szkoła Podstawowa im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
ul. Poznańska 50, 62-006 Kobylnica

Szkoła Podstawowa Nr 23 im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
ul. Osikowa 11, 87-100 Toruń

Zespół Szkół im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
Barcino 59, 77-232 Barcino

Publiczna Szkoła Podstawowa im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
Budziszynek 5, 05-650 Chynów

2007

Specjalny Ośrodek Szkolno-Wychowawczy im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
Huta 3, 27-300 Lipsko

Szkoła Podstawowa im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
Józefina, ul. Mazowiecka 1, 96-321 Żabia Wola

Szkoła Podstawowa Nr 4 im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
ul. Kopernika 15, 59-800 Lubań

Szkoła Podstawowa im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
ul. Wyzwolenia 12, 13-220 Rybno

Publiczne Gimnazjum w Zespole Placówek Oświatowych im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
ul. Kasztanowa 19, 67-112 Siedlisko

2008

Zespół Edukacyjny – Szkoła Podstawowa im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
Osiecznica, ul. Szkolna 15, 66-600 Krosno Odrzańskie

Szkoła Podstawowa im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
Warnice 30, 74-201 Warnice

Specjalny Ośrodek Szkolno-Wychowawczy im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
ul. Zwycięstwa 28, 73-222 Suliszewo

Szkoła Podstawowa im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
Marcinkowice, ul. Szkolna 1, 55-200 Oława

Szkoła Podstawowa Nr 1 z Oddziałami Integracyjnymi im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
ul. Żwirki i Wigury 4, 06-300 Przasnysz

2009

Szkoła Podstawowa Nr 5 im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
ul. Kardynała Wyszyńskiego 35, 62-510 Konin

Szkoła Podstawowa Nr 4 im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
ul. Toruńska 315a, 62-600 Koło

2010

Publiczna Szkoła Podstawowa im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
Sławice, ul. Opolska 4, 49-120 Dąbrowa

Publiczna Szkoła Podstawowa im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
Rudzienko, ul. Szkolna 11, 05-340 Kołbiel

Specjalny Ośrodek Szkolno-Wychowawczy im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
ul. Leśna 91, 72-004 Tanowo

Szkoła Podstawowa im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
Osiek 80, 87-340 Osiek Rypiński

Szkoła Podstawowa im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
Czersk, ul. Warszawska 17, 05-530 Góra Kalwaria

Publiczna Szkoła Podstawowa Nr 33 im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
ul. Kolberga 5, 26-600 Radom

2011

Gimnazjum Nr 8 im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
ul. Bohaterów Monte Cassino 46,41-200 Sosnowiec

Przedszkole Miejskie Nr 2 im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
ul. Turniejowa 5, 42-500 Będzin

Przedszkole im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
ul. Słowackiego 17, 55-095 Mirków

Szkoła Podstawowa im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
ul. Słowackiego 17, 55-095 Mirków

Zespół Szkolno-Gimnazjalny Szkoła Podstawowa im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
Sierosławice 53, 32-120 Nowe Brzesko

Warsztaty Terapii Zajęciowej im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
ul. Sportowa 7, 98-400 Wieruszów

Szkoła Podstawowa Nr 5 im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
ul. Kamienna 8, 55-200 Oława

Szkoła Podstawowa Nr 3 im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
ul. Kołobrzeska 13m, 10-445 Olsztyn

2012

Szkoła Podstawowa im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
Borcz 70a, 83-312 Hopowo

Szkoła Podstawowa im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
Dźwierszno Małe 8, 89-310 Łobżenica

Szkoła Podstawowa im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
ul. Szkolna 12a, 44-187 Wielowieś

Przedszkole Nr 33 im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
ul. Komisji Edukacji Narodowej 29, 44-207 Rybnik

Szkoła Podstawowa Nr 29 im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
ul. Komisji Edukacji Narodowej 29, 44-207 Rybnik

Szkoła Podstawowa im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
Łukom 2, 62-410 Zagórków

Szkoła Podstawowa im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
Grala Dąbrowizna, 08-114 Skórzec

Publiczna Szkoła Podstawowa im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
ul. Prymasa Wyszyńskiego 11, 63-100 Śrem

2013

Publiczna Szkoła Podstawowa Nr 8 im. Kawalerów Orderu Uśmiechu
ul. Górna 3, 27-400 Ostrowiec Świętokrzyski

*do momentu zakończenia prac nad książką „Kawalerowie Orderu Uśmiechu”

Strona redakcyjna

Copyright © Tadeusz Belerski, 2013

Projekt
Ewa Chruściel, Parastudio,
www.parastudio.pl

Redakcja i korekta (wydanie papierowe)
Karolina Prewęcka

Zdjęcia na okładce i w książce
Archiwum Międzynarodowej Kapituły Orderu Uśmiechu
(autorzy: Kazimierz Jurewicz, Jola Lipka, Tomasz Pietrzyk),
archiwa prywatne bohaterów książki

Autorzy pozostałych zdjęć
Wiktor Bąkiewicz, (Eugeniusz Kępa)
Kazimierz Chwiejczak, (Cezary Leżeński)
Michał Hetmanek, (Henryka Krzywonos-Strycharska)
Krzysztof Kaliński, (Bibiana Mossakowska)
Marta Muszel, (okładka)
Bart Pogoda, (Janina Ochojska)
Ireneusz Sobieszczuk, (Maria Kolago)
Mariusz Szyperko, (Bibiana Mossakowska)
Jerzy Undro, (Halina Machulska)
Danuta Węgiel, (Janina Ochojska)
Marian Żyła, (Marian Kulig)
AKPA Polska Press, (Halina Machulska)
East News, (Jacek Kuroń, okładka)

Autor rysunku
Marek Konecki, (Szymon Kobyliński)

Wydanie I Warszawa 2013

Wydawnictwo
Meissner & Partners
ul. Krasińskiego 51
05-822 Milanówek
office@meissnerandpartners.com

www.kawalerowieorderu.pl

Licencja na wydanie elektroniczne

Narodowe Centrum Kultury
ul. Płocka 13, 01-231 Warszawa
www.nck.pl

ISBN 978-83-7982-003-0

Redakcja wydania elektronicznego
Ewa Paderewska

Skład i przygotowanie wydania elektronicznego
Łukasz Kuczborski, Pinova

Spis treści

Okładka
Słowo od autora
Ma moc serdeczności
Jest już w średnim wieku
Stanisław Adamczak
Jadwiga Bińczycka
Ewa Błaszczyk
Urszula Maria Bogobowicz
Maria Mariola Burcan
Wanda Chotomska
Ewa Chrobak
Alicja Paulina Chybicka
Irena Conti Di Mauro
Antoni Długosz
Anna Dymna
Roman Ficek
Małgorzata Gambrych
Dorota Gellner
Grzegorz Jach
Alina Janowska
Bogusław Kaczyński
Mirosława Ewa Kątna
Eugeniusz Kępa
Szymon Kobyliński
Barbara Kolago
Izabella Kołecka
Hilary Koprowski
Stanisław Kowalski
Stanisław Krupa
Henryka Krzywonos-Strycharska
Marian Kulig
Danuta i Jacek Kuroniowie

Cezary Leżeński
Maria Łopatkowa
Halina Machulska
Halina Marszał-Sroczyńska
Bohdan Maruszewski
Marek Michalak
Jadwiga i Jacek Moll
Bibiana Mossakowska
Arkadiusz Nowak
Wiesław Ochman
Janina Ochojska
Joanna Papuzińska
Danuta Rosner
Ryszard Rynkowski
Irena Santor
Danuta Saul-Kawka
Irena Sendlerowa
Teresa Skudniewska
Anna Sobiesiak
Małgorzata Stolarska
Anna Tylki-Szymańska
Bożena Walter
Jan Wojdak
Maciej Wojtyszko
Elżbieta Zawadzka
Małgorzata Żak
Tisa Żawrocka-Kwiatkowska
Kawalerowie Orderu Uśmiechu*
Szkoły i Placówki im. Kawalerów Orderu Uśmiechu (2002-2013*)
Strona redakcyjna